



Jayne Castle

(Jayne Ann Krentz)

Łowcą miłości

Przekład
Małgorzata Stefaniuk

*Wszystkim dzielnym kurzakom i tym,
którzy je podziwiają.*

Parę słów od Jayne

Witam z powrotem w moim innym świecie: Harmonii.

Pod koniec XXI wieku w pobliżu Ziemi otworzyła się ogromna, energetyczna Kurtyna, po raz pierwszy w historii umożliwiając w praktyce podróże międzygwiazdne. W typowy dla ludzi sposób tysiące pełnych zapła kolonistów spakowało swoje rzeczy i nie tracąc czasu wyruszyło zakładać nowe domy i nowe społeczeństwa na niezbadanych dotąd światach. Jednym z tych światów była Harmonia.

Koloniści zabrali ze sobą wszelkie wygody z macierzystej planety: zaawansowaną technologię, dorobek całych stuleci sztuki i literatury oraz najnowszą modę. Handel przez Kurtynę kwitł i pozwalał im utrzymywać kontakt z rodzinami, które pozostały na Ziemi. Pozwalał również na to, by komputery i nowoczesne gadżety kolonistów ciągle działały. Przez jakiś czas wszystko świetnie się układało.

A potem, pewnego dnia, bez żadnego ostrzeżenia Kurtyna się zamknęła, znikając równie tajemniczo, jak się wcześniej pojawiła. Koloniści, odcięci od Ziemi, stracili dostęp do sprzętu i zasobów potrzebnych do podtrzymywania ich stylu życia i zostali nagle wtrąceni w o wiele prymitywniejszą egzystencję. Mogli zapomnieć o najnowszych trendach mody na Ziemi; nagle najważniejszym problemem stało się samo przetrwanie.

Jednak na Harmonii ludzie zrobili to, w czym są najlepsi: przeżyli. Nie było łatwo, ale dwieście lat po zamknięciu Kurtyny potomkom Pierwszego Pokolenia kolonistów udało się powrócić znad samej krawędzi zagłady na poziom cywilizacyjny, który odpowiadał mniej więcej temu, jaki panował na Ziemi na początku XXI wieku.

Jednak tutaj, na Harmonii, sprawy mają się nieco inaczej. Na przykład można tu spotkać tych niebezpiecznie seksownych łowców duchów. Egzotyczne kluby nocne obsługują klientelę, która lubi się oszałamiać paranormalnymi energiami promieniującymi z przedziwnych ruin pozostałych po obcej cywilizacji. No i żyją tu te nigdzie indziej niespotykane domowe zwierzątka.

Ale pomimo to niektóre problemy wszędzie są takie same. Weźmy na przykład Elly St.Clair. Elly sądziła, że zerwała zaręczyny z szefem Gildii, Cooperem Boonem. Ale Cooper ma na ten temat odmienne zdanie...

Jeśli tak jak ja lubisz romantyczne kryminały z domieszką paranormalnego kolorytu, Harmonia to idealne miejsce dla Ciebie.

Serdeczne uściski

Jayne

Prolog

HARMONIA Dwieście lat po zamknięciu się Kurtyny...

Proszę zaczekać, panno St.Clair. - Nieduży, elegancko ubrany mężczyzna siedzący w recepcji poderwał się na równe nogi. - Nie może pani tak po prostu wejść do pana Boone'a.

- No to patrz, co zrobię, Melvin. - Elly szła dalej.

Przemierzała rozległą przestrzeń recepcji długimi krokami, a gruby dywan wygłuszał stukot obcasów jej doskonale dobranych do reszty stroju pantofelków. Jej celem były masywne, kunsztownie inkrustowane drzwi, strzegące dostępu do wewnętrznego sanktuarium biur zarządu Gildii w Aurora Springs.

Melvin zamachał zadbanymi dłońmi.

- Pan Boone ma spotkanie - sapnął. Obiegł recepcję i pospieszył w kierunku Elly. - I wydał wyraźne polecenie, żeby mu nie przeszkadzano.

Elly dotarła do imponujących drzwi trzy kroki przed Melvinem i obydwie dłonie zacisnęła na olbrzymiej stalowo-bursztynowej klamce.

- Pan Boone teraz jest zajęty sprawami Gildii, panno St.Clair - jęknął Melvin.

- Pan Boone zawsze jest zajęty sprawami Gildii, Melvin. - Posłała recepcjoniście lodowaty uśmiech i pchnęła ciężkie drzwi. - Ale na szczęście dla nas obojga właśnie się dowiedziałam, że jeśli chodzi o pana Boone'a, to ja też jestem sprawą Gildii. Więc widzisz, nie masz się czym przejmować.

- Panno St.Clair, proszę...

Elly szybkim krokiem weszła do biura, okręciła się i zamknęła drzwi tuż przed nosem oburzonego Melvina. Rozległ się ostry zgrzyt, gdy wysłała impuls energii do zamka.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z dwiema osobami, które znajdowały się w biurze zarządu Gildii miasta Aurora Springs.

Mężczyzna siedzący za masywnym biurkiem z zielonego kwarcu przyglądał się jej spokojnie przez okulary w czarnej metalowo - bursztynowej oprawie. Nadające mu powagi okulary nie mogły jednak przyćmić siły władczego spojrzenia nieodparcie przyciągających uwagę błękitnych oczu. Nie zdołały też zmiękczyć surowych rysów twarzy, wyrażającej zawziętą nieustępliwość. Szyta na zamówienie czarna jedwabna koszula, spodnie i ozdobiony czarnymi bursztynami krawat podkreślały niewidzialną aurę mocy, która osłaniała go niczym płaszcz.

A gdyby ktoś tego mimo wszystko nie zauważył, na palcu mężczyzny tkwił tradycyjny symbol zajmowanego przez niego urzędu, ciężki czarny sygnet z dużym bursztynem, w

którym była wygrawerowana pieczęć Gildii.

Cooper Boone to najlepszy argument, jaki można sobie wyobrazić, przeciwko staroświeckiej, obskuranckiej tradycji Małżeństw Przymierza, stwierdziła w duchu Elly. I pomyśleć, że mało brakowało, a wyszłaby za niego za męża. Nieprzyjemny dreszcz przebiegł jej po plecach.

Z drugiej strony były dwa całkiem poważne powody, dla których zgodziła się na zaręczyny z Cooperem, musiała przyznać ze smutkiem. Pierwszym było to, że po uszy się w nim zakochała.

A drugim, tym, który okazał się jej największą życiową pomyłką - to, że sądziła, iż Cooper również się w niej zakochał.

Teraz już знаła prawdę.

- Dzień dobry, Elly. - Cooper przywitał ją opanowanym głosem. - Nie spodziewałem się twojej wizyty.

W wolnym przekładzie znaczyło to zapewne: Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz, wpadając w ten sposób do mojego biura? Ale Cooper zbyt dobrze nad sobą panował, żeby pokazać poirytowanie.

Już po fakcie Elly uzmysłowiła sobie, że jego nieograniczona wręcz zdolność samokontroli, panowania nad własnymi instynktami, powinna wzbudzić w niej czujność, bo był to wyraźny znak ostrzegawczy. Ale w trakcie tych kilku tygodni intensywnego umawiania się z Cooperem na randki przekonywała samą siebie, że owo opanowanie to tylko podziwu godna cecha charakteru.

- Tak się złożyło, że byłam w pobliżu - oznajmiła, posyłając Cooperowi uśmiech, równie, miała nadzieję, olśniewający jak odbijające się od śniegu promienie słoneczne i równie jak one lodowaty. - Więc przyszło mi do głowy, że wpadnę.

Lekko uniósł ciemne brwi i delikatnie zmrużył swe hipnotyzujące oczy.

Okay, pomyślała, biorąc głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy, on wie, że jestem wściekła. I jest tym zaskoczony. Coś takiego. To nawet zabawne.

Powinna teraz odczuwać przynajmniej odrobinę mściwej satysfakcji. Niełatwo przyłapać Coopera Boone'a na braku czujności. Był mistrzem strategii, zawsze krok przed wszystkimi w jego otoczeniu.

A już z pewnością krok przed nią przez ostatnich kilka miesięcy.

Zdołała nawet przekonać sama siebie, że jego oficjalne, tradycyjne zaloty to wyraz szacunku dla niej i dla jej rodziny. Tutaj, w Aurora Springs, wiele spraw załatwiano w staroświeckim, tradycyjnym stylu, łącznie z zawieraniem wysoko cenionych i przez Gildię Małżeństw Przymierza.

W tej chwili Cooper bacznie ją obserwował. Prawie słyszała, jak kalkuluje, ocenia i opracowuje w głowie strategię, szukając najlepszego sposobu, w jaki powinien ją potraktować, żeby utrzymać kontrolę nad sytuacją. Bo właśnie tym on się zajmuje, myślała. Zarządza ludźmi i kontroluje sytuację.

A wychodziło mu to świetnie, bo w pełni panował i nad własnymi emocjami. To jego prawdziwy talent, powiedziała sobie w duchu, zupełnie niezwiązany z imponującymi paranormalnymi zdolnościami.

Drugi mężczyzna obecny w pokoju zmarszczył czoło, wyrażając ojcowską dezaprobatę.

- Jesteśmy w tej chwili z Cooperem nieco zajęci, moja droga. Czyżbym zapomniał, że umówiłaś się ze mną na lunch?

- Nie, tato, o niczym nie zapomniałaś - odparła spokojnie Elly. - Nie martw się, nie zajmę wam dużo czasu.

Jej ojciec był kilka lat starszy od Coopera i kilka centymetrów niższy. Osrebrzone siwizną włosy nosił w tradycyjnym stylu obowiązującym w Gildii - spięte w kucyk przewiązany skórzanym rzemykiem. Trzej bracia Elly również się tak czesali.

To, co od razu jej się w Cooperze Boone spodobało, były jego krótko obcięte włosy, zupełnie nie w stylu Gildii.

Kolejną tradycją Gildii, którą podtrzymywali wszyscy mężczyźni w jej rodzinie, był ubiór w kolorze khaki i skóry. Dzisiaj jej ojciec też miał na sobie koszulę khaki i także spodnie z wieloma kieszeniami, wetknięte w ciężkie buty z chromowanej skóry węża. Jego talię, której obwód w ostatnich latach tylko nieznacznie się powiększył, opinał pas z dużą bursztynową klamrą.

John St.Clair był jednym z najpotężniejszych ludzi Gildii w Aurora Springs, drugim po Cooperze. To on w gruncie rzeczy doprowadził do tego, że Coopera wybrano na stanowisko nowego szefa organizacji. Zmiana przywództwa nastąpiła po śmierci poprzedniego szefa Gildii, Douglasa Haggerty'ego, którego znaleziono martwego w katakumbach. Zmarł na atak serca.

Nikt nie był bardziej zaskoczony wyborem Rady niż Elly. Pochodząca z liczącej się rodziny, której przodkowie należeli do założycieli Gildii w Aurora Springs, doskonale zdawała sobie sprawę, że Cooper dostał się do Rady, a potem do zarządu nie tylko wyłącznie dzięki paranormalnym mocom, które posiada każdy łowca duchów. Szefów Gildii od początku powstania organizacji znamionowała błyskotliwa inteligencja i siła woli tak niezniszczalna jak zielony kwarc.

Paranormalna zdolność psychicznego rezonowania z bursztynem i stosowania go do skupiania naturalnych fal energii, wytwarzanych przez mózg, zaczęła się pojawiać wśród

osadników Harmonii krótko po tym, jak Ziemianie przekroczyli Kurtynę, by na nowej planecie tworzyć nowy świat. Początkowo tego rodzaju zdolności traktowano jako zaledwie ciekawostkę. Jednak stopniowo ujawniał się prawdziwy potencjał owego fenomenu.

Dzisiaj, dwieście lat po odkryciu w Harmonii wyjątkowego bursztynu, rutynowo używano go jako źródła mocy dla najrozmaitszych urządzeń, poczynając od pojazdów mechanicznych, na zmywarkach kończąc. Każde dziecko potrafiło wygenerować tyle parapsychicznej energii, energii psi, by z łatwością włączyć rezowizor i oglądać w nim kreskówki.

Jednak niektórzy ludzie, posługujący się specjalnie nastrojonym bursztynem, mogli generować większe ilości energii psi i wykorzystywać ją potem w specyficzny sposób. Łowcy duchów, znani pod techniczną nazwą pararezonerów energii dysonansu, stanowili jedną z grup obdarzonych ogromną mocą pararezonerów.

Termin „łowca duchów” całkiem celnie opisywał pracę wykonywaną przez tych ludzi. Ich paranormalne zdolności, choć z pewnością imponujące, nie były jednak tym, co można by nazwać multifunkcyjnością lub dającym się wielorako wykorzystać zestawem umiejętności. Możliwości kariery tacy osobnicy mieli ograniczone.

Wydawało się, że jedynym praktycznym zastosowaniem talentu łowców duchów było kontrolowanie i niszczenie wysoce niestabilnych, śmiertelnie groźnych kul ognistej, kwaskowozielonej energii psi, oficjalnie nazywanych NiZOED-ami, co było skrótem ich pełnej nazwy: Niestabilne Znaki Obecności Energii Dysonansu. Nieoficjalnie zwano je duchami, ponieważ snuły się niczym widma zagubione w niekończącej się sieci podziemnych tuneli przecinających całą planetę. Nikt nie wiedział, dlaczego obcy, którzy już dawno temu opuścili planetę, wybudowali te katakumby. NiZOED-y były taką samą tajemnicą.

Większość ekspertów uważała, że zielone fantomy oraz groźne psychiczne pułapki iluzji, w jakie nieraz wpadali ludzie w owych tunelach, były rodzajem wyrafinowanego systemu zabezpieczeń. Jednak, podobnie jak w przypadku ruin, artefaktów i reliktyw pozostawionych przez nieznaną rasę istot, która pierwsza skolonizowała Harmonię, prawdziwy powód istnienia duchów pozostawał w sferze czystych spekulacji.

Niemniej jedno w nikim nie budziło wątpliwości. Z powodu owych duchów, będących kulami energii, przeszukiwanie i przekopywanie sieci podziemnych korytarzy stało się wyjątkowo niebezpiecznym przedsięwzięciem. A ponieważ eksploracją i prowadzeniem wykopalisk na terenie katakumb interesowały się nie tylko bogate, prywatne firmy, ale także opłacane przez rząd laboratoria oraz instytucje akademickie, umiejętność likwidowania duchów gwarantowała pewien stopień zawodowej stabilności.

Gildia używała usług swych członków różnym zespołom wykopaliskowym,

finansowanym ze źródeł akademickich, korporacyjnych lub prywatnych, które przeszukiwały katakumby w celach naukowych lub dla zysków. W ciągu długich lat Gildia łowców z jej sprytnymi i ambitnymi przywódcami stała się potężnym sekretnym stowarzyszeniem związanym tajnymi tradycjami i prawem Gildii. Zgodnie ze starym powiedzeniem dobrze znanym członkom Gildii - zresztą jednym z wielu, ale to najczęściej cytowano - człowiek Gildii na zawsze jest człowiekiem Gildii.

Sporadycznie w jakimś kobiecym piśmie pojawiał się artykuł, w którym twierdzono, że są również łowcy duchów wśród kobiet. Ale statystycznie rzecz ujmując, zdecydowaną większość łowców stanowili mężczyźni - zdaniem ekspertów dlatego, że paranormalne zdolności miały związek z pewnymi męskimi hormonami. Co oznaczało, że Gildią rządzą mężczyźni. A mężczyźni w grupie, jak to często podkreślała matka Elly, mają nieodpartą skłonność do tworzenia stada z samcem alfa na szczycie hierarchii.

To święta prawda, że budynek Gildii aż ocieka testosteronem, pomyślała Elly. A tutaj, w tych urządzonych z przepychem, bogato zdobionych gabinetach zarządu Gildii w Aurora Springs, testosteronu jest więcej niż gdziekolwiek indziej.

- W porządku, Elly - odezwał się spokojnie Cooper. - Wyraźnie widać, że jesteś zdenerwowana. Może więc usiądziesz i powiesz nam, o co chodzi.

- No cóż, nie będę zagłębiała się w szczegóły. - Starła się mówić z opanowaniem i chłodno, choć nie było to łatwe. Żeby kontrolować głos, trzeba odpowiednio oddychać, a oddychanie sprawiało jej w tej chwili ogromną trudność. Ogarniała ją gorączka. - Zbyt długo by to trwało, a przecież wiem, że jesteś bardzo zajęta osobą. Na pewno nie chciałabym przeszkadzać ci w prowadzeniu ważnych interesów Gildii.

Ojciec Elly posłał Cooperowi szybkie i niespokojne spojrzenie, po czym zrobił krok w stronę córki.

- Hm, kochanie, może lepiej zejdźmy na dół do kawiarni. Napijemy się kawy i opowiesz mi o wszystkim, co cię trapi.

- Zapomnij o kawie, tato. - Nie odrywała wzroku od Coopera. - Przyszłam tu, żeby zadać kilka pytań bossowi Gildii w Aurora Springs i nie wyjdę, dopóki nie poznam prawdy.

Szczęki Coopera nieznacznie się zacisnęły.

- Przecież nigdy cię nie okłamywałem.

Ostrożnie, pomyślała, nie znasz tego człowieka. Tylko ci się wydawało, że go znasz.

- Ogólnie rzecz biorąc, to prawdopodobnie słuszne stwierdzenie - zgodziła się. - Ale nie zawsze ci się chciało powiadamiać mnie o wszystkich faktach, czyż nie?

Cooper obszedł prostokątną płytę z zielonego kamienia, która stanowiła wierzch jego imponującego biurka, oparł się o brzeg masywnego blatu z kwarcu i splótł ręce na piersiach. -

O co chciałaś zapytać? - odezwał się spokojnie.

Elly, napięta jak struna, z trudem przełknęła ślinę. Za chwilę wkurzy najgroźniejszego człowieka w Aurora Springs. Może więc lepiej dać sobie czas na ochłonięcie po usłyszanych rano plotkach?

Lecz z drugiej strony kolejny dzień rozmyślań niczego nie zmieni. Lepiej mieć to już z głowy i jakoś żyć dalej, postanowiła w duchu.

- Po kampusie krąży pogłoska, że przed kilkoma miesiącami, krótko po tym, jak się poznaliśmy, i tuż przed zaproponowaniem ci stanowiska szefa Gildii, wyzwałeś Palmera Fraziera na pojedynek łowców duchów w katakumbach. - Elly wzięła głęboki oddech. - Czy to prawda?

Kątem oka spostrzegła, że ojciec zeszywniał. Jego reakcja zdradziła jej wszystko, co chciała wiedzieć. Plotka mówiła prawdę. Serce jej się ścisnęło. Po raz pierwszy przyznała się sama przed sobą, że wbrew wszystkiemu miała nadzieję, iż Cooper zaprzeczy całej historii.

Wyraz jego twarzy, w przeciwieństwie do jej ojca, nie zmienił się ani trochę.

- Kto ci naopowiadał takich bzdur?

- Och, no nie, proszę cię - rzuciła pospiesznie. - Na pewno nie zdradzę ci imienia osoby, która mi o tym powiedziała. Kto wie, co byś jej zrobił w odwecie.

- Interesuje mnie tylko wykrycie źródła ewentualnego przecieku - odparł łagodnie Cooper.

- No to cię zdziwię. W tym przypadku jest już stanowczo za późno na szukanie przecieków. Wprawdzie minęło trochę czasu, zanim plotka ujrzała światło dzienne, ale teraz stała się tajemnicą poliszynele. Mój informator powtarzał tylko to, o czym słyszeli już wszyscy w kampusie. - Elly szeroko rozłożyła ręce. - Szczerze mówiąc, dowiedziałam się o tym chyba ostatnia w całym mieście. Miarka się przebrała.

John skrzywił się.

- Co przez to rozumiesz?

- Powiedzmy tylko, że ten incydent nie należy do najlepiej strzeżonych tajemnic Gildii, tato. Choć z drugiej strony i tak długo udawało się wam go wyciszać. - Elly odwróciła się do Coopera. - Ale teraz, gdy wszyscy już na ten temat mówią, nie zdziwiłabym się, gdyby ta historia trafiła do prasy brukowej jeszcze dzisiaj lub najpóźniej jutro. Lepiej uprzedź tego miłego facecika w schowku na szczotki na dole, że wzywasz już mu do pomocy ludzi z twojego wydziału PR-u. Będzie ich potrzebował, kiedy lokalne media zaczną do was wydzwaniać.

- Co dokładnie słyszałaś? - zapytał Cooper. Jego głos nie stał się ostrzejszy, ale w oczach pojawiły się groźne błyski.

Niewątpliwie przyciągnęłam jego uwagę, pomyślała Elly. Jednak i bez parapsychicznych uzdolnień mogła się domyślić, że jest to prawdopodobnie sytuacja z rodzaju „uważaj, żebyś się nie dograła”.

Ale już zaczęła. Nie było odwrotu.

- Wszyscy mówią, że Palmer Frazier jakiś czas temu zniknął na kilka dni, bo musiał odzyskać siły po urazach psychicznych, jakich doznał w pojedynku z innym łowcą. Ludzie mówią też, że zrezygnował z członkostwa w Radzie Gildii, żeby... Jak to ujął twój wydział PR-u? Ach tak, żeby zająć się interesami we Frekwencji, mieście dość odległym od naszego.

- Rozumiem. - Cooper sprawiał wrażenie, jakby się nad czymś zastanawiał.

Elly chciało się krzyknąć, ale tylko mocno zacisnęła zęby. Nie straci panowania nad sobą w obecności tego tak doskonale się kontrolującego mężczyzny. Nie pozwalała jej na to duma.

- Mówią, że pojedynkował się z tobą, Cooper. I że zwyciężyłeś.

Cooper nadal wyglądał na zamyślonego.

- To bardzo niefortunne - mruknął John.

- Ja też tak sądzę, tato - zgodziła się Elly. - Plotka głosi, że jedynymi świadkami pojedynku mieli prawo być tylko inni członkowie Rady Gildii. Co znaczy, że ty też tam byłeś.

John znów się skrzywił.

- Córeczko, ja...

Ponownie zwróciła się do Coopera.

- Wiesz co, Cooper, plotki rozchodzą się po biurach Gildii równie szybko jak po kampusie. Całe miasto już je zna. A pragnę przypomnieć, że to małe miasto. Czy rozumiesz, co to oznacza? Że nie będę mogła wyjść nawet na zakupy, żeby ludzie nie obgadywali mnie za plecami.

- To wszystko za miesiąc lub dwa pójdzie w niepamięć - oświadczył John stanowczym tonem. - Frazierowi nic się nie stało. Sam postanowił opuścić miasto i wyprowadzić się do Frekwencji.

- Najzwyczajniej nie chciał zostawać w Aurora Springs po przegraniu pojedynku i zmuszono go do wystąpienia z Rady - wybuchnęła Elly.

Cooper przyglądał się jej z namysłem. Wiedziała, że się zastanawia, ile prawdy może wyjawić.

- Przykro mi, że po mieście krążą plotki i że dotyczą one ciebie - odezwał się w końcu.

- Na rany boskie, mogłeś zostać poważnie ranny, a nawet zginąć.

Brwi Coopera zbiegły się nad oprawkami okularów na znak lekkiego zaskoczenia.

- Nikomu nie groziło nic poważnego.

- Usankcjonowany pojedynek łowców duchów to oficjalny rytuał - wtrącił się John. -

Wykorzystuje się go jako ostateczne rozwiązanie w przypadku, gdy struktura kierownicza organizacji wydaje się zagrożona. Silniejszy łowca zwycięża. Członkowie Rady są świadkami rozstrzygnięcia pojedynku i na tym koniec całej sprawy.

- W twoich ustach brzmi to tak prosto - warknęła Elly z wściekłością. - Ale wszyscy wiedzą, że duchy są bardzo, naprawdę bardzo niebezpieczne. Jasne, łowcy potrafią się przed nimi bronić, wystarczy jednak popełnić jeden błąd i może dojść do katastrofy. Kiedy ma się do czynienia z duchami naładowanymi energią, zawsze istnieje możliwość odniesienia poważnych psychicznych urazów.

- Ale nic takiego się nie wydarzyło - zapewnił spokojnie Cooper. - Sporna kwestia została oficjalnie rozwiązana zgodnie z obowiązującym Prawem Gildii. Wszelkie plotki na ten temat są bezpodstawne.

- Cóż, mimo to plotki krążą po mieście, szanowny panie szefie Gildii.

- Ale nie mają związku z tobą - spokojnie stwierdził Cooper.

- No to mam dla ciebie kolejną niespodziankę. Wszyscy mówią, że to ja byłam przyczyną pojedynku.

Cooper zmarszczył brwi.

- Kto tak mówi?

- Wszyscy. Czy ty mnie nie słuchasz? Moi koledzy z Wydziału Botaniki szeptali coś do siebie, kiedy ich mijałam w holu wydziału. I szkoda, że nie słyszałeś tego chichotu, kiedy weszłam do toalety.

Po tych słowach w gabinecie zapadła ciężka cisza. Sytuacja wyglądała coraz gorzej, a serce Elly rozpadało się na coraz mniejsze kawałki. Pozostał jej tylko maleńki skrawek nadziei.

- Elly - odezwał się John uspokajającym tonem. - Pochodzisz z rodziny Gildii. Dobrze wiesz, jak ważne są dla nas nasze tradycje.

- Na litość boską, tato, nie mam nic przeciwko pewnym dawnym obyczajom. Ale mówimy o niebezpiecznym pojedynku. - Elly zerknęła na Coopera. - W razie gdyby żaden z was o tym nie wiedział, informuję, że tego typu sprawy są uznawane za archaiczne, prymitywne i niecywilizowane przez nowoczesnych, wykształconych i inteligentnych ludzi, takich jak moi koledzy z uczelni.

- Twój ojciec ma rację; plotki szybko ucichną - pocieszył ją Cooper.

- Wasz osąd tylko dowodzi, jak bardzo jesteście oderwani od normalnego społeczeństwa. - Zaczęła krążyć po gabinecie. - Miło słyszeć, że się niczym nie przejmujecie, ale pozwolę sobie zaznajomić was z kilkoma faktami dotyczącymi życia akademickiego. To może was ogromnie zaskoczyć, ale okazuje się, że wiązanie mojej osoby z idiotycznym pojedynkiem w

stylu macho pomiędzy dwoma łowcami - z których jeden przypadkowo jest szefem Gildii - nie pomoże mi w otrzymaniu stanowiska zastępcy profesora.

- Spokojnie, Elly - poprosił łagodnym głosem Cooper.

- Spokojnie? - Elly zatrzymała się i odwróciła gwałtownie. - Skoro nie przejmujesz się tym, że wystawiłeś na ryzyko własne życie i swój parapsychiczny profil, to może przynajmniej przejałbyś się tym, że zaszkodziłeś mojej karierze.

Cooper mocno zacisnął usta.

- To była sprawa Gildii. Nie wpłynie na twoją karierę. Daję ci na to moje słowo.

Elly znów zaczęła krążyć nerwowo po pokoju. Gdyby tego nie zrobiła, nie powstrzymałaby się przed ciskaniem drobnymi artefaktami, pamiątkami po obcych, ustawionymi w gabinecie dla dekoracji. A to byłoby zachowanie poniżej godności.

- Sprawa Gildii - powtórzyła chłodno. - Wiesz, jakimś cudem wiedziałam, że to powiesz.

- Tak czy inaczej, ten incydent nie wpłynie na twoją karierę - jeszcze raz zapewnił Cooper.

- Czyżby, panie szefie? Członkowie wydziału bywają usuwani z uczelni w Aurora Springs z mniej istotnych powodów.

Śnieżnobiałe brwi Johna ściągnęły się w jedną linię.

- Nikt cię nie zwolni.

- Nie zakładałabym się o to, tato. - Elly minęła naturalnej wielkości portret któregoś tam z kolei jej pradziadka, Johna Sandera St.Claira, pierwszego szefa Gildii w Aurora Springs. - Rada Akademicka kieruje się bardzo surowym Regulaminem Postępowania. Artykuł 1, część a, paragraf 1a zabrania członkom personelu - cytuję - „zachowania, które mogłoby przyczynić kłopotów uczelni lub sprowadzać niesławę na tę instytucję. Takie zachowanie będzie mogło stanowić podstawę do udzielenia nagany lub, w najbardziej rażących przypadkach, do zwolnienia”.

Po raz pierwszy na twarzy Coopera pojawił się wyraz niebędący wyrazem chłodnego opanowania. Nie, oczywiście, żadne silne emocje, tylko jego niezwykle błękitne oczy zaczęły wpatrywać się w nią nieco bardziej intensywnie. Elly w ostatnich dwóch miesiącach spędziła z Cooperem wystarczająco dużo czasu, żeby wiedzieć, że zaczyna się on irytować.

- Twój ojciec ma rację - oznajmił beznamiętnym głosem. - To niemożliwe, żeby Rada Akademicka obwiniała cię o coś, co miało związek wyłącznie z Gildią.

Elly zatrzymała się przed kolejnym dużym portretem dawnego szefa Gildii w Aurora Springs. Albert Roy St.Clair był jej dziadkiem ciotecznym ze strony matki.

- Nie pojmujesz powagi całej sytuacji - oświadczyła. - Nie muszę być niczemu winna. Wystarczy, że przyczyniłam uczelni kłopotów. W akademickiej polityce wizerunek to rzecz

najważniejsza. Boże drogi, kiedy pomyślę, ile wysiłku włożyłam w to, żeby przekonać moich kolegów, że Gildia przez lata całkowicie się zmieniła, że nie jest już organizacją, którą niewiele różni od bandy kryminalistów, to chce mi się płakać. Marnowałam niepotrzebnie czas i energię.

- Nie utracisz swojej pozycji na uczelni - powtórzył Cooper, nie zmieniając tonu głosu. - Nie musisz się o to martwić.

Teraz to ona wysoko uniosła brwi.

- Dlaczego? Bo wykonasz kilka telefonów i zastraszysz Radę Akademicką?

- Jeśli wyniknie jakiś problem, zajmę się nim.

- Nawet o czymś takim nie myśl, Cooperze Boone. Nie pozwolę, żebyś wykorzystując swoją pozycję, wtrącał się w moją karierę zawodową.

- Chyba jednak przesadzasz - zauważył spokojnie Cooper.

- Jestem wściekła, ale jeśli wolisz nazywać to przesadą, proszę bardzo. Zapomnij o moim małym problemie z Radą. Sama zajmę się swoim życiem zawodowym, a teraz powróćmy lepiej do o wiele ważniejszych spraw.

Brwi Coopera ściągnęły się na znak lekkiego zdziwienia.

- To jest coś jeszcze?

- Owszem. - Elly objęła się ramionami. - Przyznałeś przed chwilą, że pojedynek jednak się odbył. A teraz odpowiedz na moje drugie pytanie. Ludzie mówią, że przyczyną pojedynku między tobą a Frazierem byłam ja. Czy to prawda?

Cooper i jej ojciec wymienili się spojrzeniami. Wiedziała, że Cooper podejmuje decyzję, jak wiele prawdy ma ujawnić. Czy rozumiał, że od tego, co zaraz powie, zależy cała ich przyszłość? Prawdopodobnie nie. Jest szefem Gildii. Nawet na myśl mu nie przyjdzie, że sytuacja wymyka się spod kontroli.

Cooper rozplótł ręce i przemyślanym ruchem zdjął okulary, po czym odłożył je na biurko.

Potem wolnym krokiem podszedł do jednego z wysokich okien. Przez chwilę przyglądał się ruinom starożytnego miasta obcej rasy, opuszczonego przed setkami lat, jeszcze zanim na Harmonię przybyli Ziemianie.

- Frazier to bardzo ambitny człowiek, Elly - rzekł cicho. - I próbował cię wykorzystać.

- Faktycznie, przez jakiś czas się spotykaliśmy - odparła lodowato. - I dobrze się razem bawiliśmy. Frazier wcale mnie nie wykorzystał.

- Chciał się z tobą ożenić. Liczył na to, że gdy już zostaniesz jego żoną, w naturalny sposób sprzymierzy się z twoim ojcem. To by mu dało przewagę w Radzie.

Elly miała wrażenie, że podłoga pod jej stopami zaczyna się rozpyływać. Mogła już zapomnieć o tej resztkę nadziei, którą hołubiła w sercu przez ostatnich kilka godzin.

- Rozumiem - udało jej się wydusić odpowiedź głosem podobnym do szeptu. - Chodziło wyłącznie o Gildię.

John skinął poważnie głową.

- To prawda, Elly. Frazierowi bardzo zależało na ożenku z tobą. Odradzałem mu to, ale zignorował moje słowa. Gdyby mu się udało wymusić od ciebie zgodę na Małżeństwo Przymierza, ja znalazłbym się w sytuacji bez wyjścia. Musiałbym wybierać między wspieraniem zięcia ze względu na dobro córki i jej przyszłych dzieci a głosowaniem przeciwko Frazierowi, ryzykując tym samym nieunikniony rozdzwitek w naszym klanie. Bardzo prawdopodobne, że w końcu musiałbym wystąpić z Rady, żeby uniknąć tej dramatycznej sytuacji.

- A wtedy - odezwał się Cooper, odwracając się twarzą do Elly - równowaga władzy w Radzie została zachwiana i z dużym prawdopodobieństwem to Frazier zostałby wybrany na nowego szefa Gildii. Ma przecież odpowiednie pararezonerskie umiejętności, ambicję i koneksje potrzebne do uzyskania tego stanowiska. A ja ci mogę przysiąc, że jego przywództwo nie wróżyłoby niczego dobrego dla organizacji.

- No tak - rzuciła cicho Elly. - Pojmuję. Pojedykowałeś się, żeby utrzymać równowagę władzy w Radzie.

- To właśnie próbujemy ci wytłumaczyć, kochanie. - John przemierzył pokój, żeby poklepać córkę po ramieniu. - Bo niby skąd miałabyś wiedzieć, o jaką polityczną stawkę szło w tym przypadku. Jak mówił Cooper, chodziło o sprawy Gildii.

Elly potrząsnęła głową, uśmiechając się ze smutkiem na myśl o tym, jak bardzo się łudziła.

- Czy żadnemu z was nie przyszło do głowy, żeby ze mną o tym porozmawiać, zanim wdaliście się w coś tak głupiego jak pojedynek?

Obaj mężczyźni wydawali się zdumieni pytaniem. Żaden nie próbował nawet na nie odpowiedzieć.

- Nie jestem kompletną idiotką - oznajmiła Elly ze znużeniem. - I nie jestem też naiwną pracownicą naukową, zamkniętą w małym akademickim światku, jak wszyscy o mnie sądzą. Palmer Frazier nie był pierwszym mężczyzną, który próbował zawrzeć ze mną bliższą znajomość, żeby zyskać dostęp do ciebie, tato. Ale bądźmy poważni. Gdybym odrzucała zaproszenia na randki od każdego, kto się mną interesował, choćby częściowo, z powodu moich rodzinnych powiązań z Gildią, pozbawiłabym się zupełnie życia towarzyskiego. To małe miasto. Wszyscy wiedzą, kim jesteś, tato, i że jestem twoją córką.

- Rozumiem, kochanie, ale Frazier to coś innego - ostrożnie sprzeciwił się ojciec. - Jest mistrzem politycznych manewrów i ma doskonale koneksje, bo jest też potomkiem jednego z

założycieli Gildii we Frekwencji. Sojusz z naszym klanem dałby mu wielką władzę. Kiedy się z tobą spotykał, na pewno starał się cię oczarować. A ty, tak mi się zdawało, przyjmowałaś jego zaloty coraz bardziej poważnie.

- Może dlatego, że traktował mnie jak równą sobie - burknęła Elly. - Nie wpakował mnie do małego pudełka, które mógł otwierać lub zamykać, kiedy mu pasowało. Tak, to prawda, był czarusiem. Ale wiesz co, tato? Ja i Palmer mieliśmy podobne poczucie humoru i się zaśmiewaliśmy z tych samych rzeczy. Lubiliśmy ze sobą tańczyć. No i, najbardziej zdumiewające, zawsze przychodził, bez spóźniania się, na każdą randkę. Masz pojęcie?

Kąciaki oczu Coopera zwięzły się lekko.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Elly?

- Kiedy spotykałam się z Palmerem, nigdy nie musiałam wysłuchiwać przeprosin za to, że w ostatnim momencie odwołał randkę z powodu jakichś bardzo ważnych spraw Gildii - rzekła. - Nigdy się nie spóźniał, bo przedłużyła się jakaś narada. Nigdy nie zniknął na cały weekend i nie tłumaczył się potem, że coś mu wypadło.

John zaczynał sprawiać wrażenie lekko zdenerwowanego.

- Elly, zrozum, że...

- Od samego początku wiedziałam, że interesował się mną, bo uważał, iż on i ja tworzymy doskonałą parę pod względem politycznym, finansowym i społecznym. - Elly wzruszyła ramionami. - I miał rację. Wszyscy wiemy, że małżeństwa w Gildii zawsze były i są aranżowane właśnie z tych względów.

John odchrząknął.

- Małżeństwo na szczytach hierarchii Gildii to o wiele więcej niż tylko dwie osoby, które składają sobie śluby. W grę wchodzi fortuny i przyszłość całych rodzin, że nie wspomnę samej Gildii. Przecież dobrze o tym wiesz, Elly.

- Oczywiście, że wiem - potwierdziła. - Ale w tym konkretnym przypadku to nie ma najmniejszego znaczenia, ponieważ nie zamierzałam wyjść za Palmera Frazier. - Na chwilę zamilkła. - I gdyby któryś z was, wy twardogłowi łowcy, zapytał mnie o to, z ochotą bym was o tym powiadomiła.

W gabinecie zaległa ciężka cisza.

- Pozwolisz, że zapytam, dlaczego jesteś taka pewna, że Frazier nie zdołałby cię przekonać do małżeństwa? - odezwał się w końcu Cooper nienaturalnie obojętnym głosem. - Tym bardziej że nigdy się nie spóźniał na randki i tak dalej.

Dlatego, że poznałam ciebie i potem już nikt inny dla mnie nie istniał, pomyślała. Ale raczej by umarła, niż wypowiedziała te słowa na głos, teraz, gdy już знаła prawdę o pojedynku.

- Oczywiście, że pozwolę. - Przywołała na usta swój najbardziej promienny uśmiech. - Z największą chęcią powiem ci, dlaczego nigdy nie zamierzałam wyjść za Palmera Frazier. Otóż dlatego, że go nie kochałam. Co więcej, byłam bardziej niż pewna, że nigdy nie zdołam go pokochać. I wiecie co, moi drodzy? To może was zaskoczyć, ale nigdy nie zgodziłabym się wyjść za faceta, który zainteresował się mną tylko po to, aby osiągnąć swoje polityczne cele w Gildii.

W oczach Coopera pojawił się błysk niepokoju. John zaś ze zdumieniem wpatrywał się w córkę.

- Chwileczkę, kochanie, co ty masz na myśli?

- Sądzę, że wszyscy dobrze wiemy, co mam na myśli, tato. - Elly całą uwagę skupiła na Cooperze. - Cóż za ironia losu. Nigdy nie zamierzałam wyjść za Palmera Frazier, więc ten wasz pojedynek był zupełnie zbędny. Ale gdy się tak zastanawiam, dochodzę do wniosku, że jestem ci winna słowa wdzięczności za to, że jednak wziąłeś w nim udział.

- Jak to? - zdziwił się Cooper.

- Ano tak, że gdyby nie doszło do tego pojedynku i gdybym się o nim nie dowiedziała, prawdopodobnie nadal przekonywałabym samą siebie, że wszystko, co między nami jest złego, w jakiś magiczny sposób zostanie naprawione, kiedy się pobierzemy. To dopiero naiwność, co?

Cooper nie drgnął.

- A co złego było między nami?

- Pytasz poważnie czy sobie kpisz? Ale ty chyba naprawdę nie masz pojęcia, jak usilnie tłumaczyłam cię we własnym sercu za każdym razem, gdy się spóźniałeś na spotkanie, bo właśnie coś ważnego działo się w Gildii. Chcesz wiedzieć, co to jest samozaparcie, to ci powiem. Pozwoliłam, żeby mama mnie przekonała, że szybki i uprzejmy pocałunek na pożegnanie pod drzwiami, i nic ponadto, to tylko twój oryginalny sposób wyrażania szacunku dla mojego klanu i tradycyjna forma zalotów. Ale tak wcale nie jest, czyż nie?

- Co ty sugerujesz, Elly? - Cooper nadal zachowywał spokój.

- Niczego nie sugeruję. Mówię tylko, że chcesz się ze mną ożenić z tego samego powodu co Palmer Frazier. Uważasz, że będzie ze mnie doskonała żona szefa Gildii. I na Boga, nie mylisz się. Nie tylko wniosłabym ci w wianie rodzinne koneksje z najbardziej wpływowymi osobami w Gildii, ale na dodatek, jako nauczyciel akademicki, mam bliskie kontakty ze światem mainstreamu społecznego.

- Elly - warknął John. - Wystarczy już.

- Odpowiadało ci moje powiązanie ze światem niemającym nic wspólnego z Gildią, prawda, Cooper? - ciągnęła. - Bo status Gildii od lat podupada. I to jest prawdziwy problem.

- Elly - powtórzył John. W jego głosie tym razem pobrzmiewał ton desperacji.

- Coraz więcej ludzi dochodzi do wniosku, że Gildia to relikwium przeszłości - kontynuowała twardo. - Że jedynym celem jej istnienia jest już tylko dostarczanie facetów, którzy potrafią przysmażyć dusze. Społeczeństwo zastanawia się, czy ten dość ograniczony zakres obowiązków zawodowych rzeczywiście upoważnia Gildię do sprawowania władzy i do utrzymywania wpływów uzyskanych przed laty. Można chyba bez obaw stwierdzić, że jeśli organizacja nie znajdzie szybko sposobu, który pomoże jej włączyć się w główny nurt społeczny, stanie się anachronizmem.

- Rady miejskie nigdy nie zapomną, że to łowcy duchów uratowali kolonie w okresie Czasu Niezgody - oświadczył John z dumą.

- To stare dzieje, tato. Jasne, że splendor otaczający owych macho nie stracił jeszcze całego blasku, ale spójrzmy prawdzie w oczy: większość wykształconych, dobrze poinformowanych osób uważa łowców za niewiele więcej niż mięśniaków do wynajęcia. Coraz częściej młodzi łowcy dość szybko odchodzą z Gildii. Zatrudniają się w niej tylko po to, żeby zarobić nieco forsy, a potem przenoszą się gdzie indziej, gdzie mogą znaleźć bardziej szanowane zajęcie w głównym nurcie życia społecznego. Jeśli Gildia się nie przeobrazi i nie nauczy działać jak nowoczesne korporacje, a nie jak zamknięte, tajne stowarzyszenia, szybko zniknie i pokryje ją pył historii.

Wyczerpana, zamilkła.

Ani Cooper, ani jej ojciec nie odezwali się słowem. Patrzyli na nią, jakby była przedstawicielem obcej rasy, który niespodziewanie powrócił na Harmonię, żądając zwrotu wielkiego kwarcowego biurka szefa Gildii.

- Możecie mi wierzyć lub nie, ale nie przyszedłem tu dyskutować o przyszłości Gildii - dodała niemal szeptem.

- Chciałaś poznać odpowiedzi na twoje pytania dotyczące pojedynku - odezwał się Cooper. - Poznałaś je. O co ci jeszcze chodzi?

Elly zaczęła nerwowo ściągać z palca lewej dłoni wyjątkowej urody bursztynowo - złoty pierścionek.

- Teraz, gdy znam prawdziwą przyczynę pojedynku, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zerwać zaręczyny.

- Elly. - Głos Johna wyrażał skrajne zdumienie. - Co ty wyprawiasz?

- Zwracam Cooperowi jego pierścionek.

Przeszła przez duży gabinet i położyła pierścionek na kwarcowym blacie biurka. W zetknięciu z twardą powierzchnią kwarcu cicho zabrzęczał.

Cooper przyglądał się Elly, nic nie mówiąc.

- Pilnuj dalej tajemnic Gildii i jej tradycji. - Elly szła już do wyjścia. - I zachowaj pierścionek, żebyś mógł go podarować swojej przyszłej żonie, kiedy już znajdziesz odpowiednią kandydatkę.

- Porozmawiamy o tym później, jak ochłoniesz - odezwał się wreszcie Cooper.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe - odparła. - Przez następnych kilka dni będę bardzo zajęta uprzątnieniem mojego biura i pakowaniem się.

- Rada Akademii już kazała ci odejść? John się obruszył. - Mówiłaś, że plotki dopiero zaczynają krążyć w kampusie. Nie było czasu na zwołanie posiedzenia. Muszą ci przecież dać szansę obrony.

- Spokojnie, tato, nikt mnie nie zwolnił. Sama złożę rezygnację na ręce dziekana Wydziału Botaniki. Od razu stąd tam się udam. Później zamierzam się przeprowadzić. Zaczynam życie na własny rachunek.

- To jakieś szaleństwo. - John odwrócił się do Coopera. - Do cholery, jesteś szefem Gildii, zrób coś.

Ten jednak niczego nie zrobił. Spojrzał na pierścionek leżący na blacie biurka, a potem na Elly takim wzrokiem, jakby nagle ujrzał ją w nowym świetle.

- Ani Cooper, ani nikt inny nic tu nie poradzi - zawołała Elly od drzwi.

- Powiem matce, żeby z tobą porozmawiała - zagroził John w ostatecznej desperacji.

- Mama mnie zrozumie. - Elly położyła dłoń na masywnej klamce.

- Mam tylko jedno pytanie - odezwał się cicho Cooper.

Elly zamarła. Musiała użyć całej siły woli, żeby nie uciec z pokoju. Nie uciekła jednak, tylko obejrzała się przez ramię.

- O co chodzi? - spytała.

- Co miałaś na myśli, kiedy powiedziałaś, że teraz, gdy znasz już prawdziwą przyczynę pojedynku, musisz zerwać zaręczyny? Mam wrażenie, że udzieliłem ci złej odpowiedzi.

- Istotnie.

- Jestem historykiem i wiem, że warto wyciągać wnioski z przeszłości. Powiedz mi więc, czy istniała dobra odpowiedź?

- Szczerze mówiąc, nie. - Elly mocniej zacisnęła palce na klamce. - Rozstrzygnięcie konfliktów w pojedynkach to szczególnie odrażający przykład najgorszych i archaicznych tradycji Gildii. Ale ja wychowałam się w rodzinie związanej z Gildią. Wiem, że tradycje niełatwo poddają się zmianom. I dlatego nie zerwałabym zaręczyn tylko z tego powodu, że się pojedykowałaś.

- W takim razie dlaczego je zrywasz?

Z powodu przyczyny pojedynku.

- Nie rozumiem.

- Wiem - odparła.

Otworzyła drzwi i wyszła z historycznej komnaty, przysięgając sobie, że nie zaleje się morzem łez. A przynajmniej nie od razu.

Najpierw musiała zaplanować swoje nowe życie, choć jedno już teraz było jasne - musi znaleźć się daleko od Coopera Boone'a. To miasto jest za małe dla nich dwojga.

TECHNOL

Rozdział 1

Pół roku później w katakumbach pod miastem Kadencja...

Umiała rozpoznać nielegalne laboratorium produkcji narkotyków, gdy się na takie natykała.

Bertha Newell zatrzymała wysłużony już, zdezelowany komunalny pojazd - slider - w pobliżu sklepionego wejścia do podziemnej groty. Od lat była szczurem ruin i przez większość swojego dorosłego życia przekopywała katakumby zbudowane przez obcych. Obliczyła, że pod ziemią spędziła więcej czasu niż wszyscy członkowie uniwersyteckiego Wydziału Paraarcheologicznego razem wzięci. I nie pierwszy raz natknęła się w pradawnych tunelach na ślady nielegalnej działalności.

Od początków powstania kolonii labirynt lśniących zielonych tuneli z kwarcu oferował schronienie, aczkolwiek niebezpieczne, najróżniejszej maści złodziejom, mordercom, zbiegłym więźniom, handlarzom narkotyków, przywódcom religijnych kultów i wielu innym osobnikom, którzy woleli nie działać w blasku dnia.

Tu na dole, w niekończących się i w większości nie-naniesionych na mapy korytarzach, zawsze można było znaleźć jakąś kryjówkę, pod warunkiem, że człowiek godził się na ryzyko. Jeden fatalny błąd popełniony w katakumbach mógł oznaczać wyrok śmierci lub coś jeszcze gorszego.

Zastanawiała się, jak powinna teraz postąpić. Szczury ruin to grupa ludzi na ogół wyznających zasadę „żyj i daj żyć”. Mieli obsesję na punkcie prywatności i byli z natury skryci. Większość należała do grona pararezonerów energii efemerycznej, inaczej nazywanych splataczami, którzy, z różnych przyczyn, nie weszli w skład elitarnego Stowarzyszenia Paraarcheologów.

Splatacze byli jedynymi pararezonerami potrafiącymi likwidować niebezpieczne pułapki iluzji, które często strzegły wejść do niezliczonych komnat w katakumbach. Byli równie potrzebni zespołom wykopaliskowym i poszukiwawczym jak łowcy duchów. Ale w przeciwieństwie do łowców duchów, którzy zorganizowali się w spójne i tajne gildie, splatacze od samego początku związali się z wyższymi uczelniami.

Dzisiaj od splatacza, chcącego pracować dla szanowanego, licencjonowanego zespołu badawczego, oczekiwano, że będzie miał kilka stopni naukowych oraz utrwaloną pozycję w Stowarzyszeniu Paraarcheologów.

Natomiast splatacze tacy jak Bertha, którzy nie mieli szans na studia wyższe, nie

wspominając już o członkostwie w Stowarzyszeniu, swoją karierę zawodową ograniczali do działalności w szarej strefie handlu w ruinach. Zarabiali na życie, zakradając się do tuneli przez ukryte w ścianach otwory i wyznaczając swoje terytorium w nienaniesionych na mapach obszarach katakumb. Sami rozbrajali pułapki iluzji, omijając, jeśli się dało, napotkane okazjonalnie duchy, a wszystko to czynili z nadzieją, że odkryją kilka reliktyw i artefaktów, które potem sprzedadzą prywatnym kolekcjonerom.

Szczury ruin z zasady woleli unikać kontaktu z innymi osobnikami grasującymi w katakumbach. Bertha nie była wyjątkiem i dlatego zdarzało się jej nie zauważać łupu ukrytego w tunelach przez jakiegoś złodziejaska. Kiedy przed miesiącem natknęła się na torbę pełną skradzionych kart kredytowych, pozbyła się ich po cichu, nie trudząc się zgłaszaniem tego incydentu władzom. Nie chciała, żeby banda policjantów szwendała się po tej sekcji katakumb, którą Bertha uznała za swój prywatny obszar.

Ale żywiła szczególną niechęć do handlujących nielegalnymi farmaceutykami. Przed laty jej córka w ostatniej chwili została uratowana od śmierci z przedawkowania. Sandra w końcu odzyskała zdrowie, poddawszy się terapii, i teraz prowadziła normalne życie, ale wspomnienie tamtych okropnych chwil nadal nawiedzało Berthę w koszmarnych snach.

Wysiadła ze slidera i rozejrzała się po zaciemnionym korytarzu, żeby sprawdzić, czy gdzieś w pobliżu nie ukrywa się właściciel laboratorium. Nasłuchiwała też intensywnie, czy nie dotrze do niej miękkie zawodzenie silnika slidera lub jakieś głosy, choć dobrze wiedziała, że w katakumbach słuch nie jest dobrym doradcą. Zielony kwarc, z którego obcy zbudowali rozległą sieć podziemnych tuneli i grot, wykazywał kilka dziwnych właściwości, a jedną z nich było to, że zniekształcał fale dźwiękowe.

Stwierdziwszy z zadowoleniem, że jest sama, przeszła do wejścia prowadzącego do zielonej groty. Jej wnętrze, jak wszystkich innych podziemnych komnat i korytarzy, było oświetlone bladym, upiornym blaskiem fosforyzującego kwarcu, którego obcy używali do konstruowania swoich niezniszczalnych budowli i artefaktów.

Pracownia była wyposażona w różnorodne przyrządy przypominające chemiczną aparaturę dostępną w sklepach. Szklane naczynia, zestaw destylatorów i palników oraz rozmaite inne akcesoria stały w nieporządku na blatach dwóch składanych stołów ze stali nierdzewnej.

Po drugiej stronie groty znajdował się następny otwór w ścianie. Bertha widziała część przedsionka.

Powtórnie rozejrzawszy się po korytarzu, przeszła obok stołów i zajrzała do drugiego pomieszczenia.

W środku leżało kilka wypchanych jutowych worków, od których bił silny zapach

lekarstw. Bertha nie rozpoznawała tej woni, ale kojarzyła się jej ona z zapachem, który czuła zawsze po wejściu do sklepu z ziołami należącego do Elly St.Clair.

Podeszła do najbliższego worka i szybko go rozwiązała. Zawierał dużą ilość wyschniętych liści jakiejś rośliny. Wzięła garść kruchego materiału i z nieufnością go powąchała. Ostry zapach uderzył ją w nozdrza z zaskakującą siłą. W chwilę później w paranormalnych zmysłach poczuła niepokojące mrowienie. Grota zaczęła zmieniać kształty.

Marszcząc nos, szybko się cofnęła i głęboko nabrała do płuc powietrza. Pomieszczenie odzyskało uprzedni wygląd.

Gdy już w pełni odzyskała jasność myśli, ponownie zaczerpnęła do płuc spory haust powietrza, przytrzymała je i wróciła do worka. Zanurzyła w nim dłoń i nabrała sporą garść wysuszonych liści, które schowała w jednej z licznych kieszeni w spodniach.

Poczuła nagle, że musi się pospieszyć. Lata spędzone w podziemiach nauczyły ją, że nie należy ignorować podszeptów intuicji. Pospiesznie zawiązała worek.

Zdobyła dowód, którego potrzebowała, pomyślała, klepiąc kieszeń, w której ukryła liście. Teraz wpisze współrzędne groty do bursztynowego lokalizatora slidera. Po powrocie na powierzchnię powiadomi policję Kadencji, oczywiście anonimowo. Gliny zajmą się już sprawą. Detektyw DeWitt, który ostatnio skupił na sobie uwagę wszystkich mediów, przeprowadzi obławę.

Nagle wyczuła za sobą czyjąś obecność. Opanowując falę paniki, odwróciła się szybko w stronę wejścia.

Ale strach przemienił się w furję, gdy rozpoznała stojącą w nim osobę.

- A niech cię szlag - powiedziała. - Tylko mi nie mów, że to twoje laboratorium.

- Nie powinno cię tu być, Bertho.

Szła przez grootę, machając ręką w stronę aparatury na stołach.

- Handlujesz narkotykami, co? Czy to jest to nowe świństwo, o którym ostatnio pisze prasa? Magiczny pył lub jakoś tam?

- Trzymaj się ode mnie z daleka. - Postać w wejściu cofnęła się nerwowo. - To nie twoja sprawa, Bertho.

- Przez to świństwo umierają ludzie.

- Nie moja wina, że nie potrafia zażywać go odpowiedzialnie.

- Nie istnieje coś takiego jak odpowiedzialne zażywanie tego narkotyku. Podobno straszliwie uzależnia.

Postać wycofała się jeszcze dalej.

- Ostrzegam cię, już bliżej nie podchodź.

- Jesteś szumowiną i mordercą handlującym prochami. - Na wspomnienie tego, jak bliska

śmierci była jej córka, Berthę ogarnęła gorączka. - Tacy ludzie jak ty powinni gnić w zielonym piekle.

Warknąwszy, Bertha rzuciła się biegiem przez laboratorium z wyciągniętymi przed siebie rękami, chropowatymi i silnymi od wieloletniej pracy w tunelach.

- Nie! - Postać w wejściu wydała okrzyk strachu, odwróciła się i uciekła korytarzem prowadzącym na lewo.

Bertha dobiegła do otworu i skoczyła w głąb ćmiącego słabym światłem korytarza. Wytwórca narkotyków zniknął już, skręcając w którąś z sześciu odnóg rozwidlenia na jego końcu.

Nadal niesiona furią, Bertha przebiegła jeszcze kilka kroków, zanim odzyskała zdrowy rozsądek.

Lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, że dalszy pościg, bez namiarów na osobisty bursztyń handlarza, byłby tylko stratą czasu. W korytarzach, które rozchodziły się we wszystkich kierunkach, znajdowało się mnóstwo grot, przedsionków i łączących je przejść. Człowiek, za którym biegła, mógł się ukryć wszędzie.

To nie jest jej zadanie, napomniała siebie. Niech gliny się tym zajmą.

. Ciężko dysząc, zawróciła do swojego slidera.

Może dlatego, że jej serce nadal mocno waliło z wściekłości i niedawnego wysiłku, a może dlatego, że chciała jak najszybciej dotrzeć do slidera i bezzwłocznie powiadomić policję o incydencie, nie usłyszała cichych kroków za plecami, aż było już za późno.

Wprawdzie wykonała półobrót, ale producent narkotyków już wyskakiwał z pobliskiej groty. Kątem oka zdążyła dostrzec, że ściska w ręce duży kawałek kwarcu, zanim uderzył ją nim z całej siły w skroń.

Wszystkie jej zmysły zalał ból. A potem zaczęła opadać w mroczne fale ciemności.

Przez kilka sekund producent narkotyków stał nad leżącą kobietą. Bertha Newell wciąż oddychała.

Powinienem uderzyć ją jeszcze raz, tak dla pewności, pomyślał. Ale na myśl o zadaniu powtórnego ciosu zrobiło mu się niedobrze. Na posadzce rozlewała się już i tak spora kałuża krwi.

To nie do niego należało zajmowanie się tego rodzaju problemami, przypomniał sobie. Jest chemikiem, a nie wynajętym mięśniakiem. Dostał numer telefonu, pod który miał dzwonić w sytuacjach takich jak ta.

Na nieszczęście telefony komórkowe, podobnie jak wiele innych elektronicznych urządzeń, nie działały w katakumbach. Miało to coś wspólnego z silną energią psi emanującą

z zielonego kwarcu.

Żeby zatelefonować, będzie musiał wrócić na powierzchnię.

Odwrócił się w stronę znanego tylko jemu sekretnego otworu w ścianie, ale, wiedziony ostrożnością, zawahał się. Przyszło mu na myśl, że powinien w jakiś sposób unieruchomić swoją ofiarę, na wypadek, gdyby się ocknęła przed przybyciem ochroniarzy. Tyle że nie miał czym skrępować jej rąk i nóg.

Podbiegł do komunalnego slidera i zaczął grzebać w znajdujących się w nim narzędziach i sprzęcie ratunkowym. Nie znalazł niczego, co mogłoby mu się przydać, a nie chciał już dłużej tracić czasu.

Zanotował częstotliwość bursztynowego lokalizatora slidera. Jeśli Bertha się ocknie i zdąży odjechać, gdy on będzie na powierzchni, ochroniarze, znając częstotliwość jej lokalizatora, szybko ją odnajdą.

Rozdział 2

Kilka godzin później w Starej Dzielnicy miasta Kadencja...

Elly zatrzymała się przy ostatnim boksie usytuowanym na tyłach zatłoczonej, gwarnej tawerny.

Cooper siedział przy stole sam, a przed nim stały talerz z dużą kanapką i ociekającymi tłuszczem frytkami oraz butelka piwa Zielone Ruiny.

Była zdumiona, że ubrany jest jak inni łowcy wokół. Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy widzi go w khaki i skórach. Jednym z powodów, dla którego z miejsca się w nim zadurzyła, było to, że wyglądał inaczej niż reszta znanych jej łowców.

Tym razem nie nosił okularów i pierścienia z pieczęcią Gildii. Doskonale wtapiał się w tłum. No, ale z drugiej strony Cooper potrafił sprawić, że widziało się w nim to, co on chciał, żeby się zobaczyło. Sama się o tym przekonała. Na początku ich znajomości, podobnej do przejażdżki kolejką górską w wesołym miasteczku, naprawdę uwierzyła, że jest bibliotekarzem.

Ale nawet w khaki i skórach nadal działał na nią jak żaden inny mężczyzna.

Serce waliło jej jak oszalałe, mimo to posłała mu swój najchłodniejszy, najbardziej opanowany uśmiech.

- Witam w Kadencji - powiedziała wesoło. - Pozwolisz, że się dosiadę?

Musiała podnieść głos, żeby przekrzyczeć głośną, rezorockową muzykę, ale nie

pozwoili, żeby jej promienny uśmiech choć na sekundę przygasł. Dorastanie w towarzystwie trzech braci i ojca, z których wszyscy byli łowcami duchów, nauczyło ją, jak należy postępować z tym gatunkiem ludzi. Nauki pobierała też od matki. Zasada numer jeden według Evelyn St.Clair głosiła, że kobieta musi o siebie walczyć, w przeciwnym razie zginie rozdeptana przez ciężkie buty łowców.

Buty Coopera były cięższe niż większości łowców.

Podniósł wzrok znad kanapki i piwa. Nie był zaskoczony. Wiedziała, że dostrzegł ją, gdy przed chwilą wchodziła do baru, i obserwował, jak przedzierała się przez tłum. Bardzo niewiele umykało jego uwadze. Miał wrodzoną łowcom świadomość, kto i co go otacza.

- Elly - powitał ją niskim, niebezpiecznie łagodnym głosem, na dźwięk którego zawsze unosiły się jej włoski na karku. Powoli wstał, by okazać grzeczność. - Miło cię znowu widzieć. Kiedy zadzwoniłaś kilka minut temu, zdziwiłem się, słysząc, że jesteś w pobliżu. - Lekkim skinieniem głowy wskazał na wnętrze dość podejrzanego tawerny. - To miejsce nie bardzo do ciebie pasuje.

Postawiła ostrożnie swoją dużą torbę podróżną na siedzisko naprzeciwko Coopera.

- Kiedy szukasz łowcy - wyjaśniła, zdejmując płaszcz - wybierasz się do miejsc, w których oni lubią się zbierać. Niestety, Pułapka to jedna z takich spelunek. I, o dziwo, ty tu jesteś. W Aurora Springs rzadko odwiedzałeś miejsca, w których gromadzą się łowcy. No i nie masz na palcu pierścienia z pieczęcią. Co się dzieje? Jesteś tu incognito?

- Tak, przyjechałem do Kadencji incognito. - Wziął od niej płaszcz i zawiesił na wieszaku na zewnętrznej ścianie boksu. - Szefowie Gildii przyciągają uwagę. A ja podczas tej wyprawy wolałbym tego uniknąć. Na szczęście tylko kilka osób w tym mieście zna mnie z widzenia.

Elly usiadła obok swojej torby.

- Ale po co ta cała konspiracja?

- Przyjechałem do Kadencji w sprawach osobistych, a nie Gildii. - Cooper usiadł naprzeciwko niej na czerwonej, plastikowej kanapie. - Wolałbym, żeby nikt mnie nie rozpoznał. Są ku temu powody.

Do diabła! Ma tu kochankę. I chce ją uchronić przed wścibskim okiem mediów, Elly natychmiast się domyśliła. Tabloidy uwielbiały tropić wyskoki szefów Gildii i krążące na ich temat plotki.

Serce w niej zamarło. Mrowienie, które ją przeszywało od chwili otrzymania telefonu od matki tego popołudnia, nagle ustało.

Powinam już wcześniej się domyślić, że on się zaangażował w związek z kimś innym, powiedziała sobie w duchu. Przecież minęło już pół roku. Czego się spodziewałaś? Że przez

cały ten czas umierał z tęsknoty za tobą?

Kiedy matka zadzwoniła z wiadomością, że słyszała, iż Cooper wybrał się do Kadencji, Elly, podekscytowana, nie była w stanie zdusić w sobie płomyka nadziei. Cooper wreszcie postanowił ją odzyskać.

Tyle że wcale nie o to chodziło. Podróż z Aurora Springs do Kadencji trwała nie dłużej niż półtorej godziny, a w eleganckim, wyposażonym w silnik o potężnej mocy spectrum EX, którym jeździł Cooper, jeszcze krócej. Szefowie Gildii nie przejmują się ograniczeniami prędkości na drogach. To pewne, że Cooper jest w tym mieście już od wielu godzin, a mimo to nie zadzwonił ani nie zajrzał do jej sklepu. Teraz już wiedziała, że prawdopodobnie od razu poszedł do swojej kochanki.

Lecz jeśli tak zrobił, to dlaczego nie spędza z tamtą wieczoru? Było późno, już po ósmej. Może to męczatka.

Weź się w garść, kobieto, nakazała sobie. Przyszłaś tu w konkretnej sprawie.

Mimo to musiało minąć jeszcze kilka minut, zanim uspokoiła się, świadoma, że jest znów tak blisko Coopera. Bo tak naprawdę nie zapomniła, jak bardzo działał jej na zmysły. Myślała o tym często nocami, leżąc samotnie w swoim łóżku. Jednak gdy się dzisiaj dowiedziała, że Cooper przyjeżdża do Kadencji, przekonywała sama siebie, że po tylu miesiącach niewidzenia się z nim zdoła opanować dreszczyk erotycznej ekscytacji.

To było okropnie irytujące, że pomimo upływu czasu wcale nie uodporniła się na bliskość Coopera. Ale żyjąc samotnie w dużym mieście i prowadząc własny biznes, nauczyła się radzenia sobie w rozmaitych sytuacjach.

- Skąd wiedziałaś, że jestem w mieście? - spytał Cooper.

- Stara Dzielnica w Kadencji to teraz moje sąsiedztwo - odparła bez zajknięcia. - Powiedzmy, że mam swoje źródła informacji.

- Jasne. - Skinął głową z wyraźną satysfakcją i sięgnął po kanapkę. - Twoja matka zadzwoniła do ciebie i powiedziała, że tu jadę.

- Tak, faktycznie. Zadzwoniła, żeby mnie ostrzec.

Wyglądał na rozbawionego.

- Uważała, że trzeba cię ostrzec przed moim przyjazdem?

- To moja mama. Nie chciała, żebyś mnie zaskoczył, nieoczekiwanie pojawiając się w moim sklepie.

- Powiniennem pamiętać, że matki mają skłonność do robienia takich rzeczy. - Cooper upił trochę piwa i postawił butelkę. - No więc, jak ci się żyje w dużym mieście?

Przekonała się, że jego hipnotyzujące błękitne oczy są jeszcze bardziej fascynujące, gdy nie osłaniają ich szkła okularów. A może po prostu już zapomniła, że można się w ich

spojrzeniu zatopić.

- Wspaniale - rzuciła krótko. - To zupełnie inny świat. Wiedziałam oczywiście, że Aurora Springs jest konserwatywną miejsciną, ale dopiero po przyjeździe do Kadencji przekonałam się, jak bardzo jest zapyziała i staroświecka.

- To pół roku cię oświeciło, co?

- Z pewnością. Czy wiesz, że tutejsza Gildia usilnie stara się włączyć w mainstream życia społecznego, tak jak Gildia z Rezonansu? Mówi się, że się przekształci w korporację.

Cooper wzruszył ramionami.

- Mercer Wyatt z pewnością jest w stanie uczynić z Gildii Kadencji nowoczesne przedsiębiorstwo. Ale gwarantuję ci, że jeśli chodzi o wewnętrzne stosunki na samej górze, zmiany nie będą duże.

- Skąd możesz to wiedzieć? - obruszyła się. - Spójrz na Gildię w Rezonansie. Jej poprzedni szef, Emmett London, zanim zrezygnował z szefowania, przemienił Gildię w szanowaną, korporacyjną organizację. Gildia ma tam nawet swojego reprezentanta w Izbie Handlowej. To naprawdę nowoczesne podejście do życia.

- Nie mam nic przeciwko włączeniu Gildii w główny nurt. Ale nie do końca. Sam zresztą wpadłem na kilka pomysłów dotyczących Aurora Springs.

Zamurowało ją.

- Mówisz poważnie?

- Tak. - Uniósł brwi. - Ale zmiany nie obejmą zarządu. A jeśli, to tylko w niewielkim stopniu.

- Dlaczego?

- Ponieważ - tłumaczył Cooper cierpliwie - choć można nieco zmienić niektóre aspekty działalności Gildii i to, jak są postrzegane przez ogół społeczeństwa, jednak Gildia zasadniczo się różni od nowoczesnych korporacyjnych organizacji.

- A na czym polega ta różnica?

- Gildia to skrzyżowanie biznesowych przedsiębiorstw z jednostkami militarnymi. Taka mieszanka wymaga innego stylu zarządzania niż w prywatnych firmach. Wymaga też położenia większego nacisku na dyscyplinę, zachowanie tradycji i nieujawnianie tajemnic, czego prawdziwe korporacje nie są w stanie zapewnić.

- To niedorzeczne. - Elly usiadła głębiej na kanapie i obie dłonie położyła płasko na blacie stolika. - Sama nie wiem, po co w ogóle się z tobą sprzeczą o te sprawy. To strata czasu. Skoro chcesz, żeby Gildia w Aurora Springs nadal gniła w grzęzawisku przestarzałych tradycji, to twój problem, nie mój.

- Masz rację - zgodził się. - Straciłaś prawo do komentowania tych spraw z chwilą, gdy

rzuciłaś mi w twarz pierścioneek zaręczynowy.

Zamarła.

- Wcale go nie rzuciłam. Po prostu położyłam na twoim biurku.

Wzruszył ramionami.

- Każde z nas ma swoją wersję wydarzeń. Chcesz frytek?

Nagle uprzytomniła sobie, że nie jadła obiadu. Co znaczy, że ostatni raz jadła jeszcze przed południem.

Spojrzała na frytki, czując przyływ śliny w ustach.

- Nie, dziękuję.

- Jak wolisz. - Cooper sięgnął po kolejną frytkę. Elly chrząknęła.

- To nie jest zdrowa żywność, wiesz.

- Słyszałem. - Znów się uśmiechnął tym swoim nieodgadnionym uśmiechem. - Boisz się, że przytyję.

Poczuła, że się czerwieni. To nie do wyobrażenia, żeby Cooper Boone przytył. Był gibki, szczupły i silny jak lampart.

- Miałam na myśli twoje arterie, a nie obwód w pasie - mruknęła, żałując, że w ogóle poruszyła ten temat.

- Skoro postanowiłaś za mnie nie wychodzić, stan mojego układu krążenia nie powinien cię interesować. - przerwał, z frytką w połowie drogi do ust, i spojrzał na Elly pytająco. - A może liczysz na to, że tłuszcz mnie zabije?

Złapała brzeg blatu obydwoma dłońmi.

- Zapomnijmy o tym. Przyszłam tu z inną sprawą. Pozwolisz, że do niej przejdę.

- Oczywiście. I przyznam, że po twoim telefonie nie mogę opanować cholernej ciekawości, o co chodzi. Przy okazji, czy powinienem czuć się wzruszony, że przez te wszystkie miesiące zachowałaś numer mojego telefonu?

- Był w moim notesie z adresami - bąknęła obojętnym tonem.

Ale ten numer nadal miała wryty w pamięci, i wiele innych szczegółów dotyczących Coopera, takich jak jego jastrzębi profil i sposób, w jaki odgarniał z wysokiego czoła ciemne włosy.

- Okay, zakończmy już więc to ciepłe powitanie - rzekł, odgryzając mocnymi białymi zębami koniec frytki. - Zajmijmy się interesami. Po co chciałaś się ze mną dzisiaj spotkać?

Elly wzięła głęboki oddech.

- Potrzebuję łowcy.

Niebezpieczny błysk pojawił się w jego oczach i natychmiast znikł.

- Czyżby wyszukiwanie łowców na wieczorne igraszki stało się twoim nowym hobby?

Czuła, jak gorąco rozlewa się jej po twarzy, i modliła się, by słabe światło migoczącej na stole świeczki ukryło jej rumieniec. Dla nikogo nie było tajemnicą, że wiele kobiet uznawało łowców duchów za wyjątkowo atrakcyjnych partnerów do romansu lub na jedną noc. Bary takie jak Pułapka stanowiły popularny przystanek dla samotnych kobiet, które wyszły na miasto w poszukiwaniu ekscytujących wrażeń.

Ze względu na rodzaj wykonywanej pracy - przede wszystkim byli oni wynajmowanymi za ciężkie pieniądze ochroniarzami w katakumbach - łowcy zazwyczaj bardzo dbali o swoją formę fizyczną. Doskonale się prezentowali. Ale nie tylko ich dumny krok i wyzywające ubiory ze skór i w militarnych barwach khaki przyciągały wzrok kobiet. Plotka głosiła, że łowcy duchów są wyjątkowo sprawni w łóżku po unicestwieniu ducha. Sprawa hormonów, uważała Elly.

- Tutaj, w Kadencji, wolę się umawiać na randki z mężczyznami spoza Gildii - odparła bez wahania. - Nikt z moich bliskich znajomych nie wie, że pochodzę z rodziny powiązanej z Gildią, i chcę, aby tak pozostało.

- Wstydzisz się swojego pochodzenia?

- Oczywiście, że nie - wybuchnęła, oburzona oskarżeniem. - Po prostu po wyjeździe z Aurora Springs postanowiłam dawać sobie radę bez pomocy rodziny lub ludzi związanych z Gildią. Och, nieważne, nie mam czasu tego ci tłumaczyć. Teraz najważniejsze jest to, że potrzebny mi łowca, któremu mogę zaufać. I wolałabym, żeby nie miał powiązań z miejscową Gildią.

- A mnie ufasz?

- Tak.

- Przyznam, że to nieco zaskakujące, wzięwszy pod uwagę, co między nami zaszło.

- To jasne, że ty i ja różnimy się poglądami, Cooper. Ale nigdy, nawet przez chwilę, nie wątpiłam, że jesteś godzien zaufania. Mój ojciec powiedział kiedyś, że na twoim słowie można polegać jak na niezawodnym bursztynie. Nie mam powodu uważać, że jest inaczej.

Określenie „niezawodny bursztyn” od dawna było znane członkom Gildii. Po zejściu do katakumb wszystko zależało od jakości nastrojonego bursztynu używanego do skupiania parapsychofizycznej energii. Bursztyn był niezbędny do poruszania się w niekończącym się, pradawnym labiryncie tuneli. Źle dostrojony mógł wywieść człowieka lub cały zespół wykopaliskowy na manowce, skazując tych, którzy na nim polegali, na podziemną tułaczkę po kres żywota. Niezawodny bursztyn to taki, na którym można było polegać w najtrudniejszych sytuacjach.

- Powiedz, po co ci potrzebny łowca - zażądał.

- Muszę jeszcze dzisiaj zejść do nienaniesionej na mapy części katakumb. Jak

najszybciej. To sektor, który, o ile mi wiadomo, jest oczyszczony z pułapek iluzji, ale co do duchów, no cóż, wiesz, jakie one są. Nieprzewidywalne. Dlatego wolę mieć przy sobie łowcę.

Cooper odłożył frytkę, którą zamierzał ugryźć.

- Żartujesz sobie, prawda?

- Nie.

- O co, do diabła, chodzi, Elly? - Jego oczy stały się twarde i zimne. - Nie uwierzę, że jesteś aż tak głupia, żeby się wplątać w jakieś nielegalne prace wykopaliskowe. Ale jeśli to zrobiłaś, powiedz mi od razu. Zajmę się tym.

Przyrzekała sobie, że nie da się mu dzisiaj zdenerwować, ale tego było już za wiele.

- A wszyscy się dziwią, dlaczego się rozstaliśmy. - Rozłożyła ręce. - Twoje słowa tylko mnie upewniają, że nasze małżeństwo skończyłoby się katastrofą.

- I cóż ja takiego powiedziałem?

- Naprawdę nie wiesz? Nie masz zielonego pojęcia? Nieważne. - Nachyliła się ku niemu z wyrazem determinacji na twarzy. - Nie mamy na to czasu. Nie martw się. Nie wciągam cię w nic nielegalnego. To zwykła akcja poszukiwawczo - ratunkowa.

- Kogo trzeba ratować?

- Moją przyjaciółkę.

- Dlaczego nie wynajmiesz profesjonalnego zespołu ratowników?

- Osoba, która zaginęła, na pewno nie chciałaby, żeby wysłano na jej poszukiwanie oficjalną grupę.

- Innymi słowy, twoja przyjaciółka jest zaangażowana w nielegalne wykopaliska - stwierdził.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Bertha Newell legitymuje się oficjalną prywatną licencją. Dawno temu dostała pozwolenie na prowadzenie poszukiwań w sektorze katakumb, którym nie chcą się zajmować ani uczelnie, ani duże firmy wykopaliskowe.

- A więc ta Bertha Newell to szczer ruin? Jak ją poznałaś?

- Wyjaśnię ci to później.

- Jeśli ci odmówię, poszukasz innego łowcy?

Elly wyprostowała się.

- Nie. Jeśli ze mną nie pójdziesz, pójdę sama.

- Już to widzę.

- Cóż, niezupełnie sama - szybko się poprawiła. - Mam przyjaciela, który będzie mi towarzyszył.

- Łowcę?

- Nie.

Cooper ciężko westchnął.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru. Jeśli coś by ci się stało w katakumbach, będę musiał przekazać tę informację twoim rodzicom, a bardzo bym chciał tego uniknąć.

- Rozumiem - wycodziła Elly przez zęby - że postawiłam cię w nieco niezręcznej sytuacji.

- Ale i tak zrobisz to, co zaplanowałeś.

- Ja też nie mam wyboru. Bertha być może znalazła się w poważnych opałach.

- Zgoda. Idę - oświadczył Cooper.

Elly poczuła przypływ otuchy. Jeśli ktokolwiek mógł jej pomóc odszukać Berthę, był nim właśnie Cooper Boone.

- A więc umowa stoi. W takim razie poznaj trzeciego uczestnika wyprawy.

Cooper nie wyglądał na zadowolonego.

- Ktoś jeszcze jest w to zamieszany?

- Tak. - Elly otworzyła dużą torbę, włożyła do niej rękę i delikatnie wyjęła z torby kulkę szarego bezkształtnego futerka. - To jest Rose.

Rose otworzyła swe niebieskieienne oczy. Druga para oczu, ta, której używała do polowania nocą, pozostała dyskretnie ukryta w skudłaconym, przyprószonym pyłem futerka.

Cooper spojrzał na malutkiego stworka.

- Masz własnego kurzaka?

- Pojawiła się na schodach z tyłu mojego domu krótko po tym, gdy otworzyłam sklep. Wracła każdego dnia przed zamknięciem sklepu. Karmiłam ją i wkrótce zostałyśmy współlokatorkami.

- Co ona ma na szyi? - zdziwił się Cooper.

- Jedną z moich bransoletek. Okazało się, że Rosę ma słabość do biżuterii i jak każda współlokatorka pożyczła sobie moje rzeczy.

- Nie jestem pewien, czy Departamentowi Zdrowia Publicznego spodobałaby się obecność kurzaka w miejscu, gdzie serwuje się jedzenie, nawet jeśli to tylko speluna dla łowców duchów.

- Dlatego schowałam ją w torbie - wyjaśniła Elly.

Rosę zaczęła się przedziwnie wyginać na znak, że chce, żeby postawiono ją na stole. Elly rozejrzała się dokoła, sprawdzając, czy nikt się nie przygląda parze siedzącej w boksie na końcu tawerny, po czym postawiła na stole Rosę.

Stworek przebiegł szybko na swoich ukrytych pod kudełkami sześciu nóżkach na środek stołu, przysiadł i z wielkim zainteresowaniem zaczął przyglądać się Cooperowi.

- Czy ona gryzie? - Oczywiście, że nie - zapewniła pospiesznie Elly. - To przecież maleństwo. Jeśli ją rozdrażnisz lub wystraszysz, może cię skubnąć w palec, ale to wszystko.

- A ja słyszałem, że jak zobaczysz ich zęby, jest już za późno.

- To jakieś bzdury. Bardzo mało wiadomo o kurzakach i stąd te bezsensowne opowieści na ich temat.

Cooper wysunął palec. Rose delikatnie go powąchała, wyraźnie zadowolona. I od razu zainteresowała się kanapką i frytkami.

Cooper wziął w palec frytkę i spojrzał na Elly pytająco.

- Mogę jej to dać, czy boisz się o stan jej arterii?

- Niewiele jak dotąd wiadomo, czym się żywią kurzaki, więc pozwalam Rose jeść, co chce - przyznała Elly.

- Szczęściara z niej.

Rose wzięła delikatnie w ząbki frytkę i zaczęła ją pogryzać.

Za plecami Elly rozległ się trzask rozbijanego o podłogę barowego stolika. Zachrząsało potłuczone szkło. Jakiś mężczyzna krzyknął z furją.

- Ty sukinsynu. Ja pierwszy ją zobaczyłem.

- Ale ona nie chce z tobą tańczyć. Nie dociera to do twojej zakutej pały? Ona chce tańczyć ze mną.

- Taaa, jasne.

Rozległ się głuchy łomot, a potem czyjś jęk i kilka pijackich wrzasków. Krzesła szurnęły o podłogę. Półmrok rozświetliły małe ogniki gryząco zielonej paranormalnej energii. Elly westchnęła. Podekscytowani łowcy nieświadomie skupiają wokół siebie nawet najmniejsze porcje zabłąkanej energii dysonansu unoszącej się w pobliżu. W Starej Dzielnicy było jej mnóstwo. Jak każda inna forma energii psi, energia dysonansu wyciekała z masywnych murów otaczających Wymarłe Miasto Starej Kadencji lub wydobywała się z podziemnych tuneli.

- Chyba czas stąd zniknąć - zauważył Cooper, podnosząc się.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy - zakpiła Elly. Zrzuciła pasek torby na ramię, sięgnęła po Rose, usadziła ją na drugim ramieniu i wymknęła się z boksu, po drodze ściągając z wieszaka swój płaszcz.

Cooper chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą w stronę tylnego wyjścia.

- Jak często tu przychodzisz? - spytał, gdy mijali kuchnię, z której wydobywał się odór zjełczałego tłuszczu.

Znów rozległ się huk i jeszcze donośniejsze wrzaski. Elly zobaczyła, że dwóch kuchcików w poplamionych fartuchach złapało ciężkie garnki i biegiem rzuciło się w głąb tawerny.

Wyglądało na to, że mieli już spore doświadczenie w uśmierzaniu barowych bójek.

- Jestem tu pierwszy raz - odparła. - Ale gdybym wiedziała, jak tu wesoło, przychodziłabym częściej. Wiesz, zanim się przeprowadziłam do Kadencji, nie miałam pojęcia, jak nudne jest życie w Aurora Springs.

Rozdział 3

Sześć miesięcy temu sądził, że to dobry pomysł, rozmyślał w duchu Cooper, prowadząc Elly przez zaplecze do tylnego wyjścia. Ale sprawy nie potoczyły się tak, jak się spodziewał.

Powinien był to przewidzieć. Jeśli w ogóle życie go czegoś ostatnio nauczyło, to tego, że gdy chodziło o Elly, nawet najlepiej przemyślany plan zawodził.

Najlepszym przykładem była choćby jego ostatnia porażka. Pół roku temu plan, który opracował, wydawał się taki prosty, taki niezawodny. Wszyscy, i rodzice Elly, i jej bracia, uznali, że plan jest doskonały. Niech Elly pomieszka pół roku w wielkim, złym mieście, a na pewno zmieni zdanie.

Niech na krótko porzuci akademickie życie w małym miasteczku, które dotąd wiodła. Niech się przekona, jak okrutny jest świat na zewnątrz wieży z kości słoniowej. I jakim trudnym i wyczerpującym zadaniem jest prowadzenie firmy - ślęczenie nad papierkami, praca przez długie godziny, irytujący klienci i ciągle zmieniające się przepisy finansowe.

A kariera naukowa? Elly pasjonowała się botaniką. Szybko zatęskniła za intelektualnymi wyzwaniem, których dostarcza nauka, za stymulującymi rozmowami z kolegami z uczelni, za spokojną atmosferą uniwersyteckiego kampusu.

A co się stanie z jej ukochaną szklarnią? W Aurora Springs oranżeria dobudowana do malowniczego domku Elly, utrzymanego w stylu późnego Czasu Niezgody, była większa od samego domku. Nie można mieć takiej oranżerii w Starej Dzielnicy wielkiego miasta. Nie ma tam na to miejsca.

W opinii wszystkich, którzy ją znali, Elly była stworzona do życia akademickiego, a nie do twardego świata biznesu. Cooper nie wątpił, że po sześciomiesięcznym samotnym pobycie w Kadencji będzie przeschęśliwa, iż może wrócić do domu, wznowić pracę na Wydziale Botaniki w Aurora Springs i jego, Coopera, poślubić.

Miał zamiar ją zaskoczyć, zjawiając się w jej sklepie z samego rana następnego dnia po przyjeździe, gdy będzie wypoczęty, ogolony i świeżo po kąpieli, w nowej koszuli i kurtce, które kupił specjalnie na tę okazję. Chciał wyrzucić na Elly jak najlepsze wrażenie.

I dlatego strasznie się zdumiał, kiedy do niego zadzwoniła, akurat gdy usiadł do spóźnionej kolacji, i oznajmiła, że musi się z nim natychmiast zobaczyć. Wziął to za dobry znak. Okay, może ich pierwsze od miesiący spotkanie nie opadnie dokładnie tak jak chciał, ale i tak poczuł satysfakcję graniczącą z tryumfem. Tak jak się spodziewał, jego plan - niech Elly dostroi swój bursztyn w wielkim mieście - zdał egzamin. Elly nie mogła się już doczekać spotkania z nim.

Jednak gdy ujrzał ją dziś wieczorem wchodzącą do Pułapki, zaczął poważnie wątpić w słuszność przyjętej przez siebie strategii.

Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to jej seksowne ciuszki. W Aurora Springs Elly nigdy nie nosiła takich krótkich spódniczek. Czarna minispódniczka w zielone liście jakiejś egzotycznej rośliny odsłaniała całe nogi.

Nigdy też wcześniej nie nosiła tak obcisłych bluzeczek, jak ta czarna ażurowa, którą teraz miała na sobie. Pamiętałby to. Bluzka opinała jej jędrne piersi, sterczące niczym dwa smakowite jabłuszka, które każdy łowca w barze z pewnością miał ochotę od razu ugryźć.

Ciemnobrązowe włosy nadal miały naturalny bursztynowy połysk, ale tak jak spódniczka były krótsze niż w Aurora Springs. I nie upinała ich już w staromodny węzeł z tyłu głowy. Nowa fryzura, elegancka i zarazem swobodna, podkreślała delikatne rysy jej twarzy i migdałowy wykrój zielonych oczu.

W gruncie rzeczy jedynym znanym mu elementem jej ubioru były złote kolczyki z bursztynami. Cooper dobrze je pamiętał. W Aurora Springs Elly nigdy ich nie wyjmowała. Powiedziała mu kiedyś, że dostała je od rodziców i że mają dla niej wielką sentymentalną wartość.

Jednak najbardziej zdumiał go jej uśmiech. Cholera, gdyby nie siedział, najpewniej padłby jak długi na ziemię. Nie dlatego, że w tym uśmiechu odsłaniała olśniewające bielą piękne, drobne ząbki, ale dlatego, że rzucała nim czysto kobiece wyzwanie: Złap mnie, jeśli potrafisz.

A teraz już wiedział, że jedynym powodem, dla którego tego wieczoru go szukała, było znalezienie kogoś, kto będzie ją ochraniał podczas niecałkiem legalnej wyprawy do katakumb.

Było to przygnębiające zakończenie długiego dnia wypełnionego niecierpliwym oczekiwaniem.

Zatrzymał się, żeby przyjrzeć się alejce. Wydawała się pusta, ale z powodu słabego oświetlenia i mgły nie można było mieć całkowitej pewności. Pomiędzy tylnym wyjściem z tawerny a wylotem alejki snuły się tu i ówdzie gęste cienie.

Ścisnął silniej przegub ręki Elly.

- Gdzie zaparkowałaś?

- Przyjechałam taksówką, bo bałam się zostawić samochód na tej ulicy.

- Wcale ci się nie dziwię - mruknął ponuro. - To nie jest chyba najspokojniejszy rejon miasta?

- No właśnie, i dlatego byłam zdziwiona, że poszedłeś na kolację do Pułapki - odparła chłodno. - Szeffowie Gildii zazwyczaj wybierają bardziej cywilizowane lokale.

- Już ci mówiłem. To nie jest wyjazd służbowy. Przyjechałem do Kadencji prywatnie. Sądziłem, że w takich miejscach jak Pułapka nikt mnie nie rozpozna.

- Racja. Zapomniałam, że załatwiasz tu swoje prywatne sprawy. Choć muszę powiedzieć, że strasznie trudno mi sobie wyobrazić, że masz jakieś inne sprawy poza sprawami Gildii.

- Chcesz powiedzieć, że jestem pracoholikiem?

- Nie, chcę powiedzieć, że nie masz innego życia poza Gildią.

- Innego życia? A co to, do diabła, ma znaczyć?

- Nieważne. Chodźmy już. Muszę odnaleźć Berthę.

Chciał dalej rozmawiać o swoim życiu. Spędził lata na jego cyzelowaniu, kształtowaniu, na przygotowywaniu się do osiągnięcia celu, jaki sobie wyznaczył. Ale nie był pewien, jak ma się bronić przed zarzutami, których kompletnie nie rozumiał. Skupił więc uwagę na stojącym teraz przed nimi zadaniu. Popatrzył na stopy Elly, obute w rzemikowe sandały na wysokich obcasach. Paznokcie u nóg pomalowała na jaskrawy odcień szkarłatu. Błyszczały się w blasku żarówki zawieszanej nad wejściem do tawerny. W Aurora Springs nigdy nie widział Elly w takich seksownych, odsłaniających palce sandałkach. Klasyczne fasony pantofli były bardziej w jej stylu.

Pomyślał o tych wszystkich łowcach w barze, którzy musieli widzieć te czerwone paznokcie, gdy Elly przedzierała się przez tłum do stolika.

- Nie możesz zejść do katakumb w takich pantofelkach - oznajmił. - Jeśli skręcisz kostkę, będę cię musiał wynosić stamtąd na rękach.

Posłała mu lodowaty uśmiech.

- Wolałabym ci tego zaoszczędzić. Jeszcze byś sobie naciągnął jakiś mięsień.

- Dzięki za troskę. - To spotkanie nie przebiega najlepiej, pomyślał.

- Ale tak się składa, że nie musisz się o mnie martwić - ciągnęła. - Mam buty na zmianę. - Poklepała torbę wiszącą na ramieniu. - Pójdziemy teraz do sklepu Berthy i zejdziemy do katakumb przez znajdujący się w nim otwór.

- To ona wyjawiała ci lokalizację jej prywatnego wejścia do tuneli? - Cooper ruszył w stronę ledwie widocznego wylotu ulicy, pociągając Elly za sobą. - Jeszcze nie spotkałem szcúra ruin, który nie strzegłby obsesyjnie informacji o tym, gdzie znajduje się jego tajne wejście do katakumb.

- Bertha mi ufa, może dlatego, że wie, iż nie stanowią dla niej konkurencji. Nie jestem splataczką ani łowcą duchów. Nie zajmuję się nawet sprzedażą antyków.

Powiedziała to jakoś podejrzanie obojętnie, pomyślał Cooper, który mimo wszystko wyczuł w głosie Elly nutę tęsknej rezygnacji.

W przeciwieństwie do reszty rodziny talenty paranormalne Elly nie przekraczały normy. Jak większość ludzi potrafiła za pomocą impulsów energii psi otworzyć zamek w drzwiach lub włączyć zmywarę, ale nie była obdarzona obu typami pararezonerskich talentów, które umożliwiłyby karierę w dziedzinie archeologii. Dlatego nie był jej potrzebny prawdziwy, dobrze nastrojony bursztyn, pozwalający jego właścicielowi wyostrzyć parapsychozyczne zmysły.

Nie było jej łatwo dorastać w rodzinie potężnych łowców i z matką, która jest splataczką, dumał Cooper. Elly bez wątplenia im zazdrościła, że bez przeszkód mogą poznawać dziwny podziemny świat katakumb. I, co istotniejsze, obserwując rodzinę, intuicyjnie rozumiała, że są jej niedostępne satysfakcja i czysta radość płynące z używania paranormalnych zmysłów.

To tak jak wiedzieć, co to jest orgazm, ale nie móc go doświadczyć, uznał. Cholernie frustrująca sytuacja.

- Znasz częstotliwość bursztynu twojej przyjaciółki? - zapytał.

- Tak. Znam też częstotliwość rezobursztynu lokalizatora jej slidera. Podała mi je obie w razie jakiegoś nagłego wypadku.

- Jesteś pewna, że to nagły wypadek? Doświadczone szczury ruin pozostają czasami w katakumbach przez wiele dni.

- Możliwe, że przesadzam - zgodziła się. - Bertha jest profesjonalistką. Tylko że dziś rano, zanim zeszła pod ziemię, zamówiła u mnie swój miesięczny zapas naparu z korzenia bursztynu i powiedziała, że odbierze go po południu, gdy wróci z tuneli. Nie pojawiła się do ich zamknięcia, więc zaczęłam się martwić.

- Sprawdziłaś, czy nie zachorowała i nie położyła się do łóżka albo czy nie pojechała w odwiedziny do rodziny?

- Tak. Zadzwoiłam do jej sklepiku z antykami, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Pytałam właściciela kwaciarni obok jej sklepu, czy ją widział, ale powiedział, że nie. Po prostu zniknęła, co moim zdaniem oznacza, że coś jej się stało w katakumbach. To twarda kobieta, Cooper, ale już nie taka młoda.

Gdzieś w pobliżu zawyły syreny policyjne.

- Ktoś wezwał gliny - mruknął Cooper. - Tego nam tylko brakowało.

Ponaglił Elly do pośpiechu. Obcasy jej modnych sandałów głośno zastukały o płyty chodnikowe.

- Pewnie niezręcznie byłoby tłumaczyć, jakim cudem szef Gildii z Aurora Springs wdał się w barową awanturę? - zakpiła Elly, złośliwie chichocząc.

Alejka była na tyle oświetlona, że Cooper dojrzał, iż Elly znowu się uśmiecha. Tym razem był to szczerzy uśmiech, a nie ten wyzywający, którym go powitała w tawernie.

- Gdyby mnie zatrzymali, ciebie prawdopodobnie też by zgarnęli - ostrzegł.

- Słuszna uwaga. - Elly przyspieszyła kroku. - A my z pewnością nie mamy teraz czasu na tłumaczenie się przed glinami.

- Wiesz - zauważył - dawniej byłabyś przerażona, gdyby groził ci areszt. A teraz martwisz się tylko tym, że straciłabyś czas na wyjaśnienia.

- W Aurora Springs musiałam zważać na to, by nie sprowadzić wstydu na rodzinę i żeby nie szokować tych pompatycznych, ograniczonych twardogłowych z Rady Akademickiej. Ale tutaj w Kadencji na szczęście nie muszę się już tym przejmować.

- Doprawdy?

- Tak. - Nieco się już zadyszała. - Tu w tym mieście jestem wolna jak jeszcze nigdy w życiu.

Pompatycznych, ograniczonych twardogłowych. Chyba jednak nie tęskniła za powrotem na uczelnię.

Wszystkie przesłanki, myślał Cooper, na których oparł swoją mistrzowską strategię, jedna za drugą upadały na jego oczach.

Syreny wyły coraz bliżej. Usłyszał, że otwierają się drzwi na zapleczu tawerny. Obejrzał się przez ramię i zobaczył grupę mężczyzn w skórach i khaki, przez chwilę tarasujących wyjście. Kilku udało się przecisnąć na zewnątrz. Na szczęście łowcy uciekali w przeciwnym do wybranego przez niego kierunku.

Na skrzyżowaniu alejki z większą ulicą zatrzymał Elly z Rose na ramieniu. Po lewej stronie na nocnym niebie rysowały się masywne zielone kwarcowe mury Wymarłego Miasta, spowijając otoczenie słabą szmaragdową poświatą. Obcy zniknęli przed wieloma wiekami, ale światła zostawili włączone.

Spojrzał na drugi koniec przecznicy i zobaczył kilka policyjnych wozów, właśnie zatrzymujących się przed frontowym wejściem do Pułapki.

- Mamy mały problem - oznajmił. - Jeśli spróbujemy dostać się od tej strony do mojego samochodu, policja prawdopodobnie nas zatrzyma. Polują na wszystkich w skórach i khaki.

- Od lat powtarzam, że łowcy duchów powinni zrozumieć, iż to jest cena, jaką płacą za swój wyzywający strój.

Postanowił zignorować tę uwagę.

- Najlepiej będzie podejść do samochodu z drugiej strony, tak jakbyśmy wracali z jednej z

kafejek usytuowanych w tamtej części ulicy.

- To sensowny pomysł.

- Jak szybko możesz biec w tych wytwornych szpilkach?

- Dość szybko. - Zsunęła torbę z ramienia i sięgnęła do środka po sportowe buty. - Ale nie aż tak szybko jak w tych. Potrzymaj Rose.

Przełożyła kurzaka na ramię Coopera, oparła się o niego jedną ręką i pochyliła, żeby zmienić obuwie. Cooper wyraźnie poczuł ciepło jej palców na ramieniu, gdy balansując ciałem dla zachowania równowagi, zsunęła ze stopy jedną szpiłkę.

Udało mu się dostrzec w przelocie zarys wygiętej w łuk zgrabnej bosej stopy, zanim zniknęła w adidasie. Poczul silny ucisk w podbrzuszu. To było długich sześć miesięcy, pomyślał.

Tak naprawdę to było o wiele dłużej niż sześć miesięcy, jeśli liczyć od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył Elly wchodzącą do Archiwum Gildii. A on zdecydowanie liczył czas od tego momentu, bo to wtedy uznał, że Elly jest dokładnie taką kobietą, jakiej szukał na żonę.

Minęło bardzo długich osiem miesięcy i pięć dni, jeśli już miał być precyzyjny.

Elly zsunęła rękę z jego ramienia i się wyprostowała.

- Jestem gotowa. - Jej głos brzmiał niepokojąco entuzjastycznie. - Którędy dokładnie mamy iść?

- Przejdziemy na drugą stronę ulicy, a potem pójdziemy alejką odchodzącą od sąsiedniej przecznicy. Na jej końcu skęcimy w prostopadłą ulicę i stamtąd wrócimy do mojego samochodu.

- Niczym para niewinnych przechodniów. - Wzięła ponownie na ramię Rose.

- Właśnie.

Poprowadził ją do następnej alejki, zatrzymując się na jej początku, żeby przyzwycząić wszystkie zmysły do ciemności. Słaba zielonkawa poświata bijąca od murów nie docierała do tej wąskiej uliczki pogrążonej w cieniowym mroku.

Jeszcze raz spojrzął na Rosę. Niebieskie oczy stworzka były szeroko otwarte, ale futerko puszyło się i kurzak z zadowoleniem podgryzał ostatni kawałek frytki.

Cooper wyciągnął latarkę z jednej z kieszeni w spodniach i włączył ją wysłaniem lekkiego impulsu energii psi.

Elly wymamrotała coś, czego nie dosłyszał. Wyglądała na zde gustowaną.

- Co się stało?

- Zniszczę sobie buty.

- To przecież buty sportowe. Po to są, żeby się wybrudziły.

- Tak? A wiesz, ile kosztowały? Zapłaciłam za nie fortunę i nie planowałam chodzić w

nich po zamulonych oślizłych kałużach, takich jak te tutaj.

- Sama więc widzisz. Gdybyś miała mocne myśliwskie buty z oryginalnej chromowanej skóry węża, nie musiałabyś się martwić kałużami ani niczym innym, w co mogłabyś wdepnąć. Zawsze mówię, że w dobrych butach można dojść wszędzie.

Przekręciła lekko głowę, żeby na niego spojrzeć. Nie dostrzegł wyrazu jej twarzy w ciemności, ale odniósł wrażenie, że ją zaskoczył.

- Będę pamiętała o tej radzie następnym razem, kupując buty.

Zastanawiał się właśnie, czemu Elly wydawała się skonsternowana faktem, że i on mógłby mieć poczucie humoru, gdy spostrzegł, że wygląd Rose nagle się zmienił.

W mgnieniu oka bezkształtna kulka futra rozciągnęła się, przybierając kształt lśniącego, wyprężonego cienia. Kurzak otworzył drugi zestaw oczu i obrócił się, wpatrzony w jedne z drzwi w murze ciągnącym się wzdłuż alejki.

- Cholera - zaklął cicho Cooper.

Ciężkie drzwi otworzyły się z trzaskiem. Cooper wyczuł niezaprzeczalny powiew paranormalnej energii. Zareagował bez zastanowienia. Zatrzymał się i okręcił na pięcie w kierunku zagrożenia. Jednocześnie złapał Elly za rękę i pociągnął za siebie. Kątem oka dostrzegł, że Rose przywarła do ramienia Elly wszystkimi sześcioma nogami.

Duch materializował się bardzo szybko, małe inferno wirującej, buzującej energii, błyszczącej i pulsującej. Zbliżał się, zmuszając Coopera, Elly i Rose do cofnięcia się w kąt między wielkim, zardzewiałym kontenerem na śmieci a ceglana ścianą.

- Spory - oceniła Elly.

Faktycznie, pomyślał. Sukinsyn był duży jak na ducha generowanego poza katakumbami. Ale nie był to szczególnie silny NiZOED. Pokażny, ale bez rzeczywistej mocy.

Przez kilka sekund przyglądał się ognistej zielonej masie, sondując jej wzór zmysłami psi. Fale energii dysonansu NiZOED-a pozostawały pod częściową tylko kontrolą. Łowca, który wykreował tego ducha, był albo naćpany, albo lekko stuknięty. Na szczęście, nie miał aż takiej mocy, żeby zebrać więcej energii, pomyślał Cooper.

NiZOED przypląnął bliżej. Nawet gdy generowali je i manipulowali nimi doświadczeni pararezonery energii dysonansu, standardowe duchy nigdy nie poruszały się szybko. Ich prędkość dorównywała na ogół tempu osoby idącej szybkim krokiem. Ale łowca operujący tym duchem wiedział, co robi. Prawdopodobnie nie pierwszy raz używał ducha do uwięzienia ofiar między śmietnikiem a ścianą.

To był klasyczny napad w bocznej uliczce.

W otworze pojawiła się wychudła postać. Kościste ciało rysowało się niewyraźnie na tle słabej poświaty padającej od tyłu.

- Ruszcie się, a po was. - Głos bandyty nieco się załamywał. - Drugi raz tego nie powtórzę.

Zdecydowanie wariat albo przerezonowany ćpun, pomyślał Cooper. Prawdopodobnie już dawno utracił zdrowe zmysły.

- Spokojnie - odezwał się cicho. - Żadne z nas się nie rusza.

Bandyta, trzęsąc się, zszedł wolno po dwóch schodkach na chodnik. Ledwo stał na nogach, aż musiał się opierać o ceglana ścianę. W poświacie rzucanej przez ducha, jego ostre, kościotrupie rysy przybrały mdłą, zielonkawą barwę.

- Wasze portfele, pierścionki, bursztyny, zegarki, wszystko, co macie - wymamrotał. - Potrzebuję wszystkiego, słyszycie? Potrzebuję forsy na pył.

- Nie ma problemu - zapewnił Cooper. Przesłał energię psi przez bursztyn, który nosił na końcu łańcuszka od zegarka. - Mogę wyciągnąć portfel?

- Tylko powoli.

- Jasne. - Cooper sięgnął jedną ręką do tylnej kieszeni.

Na ogół duchy zwalczą się innymi duchami. Kłopot w obecnej sytuacji, zdaniem Coopera, polegał na tym, że gdyby bandyta zorientował się, że w pobliżu materializuje się następny NiZOED, prawdopodobnie zaatakowałby swoim duchem, zanim nowy byłby gotów do akcji.

Jedno muśnięcie światłem wysyłanym przez ducha rezonowało z wszystkimi zmysłami ofiary tak silnie, że ogarniał ją psychiczny ból nie do wytrzymania. Po tej fazie następowała utrata przytomności, mogąca trwać wiele godzin.

Trzeba czymś odwrócić uwagę tego bandziora, pomyślał.

Już zamierzał to zrobić, ale w tym momencie podekscytowany napastnik spojrzął na Elly. Cooper zobaczył, że oblaną zieloną poświatą kościotrupią twarz mężczyzny wykrzywił grymas dezorientacji. Na jego czole pojawiły się kropelki potu.

- A co to jest, na cholerne zielone piekło? Masz szczura na ramieniu, paniusiu?

- Rose nie jest szczurem - wyjaśniła Elly. - To kurzak, a ty ją wystraszyłeś swoim duchem. Proszę, nie skrzywdź jej.

Elly mówiła spokojnie i łagodnie. Rozumie, że mają do czynienia z niebezpiecznym, nieprzewidywalnym napaleńcem, pomyślał Cooper. A Rose, czymkolwiek była lub nie była, z pewnością się nie bała. W pulsującym świetle widział jej wyszczerzone zęby - mnóstwo zębów.

- Gównu mnie obchodzi ten gryzoń. - Bandyta skrajem rękawa obtarł sobie usta. - A ty, paniusiu, rzuć na ziemię tę swoją dużą torbę.

- Jak sobie życzysz - zgodziła się Elly. Nie spiesząc się, powoli opuściła torbę. - Tylko musisz uważać, bo w środku mam bardzo drogi antyk.

Oczy mężczyzny rozszerzyły się z nerwowego podekscytowania.

- Po obcych czy wczesnokolonialny?

Facet jest ćpunem, ale zdaje się, że zna się na starociach, pomyślał Cooper. Prawdopodobnie człowiek Gildii, który spędził jakiś czas pod ziemią, nim wpadł w szpony nałogu.

- Po obcych - odparła Elly z pewnością profesjonalnego handlarza, który właśnie zamierza pokazać klientowi cenny eksponat. - Chciałbyś zobaczyć?

- Wyjmij go. Ale naprawdę powoli.

- Oczywiście. - Sięgnęła do torby. - To bardzo ładna sztuka.

Roztrzęsiony bandyta patrzył na nią z desperacką niecierpliwością. Był tak skupiony na wyobrażaniu sobie, ile narkotyków kupi za drogocenny antyk, że w ogóle nie zauważył małej kulki paranormalnego światła, które Cooper przywołał do życia tuż za jego plecami.

Mały NiZOED podpłynął do głowy bandyty. Cooper w pełni zdawał sobie sprawę, że musi zachować ogromną ostrożność. Nie chciał zabić ćpuna, a tylko na krótko oszołomić.

Elly zaczęła wyciągać coś z torby.

- Pokaż, co tam masz - krzyknął mężczyzna, robiąc krok do przodu. - Rzuć to do mnie.

Cooper sprawił, że przednia część małego ducha leciutko prześliznęła się po głowie bandyty.

Chudzielec nagle zeszywniał i otworzywszy szeroko usta w niemym krzyku, zaczął gwałtownie machać rękami. Jeszcze raz cały się zatrząsł i upadł nieprzytomny na ziemię.

Przywołany przez niego duch natychmiast znikł, bo ustał dopływ energii psi. Pod ziemią NiZOED-y były napędzane paranormalną mocą katakumb. Na powierzchni jednak potrzebny był do tego doświadczony łowca.

Cooper rozproszył własnego NiZOED-a. Zielona poświata znikła, teraz więc został im jedynie wąski snop światła latarki.

- Dobra robota - pochwaliła Elly. Wsunęła do torby częściowo wyciągnięty sandał i z lekko zmarszczonym czołem podeszła do leżącego mężczyzny. - Ale mam nadzieję, że nie poczęstowałeś go zbyt wielką dawką energii.

Cooper przykucnął przy nieprzytomnym bandycie i przytknął rękę do jego szyi, szukając pulsu. Znalazł go natychmiast.

- Ocknie się za kilka godzin z paskudnym bólem głowy i nie pamiętając, co się wydarzyło. - Podniósł się i popchnął Elly ku wyjściu z alejki. - Dobrze się czujesz?

- Na litość boską, przecież wychowałam się w rodzinie łowców, nie pamiętasz? Nie pierwszy raz widziałam ducha.

- Tylko się upewniam. I przy okazji, dzięki, że odwróciłaś uwagę tego sukinsyna

historyjką o antyku obcych w twojej torebce. W ogóle się nie zorientował, że generowałem za jego plecami ducha.

- Jesteś w tym dobry, prawda? - rzekła zamyślona, spoglądając na niego z ukosa. - Ten mały duszek miał bardzo skomplikowaną, zwartą konstrukcję. Był bardzo sprawny. Niewielu łowców potrafiłoby takiego wygenerować.

- Mam spore doświadczenie - przyznał.

- Masz coś więcej niż doświadczenie. Dysponujesz potężną mocą i równie wielką umiejętnością kontroli.

- No tak, w końcu jestem szefem Gildii. - Starał się utrzymać lekki ton. - Więc powinienem być w tym dobry.

Milczała. Uznał, że to chyba zły znak.

U wyjścia z alejki skręcił w prawo, prowadząc Elly i Rosę w stronę skrzyżowania. Na rogu zatrzymali się i odwrócili, żeby spojrzeć na frontowe wejście do Pułapki, przed tawerną stały trzy wozy policyjne z włączonymi na dachach kogutami. Cooper dostrzegł, że kilku policjantów wchodzi do środka tawerny. Wokół zbierał się już tłumek gapiów.

- Tu jesteśmy bezpieczni - oświadczył. - Mój spectrum stoi na końcu tej ulicy. Wszyscy się patrzą w przeciwną stronę. Jeśli zachowamy ostrożność, nikt nas nie zauważy. Teraz idziemy zwykłym krokiem. Nie biegniemy. Ludzie zwracają uwagę na osoby, które szybko się poruszają.

- Rozumiem, ale proponuję, żebyśmy jednak szli nieco szybciej.

- Zgoda.

Dzieliło ich zaledwie kilka kroków od spectruma, gdy obok nich zatrzymał się wolno jadący wóz patrolowy. Policjant o ostrym spojrzeniu siedzący za kierownicą skierował na nich światło latarki.

- Dokąd się wybieracie? - zapytał, przypatrując się głównie Cooperowi.

- Do domu - odpowiedziała Elly, zanim zdążył się odezwać Cooper. - Tak szybko, jak to możliwe.

- Nie jesteście stąd, co?

- Mój przyjaciel tu nie mieszka. Chciałam mu pokazać Starą Dzielnicę. Właśnie skończyliśmy kolację w uroczej małej kafejce na tej ulicy i wracaliśmy do samochodu, gdy nagle wszędzie pojawiły się wozy policyjne.

Oficer przesunął światło latarki na twarz Elly.

- A jak się nazywa ta kafejka?

- Szmaragdowy Mur - odparła Elly bez zająknięcia. Z kieszeni płaszcza wyciągnęła wizytówkę. - Nazywam się Elly St.Clair. Jestem właścicielką Ziołowego Emporium.

Specjalizuję się w produkcji naparów, rezoherbat i toników na zamówienie. Gdyby kiedykolwiek potrzebował pan czegoś w tym rodzaju, proszę koniecznie do mnie zajrzeć. Do-myślałam się, że praca w policji jest ogromnie stresująca. Mam specjalny napar z jaskrowca, który potrafi zdziałać cuda.

Policjant spojrział na wizytówkę, a potem na Coopera.

- A pan skąd jest?
- Z Aurora Springs.

Policjant był wyraźnie rozbawiony.

- Przyjechał pan złożyć wizytę damie i popatrzeć na światła wielkiego miasta, co?
- Taki miałem zamiar.

Policjant wyłączył latarkę.

- W porządku. Możecie stąd iść. - Jeszcze raz spojrział na Elly. - Czy to kurzak siedzi na pani ramieniu?

- Tak. Nazywa się Rose.

Cooper zauważył, że Rose znów zrobiła z siebie doskonałą imitację kłębka kurzy, który został wyciągnięty spod łóżka. Widać było tylko jej niewinne błękitne oczęta.

- Słyszałem, że mogą być niebezpieczne - zauważył policjant, oświetlając latarką Rose, która zdawała się tego nie zauważać.

- To jakaś bzdurna miejska legenda - zapewniła Elly. - Mogą najwyżej ugryźć w palec, ale Rose zrobiłaby to tylko wtedy, gdyby ktoś ją mocno zdenerwował.

- Skoro tak pani twierdzi, nie będę zaprzeczał. Idźcie już. Nie powinniście szwendać się po tej okolicy. - Spojrział na Elly surowo. - A następnym razem niech pani wybierze się ze swoimi gośćmi do lepszej dzielnicy naszego miasta. Przecież nie chcemy, żeby turyści nabrali złej opinii o Kadencji.

- Dzięki za radę - rzuciła Elly.

Policjant odjechał.

- Słyszałaś, co powiedział - odezwał się Cooper, otwierając drzwi auta od strony pasażera. - Nie powinniśmy się tu szwendać. To podejrzana okolica i dziwię się, że przyprowadziłaś tu takiego niewinnego turystę jak ja.

- Pomyślałam, że będziesz miał o czym opowiadać po powrocie do Aurora Springs. No bo tam przecież nie dzieje się nic ciekawego.

- Przynajmniej odkąd wyjechałaś - zgodził się.

Rozdział 4

Spojrzała na niego, zdumiona, i najwyraźniej decydując się przemilczeć jego słowa, wsunęła się na przednie siedzenie pojazdu, szybko i zwinnie. Mimo to Cooper zdążył dostrzec kuszące mignięcie wewnętrznej strony jednego z cudownie krągłych ud. Poczuł, że krew w nim zawrzała. Zdecydowanie niebezpieczna okolica.

Przeszedł na drugą stronę samochodu, usiadł obok Elly i wysłał impuls energii do rozrusznika. Bursztyn w zapłonie się stopił i potężny silnik zamruczał. Cooper odbijał od chodnika wolno i statecznie.

- Gdzie mieszka twoja przyjaciółka?

- Aleja Ruin dwadzieścia sześć. To niedaleko od mojego sklepu. Na następnym skrzyżowaniu skręć w prawo.

Rose zeskoczyła z ramienia Elly na oparcie fotela i usiadła, żeby przez okno oglądać pogrążone w mroku ulice.

Cooper dojechał do skrzyżowania i skręcił w kolejną wąską uliczkę, przy której stały ciemne, ponure, staromodne budynki wzniesione przed dwustu laty przez Pierwszą Generację kolonistów.

Styl nowszych dzielnic Kadencji był optymistyczny i energetyczny. Ale tutaj, w Starej Dzielnicy, budowle stawiane przez osadników odzwierciedlały ich silną wolę przetrwania. Mocno osadzone na podłożu, tworzyły labirynt wąskich i krętych ulic oraz ciemnych alejek. Mająca klimat - to jedyne pozytywne określenie, jakie się nasuwało do opisanie tej części miasta.

Mroczna, złowieszcza architektura Starej Dzielnicy ostro kontrastowała z eleganckimi, strzelistymi, lekkimi wieżami i iglicami obcych, górującymi nad masywnymi zielonymi murami z kwarcu, które je otaczały. Kadencja, podobnie jak pozostałe trzy wielkie miasta Harmonii, została zbudowana wokół ruin jednego z czterech głównym wymarłych miast odkrytych zaraz po kolonizacji. Chociaż tajemniczy obcy zasiedlający niegdyś planetę zniknęli z niej przed tysiącami lat, wzniesione przez nich zdumiewająco eteryczne miejskie budowle oraz niebezpieczne labirynty podziemnych tuneli opierały się czasowi i sile rozpadu. Cooper czasami się zastanawiał, czy miasta postawione przez ludzi również tak długo przetrwają.

- Dobrze się czujesz? - odezwała się Elly.

- A dlaczego miałoby być inaczej?

- Tak tylko pytam - rzuciła lekko. Odrobinę zbyt lekko. - Duch, którego wygenerowałeś,

żeby pozbyć się tamtego zbira, był bardzo zwarty.

Uświadomił sobie, że Elly po raz pierwszy widziała go w akcji. Mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy.

- O co ci chodzi? Boisz się, że za chwilę się przemienię w owładniętego seksualną żądzą potwora? – spytał niewinnym tonem. - Nie martw się. Na ogół zostawiam to sobie na noc z pełnią księżyca.

Elly objęła się ramionami i wysunęła dumnie brodę.

- Nie gadaj bzdur.

- Posłuchaj, Elly. Na pewno dobrze wiesz, że każdy łowca nieco inaczej generuje duchy. Żaden z nas nie robi tego dokładnie w taki sam sposób. Mój sposób zawsze był dość skomplikowany. Tak właśnie rezonuje moja energia psi. - Mówiąc te słowa, nawet się nie zająknął. Była to stereotypowa formułka, którą się posługiwał, odkąd jako nastolatek pojął, że jego parazmysły działają inaczej niż u innych łowców. - Ale to nie oznacza, że używam do tego jakąś nadzwyczajną ilość mocy. Nie stopiłem bursztynu.

- Jasne. - Rzuciła mu szybkie, taksujące spojrzenie, a potem odwróciła głowę i wbiła wzrok w ulicę przed nimi. - Ale i tak wszyscy wiedzą, że generowanie ducha, nawet małego, wywiera na łowcę, hm, określony wpływ. Skręć teraz w lewo.

Rozmowa stawała się coraz bardziej krępująca.

- Nie mów mi, że wierzysz w te wszystkie bzdury o łowcach duchów oszalałych na punkcie seksu po pracy ze światłem duchów.

- Bez obrazy, ale pamiętaj, że mam trzech braci. Po dniu spędzonym w katakumbach na pracy z duchami wprost nie mogą się doczekać, aż poderwą jakąś dziewczynę.

- Większość chłopaków w wieku twoich braci, nieważne czy są łowcami, czy nie, bardzo interesuje się seksem. Stają się mężczyznami.

Ku jego zaskoczeniu, lekko się uśmiechnęła.

- Ale mężczyźni tacy jak ty, starsi i mądrzejsi, nie podlegają już władzy hormonów, tak? Czyżby się z nim droczyła?

- Spokojnie, nie zagrażam teraz twojej cnocie bardziej niż przed wygenerowaniem tego cholernego ducha.

- Rozumiem - odparła obojętnie.

Chyba jej nie przekonałem, pomyślał. Tak się nieszczęśliwie składało, że naprawdę był lekko podniecony, a ona z pewnością to wyczuła. Nie mogła jednak wiedzieć, że generowanie ducha nie miało większego wpływu na jego obecny stan. Był podniecony, odkąd ją zobaczył dzisiejszego wieczoru w Pułapce.

- Posłuchaj, nie twierdzą, że wywoływanie duchów nie ma skutków ubocznych - ciągnął

w nadziei, że brzmi to rzeczowo. - Ale z wiekiem człowiek uczy się panować nad instynktami. Nie zarzucę sobie ciebie na ramię i nie zaciągnę do najbliższego łóżka. Elly lekko przechyliła głowę.

- Słyszę, że jesteś nieco wkurzony. To część syndromu.

- Wkurzony?

- Podenerwowany, zirytowany. No wiesz, nakręcony. Zauważyłam, że łowcy często stają się tacy, gdy przysmażą ducha.

- Naprawdę? - zapytał, bardzo grzecznie, ale przez zęby.

- To znaczy, jeśli nie znajdą innego sposobu na pozbycie się nadmiaru adrenaliny. Moi bracia, gdy nie uda im się umówić na randkę, idą na siłownię.

- Ty oczywiście wiesz, jak wyrezować bursztyn człowiekowi, co?

- Już mówiłam, mam trzech braci. I sporo doświadczenia.

Zmroziło go. Już nie miał żadnych wątpliwości, że pozostawienie Elly samej w Kadencji na całe pół roku to była największa pomyłka w jego życiu. Rzadko popełniał błędy, ale gdy już mu się jakiś zdarzył, skutki były poważne.

- Jak spędzasz wolny czas w Kadencji? - zapytał, postanawiając zmienić temat.

- Jestem bardzo zajęta. - Elly znów poklepała Rose po grzbiecie. - Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jaka to harówa, otworzyć mały biznes i prowadzić go tak, żeby przynosił jakies zyski.

- Tak się składa, że wcale nie jestem zdziwiony - odparł. - Zarządzam Gildią w Aurora Springs, czyżbyś zapomniała? To naprawdę bardzo duża firma. I jej prowadzenie wymaga o wiele więcej pracy i zajmuje więcej czasu niż prowadzenie małej.

- Daj sobie spokój z takim gadaniem. Nie przekonasz mnie. Jest duża różnica między zaangażowaniem w pracę a obsesją na jej punkcie.

- A ty dokładnie wiesz, gdzie leży granica?

- Tak, wiem. - Odczekała chwilę, po czym mówiła dalej - I patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że wiele mi zawdzięczasz.

- To znaczy?

- Gdybyśmy zawarli Małżeństwo Przymierza, pomyśl tylko, jaki byłbyś teraz nieszczęśliwy. Ja bym ciągle zrzędziła i dzień w dzień rezowała twój bursztyn, jak to lubisz podkreślać. Ty, uciekając przede mną, poświęcałbyś jeszcze więcej czasu pracy. Co myśmy sobie w ogóle wyobrażali, decydując się na Małżeństwo Przymierza? Gdybyśmy wcześniej starali się siebie lepiej nawzajem poznać, być może wybralibyśmy Małżeństwo z Rozsądku.

- Ja wiedziałem, na co się decyduję - odparł.

Prawo dotyczące zawierania małżeństw stało się teraz mniej restrykcyjne niż

obowiązujące dwieście lat temu, ale nie aż tak bardzo. Surowe zasady miały swój sens przed dwustu laty, gdy koloniści utknęli na Harmonii.

Podstawowym celem pierwszych osadników w tych niebezpiecznych, wczesnych latach kolonizacji było stworzenie silnej i spójnej społecznej struktury. Osobiste szczęście poszczególnych jednostek było kwestią drugorzędną. Socjologowie, filozofowie oraz wybrani przez osadników przywódcy wiedzieli, że podstawowym budulcem każdego społeczeństwa jest rodzina. Doszli więc do wniosku, że jeśli w ogóle istnieje jakaś szansa na przetrwanie małych kolonii, to struktura społeczna musi się opierać na silnych rodzinnych grupach.

Zdesperowani i zdeterminowani Założyciele spisali Konstytucję oraz listę praw, które miały chronić nienaruszalność rodziny bez względu na cenę, jaką trzeba było za to zapłacić. Tak powstała instytucja Małżeństwa Przymierza, związku, który mogła rozerwać tylko śmierć małżonka lub zgoda na rozwiązanie małżeństwa wydana przez Radę Federacji.

Jednak Założyciele rozumieli też, że należy zapewnić alternatywną formę związku dla tych, którzy nie czuli się gotowi do złożenia dożgonnych ślubów. Małżeństwo z Rozsądku było uznawaną przez prawo umową, która musiała być regularnie wznawiana przez obie zainteresowane strony. Można ją było też w każdej chwili zerwać. Istniały jednak słabe strony takiego związku. Pary musiały być szczególnie ostrożne, jeśli chodzi o kontrolę urodzin. Przyjście na świat dziecka automatycznie przekształcało krótkoterminowe Małżeństwo z Rozsądku w trwałe Małżeństwo Przymierza.

W rodzinach zachęcano młodzież do zawierania Małżeństw z Rozsądku, jako że młodzi ludzie szczególnie łatwo zakochują się, ogarnięci namiętnością i zwykłą staromodną żądzą.

Małżeństwo Przymierza miało być dokładnie przemyślanym biznesem i społeczną umową zarezerwowaną dla tych, którzy byli już bardziej dojrzały i gotowi do ustakowania się.

Na przykład dla takich jak ja, pomyślał Cooper. Wszystko dokładnie zaplanował.

- No cóż, nie obwiniaj się aż tak bardzo. - Elly poklepała go po ramieniu, tak jak przed chwilą poklepała Rose. - Przecież przyjął twoje oświadczenia, bo i mnie się wydawało, że wiem, na co się decyduję. Trudno zerwać z tradycjami Gildii, bo nadal mają potężną siłę. Nie mieliśmy wyboru.

- Chyba nie mieliśmy. - Wzajemne relacje były ostatnim tematem, na jaki by teraz chciał rozmawiać, a jednak jakoś nie mógł go porzucić. - Próboweś kiedyś Małżeństwa z Rozsądku?

- Kto? Ja? Nie. Na następnym skrzyżowaniu skręć w lewo.

- Dlaczego nie? - zapytał, nie umiając się powstrzymać.

- Powiedzmy tylko, że łatwiej o takim małżeństwie mówić niż zrealizować w małym

miasteczku, gdzie wszyscy wiedzą, że jesteś córką jednego z członków Rady Gildii. Zawsze się zastanawiałam, o co naprawdę chodzi facetowi, który chce zawrzeć ze mną bliższą znajomość, nieważne, krótko- czy długoterminową.

- Takemu jak Palmer Frazier?

- Nie poruszajmy tematu Palmera Frazia, dobrze? - Elly zamilkła na chwilę. - No a ty?

Zawarłeś kiedyś Małżeństwo z Rozsądku?

- Nie.

- Dlaczego? Byłeś za bardzo zajęty wdrapywaniem się na szczyty Gildii?

Cooper przesunął nieznacznie rękę na kierownicy.

- To jedna z przyczyn.

- A były inne?

- Były, ale nie chcę o nich dzisiaj rozmawiać.

- Och. - W głosie Elly zabrzmiała nutka zawodu. - Nie mam prawa zadawać ci tego rodzaju osobistych pytań, co? Skręć w prawo.

Posłusznie wykonał polecenie, choć dobrze znał już drogę do Alei Ruin, ponieważ przejechał koło Ziołowego Emporium St.Clair od razu po przybyciu do miasta.

Jak wszystkie wielkie miasta Kadencja szybko się rozrastała, anektując pobliskie wiejskie tereny. I we wszystkich wielkich miastach Stare Dzielnice zaniedbywano. Przez lata okolice wielkich murów stały się domem dla włóczęgów, rozbitków życiowych, stanowiących margines społeczeństwa. Pełno w nich również było rozmaitych klubów nocnych, barów i tawern.

Jednak bliskie sąsiedztwo starożytnych metropolii obcej rasy dawało Starym Dzielnicom przewagę nad innymi pod jednym względem - ekonomicznym. Kwitł w nich handel antykami obcych, zarówno prawdziwymi, jak i podrobionymi. Dzięki temu owe dzielnice nie ulegały całkowitemu rozkładowi.

Obok tanich pensjonatów, domów z mieszkaniami na wynajem, spelunek i pustych witryn sklepowych, na wąskich uliczkach kolonialnej okolicy Kadencji Cooper widział małe sklepiki, w których, jak zapewniali ich właściciele, można było kupić relikty z Wymarłego Miasta i z okresu Wczesnego Kolonializmu.

Kiedy przed kilkoma miesiącami przeprowadził dyskretne śledztwo, by się upewnić, że okolica, w której Elly mieszka, jest bezpieczna, dowiedział się, że jej sklep znajduje się w niedawno odrestaurowanym sektorze Starej Dzielnicy. Dzisiaj, gdy jechał wolno Aleją Ruin, z ulgą stwierdził, że informacje, które otrzymał, były zgodne z prawdą.

Nie było tu tak porządnie i czysto jak wokół domu Elly w Aurora Springs, ale Cooper nie dostrzegł nigdzie ani dilerów narkotykowych, ani wozów policyjnych, ani prostytutek

wypatrujących klientów.

- Tam jest sklep Berthy - wskazała Elly. - Skręć za róg, to zaparkujemy w bocznej alejce.
- Dzisiejszego wieczoru większość czasu spędzam w ciemnych alejkach.
- W Starej Dzielnicy uważa się je za malowniczą atrakcję. Mają niepowtarzalny klimat.

Cooper wolno wjechał w wąską boczną uliczkę za sklepikiem z szyldem „Antyki Newell”, zaparkował i wysiadł z wozu. Zauważył, że mgła coraz bardziej gęstnieje.

Elly z Rose na ramieniu wyskoczyła z samochodu, zanim zdążył otworzyć drzwi.

Wyciągnęła klucz z głębin przepastnej torby i szybko podeszła do tylnego wejścia antykwariatu.

- Zaczekaj chwileczkę - powiedział cicho Cooper. - Chcę mieć pewność, że spectrum nadal będzie tu stał, kiedy wrócimy.

Przepuścił niewielką ilość mocy psi przez swój bursztyn, wykorzystując go do przechwycenia części okolicznej energii, unoszącej się w nocnym powietrzu. Skoncentrował się na moment i uformował maleńkiego ducha, którego doczepił do tylnej tablicy rejestracyjnej wozu. Mały NiZOED rozbłysł życiem, spowijając tablicę lekką zielonkawą poświatą.

- To powinno wystarczyć - stwierdziła Elly. – Chyba nie znajdzie się głupek gotów ukraść teraz ten samochód.

Cooper wzruszył ramionami.

- Wiem z doświadczenia, że jest to doskonałe zabezpieczenie przed profesjonalnymi złodziejami aut.

Okay, może i trochę się popisuję, uznał w duchu. Tylko kilku pararezonatorów energii dysonansu dysponowało taką mocą, by zakotwiczyć ducha, nawet małego, poza terenem katakumb. Ale zakup kolejnego spectruma byłby zarówno kosztowny, jak i kłopotliwy. Mały NiZOED wysyłał wyraźną informację: Spróbuj tknąć ten samochód, a właściciel cię wysledzi i usmaży ci mózg.

Elly otworzyła drzwi pogrążonego w mroku sklepu i wyrezowała światło.

Cooper wszedł za nią do środka. Znajdowali się w pokoiku na zapleczu, wypełnionym małymi zielonymi artefaktami z kwarcu. Na ile się na tym znał, żaden z przedmiotów nie wyglądał na szczególnie wartościowy. W większości były to proste lustra nagrobne, zwyczajne urny i przeciętnej jakości wazy, jakie można znaleźć w każdym obskurnym antykwariacie we wszystkich Starych Dzielnicach.

- Gdzie jest jej szczurza dziura? - zapytał.
- Tam gdzie i moja, w piwnicy. Schody są tutaj.
- Pod twoim sklepem jest wejście do katakumb? -zdziwił się.

- Tak. Fajnie, nie? Na niewiele mi się ono przydaje, oczywiście, ale pozwalam go używać mojej przyjaciółce, Doreen. Czasami zabiera mnie ze sobą.
 - Kim jest Doreen?
 - Kolejnym szczurem ruin. Splataczką. I wielką modnisią. Poszła ze mną na zakupy wkrótce po moim przyjeździe do Kadencji i pomogła mi wybrać nowe ubrania.
 - Zauważyłem - rzucił obojętnie Cooper.
 - Doreen ma sklep i mieszkanie naprzeciwko mojego sklepu.
 - Rozumiem.
- Zszedł za Elly na dół wąskimi schodami prowadzącymi do wilgotnej, mrocznej piwnicy.
- Nie tak planowałem spędzić swoją pierwszą noc w wielkim mieście - mruknął.
 - Na tym polega problem z szefami Gildii. Brak wam spontaniczności.

Rozdział 5

Gorączka pożądania ogarnęła go, zanim jeszcze wyszedł z katakumb. To ona podrezowała wszystkie jego zmysły, tak że był w pełni świadomy swojej mocy.

Mało brakowało, a tej nocy noga by mu się powinęła. Przez tego głupiego, strachliwego chemika ta stara baba prawie by mu uciekła z katakumb. Niełatwo zabić te twarde szczury ruin.

Gdy pojawił się na miejscu, żeby posprzątać bałagan, Bertha Newell i jej komunalny slider już zniknęli. Na zielonej kwarcowej posadzce pozostała tylko kałuża krwi. Starucha musiała się ocknąć i zdążyła odjechać swym pojazdem w głąb labiryntu tuneli. Pewnie bała się wrócić na powierzchnię, przekonana, że ktoś tam na nią już czeka. I miała rację. Teraz, gdy już wiedzieli, że widziała laboratorium, nie mogli pozwolić, by uszła z życiem.

Na szczęście chemik zanotował częstotliwość rezobursztynu lokalizatora przy sliderze. To była jedyna mądra rzecz, jaką ten głupek dzisiaj zrobił.

Zacisnął ręce na kierownicy swojego slidera. Gdyby nie to, że chemik był jedyną osobą, która dokładnie wiedziała, jak zamienić świetliste psi - zioło w magiczny pył, już dawno by się go pozbył. Ale bez tego cholernego chemika zioła były tylko wyschniętym zielskiem i niczym więcej.

Wyśledzenie slidera Newell w tunelach nie nastreczyło mu trudności. Niestety, gdy już go dopadł, baba zdążyła porzucić komunalny pojazd i uciec w głąb korytarzy z ich mnóstwem komnat, przedsionków i labiryntowych pasażów.

Miał nadzieję, że smuga krwi sączącej się z rany tej kobiety doprowadzi go od slidera do miejsca, w którym się ukryła, ale nie zauważył żadnych śladów krwi. Newell chyba udało się jakoś zahamować krwawienie.

W końcu był zmuszony zrezygnować z pościgu.

Żałował, że nie jest w stanie upewnić się na sto procent, iż baba nie żyje, ale użył swych pararezonerskich mocy przynajmniej do tego, żeby, jeśli nawet przeżyła, nigdy nie mogła wyjść na powierzchnię.

Jest mało prawdopodobne, że ktoś wyśle za nią ekipę ratowniczo-poszukiwawczą, przekonywał sam siebie. Szczury ruin są obsesyjnie skryte. Większość w końcu wpada w skrajną paranoję. Pracują samotnie, rzadko kiedy zdradzają komuś częstotliwość osobistego bursztynu i ze strachu przed konkurencją nigdy nie mówią, gdzie prowadzą wykopaliska.

Ale nawet jeśli ktoś przez przypadek zatęskni za Newell i wyśle za nią ekipę ratunkową, natknie się na pewien problem. Rezobursztyn lokalizatora przy jej sliderze już nie działał. Tyle że nikt z pewnością nie będzie jej szukał, bo przecież wszyscy mieli głęboko w nosie los zaginionego szczura ruin.

Zostawił swojego slidera w zielonej kwarcowej komnacie, gdzie zawsze go trzymał, i tak szybko, jak to tylko możliwe, ruszył do wyjścia na powierzchnię. Tym razem był naprawdę wściekle napalony, bo musiał użyć niebieskiego światła. Gorączka dopalania się rozszarpywała mu ciało, przepływając przez nie gorącymi falami pożądania.

Musi mieć jakąś kobietę, nim nadejdzie omdlenie. Jej -tej upatrzonej - nie może mieć, przynajmniej jeszcze nie teraz, a ta druga dokądś wyjechała.

Będę się musiał zaspokoić uliczną kurewką, myślał, wspinając się szybko po schodach prowadzących na powierzchnię ziemi.

Znalazł ją niebawem w krętej, zapuszczonej alejce. Była blondynką i wyglądała na tanią dziwkę. Przykucnięta na progu słabo oświetlonych drzwi, w kusej czerwonej sukience, ćmiła synchropapierosa.

Na szczęście mgła była teraz tak gęsta, że nawet jeśli ktoś zauważyłby, że rozmawia z dziewczyną, nie mógłby go rozpoznać.

Wielkim wysiłkiem woli udało mu się na tyle nad sobą zapanować, że nie dał po sobie poznać, jak bardzo zżera go zwierzęca żądza. A nie było to łatwe.

- Wyglądasz na zmarzniętą - powiedział, podchodząc do niej.

Opuściła papierosa i zmierzyła go profesjonalnym spojrzeniem.

- Masz ochotę mnie rozgrzać, przystojniaczku? - zapytała.

- Z wielką przyjemnością.

- To cię będzie kosztowało siedemdziesiąt pięć dolców. Forsa z góry.

Sięgnął do kieszeni po małą paczuszkę.

- Mam coś lepszego niż pieniądze

Wzięła paczuszkę, otworzyła ją i lekko pociągnęła nosem. W przyćmionym świetle omiatającym ganek widział, jak jej całkiem ładną twarz wykrzywia grymas radosnej niecierpliwości.

- Pył wystarczy. - Wstała i otworzyła drzwi. - Co powiesz na to, żebyśmy poszli do mnie, na górę?

- Spiesz mi się - odparł, przechodząc za dziewczyną przez drzwi.

- Wiem. Wam wszystkim zawsze się spieszy.

W ostatniej chwili udało mu się wrócić do swojego mieszkania przed omdleniem. W rezultacie zbyt szybkiego uśmierzenia gorączki - nazywano to dopalaniem się - czuł się jak wampir. Po początkowym euforycznym pożądlwym uniesieniu przychodziło nieuniknione zapadnięcie się w głęboki, ciężki sen, przed którym nie było ucieczki.

Kiedy się obudził następnego ranka, sięgnął po swój dziennik. Czas wprowadzić kolejne zmiany do bardzo szczegółowego planu, który opracował przed kilku miesiącami.

Ale najpierw zanotował w dzienniku dwa ostatnie zgony. Przy nazwisku Berthy Newell postawił mały znak zapytania, bo choć miał pewność, że nie wydobędzie się z katakumb żywa, jednak nie widział jej martwego ciała. A lubił być dokładny.

Jednak co do kurewki nie miał żadnych wątpliwości. Dawka pyłu, którą jej dał, była przygotowana przez chemika na takie właśnie okazje. Nikt by nie przeżył po wzięciu takiej ilości.

Rozdział 6

Elly impulsem energetycznym wyrezowała kod w nowoczesnym zamku, który Bertha zainstalowała w ukrytych stalowych drzwiach. Rozległ się cichy zgrzyt, gdy zamek się otwierał.

- Ja to zrobię. - Cooper przełożył latarkę do lewej ręki, chwycił ciężką klamkę prawą ręką i pociągnął drzwi do siebie. Zawiasy zaskrzypiały. - Wejście wygląda na stare. Może nawet z okresu Wczesnokolonialnego.

- Moja szczurza dziura też jest z tego okresu - poinformowała Elly. - Wszystkie domy w Starej Dzielnicy wybudowano mniej więcej w tym samym czasie.

Przeszli przez drzwi i zeszli w dół długimi schodami. Na dole znajoma zielona poświata

obramowywała otwór o nierównych krawędziach, ziejący w zielonej kwarcowej ścianie tunelu.

Elly wiedziała, że żadna istota ludzka nie byłaby w stanie zrobić tych wyrw w niemal niezniszczalnym zielonym kwarcu. Niektórzy eksperci przypuszczali, że otwory wykonali obcy przy użyciu tych samych maszyn, których używali do budowy katakumb. Inna teoria mówiła, że wyrwy powstały w dalekiej przeszłości na skutek potężnych wstrząsów skorupy planety.

Z otworu płynął niewidoczny strumień energii psi. Przepływał przez wszystkie zmysły Elly. Rose, siedząca na jej ramieniu, znieruchomiała w oczekiwaniu.

Cooper przyglądał się z zaciekawieniem Elly, oblanej szmaragdowym światłem.

- Ty też to czujesz? - zapytał. W jego głosie słychać było zdumienie.

- Oczywiście. Wyczuwam moc psi, gdy jest jej dużo - wyjaśniła krótko. - Większość ludzi ją wyczuwa. Jak sądzisz, dlaczego właśnie w Starych Dzielnicach wszystkich miast są najpopularniejsze nocne kluby, kasyna i restauracje? Turyści lubią to lekkie oszołomienie, które wywołuje energia psi.

- Ty też tak ją odczuwasz? Właśnie jak lekkie oszołomienie?

- Nie - zaprzeczyła, sięgając do torby po kompas z rezobursztynu. - Jeśli już chcesz wiedzieć, to czuję się tak, jakbym patrzyła przez przyciemnione lustro. Potrafię wyczuć kształty i cienie poruszające się po drugiej stronie, ale nie mogę ich wyraźnie zobaczyć. To frustrujące. I między innymi dlatego tak rzadko korzystam z tego otworu. Schodziłam do tuneli kilka razy z moją przyjaciółką Doreen, ale to wszystko.

- Nigdy nie opowiadałaś, jak to jest nie mieć równie silnego parapsychoicznego profilu co reszta członków rodziny.

- O wielu rzeczach sobie nie opowiadaliśmy, Cooper. - Elly ruszyła do wyrwy w ścianie.

- Pójdę pierwszy. - Cooper odsunął ją na bok i wszedł przez otwór do tunelu.

Typowy łowca, pomyślała. Jak tylko znajdzie się w podziemiach, od razu przejmuje dowodzenie. Ale łowcy zostali do tego wyszkoleni, zreflektowała się. Bezpieczeństwo ekip badawczych i wykopaliskowych zależało od ludzi o silnym charakterze, a takimi są łowcy. W krytycznej sytuacji potrafią poradzić sobie z często bardzo zarozumiałymi i ogarniętymi gorączką poszukiwawczą naukowcami, do których ochrony zostali wynajęci.

Weszła za Cooperem do mrocznego, zielonego przedsionka.

Cooper z zastanowieniem przyglądał się rozciągającemu się przed nimi, zdawałoby się w nieskończoność, korytarzowi z licznymi sklepionymi otworami w ścianach i rozgałęzieniami.

- Podaj mi częstotliwość, którą ujawniła ci twoja przyjaciółka - poprosił, wyciągając z kieszeni mały, mieszczący się w dłoni, uruchamiany bursztynem lokalizator.

Żaden łowca wart swego bursztynu nie pójdzie nigdzie bez kompasu z rezobursztynu i lokalizatora, pomyślała z ironią Elly. Jej ojciec i bracia nie rozstawali się z nimi nawet wtedy, gdy wybierali się na przyjęcia.

Wręczyła skrawek papieru Cooperowi i czekała, aż wpisze częstotliwość komunalnego slidera Berthy do lokalizatora.

- Niczego nie odbieram - oświadczył, marszcząc czoło. - Jesteś pewna, że to dobra częstotliwość?

- Tak. Ale może lokalizator jej slidera przestał z jakiegoś powodu działać. - Zaczęła szperać w torbie. - Bertha podała mi też kod do swojego osobistego bursztynu.

- Wypróbujmy go.

Odczytała następną częstotliwość. Cooper wprowadził liczby do lokalizatora i z zadowoleniem skinął głową.

- Mam odbiór - rzekł. - Niedaleko stąd.

- Dzięki Bogu.

- Chodźmy.

Ruszył przed siebie - teraz już skupiony na zadaniu -tak szybko, że Elly ledwo za nim nadążała.

Otwór w ścianie za nimi znikł im z oczu, gdy po raz pierwszy skręcili. Elly obejrzała się przez ramię, zaskoczona jak zawsze, gdy schodziła pod ziemię, że katakumby tak szybko zmieniają się w dezorientującą gmatwaninę korytarzy. Zalany miękką poświatą labirynt całkowicie wypaczał zmysł orientacji. Chociaż pokonali tylko nieduży dystans, bez bursztynu nigdy nie zdołaliby odnaleźć drogi powrotnej do piwnicy Berthy lub jakiegokolwiek innego wyjścia.

Pomimo stymulacji energią psi wydzielającą się ze ścian tuneli, Elly poczuła na karku nieprzyjemny dreszcz.

- Gdy jestem w katakumbach, zawsze myślę o tej książeczce dla dzieci, *Przygody Alicji w Krainie Bursztynu* - wyznała.

Cooper zerknął na kompas i znów skręcił.

- Nigdy jej nie czytałem.

- Chyba żartujesz. To przecież klasyka. Podobno oparta jest na starej ziemskiej historii. Opowiada o małej dziewczynce, która wpada do nory kurzaka i potem przeżywa mnóstwo przygód w katakumbach. Twoja mama nie czytała ci tej książki, kiedy byłeś mały? Kolejny zakręt.

- Może czytała mi wtedy *Historię zamknięcia Kurtyny Nishikawy*.

- Bez obrazy, ale to chyba najdłuższa i najnudniejsza książka, jaką kiedykolwiek

napisano. No i niezbyt odpowiednia dla dzieci.

- Mnie się podobała. - Cooper wszedł do długiego, krętego korytarza. - Ale pamiętaj, że jestem bibliotekarzem Gildii. Historia to moja dziedzina.

- Kiedyś może i byłeś bibliotekarzem, ale teraz jesteś szefem Gildii - przypomniała chłodno. - Przy okazji, z chęcią bym się dowiedziała, jak ci się udał taki skok.

- Przecież wiesz, jak dostałem tę robotę. Wybrali mnie twój ojciec i reszta członków Rady.

- Jeszcze nigdy, ale to przenigdy nie słyszałam, żeby bibliotekarzowi zaproponowano wejście do zarządu.

- Zawsze jest czas na pierwszy raz. Ale jeśli masz taki problem z moim awansem, to dlaczego zgodziłaś się na zaręczyny?

- Bo już zaczęliśmy się spotykać i sądziłam, że znam cię na tyle dobrze, że warto zaryzykować.

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Jesteś pewna, że nie chodziło o to, że naciskali na ciebie rodzice i reszta twojego klanu? Ze zdumienia po prostu odebrało jej mowę. Minęły całe trzy sekundy, zanim ją odzyskała.

- Nie bądź śmieszny - rzuciła ostro.

Wzruszył ramionami.

- Sama mówiłaś, że małżeństwa na szczytach Gildii są aranżowane z myślą o polityce i koneksjach. Córka, która zawiera Małżeństwo Przymierza z szefem Gildii, to dla większości klanów pewnie wymarzony cel.

- Nie twierdzą, że moi rodzice nie byli entuzjastycznie nastawieni do naszych planów małżeńskich, ale gdyby zależało im tylko na związku z przywódcą Gildii, namawiali by mnie, żebym okazała względy twojemu poprzednikowi.

Cooper nie potrafił ukryć zdumienia.

- Haggerty chciał się z tobą spotykać?

- Myślę, że planował Małżeństwo Przymierza ze mną, jeśli już chcesz znać prawdę. Kiedy jego ostatnie Małżeństwo z Rozsądku dobiegło końca, wyraźnie dawał do zrozumienia, że rozgląda się za stałą partnerką i że jego zdaniem ja jestem doskonałą kandydatką.

- Twój ojciec na to się nie zgodził?

- Nie, ani nikt inny z rodziny. Ale to ja przede wszystkim nie byłam zainteresowana.

- Pozwolisz, że zapytam, dlaczego? Haggerty był w odpowiednim wieku. Pochodził ze starej rodziny związanej z Gildią. Silny pararezonator. Wykształcony. Dobrze wychowany. - Zawahał się. - Odnosiłem wrażenie, że podobał się kobietom.

- A jemu kobiety. - Elly się skrzywiła.

- To coś złego?

- Nie, gdyby miał coś choć trochę przypominającego moralny kompas. Wszyscy wiedzieli, że Haggerty to okropny kobieciarz. W ciągu pięciu lat, gdy zarządzał Gildią, zawarł trzy Małżeństwa z Rozsądku, każde z inną kobietą. Bóg jeden wie, ile utrzymanek i kochanek miał na boku. - Elly się wzdrygnęła. - Z pewnością nie był to mężczyzna, którego ja lub moja rodzina uznalibyśmy za dobry materiał na męża.

- Ha.

- Zdaje się, że masz lekkie kłopoty z przetwarzaniem danych - zauważyła. - Naprawdę myślałeś, że jedynym powodem, dla którego chciałam za ciebie wyjść, był nacisk mojej rodziny?

- Po twoim wyjeździe - odezwał się cicho - zacząłem się zastanawiać.

- No więc już się nie zastanawiaj. Zgodziłam się na zaręczyny, bo przez chwilę myślałam, że do siebie pasujemy.

- Ale zmieniłaś zdanie.

- Dopiero wtedy, kiedy zrozumiałam, że Gildia będzie u ciebie zawsze na pierwszym miejscu.

- Nigdy nie przyszło ci na myśl, że może masz o mnie błędne wyobrażenie?

- Wyjaśniłeś mi wszystko tego dnia, gdy powiedziałeś, dlaczego pojedykowałeś się z Frazierem.

- Co do tego pojedyku...

- Zapomnij o tym. To już przeszłość. I zmienimy temat. Wracając do ludzi Gildii, nie zastanawiałeś się nigdy, co tak naprawdę przydarzyło się Haggerty'emu?

Spojrzał na nią, marszcząc czoło.

- Co masz na myśli? Wszyscy wiedzą, że zszedł do katakumb, dostał zawału serca i zmarł.

- Och, tak brzmi oficjalna wersja. - Elly prychnęła. - Ale mówiąc między nami, mam inną teorię.

- Tak? Co twoim zdaniem mu się przytrafiło?

- Przyszło mi na myśl, że mogła go wykończyć jedna z jego kochanek lub byłych małżonek - wyjaśniła Elly, wyraźnie podekscytowana swoimi konspiracyjnymi wywodami. - Takie wytłumaczenie jest moim zdaniem o wiele bardziej logiczne. Bo przecież Haggerty cieszył się przed wypadkiem doskonałym zdrowiem.

- Mówi się, że pierwszym sygnałem ostrzegawczym przed atakiem serca jest atak serca.

- Wiem, jednak mimo to jestem przekonana, że Haggerty nie zmarł na skutek naturalnych przyczyn.

- Ale, do licha, dlaczego sądzisz, że zamordowała go kochanka lub była żona?

- Jakoś samo mi to wpadło do głowy - wyznała Elly nie bez cienia dumy.

Cooper zatrzymał się na środku korytarza, złapał Elly za ramię i odwrócił do siebie tak, żeby musiała spojrzeć mu prosto w oczy.

- Dobrze go znałaś?

- Już ci mówiłam. Próbował naciskać na moją rodzinę, żeby się zgodziła na Małżeństwo Przymierza.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Wzruszyła ramionami.

- Spotkaliśmy się na kilku imprezach Gildii. Kilka razy rozmawialiśmy. Myślał, że mnie oczaruje jak resztę kobiet. Podrywał mnie. Powiedziałam mu jasno, żeby trzymał łapska przy sobie i że absolutnie nie jestem nim zainteresowana. I na tym się skończyło.

- Haggerty cię podrywał?

- Tak. Nie wspominałam o tym tacie, bo się bałam, że będzie się go czepiał. Poza tym, co mówię każdemu komu trzeba, potrafię poradzić sobie z facetami, którzy chcą się ze mną ożenić tylko ze względu na koneksje z Gildią.

- No wiesz - spokojnie powiedział Cooper. - Mnie tego nie mówiłaś.

- Bo nie było potrzeby. Nie mieszkałaś nawet wtedy w Aurora Springs. Przeprowadziłaś się chyba na miesiąc przed śmiercią Haggerty'ego. - Elly zmarszczyła czoło. - Ale skup się, Cooper. Szukamy Berthy.

Westchnął ciężko. Elly odniosła wrażenie, że z wielkim wysiłkiem stara się opanować. Znów ruszył przed siebie, stawiając długie kroki.

- Jeszcze jedno słowo o Haggertym, nim porzucimy ten temat - odezwał się.

Musiała podbiec, żeby się z nim zrównać.

- Tak?

- Ta twoja teoria, że mógł zostać zamordowany.

- O co ci chodzi?

- Zachowaj ją dla siebie.

Twardy ton jego głosu zaskoczył Elly. To nie była sugestia, pomyślała. To był rozkaz wydany przez szefa Gildii - Hm. Interesujące.

Zastanawiała się, jak go podejść, żeby powiedział coś więcej, ale niespodziewanie tuż przy jej lewym uchu rozległo się ostrzegawcze warknięcie.

- Rose? - Szybko odwróciła głowę, żeby spojrzeć na kurzaka.

Rose nie była już postrzępioną kulką nastroszonych kłaczków. Rozciągnęła się, a jej sierść stała się gładka i zaczęła przylegać do ciała stworka. Widać było wszystkie cztery oczy, sześć nóg i groźne, ostre zęby. Z napięciem wpatrywała się w punkt, w którym przecinały się

dwa korytarze. Zbliżali się do niego.

Elly otworzyła usta, żeby ostrzec Coopera, ale zobaczyła, że on już się zatrzymał i tak jak Rose z napięciem wpatruje się w coś kryjącego się za zakrętem. Emanujące z obojga napięcie było niepokojąco podobne.

Dwoje gotowych do walki drapieżników, pomyślała.

Spojrzała na skrzyżowanie dróg. Było takie samo jak kilka innych, które mijali. Miało kształt ronda, z którego w różnych kierunkach rozchodziło się pięć błyszczących zielonych korytarzy.

- O co chodzi? - zapytała.

- Energia paranormalna - wyjaśnił Cooper. - Całe mnóstwo. Trzymaj się z tyłu za mną.

Westchnęła.

- I znów zaczynasz wydawać, całkiem niepotrzebnie, polecenia. Nie martw się. Wiem, jak się zachować. Nie zrobię niczego głupiego.

- Liczę na to.

Bez ostrzeżenia Rose przeskoczyła z jej ramienia na ramię Coopera.

- Co to...? - zaczął, ale natychmiast się uśmiechnął pokazując rząd równych zębów. - W porządku, ślicznotko. Nie pogardzę twoim wsparciem.

Z Rose na ramieniu ruszył w stronę przecięcia korytarzy.

- Uważajcie na siebie - zawołała za nimi Elly.

Szła za Cooperem w stosownej odległości, ale nie martwiła się zbytnio o jego i Rose bezpieczeństwo. Któż inny jak nie potężny szef Gildii Aurora Springs poradziłby sobie lepiej z duchem grasującym w katakumbach? Martwiła się raczej o to, że właśnie ten NiZOED przed nimi jest powodem, dla którego Bertha nie wróciła na powierzchnię.

Gdy dotarł do podziemnego ronda, bez wahania skręcił w najbliższy korytarz. Elly szła za nim, zachowując odpowiednią ostrożność.

Cooper zatrzymał się tak gwałtownie, że Rose musiała zaprzeć się wszystkimi sześcioma łapami, żeby nie spaść na ziemię.

- Co jest?

- Mamy problem - odparł spokojnie, zaglądając w korytarz.

Dotarła do okrągłego skrzyżowania i też skręciła w korytarz, w którym zatrzymał się Cooper, żeby się przekonać, co tak przykuło jego uwagę.

Wyczuła nową dawkę energii psi, zanim jeszcze ujrzała jej źródło.

Przez kilka sekund docierało do niej tylko to, że coś jest nie tak ze światłem. Cooper i Rose byli skąpani w dziwnej, pulsującej poświacie. Ale to nie była znajoma kwaskowata zieleń, którą Elly kojarzyła z energią duchów i kwarcowymi ścianami. Zamiast niej ujrzała upiorny,

nienaturalny błękit, z przedziwną siłą działający na jej zmysły. Zaczynała tracić orientację.

Czy takie są właśnie zawroty głowy? - pomyślała.

Wpatrywała się w wirujące kłębowisko energii. Miała wrażenie, że ogląda tornado lub wodny wir.

Wir zaczynał się tuż nad podłogą. Dół wirującej spirali ginął w jednym znikającym punkcie. Strzelał iskrami. Wściekle, gryzące światło wirowało w dzikim rozlewisku fal energii dysonansu, całkowicie pokrywającej podłogę szerokiego tunelu, od ściany do ściany.

Niebieskie tornado, oprócz okazjonalnych trzasków miniaturowych błyskawic, wirowało bezgłośnie. Ale zmysły psi Elly łomotały niczym szyby okienne podczas gwałtownej burzy.

- Co się dzieje z podłogą? - zapytała, zaszokowana.

- Niebieski duch - rzekł Cooper.

- Nie. - Potrząsnęła głową, niczego nie rozumiejąc. - To niemożliwe. Coś takiego przecież nie istnieje. Niebieskie duchy to bajeczki opowiadane przez starych łowców. Wszyscy to wiedzą.

Ale jednak to coś jest zdecydowanie jakąś formą energii dysonansu, myślała. Przejawem dzikiej, jaskrawej mocy.

- Czy to slider twojej przyjaciółki? - zapytał Cooper.

Udało jej się oderwać wzrok od wiru i dostrzegła znajomy kształt starego komunalnego slidera Berthy. Stał przy obrzeżu pulsującego, falującego kłębowiska energii, która uderzała w jedno z tylnych kół, jakby próbowała wessać pojazd w sam środek trąby powietrznej.

Ale Berthy nigdzie nie było widać.

- Dobry Boże - szepnęła Elly. Przerazenie zatykało jej gardło. - Duch ją dopadł. Nikt nie przeżyje bliskiego zetknięcia z czymś takim. Ale gdzie jest ciało? Nie ma ciała.

Rozdział 7

Cooper patrzył na przerażoną twarz Elly. W pulsującym świetle sama Elly wyglądała niczym staroświecki duch z dawnych, dawno minionych czasów.

- Tylko nie wpadaj mi tu w panikę - powiedział, nadając głosowi ton chłodnej komendy. Takim tonem zwracał się do innych, gdy pracował w katakumbach jako łowca. - Histerię zostaw na później. Nie ma teraz na nią czasu.

- Wcale nie panikuję - warknęła, poirytowana. - Tylko się strasznie martwię o Berthę. To jednak różnica.

Lodowata wściekłość w jej głosie przekonała go, że nie kłamie.

- Dobrze. Wierzę ci. Nie mamy tu teraz wyboru. Zderezonuję tę rzecz, a potem poszukamy Berthy.

Elly wybałuszyła na niego oczy.

- Potrafisz rozbroić tego potwora?

- Potrafię.

- Ho, ho. Okay, jestem pod wrażeniem, panie szefie Gildii.

Był zdumiony, że mu uwierzyła, bo inni na jej miejscu mieliby sporo wątpliwości.

- Cooper?

Przyglądał się niebieskiemu duchowi, uważnie go sondując.

- Tak?

- Czy... czy twoim zdaniem ten niebieski NiZOED pochłonął w jakiś sposób Berthę i... i spalił ją?

- Energia duchów nie jest aż tak ogromna, żeby zniszczyć skórę i kości. Może ciało przypiec lub oparzyć, ale to wszystko. Ta energia przede wszystkim wpływa na zmysły psi. Wiesz to tak samo dobrze jak ja.

- Ale jest niebieski duch. Nic o nich nie wiadomo. Podobno nawet nie istnieją.

- Daj mi chwilkę, żebym mógł się go pozbyć, a potem sprawdzimy, z czym mamy do czynienia. - Zdjął Rose z ramienia i oddał ją Elly. - Masz, weź tę ślicznotkę. Tu może się zrobić gorąco i nie chcę, żeby jej się oberwało.

- Jasne. - Elly opiekuńczo osłoniła Rosę własnymi ramionami.

- Wejdz do innego tunelu - dodał Cooper. - Tak na wszelki wypadek, jeśli tutaj sprawy wymkną mi się spod kontroli.

Wykonała polecenie i ukryła się w jednym z korytarzy o łukowatym sklepieniu.

Gdy uznał, że Elly znajduje się w bezpiecznej odległości od niebieskiego sztormu, przystąpił do dzieła. Swoimi parapsychicznymi zmysłami zaczął zbierać niebieską energię dysonansu z otaczającego powietrza.

Początkowo nie była widoczna dla oka, ale gdy zmusił ją do zbiccia się w zwartą, jarzącą się kulę, przybrała niebieski odcień.

Sprawił, że przemieniła się w wir. Z jakiegoś nieznanego dotąd powodu wir był najbardziej naturalną formą skupiania się energii niebieskich duchów. Dostosował odpowiednio układ fal dysonansu, wzmacniając te fale, które rezonowały przeciwnie do fal ducha wirującego na posadzce.

Poziom mocy psi uwięzionej w zamkniętej przestrzeni szybko się podnosił. Cooper musiał się coraz bardziej koncentrować, by nad nią panować. Gdyby utracił kontrolę, gwałtownie napierające fale przepotężnej energii zalałyby nie tylko jego zmysły, ale

prawdopodobnie dotarłyby do miejsca, w którym ukryła się Elly.

Gdy mu się udało wytworzyć odpowiednią barwę i układ fal, zainicjował proces łączenia wykreowanego przez siebie ducha z niebieskim wirem blokującym korytarz.

To był najbardziej niebezpieczny etap. Cooper zamierzał teraz użyć ducha, którego wygenerował, do rozbicia układu fal energii ducha zagradzającego im drogę. Jeden błędny ruch Coopera mógł spowodować eksplozję nagromadzonej energii, a gwałtowne uderzenie fal energii psi mogłoby pozbawić go przytomności.

W korytarzu jarzyło się teraz tak silne światło, że trudno było coś zobaczyć. Cooper przymrużył oczy. Żałował, że nie wziął ze sobą ciemnych okularów. Bardzo by mu się teraz przydały. Musi o tym pamiętać, gdy następnym razem umówi się na spotkanie z Elly. Jego nowe motto życiowe brzmiało: bądź zawsze przygotowany.

Dwa duchy połączyły się w oślepiającym błysku światła i energii.

I nagle silne świecenie ustało.

- Zniknął - szepnęła Elly. - To było po prostu niesamowite.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Nie. Ani mnie, ani Rose. - Elly szybko do niego podeszła. - A tobie?

- Też nic. - Przynajmniej na razie, pomyślał, ale niedługo będę miał poważny problem.

Muszę stąd wyjść, zanim dopadnie mnie syndrom dopalenia się.

Jeszcze raz szybko sprawdził częstotliwości.

- Zgodnie z odczytem stoimy niemal nad twoją przyjaciółką.

- Ale jej tu nigdzie nie widać. Jest tylko jej slider.

- Przynajmniej wiemy już, dlaczego jego lokalizator nie rezonował z częstotliwością.

Niebieski duch go usmażył. - Cooper rozejrzał się dokoła. - Mamy nie więcej niż piętnaście minut. Potem musimy wrócić tam, skąd tu wchodziliśmy.

Elly popatrzyła na niego z nagłym niepokojem.

- Rozbrajając tego niebieskiego ducha, stopiłeś bursztyn?

- Tak.

Nastrojone bursztyny, gdy przesłało się przez nie zwiększoną ilość mocy, co prawda się nie roztopiały, niemniej częściowo traciły zdolność podtrzymywania intensywnego, skoncentrowanego ogniska energii psi.

Cooper wpatrzony w wyświetlacz lokalizatora szybko ruszył przed siebie. Gdy mijał wąski otwór w ścianie, wyświetlacz ostro zabrzączał.

Zatrzymał się i zajrzał do pomieszczenia. Jak w tysiącach innych, usytuowanych wzdłuż niekończących się korytarzy, jego proporcje były nieco odmienne niż przyjęte w świecie ludzi. To akurat pomieszczenie było zbyt wysokie i zbyt wąskie, a kąty w miejscu styku ścian

nie wyglądały na proste.

Nieruchoma kobieca postać leżała na żarzącej się posadzce. Kobieta, w średnim wieku, a może starsza, była ubrana w sweter z długimi rękawami, ogrodniczki i ciężkie buty. Na krótkie siwe włosy miała naciągniętą wełnianą czapkę.

- Tutaj jest - powiedział. Wszedł do pomieszczenia i przykucnął przy nieruchomej postaci, żeby sprawdzić puls. - I żyje.

- Dzięki Bogu. - Elly wbiegła do pokoju. - Bertho. - Opadła na kolana. - Jest nieprzytomna.

- Nic dziwnego. Pewnie zanim się tu znalazła, niebieski duch owiał ją swoją energią. Szczęście, że nie spłonęła od żaru.

- Nie spłonęła, ale spotkało ją coś bardzo złego. - Elly delikatnie dotknęła czapki na głowie przyjaciółki. - Spójrz. Jest mokra od krwi. Berta musiała uderzyć się w głowę, gdy upadła. Trzeba koniecznie ją stąd zabrać.

Cooper spojrział na zegarek. Czas szybko uciekał.

- Skorzystamy z jej slidera - oświadczył. Zatrzymał się przy wejściu i napotkał wzrok Elly. - I jeszcze jedno. Coś bardzo ważnego.

- O co chodzi?

- Kiedy się ocknie, prawdopodobnie nie będzie pamiętała, co się wydarzyło tuż przed upadkiem i uderzeniem się w głowę. Jeśli nawet duch ją owiał swoją energią, na pewno będzie miała amnezję. Z jej pamięci zostaną usunięte wszystkie wydarzenia z ostatnich kilku godzin.

- Wiem o tym, ale co z tego?

- Powiemy jej, że spotkała się z duchem, ale nie powiemy, że był to duch niebieski. Niech myśli, że miała do czynienia ze zwyczajnym NiZOED-em.

Elly powoli podniosła się z kolan.

- I tak pewnie nie uwierzyłyby, że wpadła na niebieskiego.

- I jest coś jeszcze - dodał cicho.

- Co tym razem?

- Możesz jej powiedzieć, że przyjechałem z Aurora Springs, ale nie chcę, żeby wiedziała o moich powiązaniach z Gildią.

Elly zmarszczyła nos.

- Jakie tam powiązania? Przecież jesteś szefem Gildii.

- Nie chcę, żeby ona lub ktokolwiek inny w tym mieście wiedział, kim jestem. Od tej chwili nazywam się Cooper Jones.

- Ale dlaczego? - dziwiła się Elly.

- To skomplikowane.
- Pozwól, że zgadnę - mruknęła. - Chodzi o interesy Gildii, co?
- Owszem.
- Przebóg, też mi nowość.

Zignorował kpiącą uwagę i wyszedł na korytarz, żeby przyprowadzić slider. Niebieski duch to coś więcej niż rutynowa sprawa Gildii. To była potencjalna społeczna katastrofa, która może zagrozić przyszłości wszystkich organizacji powiązanych z Gildią.

W opinii społecznej niebieskie duchy nie istniały. I nie istnieli tacy łowcy jak Cooper, którzy potrafią rozbierać te niezwykle fantomy. Od chwili powstania Gildia za wszelką cenę starała się utrzymać ich istnienie w głębokiej tajemnicy. Wysilek się opłacił. Po latach niebieskie duchy i ci, którzy potrafili nimi manipulować, przeszli do krainy mitów i legend.

Jest jeden, bardzo ważny, powód, dla którego ukrywa się prawdę, pomyślał, głęboko o tym przekonany. Co stanie się z ludźmi, gdy mity i legendy ożyją?

Rozdział 8

Bertha poruszyła się i otworzyła oczy. Elly odetchnęła z ulgą.

- Bertho, to ja, Elly. Jesteś bezpieczna.
- Elly? - Głos Berthy był zachrypnięty. Szare oczy nieprzytomne. - Co ty tutaj robisz?
- Razem z moim znajomym, Cooperem, i z Rose poszliśmy cię szukać. Nic ci się nie stało. Miałas kontakt z duchem i musiałaś, padając, uderzyć się w głowę, kiedy zemdlałaś.

Bertha skrzywiła się.

- Niczego nie pamiętam...
- Nie przejmuj się. - Elly poklepała ją po ramieniu. -Wiesz, jak to jest po spotkaniu z duchem. Za dzień lub dwa wrócisz do siebie. To najważniejsze.

Cooper wyłączył rezowaniem silnik i wysiadł z wehikułu. Twarz miał spiętą i twardą. - Przenieśmy ją do slidera.

- Nie ma potrzeby - sprzeciwiła się Bertha, ostrożnie siadając. Dotknęła ręką skroni. - Boli mnie głowa, ale to wszystko. Jutro będę jak nastrojony bursztyn.

Cooper pomógł jej stanąć.

- Moim zdaniem powinnaś się udać na ostry dyżur -poradziła Elly.
- Nie - krzyknęła kobieta. - Żadnych lekarzy. Czuję się dobrze. Naprawdę. Mam jakieś opatrunki w sliderze. Wystarczy oczyścić ranę i zabandażować głowę.

Pomogli jej wsiąść na tył pojazdu. Elly usiadła obok Berthy i otworzyła apteczkę. Z ulgą stwierdziła, że rana przyjaciółki, choć krwawa, nie wyglądała aż tak źle, jak się obawiała.

Cooper usiadł na miejscu kierowcy, ale po chwili znowu wysiadł ze slidera.

Przeszedł do miejsca, gdzie kilka minut wcześniej pulsował niebieski wir. Elly patrzyła, jak się pochyła i podnosi z ziemi jakiś mały, wąski przedmiot. Wsunął go do kieszeni i wrócił do slidera.

Zanim zdążyła go zapytać, co znalazł, już włączył silnik.

Pomyślała, że zapyta go później, i zajęła się oczyszczaniem rany Berthy.

Dziesięć minut później, przytrzymując bandaż, którym Elly obwiązała zdezynfekowaną ranę, Bercie udało się wyczłapać z piwnicy i na chwiejnych nogach wejść do pogrążonego w ciemnościach pokoju na zapleczu.

- Muszę to zdjąć - mamrotała, pocierając skroń kciukiem.

- Skoro nie chcesz jechać na pogotowie, pójdziesz do mnie - zapowiedziała twardo Elly. -

Nie zostawię cię tu samej na noc.

Przez chwilę myślała, że Bertha się sprzeciwi.

- Okay, okay - tamta odburknęła w końcu.

Cooper sprawdził godzinę na zegarku i zarzucił sobie jedną rękę Berthy na ramię.

- Chodźmy - powiedział rozkazującym tonem, najwyraźniej nadal pozostając w roli łowcy przywódcy.

- Dokądkolwiek - wymamrotała Bertha. - Najważniejsze, żebyśmy mogła się trochę przespać.

- Razem ze mną - zażartował Cooper.

Elly z rosnącym zaniepokojeniem przyglądała się, jak Cooper wyprowadza Berthę na uliczkę i sadza ją na przed nim siedzeniu spectruma. Domyślała się, że omdlenie grozi nie jednej, ale dwóm osobom. Cooper i Bertha muszą jak najszybciej znaleźć się w jej mieszkaniu.

- Ja poprowadzę. - Wyciągnęła rękę spodem dłoni do góry

- Nie musisz - warknął Cooper.

- Nie jesteś w stanie prowadzić i doskonale o tym wiesz.

- Twój sklep jest przy następnej ulicy, prawda?

- Kluczyki, Cooper.

Wyglądał na wściekłego, lecz mimo to, błyskawicznie podjąwszy decyzję - umiejętność, która bez wątpienia pomogła mu dotrzeć aż na sam szczyt Gildii w Aurora Springs - oddał kluczyki.

- Tylko uważaj - ostrzegł. - Samochód należy do znanego wszystkim szefa Gildii, który nie byłby zadowolony, gdybyś poobijała mu wóz.

- Tak, słyszałam, że ci chłopcy są okropnie przewrażliwieni

Podrzuciła kluczyki w powietrzu. Czyżby zachowywała się nonszalancko w obliczu niebezpieczeństwa?

Na nieszczęście nie udało jej się złapać kluczyków, które z brzękiem upadły na chodnik.

- Ups - mruknęła.

Cooper obserwował ją, gdy się schylała.

- To się zapowiada ogromnie interesująco – rzucił.

Prowadziła bardzo ostrożnie, bo w gęstej mgle droga była widoczna tylko na kilka metrów przed nimi. Każdy śmietnik stanowił zagrożenie.

Przejechała wąską uliczkę oddzielającą bloki i wjechała wolno w alejkę biegnącą za jej sklepem.

Była pewna, że usłyszała przeciągłe westchnienie ulgi, gdy zatrzymała się przed tylnym wejściem do Ziołowego Emporium i wyrezowała silnik.

- Widzisz? - powiedziała, oddając Cooperowi kluczyki. - Nic mu się nie stało.

Cooper bez słowa komentarza schował kluczyki. Z Rosę na ramieniu wysiadł z auta i otworzył przednie drzwi od strony pasażera, żeby pomóc wysiąść Bercie.

Elly posłała impuls energii do nowego, ciężkiego zamka, który ostatnio zainstalowała, i otworzyła drzwi sklepu. Owiały ją znajome zapachy i przyjemna struga energii psi, od razu uspokajając i wyciszając jej zmysły.

Włączyła impulsem światło. Ukazały się pęki ziół i kwiatów, wiszących główkami na dół pod sufitem i wypełniających różnego kształtu kosze.

- Moje mieszkanie jest na piętrze nad sklepem - wyjaśniła. - Musimy pomóc Bercie wejść po tych schodach.

- Przecież nie jestem inwalidką - burknęła cicho tamta i złapawszy się poręczy, zaczęła się wspinać na schody.

Elly zostawiła Coopera i poszła za przyjaciółką do pogrążonej w mroku sypialni.

Bertha zatrzymała się na jej progu, z niezadowoleniem spoglądając na porządnie zasłane łóżko.

- To twoja sypialnia - obruszyła się.

- Nie martw się. Ja się prześpię na kanapie.

- Nie mogę zająć twojego jedyne łóżka.

- Możesz i zajmiesz - oświadczyła Elly. - Proszę cię, Bertho, zrezygnuj dzisiaj z upierania się.

- Nie mogę. - Bertha weszła do pokoju i opadła na łóżko, od razu zamykając oczy. - Czuję się tak, jakby wieżowiec spadł mi na głowę.

- Wcale nie wątpię. - Elly ściągnęła ze stóp przyjaciółki ciężkie buty. - Pamiętasz coś z tego, co się wydarzyło?

- Niewiele. - Bertha podrapała się po karku. - Nie mogę teraz myśleć. Może jutro.

- Kręci ci się w głowie?

- Nie.

- Ile palców widzisz? Bertha zerknęła na rękę Elly.

- Jeden. Dobranoc.

Zaczęła chrapać.

Elly nakryła ją kocem i wyszła z sypialni, zamykając za sobą drzwi. Mam z głowy pierwszego pacjenta, pomyślała. Teraz trzeba się zająć drugim.

Rose wtoczyła się na piętro i przemknęła do kuchni w poszukiwaniu swojej miski z jedzeniem.

Elly podeszła do balustrady przy schodach i spojrzała w dół. Cooper nadal stał u podnóża schodów i chyba nieco zbyt mocno zaciskał dłoń na poręczy.

Patrzył na nią rozplómiionym wzrokiem i biło od niego jakieś dziwne napięcie.

Przez Elly przeląła się fala lodowatego zrozumienia.

- Cooper?

- Pamiętaj, nie mów jej, kim jestem.

- Tak, wiem. - Skrzywiła się. - Sprawy Gildii.

- Tak, tym bardziej że teraz wszystko jeszcze bardziej się skomplikowało.

- A co to ma znaczyć?

- Wyjaśnię ci rano. - Zdanie to wypowiedział dość niewyraźnie. - Chciałem się tylko upewnić, że rozumiesz, jakie to ważne, żeby nie mówić jej o tym niebieskim duchu.

- Nie powiem.

- Muszę stąd wyjść. - Odepchnął się od poręczy i ruszył w stronę drzwi.

- Nie sądzę. - Elly szybko zbiegła po schodach. - Nie jesteś w odpowiedniej formie, żeby prowadzić samochód, zwłaszcza że mgła jest bardzo gęsta. Będziesz musiał zostać na noc tutaj.

- To kiepski pomysł. Wrócę z rana.

- Nie pozwolę ci wyjść.

- Nic mi nie będzie. - Nie przestawał kroczyć ku drzwiom.

- Akurat. - Przebiegła obok niego i zagradzając mu drogę, oparła się o drzwi. - Ani kroku

więcej. Mówię poważnie. Nie możesz teraz nigdzie jechać tym swoim spectrumem. Stanowisz zagrożenie dla siebie i innych.

Kilkakrotnie zamrugał, a potem skinął głową, niechętnie godząc się z prawdą.

- Masz rację. Nie pojedę, ale prześpię się w nim.

- Nie ma mowy. To wprawdzie nie jest najbardziej niebezpieczna okolica w Starej Dzielnicy, ale nie jest to też Promenada Ruin, gdzie kręci się mnóstwo prywatnych patroli. Kilka dni temu było tu włamanie do jednego z pobliskich sklepów. Uwierz mi, nie powinieneś spać w samochodzie zaparkowanym w tej alejce. To proszenie się samemu o kłopoty.

Potrząsnął głową.

- Nie mogę tu zostać.

- Posłuchaj, oboje wiemy, że będziesz miał potężne załamanie po energetycznym wypaleniu. Na górze stoi całkiem wygodna kanapa. Dlaczego nie miałbyś się przespać na niej?

Jego oczy stały się bardzo, bardzo błękitne.

- Bo choć niedługo padnę, w tej chwili cały płonę. Dlatego.

- Masz gorączkę? - Zaniepokojona, zrobiła krok naprzód i położyła mu rękę na czole. -

Och, mój drogi, faktycznie jesteś rozpalony.

- To nie jest zwykła gorączka. Zejdź mi z drogi, Elly. Ostrzegam cię.

Odrzącił jej rękę, wyminął ją i szarpnięciem otworzył wejściowe drzwi.

- Przed czym mnie ostrzegasz? - zapytała, wychodząc za nim na mały podest.

Obszedł spectruma, żeby otworzyć drzwi od strony kierowcy, i spojrział na nią ponad dachem samochodu. W przyćmionym świetle żarówki nad wejściem jego twarz wyglądała jak maska.

- Pamiętasz, co ci mówiłem wcześniej? Wtedy, kiedy wygenerowałem tego małego ducha, żeby pokonać bandziora, który na nas napadł? - zapytał twardym głosem. - Że potrafię zapanować nad pożądaniem, które poprzedza zapadnięcie w śpiączkę?

- Pamiętam.

- Cóż, mówiłem prawdę, lecz tak się dzieje tylko wtedy, gdy mam do czynienia ze zwykłymi duchami. Ale ten był niebieski.

- A ty stopiłeś bursztyn, żeby go rozbroić - szepnęła, wreszcie wszystko pojmując. Cooperem zawiądnęło krańcowe pożądanie. I starał się ochronić ją przed samym sobą.

Podrapał się jedną ręką po twarzy.

- Pomimo że bardzo nie chcę niszczyć mojego wizerunku macho, jednak muszę ci powiedzieć, że to było bardzo długie osiem miesięcy i pięć dni. Nie żebym liczył.

Usiadł na miejscu kierowcy.

Osiem miesięcy i pięć dni. A jednak liczył, pomyślała Elly.

Serce zabiło w niej szybciej.

- Cooper, zaczekaj.

Zeszła na dół, otworzyła drzwi od strony pasażera, wsiadła do samochodu i zamknęła drzwi.

- Cooper, chcesz powiedzieć, że nie spotykałeś się z żadną kobietą, odkąd wyjechałam z Aurora Springs?

Patrzył przed siebie przez przednią szybę.

- Wsiadź, Elly, tak będzie lepiej dla nas obojga.

- Wsiadę, jak się dowiem, że z nikim nie spałeś przez ostatnich osiem miesięcy i pięć dni.

Odwrócił się do niej, opierając wyciągnięte ramię na oparciu fotela.

- Nikogo innego nie pragnę - wyznał. - Tylko ciebie.

Mgła całkowicie zasnęła spectruma. Atmosfera w zamkniętym, ciasnym wnętrzu wozu stała się nagle nieznośnie intymna.

Ostrożnie, pomyślała Elly. Sama jesteś dzisiaj nadmiernie podniecona. Miałaś niedawno niezłą dawkę adrenaliny, a teraz mężczyzna, który nawiedzał twoje sny przez ostatnich kilka miesięcy, mówi, że cię pożąda.

A ty pożadasz jego. Pociągał cię od pierwszego dnia znajomości. I dlatego, gdy się dowiedziałas, że jest w mieście, odnalazłaś go i poprosiłaś o pomoc, co było tylko pretekstem.

- Cooper...

- Wsiadaj z samochodu, Elly. Zignorowała go.

- Nie wiedziałam, że coś takiego do mnie czujesz.

- Twój błąd. A teraz wsiadź, proszę, z tego cholernego auta.

Krew zaczynała w niej wrzeć. W głowie jej się zakręciło. Podniecające oczekiwanie rozpalało jej ciało. Dotknęła twardego jak kamień policzka Coopera.

- Wolałabym cię pocałować - rzekła ze śmiałością, na jaką jeszcze nigdy w życiu się nie odważyła.

- Zły pomysł. Jeśli mnie pocałujesz, nie wiem, czy będę umiał się opanować.

- A kto mówił o opanowywaniu się?

Pochyliła się ku niemu i pocałowała lekko w usta.

Przez ułamek sekundy Cooper siedział nieruchomo. A w następnej sekundzie z dzikim jękiem oddał pocałunek, wbijając ją w oparcie fotela. Jego usta były gorące, wręcz parzące, i bezwzględne.

Energia - seksualna, a nie parapsychiczna - wybuchła we wnętrzu spectruma, zalewając

zmysły Elly.

Cooper przysunął się bliżej, z całą siłą napierając na nią. Żar buchał od niego falami. Przesunął usta na szyję Elly. Poczula, że jego ręka wsuwa się pod jej sweter. Jakimś cudem udało mu się rozpiąć stanik. Jego palce lekko drżały. A może to ona drżała.

Kciukiem delikatnie dotknął jej sutka. Chciała krzyknąć. Jeszcze nigdy jej skóra nie była tak wrażliwa.

- Cooper.

Podniósł głowę, żeby na nią spojrzeć. Ciężko dyszał.

- Sprawilem ci ból?

- Nie. Nie!

Jej głowa opadła na oparcie. Aby złagodzić impet gwałtownego natarcia, wbiła rozwarte dłonie w pochyloną ku niej potężną pierś Coopera. Był rozpalony. Bardzo. I ona również.

Zacisnął dłoń na jej spódnicy i szybkim ruchem podciągnął aż do pasa. Zdarł z niej majteczki.

Podniósł jej prawą nogę i oparł o deskę rozdzielczą. Jej ciało odsłoniło się przed nim, nagie i wyczekujące. Zanurzył w niej palce, a ona nagle poczuła, że jest już bardzo wilgotna.

- To ten stopiony bursztyn - szepnął Cooper.

Poruszył się w mroku, przekręcając się z nią, trzymaną w jego ramionach, tak, że teraz on znalazł się na miejscu pasażera. Ona zaś, w niepojęty dla niej sposób, dosiadała go.

Przez okna spectruma nie było już nic widać. I to nie tylko gęsta mgła na zewnątrz ograniczała widoczność. Szyby były zaparowane od wewnątrz.

Tak tu gorąco. Ogarnięta pożądaniem, drżała w objęciach Coopera.

Jego dłoń poruszała się między jej udami. W całym jej wnętrzu narastało napięcie.

Wyciągnęła rękę i rozpięła mu spodnie. Poczula w dłoni sztywny członek.

Przytrzymał jej biodra, obejmując palcami pośladki. Ustawiając ją tak, jak tego chciał, powoli i ostrożnie pociągnął na siebie.

Kiedy zorientowała się, jak jest duży, jej ciało instynktownie i wbrew jej woli stężało. Zacisnęła palce na ramionach Coopera i zamarła.

- Otwórz się dla mnie - szepnął Cooper głosem ochryplym z pożądania. - Muszę się w tobie znaleźć. Tak długo na to czekałem.

Miała wrażenie, że balansuje na granicy pomiędzy bólem a rozkoszą.

- To się może nie udać - dyszała.

Oderwał jedną dłoń od jej biodra i dotknął niezwykle delikatnego, ogromnie wrażliwego wzgórką między jej nogami. Bez ostrzeżenia, odbierając jej dech i głos, przetoczył się przez nią orgazm.

- Uda się - szepnął.

Gdy trwała w słodkim oszołomieniu, wszedł w nią głęboko. Tym razem jej ciało przyjęło go w siebie bez oporów. Drżąc pod naporem gwałtowności doznań, poczuła w sobie skurcz cudownej satysfakcji.

Z gardła Coopera wyrwał się pełen radosnego triumfu, na wpół stłumiony jęk. Miłosne spełnienie targnęło nim niczym huragan, którego potężne, ciężkie fale zalewały i ją, nadal z nim złączoną.

Przez chwilę, długą jak wieczność, cały świat przestał dla Elly istnieć. Istniało tylko jedno miejsce - przednie siedzenie samochodu Coopera. Mam tu wszystko, czego pragnę, pomyślała. Mogłaby do końca życia pozostać w tym aucie, jeśli razem z nią byłby w nim też Cooper.

I wtedy dotarło do niej, że Cooper już się nie porusza. Przeszył ją lęk.

- Cooper?

Jego głowa spoczywała na zagłówku. Oczy miał zamknięte, oddech nagle prawie ustał.

Najpierw silne podniecenie, potem zapadnięcie w śpiączkę. Już to wiedziała. Musi go wciągnąć do domu, zanim zgaśnie jak zderezowane światło. Z pewnym wysiłkiem uwolniła się z jego objęć. W całym podbrzuszu czuła przyjemną drażliwość, a wewnętrzna strona ud się lepiała.

- Cooper? - Potrząsnęła nim, najpierw delikatnie, potem już silniej. - Obudź się, szefie Gildii. Muszę cię jakoś doprowadzić do mieszkania. Mówiłam przecież, że nie możesz zostać na noc w tej alejce. To zbyt niebezpieczne.

- Co? - Jego ciemne brwi lekko się uniosły. Senny uśmiech był esencją męskiej satysfakcji. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio kochałem się w samochodzie. Muszę to częściej robić.

- Wsiadaj. - Przechyliła się przez niego i otworzyła drzwi pojazdu. Do środka wpłynęło chłodne, wilgotne powietrze. - Rusz się, Boone. Przecież nie dam rady cię podnieść.

- Jest mi tu dobrze. - Mówił niewyraźnie i znów zamknął oczy.

- Nie zostawię cię tu. Na pewno.

Gdy nie zareagował na jej słowa, przeczłogała się niezdarnie nad nim i wysiadła z auta. Sweter nadal miała zadarty powyżej biustu. Pospiesznie go zsunęła.

Światło żarówki nad tylnym wejściem do sklepu prawie nie docierało do spectruma. To nawet dobrze, pomyślała, bo jeśli jakiś sąsiad jeszcze nie śpi, nie zobaczy, jak na wpół naga wysiada z nie swojego samochodu, na którego przednim siedzeniu leży nieprzytomny mężczyzna. Chociaż, być może, ludzie w wielkim mieście nie zwracają sobie głowy takimi sprawami, pocieszała się w duchu. To nie jest mała miejscina, gdzie wszyscy uwielbiają plot-

kować.

- Wiecie co - powiedziała, nie zwracając się do nikogo konkretnie - w Aurora Springs nigdy nie miałam takich problemów.

- Ani ja - wymamrotał Cooper.

- No, jednak jeszcze nie zasnęłaś.

Wsunęła głowę do samochodu, złapała go za prawe ramię i spróbowała wyciągnąć na zewnątrz.

- Wsiadaj - powtórzyła ostro, w nadziei, że przebije się przez zaslonę głębokiego snu, w który zapadał. - I to już.

- Ple- ple- ple.

Jednak powoli wyturlał się na zewnątrz i nawet udało mu się stanąć na własnych nogach, choć musiał się przy tym ciężko oprzeć o Elly i drzwi auta. Ale i tak należały mu się słowa uznania za wytrzymałość, skoro w ogóle był w stanie się poruszać, uznała.

Pomogła mu wejść na schody i przekroczyć próg sklepu. Podbiegła do niej Rose, wyraźnie podenerwowana.

- Nic mu nie jest - zapewniła kurzaka. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

Cooper otworzył jedno oko.

- Właśnie. Jestem tu. Zасыpiam.

Kolana się pod nim ugięły. Nie mogła utrzymać jego ciężaru, ale pomogła mu osunąć się na podłogę tak, że się przy tym nie potłukł.

Wróciła do spectrumba, żeby go zamknąć, i nagle przypomniała sobie, że zostały w nim jej majteczki. Otworzyła drzwi i zajrzała na przednie siedzenie. Mały trójkąt czerwonej koronki wisiał na drążku zmiany biegów. Szybko go stamtąd zabrała i zamknęła drzwi pojazdu.

Cooper nie zdążył przymocować ducha na tablicy rejestracyjnej. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że jego drogie auto nadal będzie stało tu następnego ranka.

Pobiegła z powrotem do sklepu i impulem energii zamknęła zamek. Cooper, twarzą do góry, nadal leżał na podłodze. Miał zamknięte oczy. Nie poruszył się, kiedy wsuwała mu poduszkę pod głowę i przykrywała kocem.

Gdy już, zadowolona, uznała, że zrobiła wszystko, co w jej mocy, wyrezowała światło, wzięła Rose i poszła do siebie na górę. W połowie schodów zatrzymała się, owładnięta mieszaniną zmęczenia, zdumienia i nerwowego podekscytowania.

Co też ona wyprawia?

Jak to co? Kochała się z Cooperem Boone. Na przednim siedzeniu jego samochodu. Ni mniej, ni więcej.

Wzięła kąpiel, przebrała się w nocną koszulę i weszła do kuchni. Rose siedziała na

parapecie obok niewielkiego wazonu, w którym tkwił dziwny zielony kwiat.

Wazon dostała od matki. Evelyn St.Clair znalazła go przed laty, gdy jeszcze pracowała jako splataczka - paraarcheolożka dla prywatnego zespołu wykopaliskowego.

Oczywiście nikt nie wiedział, czy to małe naczynie o wdzięcznym kształcie przeznaczone jest do trzymania kwiatów. Jak w przypadku wszystkich artefaktów pozostawionych przez obcych, jego przeznaczenie było tajemnicą. Ale świetnie się sprawdzało w roli wazonu. Służyło również za dość ciemną i nieco upiorną lampkę nocną. Jak wszystkie zielone kwarcowe artefakty, kamień jarzył się po zapadnięciu zmroku słabym, ledwo widocznym blaskiem.

Elly podeszła do okna. Rose przesunęła się na parapecie, żeby znaleźć się bliżej jej ręki. Domyślając się, o co chodzi, Elly pogłaskała lekko kurzaka po czubku głowy. Obie wyjrzały przez okno, za którym unosiła się zielonkawa mgła.

- Najważniejsze, żebym wbiła sobie do głowy, że wszystko, co się wydarzyło tej nocy, odbiegało od normy - zwróciła się Elly do Rose. - W żadnym razie nie powinnam snuć planów na przyszłość na podstawie tego, co się stało na przednim siedzeniu spectruma.

Rose cichutko zamruczała. Czy przytakiwała jej, czy wręcz przeciwnie, nie zgadzała się, tego Elly nie wiedziała. Rose sprawiała wrażenie całkiem bystrego stworzenia, lecz to raczej mało prawdopodobne, żeby pojmowała, jakie mogą być skutki ludzkiej namiętności.

- Stopienie bursztynu zawsze mocno działa na łowcę, wiesz - wyjaśniła Elly. - A Cooper dzisiaj zlikwidował prawdziwego niebieskiego ducha. Nie wiadomo, jak wpłynie na niego ten rodzaj utraty energii psi. Bardzo możliwe że gdy się jutro ocknie, nie będzie nawet pamiętał, że się ze mną kochał.

Rose ponownie zamruczała, jakby na pocieszenie.

- Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby w ogóle niczego nie pamiętał. - Elly przez chwilę się nad tym zastanawiała. - Ale sprawa byłaby prostsza, gdyby amnezja objęła wydarzenia ostatniej pół godziny.

Rose przysiadła na tylnych nóżkach i figlarnie pacnęła łapką łodyżkę zielonego kwiatka, aż lekko się zakołysał.

- Rzecz w tym, że nie wiem, czy chcę, żeby zapomniał. Bo ja na pewno nie będę mogła zapomnieć i obawiam się, że to bardzo, ale to bardzo wszystko skomplikuje.

Rose kilkakrotnie zamrugnęła niebieskimi oczami, wyraźnie przejęta na swój kurzakowy sposób.

Elly dotknęła delikatnie płatków szmaragdowego kwiatu. Były aksamitnie, cudownie miękkie. Ale nie tylko to czuła, gdy ich dotykała. Jej paranormalne zmysły załała fala niezwyklej energii.

Dobrze to znała. Już w dzieciństwie odbierała zmysłami delikatną parapsychiczną energię wszelkiego rodzaju roślin. Dla niej każdy gatunek odróżniał się od innych właściwym tylko dla niego wzorem energetycznym, układem fal, tak jak zapachem, barwą i kształtem płatków.

Jednak problem tkwił w tym, że, o ile było wiadomo, flora Harmonii nie wydzielala energii psi, a jeśli nawet, to nie na takiej długości fal, którą wykrywałyby ludzkie parazmysły lub jakiegokolwiek elektroniczne urządzenia. Skoro Elly potrafiła odbierać rezonujące częstotliwości roślin, różniła się od innych, a gdy w grę wchodziły parapsychiczne zdolności, taka odmienność nie była uważana za coś pożądanego. Dlatego jej wyjątkowy talent cała rodzina trzymała w głębokiej tajemnicy.

A teraz dzięki niemu wiedziała, że zielony kwiat na jej parapecie jest czymś unikatowym i być może ma bardzo ważne znaczenie. Niestety, nie znała nikogo, z kim mogłaby na ten temat porozmawiać. Gdyby zaniósła kwiat do laboratorium botanicznego w celu przeprowadzenia badań, naukowcy i technicy prawdopodobnie poradziliby jej, by poszukała pomocy u terapeuty parapsychicznego.

- Chodźmy spać, Rose.

Rozdział 9

Cooper obudził się w świecie egzotycznych zapachów. Z piętra, nad nim, dobiegał odgłos czyichś kroków.

Otworzył oczy i ujrzał pęki suszonych ziół i kwiatów zawieszono pod sufitem i na ścianach wokół niego.

Rose siedziała na jego piersi, przypatrując się mu wyczekująco. Na szyi miała już inną bransoletkę. Pomiędzy kłaczkami futra pobłyskiwały różowe kamienie.

- Cześć, ślicznotko. Musisz wyjść na dwór? Mam ci otworzyć drzwi? Nie znam się na zwyczajach kurzaków.

Rose zaczęła skakać w kółko, a potem zeskoczyła na podłogę. Albo była rozradowana, albo musiała szybko znaleźć się na zewnątrz.

- Okay, okay, daj mi minutkę. Odsypiałem rozbrojenie ducha.

Lekko się krzywiąc, wolno usiadł, a następnie wstał. Na widok własnej twarzy w małym lusterku wiszącym na ścianie cicho jęknął.

- Wyglądam jak faceci, którzy kręcą się nocą po mrocznych alejkach - zwrócił się do Rose. - Muszę się wykapać. - Podrapał się po porannym zaroście. - I ogolić. Ale najpierw

sprawdźmy, czy moje auto nadal stoi na ulicy.

Otworzył tylne drzwi sklepu. Mgła również i tego dnia zasnuwała Starą Dzielnicę, tłumiąc odgłosy ruchu ulicznego i zmieniając światło dnia w półmrok zmierzchu.

Spectrum stał na swoim miejscu, tam gdzie go zostawił.

- Są nawet wszystkie koła - pochwalił się Rose. - Czyli dzielnica nie jest aż tak zła, jak uważa Elly.

Rose stała w progu, wcale nie wykazując ochoty do wyjścia na zewnątrz.

- Tylko nie mów później, że nie dałem ci szansy - mruknął Cooper.

Zszedł na chodnik, otworzył bagażnik i wyjął z niego mały podróży zestaw, który zawsze ze sobą zabierał. Worek z większością ubrań i przyborów został w hotelu, w którym zarejestrował się poprzedniego dnia.

Zamknął bagażnik i wrócił do sklepu. Rose czekała na niego w drzwiach. Wziął ją na ręce i zaczął wchodzić na schody.

Gdy dotarł na piętro, kierując się stłumionym szmerem rozmów i intensywnym zapachem świeżo krojonych pomarańczy, ujrzał przed sobą otwarte drzwi do małej, przytulnej kuchni. Nagle uprzytomnił sobie, że jest straszliwie głodny.

Elly nie zauważyła go od razu, bo pochylona szukała czegoś w lodówce. Włosy związała w gruby koński ogon. Miała na sobie rozciągnięty czerwony pulower i obcisłe dżinsy, podkreślające wdzięczną linię zgrabnego tyłeczka.

Ogarnęła go fala głodu, który nie miał nic wspólnego ze śniadaniem.

Rose wyrwała mu się z rąk i przemknęła przez kuchnię, wskoczyła na parapet i zajęła miejsce obok zielonego kwarcowego wazonu, w którym stał tylko jeden kwiatek.

Bertha siedziała przy stole w pobliżu okna z kubkiem w dużej dłoni. Wyglądało na to, że miała na głowie świeży bandaż.

Dostrzegła go, zmierzyła wzrokiem i skinęła głową.

- Ty pewnie jesteś Cooper Jones - stwierdziła stanowczym tonem. - Faktycznie wyglądasz jak ktoś, kto niedawno stopił bursztyn. Elly mówiła mi, że dużo ci zawdzięczam. Dzięki, że wyciągnąłeś wczoraj moje dupsko z katakumb.

- Nie ma sprawy - odparł. - W przeciwieństwie do Elly nie miałem nic lepszego do roboty.

Bertha zachichotała i wymownie do niego mrugnęła.

- Jeszcze nie słyszałam większego kłamstwa. Moim zdaniem mieliście zupełnie inne plany na wczorajszy wieczór. Powiem ci, że aż do dzisiaj nie wiedziałam, że Elly ma chłopaka.

- Na rany boskie, przecież nie mówiłam, że Cooper jest moim chłopakiem. - Elly

wyprostowała się i bardzo starannie zamknęła drzwi lodówki. - Powiedziałam tylko, że to przyjaciel.

- Tak, jasne, kapuję. - Siwe brwi Berthy powędrowały w górę i w dół. Ukryła uśmiech za kubkiem, który podniosła do ust.

Elly z pomarańczą w dłoni odwróciła się do Coopera.

- Dzień dobry - przywitał się z nią.

Posłała mu ten sam promienny, pewny siebie uśmiech, którym częstowała go poprzedniego wieczoru.

- Jak się czujesz?

- Czuję, że muszę się wykapać i ogolić. - Ruchem głowy wskazał kosmetyczkę. - Pozwolisz, że skorzystam z twojej łazienki?

- Proszę bardzo - odrzekła. - Właśnie rozmawialiśmy z Berthą o zeszłej nocy. Bertha niewiele może sobie przypomnieć.

Starsza kobieta westchnęła.

- Pamiętam jak przez mgłę, że jechałam sliderem do nowej części katakumb, w której przez ostatnie kilka tygodni prowadziłam wykopaliska. Pamiętam, że miałam wrażenie, że coś jest nie tak. Pod ziemią nie ignoruje się takich przeczuć.

- Nie ignoruje się - zgodził się Cooper.

- Ale za nic nie mogę sobie przypomnieć, co się działo później.

- Nie pamiętasz ducha, który cię przysmażył? - dopytywał się Cooper.

- Nie. - Bertha pokręciła głową. - Ale Elly twierdzi, że był ogromny, a ja słyszałam, że w przypadku kontaktu z takim duchem prawie nigdy się nie pamięta, co się wydarzyło.

- A ty na dodatek uderzyłaś się jeszcze w głowę - zauważyła Elly. - I dlatego moim zdaniem nigdy sobie nie przypomnisz wypadków z zeszłej nocy.

- Pewnie nie przypomnę - przytaknęła Bertha. -Szczęście, że wy dwoje mnie odnaleźliście.

- Dobrze się stało, że podałaś Elly częstotliwości swojego slidera i osobistego bursztynu.

- Cooper oparł się ramieniem o futrynę i splótł ręce na piersi. - Prawdopodobnie Elly już ci powiedziała, że duch usmażył lokalizator slidera.

Bertha kiwnęła głową.

- Tak. Wymiana będzie pewnie słono kosztowała. Ten slider jest już stary. Ciężko dostać do niego części.

- Na pewno nie chcesz, żeby cię obejrzał doktor? - zapytała Elly z troską w głosie.

- Do diabła, nigdy - zaprotestowała Bertha. - Nic mi nie będzie. Trzeba czegoś o wiele większego niż nawet ogromny zły duch, żeby zniszczyć starą splataczkę. Twoja herbatka

stawia mnie na nogi, czuję się coraz lepiej, z każdą minutą. Tak jak Cooper przede wszystkim chcę się wykapać.

- Może wykąpiesz się u mnie?

- Dzięki za propozycję, ale wolę wrócić do siebie. -Bertha spojrzała na swoje zmiętoszone spodnie i brudną koszulę. - Muszę się przebrać w coś świeżego. - Skrzywiła się. - Cholera, te ogrodniczki były nowiutkie. A teraz popatrzcie, jak wyglądają. Pełno na nich plam krwi.

- Rany na głowie zawsze bardzo krwawią - zauważyła Elly.

- Będę musiała wyrzucić te spodnie. Naprawdę szkoda. Mają tyle i takie kieszenie, jakich dokładnie potrzebuję. - Bertha poklepała jedną z kieszeni. - Aha.

- Co się stało? - zainteresowała się Elly.

- Coś chrzęści. Nie pamiętam, żebym tam coś wkładała. - Bertha podniosła klapkę i wsunęła rękę do kieszeni. -A niech mnie. Nie pamiętam, że to znalazłam.

Cooper przyglądał się, jak kładzie garść jakichś liści na stół.

- To wygląda jak wyschnięte zielsko.

- Gdzie, na zielone pioruny, znalazłam to świństwo? - Bertha ze zdumieniem kręciła głową. - I po co je schowałam do kieszeni?

Elly odłożyła pomarańczę, którą zamierzała pokroić, i uważnie przyjrzała się kupce zielska leżącej na stole. Potem do niego podeszła i podniosła kilka liści, żeby obejrzeć je z bliska.

- Muszę jeszcze sprawdzić w moim zbiorze ziół, żeby się upewnić, ale to mi wygląda na ususzone liście świetlistego psi-zioła.

- Nigdy nie słyszałam o świetlistym psi-ziole - mruknęła Bertha.

- To dzikie zioło rosnące w tropikach - wyjaśniła Elly. - Odkryła je przed stu laty grupa botaników podczas Drugiej Tropikalnej Ekspedycji. Wykazuje niezwykle farmakologiczne właściwości. Przez jakiś czas badacze sądzili, że może być pomocne w leczeniu pewnego rodzaju zaburzeń parapsychoznych. W końcu jednak zarzucono badania, bo roślina okazała się ogromnie nieprzewidywalna jako lekarstwo.

Elly zamilkła i spojrzała na Coopera.

- O co chodzi? - zapytał.

- W gazetach piszą, że ten nowy narkotyk, który się pojawił na rynku, ten, który nazywają magicznym pyłem, otrzymuje się ze świetlistego psi-zioła - wyjaśniła. - Dzisiejsza prasa podaje, że znaleziono kolejną ofiarę przedawkowania tej substancji.

Podniosła gazetę leżącą na kuchennym stole i bez słowa podała ją Cooperowi.

Wyciągnął z kieszeni czarny futerał, otworzył go i wyjął z niego okulary.

Spojrzał na winiętę u góry strony i przekonał się, że trzyma w ręku egzemplarz „Gwiazdy Kadencji”. Historia o przedawkowaniu stanowiła wiadomość dnia.

W STAREJ DZIELNICY ZNALEZIONO MARTWĄ KOBIECĘ.

Ciało Bonnie May Stevens znaleziono w jej mieszkaniu w Starej Dzielnicy około drugiej nad ranem. Śmierć Bonnie zgłosiła jej współlokatorka, która nie chciała podać swojego nazwiska. Policja relacjonuje, że obok ofiary znaleziono ślady białego proszku. Rzecznik wydziału zapewnił, że autopsja i analiza substancji znalezionej przy zmarłej będą przeprowadzone jak najszybciej w celu ustalenia przyczyny zgonu.

Współlokatorka w rozmowie z dziennikarzami sugerowała, że Stevens od dawna zażywała narkotyki i uprawiała prostytutkę. Dodała też, że Stevens wyglądała tak, jakby tuż przed śmiercią ktoś ją pobił, prawdopodobnie któryś z jej klientów. „Naprawdę wyglądała strasznie”, mówiła współlokatorka. „Myślę, że została zamordowana”.

Śledztwo w sprawie śmierci Stevens ma poprowadzić inspektor Grayson DeWitt, szef nowo powstałego specjalnego Wydziału Antynarkotykowego.

„W minionych tygodniach usunęliśmy z ulic kilku z najgroźniejszych dilerów”, mówił DeWitt dziennikarzom. „Ale nie zakończymy dochodzenia, dopóki nie aresztujemy producenta i dystrybutora magicznego pyłu”.

Każdego, kto posiada informacje mające związek ze śmiercią Stevens, prosi się o pilny kontakt z Wydziałem Antynarkotykowym, który wchodzi w skład Departamentu Policji Kadencji.

Obok artykułu zamieszczono zdjęcie szczupłego, mniej więcej trzydziestoletniego mężczyzny o kwadratowej szczęce, stojącego na schodach prowadzących do budynku Departamentu Policji. Mężczyzna miał na sobie szyty na miarę, krzykliwy srebrzystoszary garnitur w pepitkę i tak pewny siebie wyraz twarzy, że Cooper sądził, iż jest to dziennikarz z lokalnej telewizji.

Jednak podpis pod zdjęciem informował, że to detektyw Grayson DeWitt.

Cooper opuścił gazetę, zdjął okulary i spojrzał na Berthę.

- Naprawdę nie pamiętasz, gdzie znalazłaś to zielsko?

Kobieta pokręciła głową.

- Przykro mi, ale nie. Coś wam jednak powiem. Nikogo tak nie nienawidzę jak handlarzy narkotyków.

- Musimy założyć, że odkryłaś to zielsko wtedy, kiedy podsmażył cię duch - oznajmił Cooper.

Elly uważnie mu się przypatrywała.

- Twoim zdaniem ona natknęła się na siatkę dilerów, tak? I ktoś próbował ją zabić.
- To bardzo prawdopodobne - potwierdził.

Twarz Berthy skurczył grymas niepokoju.

- Jeśli zaniosę te zioła na policję, będą chcieli wiedzieć, gdzie je znalazłam. Nie powiem im, bo nie wiem. A oni mi nie uwierzą. Nikt nie wierzy szczerom ruin. Detektyw DeWitt doprowadził ostatnio do wielu głośnych zatrzymań. Co będzie, jeśli postanowi i mnie przytknąć za posiadanie świetlistego psi-zioła?

- Obawiam się, że może być jeszcze gorzej - odezwał się cicho Cooper. - Ten, kto próbował cię uciszyć, prawdopodobnie spróbuje jeszcze raz, gdy się dowie, że wydostałaś się z katakumb.

- A niech to szlag. - Bertha opadła na oparcie krzesła. - To co ja mam teraz, na zielonego diabła, począć?

Zaalarmowana zmianą atmosfery w kuchni Rose stoczyła się z parapetu i wskoczyła na stół. Otarła się pocieszająco o dużą dłoń splataczki.

- Nie martw się, Bertho - uspokajała ją Elly. - Wszystko będzie dobrze.

Bertha podniosła głowę.

- Skąd to możesz wiedzieć?

- Bo jesteś w dobrych rękach - oświadczyła Elly pogodnie. - Cooper wszystkim się zajmie.

Bertha powoli się wyprostowała. Jej bystre oczy, które wszystko już widziały, uważnie wpatrywały się w Coopera.

- A kim ty właściwie jesteś, Cooperze Jonesie, że możesz się wszystkim zająć?

- Nie chciałem ci tego mówić, ale w tych okolicznościach chyba powinienem - rzekł. - Jestem szefem Gildii w Aurora Springs. I byłbym wdzięczny, gdybyś tę informację zachowała dla siebie.

- O cholera. - Twarz Berthy się rozjaśniła. - Sugerujesz, że w grę wchodzi interesy Gildii?

- Tak, proszę pani - przyznał.

- W takim razie jest jednak dla mnie jakaś nadzieja. I co teraz?

- Zamierzam do kogoś zadzwonić - zapowiedział Cooper.

Rozdział 10

Minęło dziesięć minut i w alejce na tyłach Ziołowego Emporium Elly St.Clair zatrzymał się czarny coaster z przyciemnionymi szybami.

Cooper wykonał kolejny telefon, żeby sprawdzić tożsamość dwóch łowców siedzących w

aucie, po czym zapakował Berthę na tylne siedzenie.

- Będziesz bezpieczna w domu Gildii - zapewnił. - A ja cię powiadomię, kiedy już zapanujemy nad sytuacją tutaj.

Skinęła głową.

- Doceniam pańską troskę, panie Boone.

- Uwierz mi. Robisz Gildii przysługę, współpracując z nami - odparł.

- Tak? - Bertha lekko się uśmiechnęła. - Mówi się, że Gildia nigdy nie zapomina o tych, którzy się jej przysłużyli.

- To prawda. Lepiej, żebyś nigdzie nie dzwoniła, ale gdybyś przypomniała sobie coś użytecznego, powiadom o tym któregoś z tych dżentelmenów. Oni przekażą mi wiadomość.

- Jasne, chociaż na twoim miejscu nie przesadzałabym z nadzieją. - Bertha ciężko westchnęła. - Prawdopodobnie nigdy sobie nie przypomnę, co się wydarzyło w tych kilka minut przed przypaleniem.

- Nigdy nie wiadomo. - Cooper odsunął się od samochodu i pomachał do kierowcy. - Opiekujcie się nią - zwrócił się do łowców. - Pani Newell jest przyjaciółką Gildii.

- Tak jest, sir, dopilnujemy, żeby nic złego jej nie spotkało. - Mężczyzna za kierownicą skinął głową. - A tak przy okazji, pan Wyatt wita pana w Kadencji.

- Dziękuję.

Zaczekał, aż wielki wóz skręci za róg na końcu uliczki i zniknie we mgle. Potem wrócił do mieszkania Elly i stanął w progu kuchni.

- Bertha pojechała już do bezpiecznego domu - poinformował. - Będzie pod dobrą opieką.

- Cieszę się. - Elly przestała na chwilę wyciskać pomarańczę. - To oczywiste, że wczoraj w nocy wdepnęła w coś naprawdę paskudnego.

- Też tak myślę. I jeszcze jedno. Nie widziałem przed sklepem innego pojazdu poza moim. Gdzie jest twój samochód?

- W prywatnym garażu na końcu ulicy. Właściciele sklepów i mieszkań w Alei Ruin wynajmują tam miejsca garażowe.

- Rozumiem. Myślisz, że mój spectrum się tam zmieści?

- Nie. Na miejsca w garażu jest lista oczekujących.

- W takim razie chyba po prostu na stałe przytwierdzę ducha do tablicy rejestracyjnej.

Elly uważnie przyjrzała się jego twarzy.

- Pewnie umierasz z głodu. Idź się szybko wykąpać, a ja przygotuję śniadanie.

Skinął głową i już miał się odwrócić, ale się zawahał.

- A ty jak się czujesz? - spytał jakoś niepewnie.

- Dobrze - odrzekła, szybko i rzeczowo. - Dlaczego miałyby być inaczej?

- No cóż - zaczął. - Ani ty, ani ja nie jesteśmy już nastolatkami. Seks w samochodzie może być wyczerpujący.

Jej policzki lekko się zaróżowiły. Przestała wyciskać pomarańczę i podpierając biodra rękami, spojrzała na niego.

- Chyba lepiej zrobisz, jeśli już pójdziesz się kąpać - stwierdziła.

- Myślałaś, że nie będę pamiętał, co? – Przypatrywał się jej zaczerwienionym policzkom.

- Nie, miałaś nadzieję, że nie będę pamiętał.

Chrząknęła, podniosła kolejną pomarańczę i znów z wielkim zaangażowaniem zajęła się wyciskaniem soku.

- To, co się wydarzyło wczoraj w twoim aucie, to tylko przypadek. Totalna anomalia. Nienaturalna reakcja na dziwną i bardzo stresującą sytuację. Uważam, że będzie najlepiej, jeśli oboje udamy, że nic się nie stało. Co ty na to?

- Przypadek? Anomalia? Nienaturalna reakcja? -Cooper wyprostował się i ruszył w jej stronę. - To był najgorętszy seks, jaki miałem od lat, a może w całym życiu.

Rumieńce na jej policzkach pogłębiły się.

- Naprawdę, Cooper?

- Tak, naprawdę, Elly. - Nadal ku niej szedł. - Wiesz, przyrzekałem sobie, że będę dzisiaj dżentelmenem, bo pomyślałem, że po tym, co między nami zaszło, możesz być lekko zawstydzona. Chciałem uszanować twoje delikatne uczucia. Nie chciałem, żebyś myślała, że jestem jakimś upadłym łowcą, który podniecił się przy stopieniu bursztynu i żeby sobie ulżyć, wykorzystał pierwszą kobietę, jaką miał pod ręką.

- Nawet przez myśl mi to nie przeszło - zapewniła pospiesznie, robiąc krok w tył.

- Na pewno?

- Oczywiście. - Zamachała rękoma, jakby chciała go od siebie odgonić. - Posłuchaj, nie przejmuj się tak. Ten wczorajszy incydent to w końcu nic takiego. Nikt nikogo nie skrzywdził, nie oszukał.

- Może ty tak uważasz, ale nie ja. - Cooper zatrzymał się tuż przed Elly.

Zrobiła kolejny krok w tył, ale mała przestrzeń nie pozwalała na ucieczkę. Wbiła się plecami w ścianę.

- Porozmawiamy o tym, kiedy się wykąpiesz

Nachylił się do niej, opierając dłonie na ścianie po obu stronach jej głowy i zamykając ją tym samym w pułapce.

- Porozmawiamy o tym teraz - oświadczył.

- Ale w sumie nie ma przecież o czym - zauważyła zduszonym głosem. - To znaczy, seks w samochodzie jest oczywiście bardzo przyjemny, ale...

- Bardzo przyjemny? Tylko tyle możesz powiedzieć o tym, co się działo wczoraj w moim samochodzie?

Jakoś, pomimo że znajdowała się pomiędzy nim a ścianą, udało jej się nastroszyć, a jej ładne, łukowate brwi zbiegły się w wyrazie zagniewania.

- No cóż, ta cała sytuacja nie oznacza jeszcze początku głębokiego, znaczącego związku, prawda? - oświadczyła bardzo spokojnie. - Zwłaszcza że oboje wiemy, iż doszło do zbliżenia tylko dlatego, że stopiłeś swój bursztyn.

- Och nie, tylko nie to. - Pochylił się do niej jeszcze bardziej. - Nie zrzucisz winy na mnie. To nie ja jestem winien temu, co zaszło w samochodzie. Próbowałem z niego wyjść, zanim sytuacja wymknęłaby mi się spod kontroli. A ty mi nie pozwoliłaś. Nie zgodziłaś się, żebym ochłonął i został na noc w aucie.

- Bałam się, że ktoś cię obrabuje.

- Wiesz co? Zaczynam myśleć, że może jednak ktoś mnie obrabował. Niewinnie wyglądająca, drobna zielarka, która chciała sprawdzić, czy seks z łowcą, który stopił bursztyn, faktycznie jest taki niesamowity.

- To nieprawda - oburzyła się Elly. - Sam o tym dobrze wiesz.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście, że jestem. - Splotła ręce na piersiach i przymrużyła oczy. - Przecież tam byłam, o ile sobie przypominasz.

- Aha.

- Co ma znaczyć to „aha”? - zapytała zaczepnie.

- Skoro nie ty wykorzystalaś mnie, płonącego pożądaniem zaraz po zlikwidowaniu ducha, może w twoim pojęciu to ja wykorzystałem ciebie?

Elly mocno zacisnęła usta.

- Przecież nic takiego nie powiedziałam.

- To dobrze. Ustaliliśmy zatem, że oboje przyzwoliliśmy na to, co się wydarzyło.

Znów odchrząknęła.

- Nigdy nic innego nie twierdziłam.

- Więc pociągnijmy temat i wróćmy do twojej wcześniejszej uwagi, że nasz seks w samochodzie nie oznacza początku poważniejszego związku.

- Uważam, że przeciągasz strunę, Cooper.

- Skarbie, niczego nie przeciągam, a tylko próbuję się dowiedzieć, czy minioną noc coś dla ciebie znaczyła?

Elly miała na twarzy wyraz udręki.

- Ostrzegam cię...

- A może kochanie się w samochodzie z odurzonym po spotkaniu z duchem łowcą jest dla ciebie teraz, gdy zamieszkałaś w wielkim mieście, czymś w rodzaju wyrafinowanej rozrywki?

- Dobrze wiesz, do cholery, że to nieprawda!

- W takim razie możemy z całym spokojem stwierdzić, że ta noc miała dla ciebie jednak jakieś znaczenie?

Wiedział, że posunął się daleko, zanim na twarzy Elly pojawiła się nieudawana wściekłość.

- Ty sukinsynu - warknęła.

Była tak szybka, że się nie zorientował, co zamierza, póki się nie przecisnęła pod jego ramieniem. Było już za późno. W ręce trzymała dzbanek ze świeżo wyciśniętym sokiem i wylewała mu ten sok na głowę.

Skrzywił się, gdy lepka ciecz zalała mu twarz i tors, a potem spłynęła na podłogę.

W kuchni zapadła ciężka cisza.

- Przepraszam - powiedział, wycierając twarz rękawem koszuli. - Miałaś rację. Przesadziłem.

- Po co to robisz? - szepnęła.

- Bo dla mnie minioną noc miała znaczenie i nie dopuszczałem myśli, że dla ciebie nie ma. Jeśli chcesz znać prawdę, to wiedz, że zraniłaś moje uczucia. - Wzruszył ramionami. - Potrafisz to sobie wyobrazić?

- Ja zraniłam twoje uczucia?

- Szefowie Gildii też je mają.

Zamrugnęła. A potem zaczęła chichotać i jeszcze później głośno się śmiać. Przyglądał się z zafascynowaniem, jak objawszy się ramionami w pasie, zgięła się w pół.

Minęło sześć miesięcy od czasu, gdy ostatni raz słyszał jej śmiech, pomyślał. Brakowało mu go. Ale dopiero teraz zdał sobie sprawę, że aż tak bardzo.

- Nie mogę w to uwierzyć - udało jej się w końcu wykrztusić kilka słów.

- W co? W to, że szef Gildii ma uczucia? - zdziwił się.

- Nie. W to, że udało ci się zmusić mnie do śmiechu z wczorajszej nocy. - Elly potrząsnęła głową, nadal kpiąco się uśmiechając, gdy już się nieco uspokoiła. - Idź się wykapać, szefie Gildii.

Popatrzył na plamę z soku na koszuli.

- To chyba dobry pomysł, choć szkoda, że nie mam ze sobą niczego na zmianę. Większość moich rzeczy zostawiłem w hotelu.

Ruszył do drzwi.

- Jedno pytanie - zawołała za nim niby obojętnym głosem.

Zatrzymał się i obejrzał.

- Tak?
- Gdzie się nauczyłeś tak wypytywać? Jak adwokat przesłuchujący świadka.
- Chodziłem na zajęcia z prawa, gdy studiowałem na uniwersytecie w Rezonansie.

Przechyliła lekko głowę, wyraźnie zaskoczona.

- Chciałeś zostać prawnikiem?
- Nie. Miałem inne plany zawodowe. Ale uznałem, że podstawy prawa mi się przydadzą.

- Naprawdę? - zaciekawiała się. - Chciałeś zająć się biznesem? Bardzo niewielu pararezonatorów energii dysonansu interesuje się jeszcze czymś innym poza łowieniem duchów. To taka wąska dziedzina. Żadnej intelektualnej stymulacji. Poza tym większość łowców wcześniej przechodzi na emeryturę, bo przestają być sprawni. Wielu łowców w średnim wieku wysiaduje całymi dniami w budynku Gildii. Przychodzą tam, żeby odebrać emeryturę i opowiadać historie o duchach.

- Ten zawód ma też swoje blaski.
- Po co więc studiowałeś prawo?
- Już powiedziałem. Uważałem, że przyda mi się w przyszłej karierze zawodowej.
- Ale przecież zanim zostałeś szefem Gildii, byłeś archiwistą.
- Historia i archiwistyka również stanowiły część przygotowań.
- Do czego? - dopytywała się.
- Już jako dziewięcioletek marzyłem tylko o tym, że jak dorosnę, zostanę szefem Gildii w Aurora Springs.

Elly stała nieruchomo. Z jej twarzy zniknęła wesołość.

- Dobry Boże - szepnęła ze zdumieniem. – Większość mężczyzn, którzy starają się dotrzeć na szczyty Gildii, wykorzystuje do tego swoje pararezonerskie umiejętności i rodzinne koneksje. I są to ludzie o wybujałej ambicji. Nigdy nie słyszałam o kimś, kto studiował po to, by mieć lepsze przygotowanie do kierowania Gildią.

Cooper trzymał się brzegu framugi.

- Dowiedz się więc Elly, że prawie każdy mój krok, każde moje posunięcie miały dwa cele: zostać szefem Gildii i być nim dopóty, dopóki będzie mi to odpowiadało.

Zastukała pomalowanymi na czerwono paznokciami w blat kuchenny.

- Zawsze wiedziałam, że to stanowisko jest dla ciebie bardzo ważne. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że aż tak.

- Jeszcze jedno powinnaś o mnie wiedzieć. Powiedziałem, że prawie każdy krok i każde posunięcie miały mnie doprowadzić do osiągnięcia celu. Ale było kilka znaczących wyjątków, a jednym z nich jest to, co się wydarzyło ostatniej nocy na przednim siedzeniu spectruma.

Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Odepchnął się od framugi, zanim zdążyła zamknąć usta, i poszedł do łazienki, żeby wziąć prysznic.

Rozdział 11

Elly właśnie wlewała jajka na patelnię, gdy usłyszała, otwierające się drzwi łazienki. Powtarzała sobie w duchu, że już doszła do siebie. Gdy Cooper się kąpał i golił, wytarła z podłogi rozlany sok, przygotowała śniadanie i odzyskała kontrolę nad emocjami.

Z korytarza doszedł ją cichy odgłos kroków. Nie mogła opanować lekkiego dreszczu podekscytowania. Po dzikim i namiętym seksie w nocy teraz przyrządza Cooperowi Boone śniadanie.

Nie dawaj się ponieść wyobraźni, przemawiała do siebie w myślach, posypując jajecznicę świeżymi ziołami. Ten mały incydent w spectrum trwał zaledwie tyle czasu, ile Cooper potrzebował, żeby zdjąć z siebie ubranie. Nie dłużej niż piętnaście minut, a potem od razu zasnął. Nie było całej nocy namiętnego seksu.

Poza tym Cooper kochał się z nią, gdy był krańcowo podniecony po likwidacji ducha. Nie świadczyło to wcale najlepiej o jej uwodzicielskich talentach. Każdy mężczyzna po stopieniu bursztynu miałby ochotę na seks. Cooper wszedł do kuchni. Zamrugła, widząc go.

- Co znowu? - zdziwił się.
- Twoja koszula.
- Coś z nią nie tak? Odchrząknęła.
- Zapomniałeś ją włożyć. Spojrzał na swój nagi tors.

- Bo była oblana sokiem pomarańczowym, czyżbyś nie pamiętała?
- Och. Prawda. - Skupiła się na smażeniu jajecznicy, próbując nie myśleć o tym, że zaraz poda ją Cooperowi Boone i że Cooper Boone jest nagi od pasa w górę.

Rose radośnie zaskrzeczała, zeskoczyła z parapetu i przebiegła przez kuchnię, żeby po raz drugi tego ranka przywitać się z Cooperem.

- Cześć, ślicznotko. - Podniósł Rose i trzymał w jednej ręce. - Tak mnie witasz, jakby nie było mnie co najmniej tydzień.

Elly zdjęła patelnię z palnika.

- Możesz już usiąść do śniadania?
- Jestem tak głodny, że zjadłbym nawet zielony kwarc.

Jego organizm po wczorajszym wypaleniu potrzebuje paliwa, pomyślała Elly, ciesząc się, że usmażyła jajecznicę ze wszystkich jajek, jakie były w lodówce.

- Wracaj na swój parapet, ślicznotko. - Cooper posadził Rose obok wazonu z kwiatem. Uważnie mu się przyjrzał. - Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego. Jak się nazywa ten kwiat?

Obserwowała go dyskretnie. Cooper był bardzo zdolnym pararezonorem. Czy wyczuwał teraz energię psi?

- Nie wiem - przyznała. - Rose zaczęła je przynosić prawie od razu po wprowadzeniu się do mnie. Szukałam w różnych opracowaniach źródłowych, ale w żadnym nie znalazłam opisu rośliny pasującego do tej. Wreszcie kilka tygodni temu pokazałam ten kwiat Stuartowi Griggsowi.

- Kim jest Griggs?

- Kwiaciarzem, a jego kwaciarnia znajduje się tuż obok sklepu Berthy. Poszłabym do niego wcześniej, ale nie jest to zbyt przyjaźnie nastawiony do innych człowiek. Szczerze mówiąc, z takim nastawieniem jak jego, nie wiem, jak się utrzymuje w biznesie. Tak czy inaczej, powiedział, że też nie rozpoznaje tego kwiatu. Zasugerował, że to prawdopodobnie jakaś odmiana orchidei.

- Ma dziwny odcień zieleni - zauważył Cooper. - Początkowo sądziłem, że to sztuczny kwiat wyrzeźbiony w imitacji kwarcu obcych.

Niczego nie poczuł, pomyślała. Nawet najmniejszego mrowienia.

- Nie, to prawdziwy kwiat - zapewniła. - Za kilka dni zwiędnie, jak inne. Ale te kwiaty dłużej są świeże, jeśli się je wstawi do tego zielonego wazonu z kwarcu.

- Skąd Rose je przynosi?

- Podejrzewam, niestety, że podkrada je z czyjejś prywatnej oranżerii. Te kwiaty są pewnie dumą i radością jakiegoś miejscowego hodowcy orchidei. Tacy hodowcy miewają bzika na punkcie swoich roślin.

- Tak?

- Uwierz mi, lepiej nie zadzierać z kimś, kto uprawia orchidee. Najbardziej się martwię, że hodowca przyłapie Rose na podkradaniu kwiatów i pogoni ją grabiami. No wiesz, jak w tej bajce dla dzieci *Opowieść o kurzaku Dickiem*.

- Nie znam jej.

- Niemożliwe, że tej bajki też nie czytałeś. Przypomnij sobie, Cooper. Mama małego Dickiego mówi mu, że nie powinien chodzić do ogrodu pana McBursztyna, bo tata Dickiego miał tam wypadek i skończył w placku. Ale mały Dickie oczywiście nie potrafi się oprzeć pokusie i, nie słuchając matki, idzie do ogrodu.

- I co się z nim stało?

- Dickie przeżywa wiele przygód, prawie daje się złapać i ledwo uchodzi z życiem. Ta bajeczka

ma urocze ilustracje. - Elly zamilkła. - I jak? Coś sobie przypominasz?

Cooper przez chwilę się zastanawiał.

- Pamiętam, że rodzice, kiedy skończyłem pięć lat, ku

pili mi ilustrowany egzemplarz *Założycieli kolonii w Harmonii Littletona*. Czy to się liczy?

Westchnęła.

- Nieważne.

Cooper podrapał Rose za uchem, choć nie był całkowicie pewny, że to rzeczywiście jest okolica uszu.

- Na twoim miejscu wcale bym się nie obawiał, że Rose zostanie przyłapana. Coś mi mówi, że jest na to za sprytna. Poza tym, kto miałby ochotę na placek z kurzaka?

Elly spiorunowała go wzrokiem.

- Wiesz, czasami zbyt dosłownie bierzesz to, co się do ciebie mówi.

- Wolę zajmować się faktami, jeśli to masz na myśli - bronił się. Stracił zainteresowanie kwiatem i usiadł za stołem. - Dlatego powinniśmy porozmawiać o tym niebieskim duchu.

- No tak. - Elly naląła do kubka napar z rezoherbaty przygotowany specjalnie dla Coopera i podeszła do stołu. - Będziemy teraz omawiać sprawy Gildii, tak?

Wziął od niej kubek.

- Obawiam się, że tak.

- Ha, i Gildia się dziwi, dlaczego tak irytuje normalnych ludzi.

- Istnienie niebieskich duchów to chyba najbardziej strzeżona tajemnica Gildii.

- Dlaczego? - Wróciła do kuchenki i nałożyła na talerz kremową jajecznicę. - Istotnie tamten wyglądał przerażająco, ale przecież doskonale sobie z nim poradziłeś.

- Gildia nie chce informować o nich społeczeństwa, bo te duchy nie stanowią naturalnego krajobrazu katakumb.

- Co ty mówisz? - Elly położyła kromkę chleba tostowego obok jajecznicy i wróciła do stołu. - Przecież go widziałam. Oczywiście różnił się od innych, ale niezaprzeczalnie był to duch.

- Nikt nigdy nie natknął się na niebieskiego ducha krążącego przypadkowo po tunelach. O ile wiadomo, te duchy generowane są przez ludzi. - Cooper upił łyk naparu i postawił kubek. - Na przykład kogoś takiego jak ja.

- Ten potworny wir wywołał człowiek? Jakiś łowca?

- Tak.

- Jesteś tego pewien?

- Uwierz mi. - Podniósł widelec i z entuzjazmem zabrał się do pałaszowania jajecznicy. - Jestem.

Przez moment zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

- Ale przecież w tunelach nikogo nie było. Łowcy, nawet ci najlepsi, nie potrafią wygenerować ducha z dużej odległości. Poza tym te wielkie, wygenerowane przez człowieka duchy bardzo szybko się dezintegrują. Od razu gdy łowca przestanie przesyłać energię psi przez bursztyn. Energia dysonansu jest z natury niestabilna.

- Niektórzy łowcy potrafią wywołać ducha na całkiem długo. I ten duch będzie się utrzymywał nawet po odejściu łowcy.

- Och, no tak, to możliwe w przypadku małych, zwyczajnych duchów. Takich jak ten, którego przyczepiłeś do tablicy rejestracyjnej swojego auta. Ale przecież nie o tym tu rozmawiamy. Ten niebieski wybuch płomiennej energii to nie był nieskomplikowany, mały NiZOED. Ten duch był bardzo skomplikowany.

- A twoim zdaniem, jak ja robię tę sztuczkę z duchem przy tablicy rejestracyjnej?

Wzruszyła ramionami.

- Uznałam, że jesteś w stanie coś takiego zrobić, bo masz dużą moc jako pararezonator. To nie jest aż tak niespotykane. Mój tata i bracia też potrafią robić takie sztuczki.

- Żaden łowca, nawet bardzo dobry, nie przytwierdzi ducha, jeśli nie będzie miał bursztynu do zakotwiczenia go.

Elly zmarszczyła czoło.

- Więc jak przytwierdziłeś swojego?

Cooper nieznacznie się uśmiechnął.

- Zdradzę ci stary sekret łowców. Po prostu instalujesz kawałek bursztynu za tablicą albo za błotnikiem. Wtedy każdy wystarczająco silny łowca może przytwierdzić ducha na jakiś czas do samochodu.

Jęknęła.

- I pomyśleć, że przez te wszystkie lata byłam przekonana, że moi bracia to superpararezonatorzy, bo potrafili przyczepiać małe głupie duchy do różnych rzeczy, jak choćby tablice rejestracyjne albo baldachim przy moim łóżku.

Cooper zamarł z widelcem w połowie drogi do ust.

- Bracia przytwierdzali duchy do twojego łóżka?

- Zrobili to tylko raz. Pewnej nocy, gdy miałam dziewięć lat, obudziłam się i zobaczyłam małego NiZOED-a wiszącego nad moją głową. Okropnie się przestraszyłam. Bałam się poruszyć. Ale za to darłam się na całe gardło. Rodzice przybiegli do mojej sypialni i tata zlikwidował ducha.

- A co z twoimi braćmi?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Następnego dnia rano tata zabrał ich do katakumb. Kiedy Logan, Matt i Sam wrócili,

wszyscy trzej wyglądali tak jakby zobaczyli prawdziwe duchy. Bardzo mnie przepraszali i potem już nigdy nie obudził mnie żaden duch. -Elly wróciła do blatu kuchennego i naląła sobie herbaty do kubka. - Ale wróćmy do tego niebieskiego wiru. W jaki sposób łowca, który go wygenerował, sprawił, że duch utrzymywał się w korytarzu? Nie widziałam w pobliżu żadnego bursztynu.

- Zapominasz o rezobursztynie lokalizatora przy sliderze Berthy.

- Och, racja.

- Założę się, że łowca znał częstotliwość. Dlatego pewnie był w stanie wysledzić Berthę w katakumbach.

Elly usiadła naprzeciwko Coopera i objęła swój kubek obydwoma dłońmi.

- Znalazł slidera, ale nie znalazł Berthy.

- Prawdopodobnie nie znał częstotliwości jej osobistego bursztynu.

- I dzięki Bogu. Bertha musiała w pewnym momencie zorientować się, że łowca idzie za nią, bo zna częstotliwość lokalizatora jej slidera. Porzuciła więc pojazd i ukryła się w komnacie, zamierzając poczekać, aż łowca odejdzie.

- Tak pewnie było.

- Ale w takim razie, dlaczego dała się przysmażyć duchowi?

- Może kiedy łowca odszedł, chciała wsiąść do slidera. Niebieskie duchy są szybsze i lotniejsze od zielonych. Wystarczyło, że podeszła za blisko, i duch ją przypalił.

- I była jeszcze na tyle przytomna, że przeczołgała się do najbliższej groty i tam zemdląca.

- Tak to sobie wyobrażam. - Cooper przeżuwał kęs tostu.

Elly ciężko westchnęła.

- To wszystko pasuje do twojej teorii, że Bertha natknęła się na handlarzy narkotyków.

- Tak, wszystko na to wskazuje, że teoria jest słuszna.

Oparta się o krzesło i wyciągnęła nogi pod stołem.

- Jednego tu nie rozumiem. Dlaczego Gildia przez tyle lat trzyma w tajemnicy istnienie niebieskich duchów?

Cooper kawałkiem tostu zbierał z talerza resztki jajecznicy.

- Z dwóch powodów. Po pierwsze w przeciwieństwie do zielonych niebieskimi duchami można manipulować z o wiele większą precyzją i szybkością. Nawet najmniejsze mogą być użyte do zabijania.

- Łatwiej użyć je jako broni niż zielone?

- Nie tylko to. Łowca, który wie, co robi, potrafi zamienić niebieski wir w coś w rodzaju wyczulonego na energię psi pocisku, który można nakierować na wybrany nastrojony bursztyn.

- Innymi słowy, niebieski duch to kombinacja broni z napędzanym bursztynem

lokalizatorem i kompasem?

Cooper skinął głową.

- Musisz oczywiście znać częstotliwość docelowego bursztynu, ale gdy już ją znasz... -

Nie dokończył zdania.

- I zeszłej nocy celem był slider Berthy?

- Na to wygląda.

Elly zadrżała.

- Okay, już pojmuję, dlaczego ta informacja mogłaby wywołać niepokój w ludziach.

Cooper wypił jeszcze kilka łyków naparu i odstawił kubek.

- Dobra wiadomość to ta, że niebieska energia działa tylko w katakumbach. Da się z niej wykreować fajerwerki na powierzchni, jeśli łowca jest silny i wie, co robi, ale poza katakumbami tej energii jest za mało, żeby wygenerować z niej wir, a tylko w tej postaci staje się bronią.

- A jaki jest drugi powód, dla którego Gildia milczy w sprawie niebieskich duchów?

- Czy imię i nazwisko Donovan Cork coś ci mówi?

- Chodzi o tego seryjnego mordercę? - Zdumiona Elly z hukiem odstawiła kubek na stół. - O tego, co zwabiał kobiety do katakumb i tam je mordował? To on potrafił wywoływać niebieskie duchy?

- Tak. Tak właśnie zabijał swoje ofiary. Śmierć na skutek zetknięcia się z niebieskim duchem bardzo przypomina atak serca.

Zmarszczyła czoło.

- Zanim znaleziono jego ciało w jednym z tuneli, zamordował kilka prostytutek. Do tej pory nie wiadomo, jak je uśmiercał. Zdaniem policji używał jakiejś szybko działającej trucizny. O ile pamiętam, uznano, że sam ją zażył, gdy już miał pewność, że zostanie złapany.

Cooper przyglądał się jej znad brzegu kubka.

- A Stewart Picton? Słyszałaś kiedyś o nim?

- Oczywiście. Piszą o nim w każdym podręczniku historii. Czterdzieści lat temu postanowił zaszantażować kilku członków Rady Federacji. Żądał pieniędzy, grożąc, że jeśli ich nie dostanie, pozabija członków Rady i ich rodziny. Został w końcu schwytyany, ale wcześniej zamordował co najmniej czterech ludzi.

- J. Herbert Harris?

- Kolejny seryjny morderca. Kilka lat temu była to bardzo głośna sprawa. Napisano o nim kilka bestsellerowych kryminałów. - Elly zamilkła i zmarszczyła czoło. - Jego ciało również znaleziono w tunelach.

- I wielu innych.

- Chcesz powiedzieć, że oni wszyscy byli łowcami, którzy potrafili generować niebieskie duchy?

- Tak. Na szczęście większość tych niebieskich świrów da się zidentyfikować, zanim zaczną stwarzać prawdziwe problemy.

Po plecach Elly przebiegł lekki dreszcz.

- Niebieskie świry? To tak się ich nazywa?

Kąciki ust Coopera się zacisnęły.

- Tak.

- A kto ich usuwa, gdy zaczynają sprawiać kłopoty? - spytała ostrożnie.

- Znasz to stare powiedzenie, że Gildia sama jest sobie policją?

Skrzywiła się.

- Wszyscy je znają. Szczerze mówiąc, ludzie uważają, że to jest sposób Gildii na obchodzenie prawa.

- Gildia nie ma nic przeciwko temu, żeby policja zajęła się zdeprawowanymi kryminalistami w jej szeregach. Na ogół dobrze to wpływa na nasz wizerunek. Dowodzi, że nie mamy nic do ukrycia.

- Nie wszyscy w to wierzą, ale to nieistotne. Mów dalej.

- Jednak policjanci nie są w stanie wyśledzić i zneutralizować wykolejonego łowcę, który potrafi manipulować niebieską energią - tłumaczył Cooper. - Nawet jeśli udałoby im się odszukać go w tunelach, bo tam zazwyczaj kryją się łowcy, gdy grozi im zatrzymanie, policjantom i tak brak odpowiednio silnej broni, żeby go zneutralizować. Wiesz, jak to jest w katakumbach. Tak jak inne elektroniczne urządzenia broń palna nie działa tam jak należy.

- Okay, chyba już wiem, dokąd zmierzasz. Pozwól, że zgadnę. Tylko niebieski łowca może złapać niebieskiego świra, tak?

- Do tego się to sprowadza.

- No, no. - Elly oparła łokcie na stole i podparła brodę dłońmi. - Ci faceci są pewnie tymi tajemniczymi egzekutorami, o których czasami szeptali między sobą moi bracia.

- Egzekutorami?

- Tak ich nazywali, chociaż oczywiście nigdy mi nie powiedzieli, czym zajmuje się egzekutor. No wiesz, kolejny wielki sekret Gildii. Zresztą pewnie sami nie bardzo się orientowali.

- Wolę uważać, że tak właśnie było - stwierdził surowo Cooper. - O niebieskich duchach i wszystkim, co ich dotyczy, mają prawo wiedzieć tylko członkowie Rady Gildii. Ale teraz, gdy już wiem, że Gildia nie jest odporna na plotki, nie będę się dziwił.

- Już ci to mówiłam, byś nigdy nie lekceważył pogłosek i plotek.

Cooper zacisnął zęby.

- Uwierz mi, że nie zapomniałem.

Elly wstała i przeszła do blatu kuchennego, żeby zrobić sobie jeszcze jeden kubek rezoherbaty.

- A więc Gildia ma tajnych egzekutorów do ścigania niebieskich świrów?

- Tak mniej więcej można w skrócie opisać zakres obowiązków tych ludzi. - Cooper na moment zamilkł. - Jednak wydaje mi się, że łowcy, którzy się tym zajmują, wolą, jak się ich nazywa detektywami. Egzekutor brzmi trochę jak płatny morderca.

- Domyślam się, dlaczego przez te wszystkie lata słyszałam tak mało plotek o niebieskich duchach i egzekutorach. Otóż dlatego, że Gildia w Aurora Springs nigdy nie miała z nimi problemu. To bez wątpienia jedna z korzyści prowadzenia organizacji w małym mieście. Mniej zbrodni.

- No to cię zaskoczę. - Przyglądał się jej spokojnie z drugiej strony stołu. - Jakiś czas temu Gildia w Aurora Springs miała kłopoty z niebieskim świrem. Facet został mordercą do wynajęcia. Sprzedawał swoje usługi przez prawie rok, zanim ktoś z Rady zorientował się, co się dzieje. Zawsze brał zlecenia spoza miasta, żeby nie ściągać uwagi miejscowych.

- Mówisz poważnie?

- Nigdy nie żartuję w sprawach Gildii.

- Rzeczywiście - zgodziła się Elly. - Kto to był? Już tyle mi powiedziałaś, że musisz dokończyć.

Wzruszył ramionami.

- Haggerty.

- Haggerty? - Nie mogła uwierzyć własnym uszom. - Douglas Haggerty, szef Gildii? Twój poprzednik.

- Tak.

- To niesamowite. Przewodził Gildii w Aurora Springs przez dziesięć lat. Boże drogi, ten facet mnie podrywał. Chciał się ze mną żenić.

Cooper wysoko uniósł brwi.

- To twój ojciec jako pierwszy z członków Rady zaczął go podejrzewać. I dlatego tak pilnował, żeby Haggerty nie mógł się do ciebie za bardzo zbliżyć.

- A niech to. - Elly cicho gwizdnęła. - To szokujące. I dlatego Haggerty zniknął? Rada sprowadziła jednego z tych egzekutorów, żeby się go pozbył?

- Postanowili zaangażować detektywa, który przez jakiś czas prowadził śledztwo, nie ujawniając się. Zbierał dowody.

- Nie ujawniając się? - Potrząsnęła głową. - Czyli taki prawdziwy tajniak, w długim

płaszczu, jak się domyślam.

- Cóż...

- Kto był tym egzekutorem? - zapytała. - Nadal pracuje dla Gildii w Aurora Springs, czy też po zlikwidowaniu przestępcy odjechał ku zachodowi słońca, jak w westernie?

- Szczerze mówiąc, jest tutaj, w Kadencji.

- A co on tu robi? - zdziwiła się Elly. - Czy może to tajna informacja?

- W tej chwili je śniadanie i ma nadzieję, że dostanie więcej herbaty.

Elly zamknęła oczy i ciężko oparła się o blat. -Ty.

- Obawiam się, że tak.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się ironicznie.

- I pomyśleć, że ja naprawdę sądziłam, że jesteś bibliotekarzem Gildii.

Cooper gwałtownie się podniósł i podszedł do kuchenki.

- Bo nim byłem. Nadal jestem, jeśli już o tym mowa. - Wziął dzbanek z herbatą. - Ukończyłem studia w tym kierunku i to, że teraz zajmuję stanowisko szefa Gildii, niczego nie zmienia.

Elly uzmysłowiła sobie, że swoją ostatnią uwagę wytrąciła go z równowagi. Cooper nie znoślił, gdy mu zarzucała, że ją oszukiwał.

- Przed chwilą mówiłeś, że byłeś egzekutorem - przypomniała.

- Detektywem. - Nalał sobie herbaty do kubka. -A ponieważ detektyw niemal zawsze działa w ukryciu, znaczy to, że musi mieć jawną, prawdziwą pracę, która stanowi zasłonę dymną dla tej tajnej.

- I tak zostałeś prawdziwym bibliotekarzem.

- Lubię tę pracę. - Odstawił dzbanek na gorącą płytę podgrzewacza. - Uważam, że historia może nas wiele nauczyć. A poza tym to zajęcie było wygodnym kamuflażem dla moich dochodzeń, bez względu na miejsce, w którym je prowadziłem. Każda Gildia posiada własne historyczne archiwum. Nigdy nie przestanie mnie dziwić, że osoby pracujące z książkami i manuskryptami nie cieszą się poważaniem.

- Cóż, zdaje się, że twoje dawne zajęcie nie ma teraz znaczenia. Jesteś szefem Gildii, który potrafi generować niebieskie duchy. Zeszłej nocy dowiedzieliśmy się, że jakiś niebieski świr próbował zabić Berthę, prawdopodobnie dlatego, że odkryła jego podziemną wytwórnię narkotyków. To jasne, sytuacja jest poważna.

- Obawiam się, że masz rację.

- I co dalej?

- Postaram się dzisiaj zebrać kilka informacji, a wieczorem zjem kolację z jednym z moich przyjaciół.

- Masz w tym mieście jakiegoś przyjaciela? - zdziwiła się Elly.

- Nie patrz tak na mnie. To, że jestem szefem Gildii, nie znaczy jeszcze, że nie mam przyjaciół.

- Nie to chciałam... och, nieistotne. - Podniosła oczy w górę i westchnęła. - Jak się nazywa ten twój przyjaciel?

- Emmett London. On i jego żona, Lydia, mają dom w innej części Starej Dzielnicy.

- Co? - Elly się wyprostowała. - Jesteśmy zaproszeni na kolację do domu tych Londonów?

Cooper uniósł brwi na znak zdziwienia.

- Widzisz w tym jakiś problem?

- Jakies trzy miesiące temu pisano o nich we wszystkich gazetach. Emmett London objął funkcję szefa Gildii tu, w Kadencji, na czas pobytu Mercera Wyatta w szpitalu.

Cooper wyglądał na rozbawionego.

- Słyszałem o tym.

Elly zignorowała jego uwagę.

- Emmett i Lydia stali się tutejszymi celebrytami. Tabloidy szeroko się rozpisywały o ich związku. To bardzo romantyczna historia. A ślub był cudowny. Widziałam zdjęcia w prasie. Lydia miała najpiękniejszą suknię pod słońcem.

- Gdy otrzymałem teraz od nich zaproszenie, pozwoliłem sobie wspomnieć o Rose. Powiedziano mi, że możesz ją ze sobą zabrać.

- Naprawdę?

- Wygląda na to, że Lydia London też ma kurzaki.

- Wielkie nieba - zakrzyknęła Elly. - Rose po raz pierwszy w życiu została zaproszona na uroczystą kolację. Pewnie będzie godzinami wybierać bransoletki na tę okazję.

Rozdział 12

Krótko po jedenastej tego samego ranka Elly zobaczyła, że drzwi Sklepu z Antykami Thornton się otwierają i że ze sklepu wychodzi jego właścicielka, Doreen Thornton. Jak zawsze ubrana zgodnie z nakazami ostatniej mody, miała na sobie obcisłą różową minispódniczkę i dopasowany zielony sweterek, podkreślający zgrabną figurę. Ażurowe pończochy i różowe zielone szpilki dopełniały stroju.

Ciemne, kędzierzawe włosy Doreen opływały bujną falą ładną ciemnoskórą twarz, w której błyszczały fascynujące, czarne oczy. Na szyi Doreen pobłyskiwał wisior z bursztynem.

Elly wiedziała, że bursztyn w naszyjniku jest prawdziwy. Kamień miał dobrą jakość i był

profesjonalnie nastrojony. Doreen słono za niego zapłaciła.

Tak jak Bertha, Doreen była pararezonerką energii efemerycznej, splataczką potrafiącą rozwikływać niebezpieczne pułapki iluzji, których pełno było w katakumbach. I tak jak Bertha, Doreen nie ukończyła żadnych studiów, dlatego drogę do elitarnego Stowarzyszenia Paraarcheologów miała zamkniętą. Przyciągana do podziemnego świata, jak wiele osób z podobnymi parapsychoicznymi umiejętnościami, postanowiła zarabiać na życie jako szczur ruin.

Do wyboru miała to lub pracę kelnerki, tłumaczyła Elly pewnego razu.

Doreen jako jedna z pierwszych sąsiadów przywitała Elly w Alei Ruin. Elly była jej wdzięczna zarówno za okazywaną życzliwość, jak i za porady w kwestii mody. Dopóki nie poznała Doreen, nie miała pojęcia, jak bardzo niestylowa była jej garderoba, którą nosiła w Aurora Springs.

Doreen przebiegła osnutą mgłą alejkę i otworzyła drzwi Ziołowego Emporium. Zabrzęczał dzwoneczek.

- O rany, ta mgła chyba nigdy się nie rozwieje - zawołała, zamykając drzwi. - Wiem, że to taka pora roku, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek utrzymywała się tak długo. Jedno jest pewne, psuje nam interesy.

- Nie musisz mi mówić - westchnęła Elly, opierając się o ladę. - Przez cały ranek zawitało tu tylko dwóch klientów.

Rose, przykucnięta przy swoim małym pudełeczku z bransoletkami, wesoło zaszczebotała na przywitanie. Doreen poklepała ją ciepło po grzbiecie.

- Oblędnie dzisiaj wyglądasz, mała strojnisiu. - Przyjrzała się z bliska sznurowi zielonych kamieni pobłyskujących w szarym futrze. - Nowa bransoletka?

Rose dumnie się nastroszyła.

- Wyjęła ją dzisiaj z mojej skrzyneczki z biżuterią - wyjaśniła Elly.

- Nie złość się na nią. Dziewczyna wie, w czym jej dobrze.

- To prawda, ale jak dalej tak pójdzie, nie zostanie mi ani jedna bransoletka - poskarżyła się Elly.

- Więc wybierz się z Rose na zakupy.

- Może i tak zrobię. Jak tam odwiedziny u rodziców?

- Jak zawsze. Tata wziął małą pożyczkę, żeby pomóc mi zapłacić czynsz za sklep w tym miesiącu. - Doreen się skrzywiła. - Musiałam wysłuchać kolejnego wykładu mamy i ciotki na temat tego, że powinnam poważnie się zastanowić nad Małżeństwem Przymierza. Wróciłam dzisiaj rano tak szybko, jak tylko się dało.

Elly podeszła do ekspresu i nalala dwa kubki ziołowego naparu, który wcześniej

przygotowała. Aromatyczna mieszanka miodu z Harmonii, czerwonej przyprawy i korzenia bursztynu przyjemnie kontrastowała z wilgocią i szarością dnia.

- Powiedziałaś im o swoim nowym chłopaku? - zapytała, zanosząc kubki do lady.

- Nie. - Doreen podniosła jeden z kubków i z zachwytem zaciągnęła się zapachem naparu. - Pewnie zaczęliby mnie wypytywać, a ja jeszcze nie mogę o nim mówić. Przynależam mu, że będę milczała na jego temat do czasu, aż skończy swoje śledztwo.

- Chodzenie z gliną musi być trudne.

- Umawia się ze mną faktycznie o dziwnych porach. - Doreen szeroko się uśmiechnęła. - Ale to bywa bardzo ekscytujące. I on jest taki męski. No i na pewno nie ubiera się jak przeciętny detektyw. Nie uwierzyłabyś, jakie ten facet ma wycucie stylu.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy go poznam.

- Zapoznam was, gdy tylko zamknie sprawę, którą teraz prowadzi. Twierdzi, że dopóki dochodzenie trwa, musi zachować dyskrecję, zwłaszcza tutaj, w Starej Dzielnicy. Nie może ryzykować spotkania z przestępcami. A co u ciebie? Słyszałam, że miałaś wczoraj gościa.

Elly się skrzywiła.

- Wieści szybko się rozchodzą.

- Zwłaszcza w Alei Ruin. Słyszałam o tym z samego rana od Philipa i Garrica. Mówili, że widzieli czarne spectrum EX, stojące od wczoraj w uliczce na tyłach twojego sklepu. Podobno odjechało dopiero dzisiaj rano. Potwierdzasz czy zaprzeczasz?

- Uff.

- Zakładam, że potwierdzasz. - Doreen znów się szeroko uśmiechnęła. - No więc?

- Nie ma doprawdy o czym mówić - wymamrotała Elly. - To tylko znajomy spoza miasta.

Przenocował u mnie. Nic wielkiego.

- Jak możesz tak mówić? Spędził tu całą noc.

- Ale nie w moim łóżku.

Jak to miło, gdy człowiek może powiedzieć prawdę.

Rozdział 13

Zarówno niebieski wir, jak i komunalny slider zniknęły.

To niemożliwe.

Wstrząśnięty, zabójca rozglądał się po sektorze katakumb, w którym wygenerował niebieskiego ducha i przytwierdził go do slidera.

Po raz piąty lub szósty sprawdził swój bursztyn, myśląc, że może skręcił w zły korytarz. Ale po

przesłaniu niewielkiej ilości energii psi przez urządzenie nawigacyjne otrzymał ten sam odczyt. To było dokładnie to miejsce, w którym pozostawił slidera Berthy Newell.

I nie było możliwe, żeby kobieta sama zderezowała niebieskiego ducha. Jest splataczką, a nie łowcą, a już z pewnością nie jest niebieskim łowcą.

Nic ani nikt nie mógł zniszczyć wiru poza innym pararezonorem energii dysonansu, potrafiącym manipulować energią z niebieskiego końca spektrum. Ten rodzaj parapsychicznych zdolności był tak rzadki, że przeszedł do mitów i legend.

Stało się oczywiste, że wir rozbroił inny pararezonator energii. Przypadkowe rozbrojenie zdarzało się jeszcze rzadziej niż spotkanie łowcy potrafiącego wzbudzać niebieską energię.

Ten pieprzony niebieski świr, Cooper Boone, pojawił się w mieście i jakimś cudem znalazł wczoraj Berthę Newell.

Rozdział 14

Grillując ryby, trzeba przede wszystkim zadbać o to, żeby grill był czysty i miał dobrze naoliwiony ruszt. – Emmett London pokręcił jedną z lśniących gałek przy dużym, ogrodowym grillu. - Dzięki temu filety się do niego nie przyklejają, nie rozpadają i nie spadają na żarzące się brykiety.

Cooper oparty o balustradę tarasu popijał drinka i przyglądał się masywnemu grillowi. Iskry ognia strzelały w górę, a dym rozchodził się w powietrzu, mieszając się z mgłą.

- Ta machina jest wielka jak samochód - zauważył.

- Faktycznie - potwierdził Emmett z zadowoleniem. - Mercer Wyatt podarował go nam w ślubnym prezencie. Gdybyś zobaczył instrukcję obsługi, dopiero byś się zdziwił.

- Trzeba umieć się nim posługiwać?

- Nie tylko to - tłumaczył Emmett. - Grillowanie jest sztuką, mój przyjacielu. Sztuką, która wymaga talentu, praktyki, precyzji i umiejętności działania pod presją.

- Jeśli chodzi o presję, to dobrze cię rozumiem - zauważył Cooper. Zerknął w stronę trzech kurzaków, które siedziały obok niego na balustradzie.

Dwa z nich, Fuzz i Ginger, miały na czubku pokrytych sterczącym futerkiem łepków małe satynowe wstążeczki. Obok nich przykucnęła Rose. Wystrojona w bransoletkę z zielonych kamieni, którą wybrała na dzisiejszy wieczór, błyszczała niczym gwiazda filmowa.

Żaden z tych trzech kurzaków nie wyglądał na zaskoczonego spotkaniem. Cooper odniósł wrażenie, że się już znały. Puszyste stworki uważnie obserwowały proces grillowania.

- Sądząc z mojego, przyznaję, dość niewielkiego doświadczenia, kurzaki mają wielką słabość do potraw z grilla - powiedział Emmett. - Pewnie dlatego, że niespecjalnie można je nazwać wegetarianami.

- A jakim cudem stałeś się właścicielem tej dwójki?

Emmett zerknął na stworki przystrojone wstążkami.

- Jedno z nich to chyba dziewczyna. Przyjaźni się z Fuzzim, który kilka tygodni temu zaczął ją zapraszać na obiad. Mam złe przeczucie, że któregoś dnia zajrzę pod łóżko w sypialni i znajdę tam gromadkę ich dzieci.

- Wiesz, dopiero wczoraj, po przyjeździe do Kadencji, dowiedziałem się, że kurzaki można trzymać w domu jak domowe zwierzątka.

- My też, zanim pojawiliście się tu z Rose, sądziliśmy, że tylko u nas one się zadomowiły. Lydia twierdzi, że to z inicjatywy Fuzza. Po prostu pewnego wieczoru pojawił się na balkonie i już został.

- Elly opowiadała mi, że dokładnie tak samo było z Rose. Poza tym Rose co jakiś czas przynosi Elly kwiaty, a w zamian pożyczają sobie od niej jej bransoletki.

- Nie wiem, jak sprawy się mają między Fuzzem a Lydią, ale przypuszczam, że chodzi tu o jakiś rodzaj parapsychicznej więzi.

- Naukowcy twierdzą, że nie istnieje prawdziwa parapsychiczna więź między ludźmi a zwierzętami - przypomniał Cooper.

- Powiedz to Fuzzowi i Lydii.

Cooper się uśmiechnął. Dobrze się bawił na przyjęciu, choć miniona doba wprowadziła komplikacje w jego plany. Nie spodziewał się, że rezultatem spotkania z niebieskim duchem będzie towarzyska wizyta u starego przyjaciela, ale namówił go do niej Mercer Wyatt, szef Gildii w Kadencji, do którego Cooper zadzwonił.

- Skoro mamy do czynienia z niebieskim świrem - mówił Wyatt - musimy zachować dyskrecję. Bez względu na to, kto to jest, ta osoba może mieć bliskie powiązania z zarządem organizacji. Moim zdaniem nie byłoby dobrze, gdyby ktoś się dowiedział, że się spotykamy, żeby omówić tę sprawę. Oczywiście można się zabezpieczyć, ale obaj wiemy, że nie istnieje nic takiego jak stuprocentowe zabezpieczenie.

- To twoje miasto - odparł Cooper. - Jak chcesz rozwiązać ten problem?

- Wiem, że oficjalnie nie jesteś już egzekutorem, ale nie znam zbyt wielu osób z takimi zdolnościami jak twoje, do których mógłbym się zwrócić. Zresztą wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Spodziewałem się, że to powiesz.

- No i poza tym widziałeś wczoraj miejsce wydarzeń - dodał Wyatt. - Zrobisz mi uprzejmość,

jeśli zajmiesz się dochodzeniem.

Nie zaszkodzi, jeśli szef Gildii z innego miasta będzie miał wobec mnie dług wdzięczności, pomyślał Cooper, choć z drugiej strony pamiętał, że nie przyjechał do Kadencji po to, żeby robić uprzejmości koledze na równorzędnym stanowisku. Miał inne plany.

Należało jednak jak najszybciej wysledzić niebieskiego świra. Gdyby wieść o nim przedostała się do prasy, zaszkodziłoby to nie tylko Gildii w Kadencji, ale także we wszystkich pozostałych miastach.

- Przyjrę się sytuacji - zgodził się niechętnie.

- Kontaktuj się z Emmettem. Teraz, kiedy już nie jest oficjalnie powiązany z Gildią, nikt z organizacji nie zwraca na niego uwagi. Miejmy nadzieję, że niebieski świr również. Jednym słowem, wasze kontakty nie powinny wzbudzić w nikim podejrzeń.

Emmett London był przedostatnim szefem Gildii w Rezonansie. Pozostawał na tym stanowisku przez dobrych kilka lat, w trakcie których uczynił bardzo dużo, by przemienić Gildię w legalną, szanowaną, nieomal mainstreamową instytucję. Zadowolony z tego, co osiągnął, zrezygnował z pracy w Gildii i rozpoczął karierę doradcy biznesowego.

Przed kilku miesiącami Emmett przeprowadził się do Kadencji, poznał Lydię Smith, ożenił się z nią i z entuzjazmem oddał się życiu rodzinnemu.

Cooper mu zazdrościł. Jasne, Emmett napotkał kilka problemów. Nic znaczącego, tylko kilka martwych ciał i mordercę szaleńca, któremu marzyła się dyktatura. Ale poza tym jego życie bardzo dobrze się układało.

Dom Londonów znajdował się w jednej z niedawno odrestaurowanych, bogatszych okolic Starej Dzielnicy. Z tarasu, na którym stał, Cooper widział ciemny zarys rozległego parku i zasnutą mgłą zieloną poświatę bijącą od murów Wymarłego Miasta.

Elly i Lydia przyniosły panom drinki jakiś czas temu i oświadczyły, że grillowanie to męska sprawa, po czym zniknęły we wnętrzu ciepło oświetlonego domu.

- Jeszcze o jednym trzeba pamiętać przy grillowaniu ryb - kontynuował Emmett, znów manipulując pokrętłami grilla. - Nie należy ich dotykać, gdy już się pieką. W przeciwnym razie skończy się to całkowitą katastrofą.

- Postaram się nie zapomnieć - przyrzekł Cooper. - Wiesz, jestem pod wrażeniem. Nie sądziłem, że znasz się na grillowaniu.

- Tę umiejętność zdobywa się po ślubie. Kiedy człowiek się ustatkuje i przestaje jadać w restauracjach.

- Zdaje się, że to wszystko tłumaczy. Ja nadal żywię się głównie poza domem.

- No właśnie. Chciałem z tobą o tym pogadać. - Emmett odsunął się od grilla, uciekając od dymu. - Miałeś się zenić. Mój smoking był już wyprasowany i gotowy do założenia na

twój ślub. Co się do diabła wydarzyło?

- Sprawy się nieco skomplikowały.

- Kobiety nieco komplikują nasze życie, to prawda - przyznał Emmett z wymownym wyrazem twarzy.

- Słyszałam to - powiedziała głośno Lydia. Stała w drzwiach.

Weszła na taras, niosąc płaski, prostokątny półmisek z rybą. Kiedy przechodziła pod lampą, światło zamigotało wesoło w jej rudych włosach.

Tuż za nią kroczyła Elly z kieliszkiem wina w obu rękach.

Emmett uśmiechnął się czarująco do żony.

- Ale życie byłoby ogromnie nudne, gdyby nie komplikacje stwarzane przez kobiety - rzekł. - Zgadasz się, Cooper?

- Oczywiście - odparł.

Lydia pogodnie się uśmiechnęła.

- A żebyście wiedzieli.

Emmett szybko ją pocałował i wziął od niej półmisek. Lydia podniosła kieliszek, który Elly postawiła na stole, i upiła z niego łyk wina.

- A ty uważnie słuchaj tego, co mówię - zwrócił się Emmett do Coopera. - Bo pomimo ostatnich komplikacji te informacje mogą ci się kiedyś przydać. Nie wyjawiam swoich grillowych tajemnic każdemu łowcy, który wpada do mnie na obiad.

- Obserwuję twój każdy ruch, Emmett - zapewnił Cooper.

Elly się nad czymś zastanawiała.

- Domyślam się, że dobrze się znacie, prawda?

- Poznaliśmy się kilka lat temu, kiedy zostałem szefem Gildii w Rezonansie. - Emmett przyglądał się marynowanej rybie z taką uwagą, jakby był chirurgiem szykującym się do operacji na otwartym mózgu. - Sprowadziłem Coopera, żeby pomógł nam rozwiązać pewien problem, który wtedy mieliśmy.

- Naprawdę? - Elly uśmiechnęła się życzliwie. - Czy to był może jakiś problem w waszym Archiwum?

- Jak na to wpadłaś? - odpowiedział bez zająknięcia Emmett. - Jeszcze nie spotkałem kogoś, kto tak szybko jak Cooper i bez ściągania uwagi prasy potrafi uporządkować kartoteki. - Emmett podniósł szpatułkę i spojrzał na Coopera. - Przygotowany na oglądanie mistrza w akcji?

- No nie wiem - odparł Cooper. - Na widok krwi mdleję.

- Znasz to stare powiedzenie: duch, który cię nie zabije, na pewno cię wzmocni. - Emmett, pomagając sobie szpatułką, przełożył rybę na ruszt grilla. - A więc planujesz

wyśledzić naszego niebieskiego świra?

- Nie wiem, czy można to nazwać planem - odrzekł Cooper. - Dysponuję tylko poszlakami. - Sięgnął do kieszeni koszuli, wyjął z niej przedmiot, który znalazł na posadzce w pobliżu miejsca, gdzie wirował niebieski duch, i uniósł wysoko rękę, żeby każdy mógł ową rzecz zobaczyć.

- Wygląda jak śmieszne mieszadelko - oceniła Lydia, uważnie przyglądając się małemu plastikowemu mieczykowi.

- Bo nim jest - oświadczył Cooper. - Słyszeliście kiedyś o klubie Droga do Ruin?

Lydia wyraźnie się zaciekawiła.

- To ta twoja poszlaka? Cooper spojrzał na kobietę.

- W tej chwili mam tylko to. Co wiesz o tym klubie?

- Cóż, Droga do Ruin to najbardziej ekskluzywny klub nocny i kasyno w mieście. Znajduje się w Starej Dzielnicy, tuż przy murach Wymarłego Miasta. To prywatny klub i wchodzi się do niego ze specjalnymi VIP-owskimi kartami. Bez tej przepustki trzeba stać w bardzo długiej kolejce ze zwykłymi śmiertelnikami, licząc na to, że ochroniarz cię wpuści. Dużo więcej nie powiem ci o tym miejscu, bo Emmett pod pewnymi względami jest straszliwie purytański.

- Jestem żonatym mężczyzną - oświadczył niewinnym tonem Emmett. - A żonaci mężczyźni nie chadzają do klubów takich jak Droga do Ruin, chyba że prowadzą interesy z podziemnym światkiem lub mają gorący romans z żoną najbliższego przyjaciela.

- To tylko wymówki, które zresztą ciągle słyszę. - Lydia posłała Elly wymowne spojrzenie. - Strzeż się, bo właśnie to ciebie czeka po ślubie. Okazuje się wtedy, że mąż woli każdy wieczór spędzać w domu i smażyć ryby na grillu zamiast zabrać cię do dobrej restauracji.

- Zapamiętam to sobie - przyrzekła Elly.

Usiadła na tarasowym fotelu i skrzyżowała nogi, Cooper zaś spostrzegł nagle, że fioletowa sukienka, którą miała na sobie, była jeszcze krótsza niż jej spódnica z poprzedniej nocy.

- Podobno jedzenie jest tam świetne - ciągnęła Lydia. - I słyszałam, że można się nieźle zabawić, chociaż atmosfera jest naładowana erotycznością.

Cooper spojrzał na Emmetta i pokręcił głową z udawanym współczuciem.

- I pomyśleć, że nigdy nie zabrałeś tam żony.

- Możesz mnie nazwać nudziarzem. - Emmett za pomocą szpatułki przeniósł filety na grill. - Ale zapewniam cię, że nie jest to miejsce, do którego można zabrać córkę szanowanego członka Gildii z Aurora Springs.

- Zdaje się, że mówi o mnie - zwróciła się Elly do Lydii. Lydia skinęła głową.
- Tak, ja też odniosłam takie wrażenie. Emmett zignorował obie panie.

- Właścicielem jest facet, który się nazywa Ormond Ripley. Podobno ma powiązania z całym podziemnym światkiem, a także w kręgach polityków. Jest na tyle sprytny i ma tak dobre kontakty, że do tej pory nie miał żadnych zatargów z prawem, co o czymś świadczy, zwłaszcza że prowadzi w swoim klubie kasyno. Kiedyś był człowiekiem Gildii.

- Rozumiem. - Cooper z zamyśleniem potrząsnął resztką wina w kieliszku. - Pozostaje mi teraz znaleźć jakiś sposób na dostanie się do tego klubu. - Unosząc brew, spojrzął na Emmetta. - Coś ci przychodzi do głowy?

- Wyatt może pociągnąć za kilka sznurków i cię tam wprowadzić - zapewnił Emmett. - Zadzwoń do niego jutro z samego rana.

Na twarzy Elly pojawił się podejrzenie promienny uśmiech, na widok którego Cooper poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

- Nie ma potrzeby zwracać głowy samemu szefowi - powiedziała z zadowoleniem. - Często bywam w tym klubie i znam niektórych ludzi. Wprowadzę tam Coopera. Może tam iść nawet dzisiaj, jeśli chce.

Rozdział 15

Od razu po kolacji Cooper i Emmett przeszli do domu, aby ze szczegółami zaplanować, co zrobią w sprawie niebieskiego świra.

Elly i Lydia zostały na tarasie i, obserwując mężczyzn, wymieniały się cichymi uwagami.

- Interesy Gildii - zaczęła ponuro Lydia.
- Nie przypominaj mi - mruknęła równie ponurym tonem Elly.

Przez chwilę, spoglądając na pogrążony we mgle park, milczały. Na drugim krańcu tarasu Rose, Ginger i Fuzz siedziały na balustradzie i podgryzały precle.

- Widziałas minę Coopera, kiedy powiedziałam, że mogę go wprowadzić do Drogi? - zapytała w końcu Elly.

Lydia się roześmiała.

- Widziałam. Typowa mina: szef Gildii niemogący ukryć zaskoczenia.
- To rzadki widok.

- Tym bardziej powinnaś się cieszyć.

- Tak, cieszę się.

Lydia lekko przechyliła głowę.

- Naprawdę znasz kogoś, kto załatwi ci wejściówkę do tego klubu?

- Moi znajomi są jego członkami. Prowadzą bardzo dochodowy sklep z antykami w Alei Ruin. Przygotowuję dla nich specjalny napar, a oni odwdzięczają się, zabierając mnie czasami do Drogi. Jestem pewna, że pożyczą mi swoją przepustkę.

- Gdyby nie okoliczności, mielibyście naprawdę fajny wieczór.

- Tak. - Elly oparła ręce na balustradzie, zapatrzona w noc. - Ale odnoszę wrażenie, że Cooper nie jest zadowolony, iż zgodził się zająć tą sprawą.

- Emmett mówił mi kiedyś, że niebieskie świry to rzadkość, podobnie jak pararezonery energii dysonansu, którzy potrafią sobie z nimi radzić.

- Cooper wplątał się w tę sprawę przeze mnie. Nie dowiedziałby się o niebieskim świrze, gdybym go wczoraj nie poprosiła, żeby pomógł mi odnaleźć w tunelach moją dobrą znajomą.

- Naprawdę ten duch był taki straszny, jak sugerują Cooper i Emmett? - zaciekawiała się Lydia.

- Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam, to pewne. A byłam kilka razy w katakumbach z rodziną. Duch wydawał się groźny i bardzo potężny, ale chyba nie potraktowałam go tak poważnie, jak na to zasługiwał, bo Cooper bardzo szybko go zdematerializował.

- Emmett twierdzi, że Cooper jest w tym dobry.

- Choć wychowałam się w rodzinie powiązanej z Gildią, sądziłam, że niebieskie duchy i egzekutorzy to mit krążący wśród łowców.

- No cóż, ja nawet nie słyszałam wcześniej o niebieskich duchach i egzekutorach.

- To tylko dowodzi, jak dobrze Gildia potrafi skrywać swoje tajemnice.

- Wiem, że to nie moja sprawa - zaczęła Lydia - ale Emmett opowiadał, że ty i Cooper byliście zaręczeni. Emmett mówił też, że zerwałaś zaręczyny.

- To prawda.

- Niech zgadnę. Z powodu zapracowania Coopera? Elly uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Jesteś bardzo domyślna.

- Niekoniecznie. Po prostu sama przez to przeszłam. Jakiś czas temu okropnie się bałam, że Emmett na stałe przyjmie stanowisko szefa Gildii w Kadencji. Nie wiem, jak bym to zniosła. Na szczęście się okazało, że nie jest zainteresowany tą robotą.

- A Cooper, niestety, jest - stwierdziła Elly. - Nie krył przede mną, że ogromnie mu zależy na szefowaniu Gildii w Aurora Springs.

- A ty doszłaś do wniosku, że nie chcesz spędzić życia z wielkim Panem Szefem?

- Kiedy go poznałam, nie wiedziałam nawet, że jest kandydatem na to stanowisko. - Elly szeroko rozłożyła ramiona. - Myślałam, że jest bibliotekarzem.

- Bibliotekarzem?

- Sprowadzono go spoza miasta, żeby zorganizował Archiwum Gildii. A przynajmniej tak wszyscy mówili. Cooper ma stopnie naukowe w dziedzinie historii i badań archiwalnych oraz pozyskiwania informacji. Okazało się jednak, że akademickie wykształcenie, choć autentyczne, było tylko przykrywką dla jego prawdziwego zajęcia. Jest egzekutorem.

- Ach!

W tym okrzyku kryła się pełnia zrozumienia. Elly westchnęła.

- Wkrótce po tym, jak zaczęliśmy się spotykać, poprzedni szef Gildii, Haggerty, zniknął, i nim się obejrzałam, Rada wybrała Coopera na nowego szefa. Poprosił mnie o rękę, zanim zdążyłam się przyzwyczaić do nowej sytuacji.

- Trzeba uważać na bibliotekarzy - mruknęła Lydia.

- Święta racja. Cóż, krótko mówiąc, szybko się przekonałam, że ta praca jest niesłychanie ważna dla Coopera. Spóźniał się na randki albo je odwoływał w ostatnim momencie. Unikał rozmów na temat Gildii. No i zaczęłam podejrzewać, że chce się ze mną ożenić tylko z powodu moich rodzinnych powiązań.

- Powiązań?

- On takich nie ma - tłumaczyła Elly. - Jego rodzina nigdy nie była związana z Gildią. To w większości wybitni naukowcy. I nawet nie mieszkają w Aurora Springs.

- Rozumiem.

- Cooperowi odpowiadało też, że byłam wykładowcą wyższej uczelni w Aurora Springs. Chciał mieć żonę, dzięki której mógłby nawiązać kontakty z szanowanymi, mainstreamowymi instytucjami.

- Jesteś przekonana, że właśnie dlatego starał się o ciebie?

Elly się skrzywiła.

- Wczoraj sam wyznał, że niemal wszystko, co robił w życiu, odkąd skończył dziewięć lat, miało na celu zdobycie stanowiska szefa Gildii w Aurora Springs.

- Dlaczego tak mu na tym zależało?

Elly się zawahała.

- Wiesz, nie zapytałam go o to. Byłam obrażona, że potraktował mnie jak kolejny stopień na drodze do osiągnięcia wymarzonego celu.

- Cóż, wcale się nie dziwię, że nie masz ochoty stanowić kolejnego stopnia w czyjejs karierze.

- Przez jakiś czas, gdy już wiedziałam, że zostanie szefem Gildii, przekonywałam sama siebie, że nasze małżeństwo mimo wszystko może się udać. Tata ciągle mi powtarzał, że Cooper to nowy narybek Gildii, przywódca, który poprowadzi organizację w lepszą przyszłość. Oczywiście ja też uważam, że włączenie się w główny nurt życia społecznego to cel wart zachodów. Więc wmawiałam sobie, że będę w tym brała udział jako jego żona. Takie tam dyrdymały.

- Faktycznie dyrdymały - przytaknęła Lydia. - Doskonale wiem, o czym mówisz.

- No właśnie. Zakochałam się w tym facecie, a wiesz, jak to jest. Kiedy się zakochasz, możesz sobie wmówić prawie wszystko.

- Wiem - rzekła Lydia. - Sama tak miałam. No więc, co było dalej? Dlaczego uznałaś, że to się jednak nie uda?

- Dowiedziałam się, że Cooper wziął udział w pojedynku łowców.

Lydia jęknęła.

- Ogromnie ci współczuję. Nie pojmuję, że niby tacy mądrzy, inteligentni i wykształceni faceci nadal wdają się w pojedynki. To przecież strasznie głupi i niedojrzały sposób rozstrzygania konfliktów.

- Całkowicie się z tobą zgadzam.

Lydia spojrzała na rozmówczynię z zaciekawieniem.

- A z jakiego powodu się pojedynkowali?

- Cooper wyzwał na pojedynek członka Rady Gildii z Aurora Springs, Palmera Frazier. Spotykałam się przez jakiś czas z Palmerem, zanim poznałam Coopera. Ale brukowce i plotki krążące w uczelni, w której pracowałam, głosiły, że powodem pojedynku byłam ja.

- Dwóch mężczyzn pojedynkowało się o ciebie? - Lydia, zafascynowana, szeroko otworzyła oczy. - O Boże, jakież to romantyczne.

- Nie sądzę.

- No tak, jasne. Wiadomo, że pojedynkowanie się jest przejawem niedojrzałości, anachronizmu i postępkim w stylu macho, typowym dla samców. Ale powiem ci, Elly, że nie znam drugiej kobiety, o którą ktoś by się pojedynkował. No i w dodatku bili się o ciebie łowcy duchów.

- No tak, cóż...

- No tak? To przecież jak w tych starych filmach, w których seksowny łowca schodzi do katakumb przysmażyć tyłki złym bandziom, żeby uratować wybrankę serca.

- Niezupełnie - sprzeciwiła się Elly.

- Co masz na myśli?

- Powiem ci coś, czego nie mówiłam nikomu innemu - odrzekła Elly. - Możesz myśleć, że jestem głupia gęś, ale kiedy usłyszałam, że Cooper się o mnie pojedynkował, byłam bardzo podekscytowana.

- Ha. - Lydia szeroko się uśmiechnęła. - Wiedziałam. Nie byłabyś prawdziwą kobietą, gdybyś zareagowała inaczej.

- W pewnym sensie nawet mnie to uspokoiło. - Elly złożyła ręce i zapatrzyła się w rozciągający się z tarasu widok. - Rozumiesz, aż do tamtego momentu Cooper raczej nie obnosił się z uczuciami.

Lydia zacisnęła usta.

- Hm. Sądząc po tym, jak dzisiaj na ciebie patrzył, oboje się z nimi nie kryjecie.

Elly poczuła, że się rumieni.

- Wydarzył się pewien incydent, ale to się nie liczy, bo doszło do niego wskutek, hm, wypalenia parapsychicznego, jakiego Cooper doznał zeszłego wieczoru.

- Ach, taki incydent. - Lydia ze zrozumieniem pokiwała głową. - Wiem, o czym mówisz. Tego rodzaju incydenty są nawet zabawne, ale rzeczywiście o niczym nie świadczą.

- Właśnie. Tak czy inaczej, kiedy oficjalnie spotykałam się z Cooperem, nabrałam przekonania, że go wcale nie pociągam fizycznie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Wiem.

- A ponieważ nie przejawiał zainteresowania mną jako kobietą, tym większe były moje obawy, że chce się ze mną ożenić tylko dlatego, że będę odpowiednią żoną szefa Gildii.

Lydia mlasnęła językiem.

- A potem się dowiedziałas, że się o ciebie pojedynkował. No, no. Więc jednak nie byłaś mu obojętna.

- Dlatego, choć nie zamierzam akceptować pojedynków, przyznaję, że okoliczności przemawiały na korzyść Coopera.

- Tradycje Gildii - domyśliła się Lydia.

- Tak. W Aurora Springs są nadal bardzo silne.

- W Kadencji również.

- Rzecz w tym - ciągnęła Elly - że ten pojedynek skłonił mnie do lekkiej zmiany zdania o Cooperze. Pomyślałam, że może jednak żywi do mnie jakieś cieplejsze uczucia.

- Doskonale cię rozumiem.

- Sądziłam, że jakoś sobie z tym poradzę. - Elly chrząknęła. - Oczywiście zamierzałam wymóc na nim, żeby poddał się terapii.

- Oczywiście.

- I choć sądziłam, że incydent z pojedynkiem miał swoje dobre strony, mimo wszystko byłam wściekła.

- Bo miałaś powód - zgodziła się Lydia.

- Mówi się, że w pojedynkach łowców nikt nie ginie, ale ja słyszałam wystarczająco dużo historii, żeby wiedzieć, że obie strony mogą doznać straszliwych parapsychicznych urazów, zwłaszcza jeśli jeden z pojedynkujących się utraci nad sobą kontrolę.

Lydia się wzdygnęła.

- Ja też o tym słyszałam.

- A ponadto z powodu pojedynku zaczęto o mnie plotkować na uczelni. Wiedziałam, że brukowce nie zostawią na mnie suchej nitki i bałam się, że zanim wszystko ucichnie, stracę pracę.

- Poważna sprawa. Faktycznie miałaś prawo być wściekła jak zielona cholera.

- I byłam, ale zarazem powtarzałam sobie, że ten incydent dowodzi, iż nasz związek ma jeszcze szanse. Poszłam do biura Coopera i zapytałam go, dlaczego się pojedykował.

- I?

Elly ciężko westchnęła.

- Jasno dał do zrozumienia, że nie chodziło o miłość ani o mój honor.

Lydia zmarszczyła czoło.

- W takim razie, po co się pojedykował?

- Przygotuj się. Pojedykował się, żeby zachować równowagę sił w Radzie Gildii.

Lydia szeroko otworzyła usta.

- O nie.

- Naprawdę. Sam mi to powiedział. Twierdził, że się bał, iż Palmer Frazier namówi mnie do małżeństwa, a to z kolei doprowadzi do rodzinnego sojuszu między Frazie-rem a moim ojcem, co miałyby ogromny wpływ na Radę.

Lydia jęknęła.

- Pojedykował się ze względów politycznych?

- Tak.

- A nie o ciebie?

Elly ze smutkiem pokręciła głową.

- Teraz sama widzisz, dlaczego musiałam zwrócić mu pierścionek zaręczynowy.

- Nie mów nic więcej. - Lydia objęła Elly i mocno ją do siebie przytuliła. - Tylko to ci pozostało. Nie miałaś wyboru.

Zanim Elly zdążyła podziękować rozmówczyni za zrozumienie, zauważyła ruch przy drzwiach prowadzących na taras. W progu zamajaczyły dwa cienie. Cooper i Emmett. Ich

pogrążone w cieniu twarzy były prawie niewidoczne.

- Powinienem być też wspomnieć, że jakiś czas temu wdepnąłem w ruchome piaski - powiedział bezbarwnym tonem Cooper.

- Faktycznie wdepnąłeś - zgodził się Emmett. - I to na całego.

Rozdział 16

Tak w ramach wyjaśnień - zaczął Cooper, gwałtownie wciskając przekładnię zmiany biegów.

- Zerwałaś nasze zaręczyny nie z powodu pojedynku, tylko z powodu jego przyczyn?

Elly napięta jak struna siedziała na siedzeniu obok.

- Moim zdaniem nie powinniśmy więcej poruszać tego tematu - oświadczyła. - To po prostu nie ma sensu.

- Ale widziałaś w tym sens, kiedy rozmawiałaś o pojedynku z Lydią London.

- Polubiłam ją. Od razu połączyła nas więź. Ona mnie świetnie rozumie.

- Dopiero ją poznałaś i już was łączy więź? A co ze mną? Znasz mnie od wielu miesięcy.

Co z więzią między nami?

- Jaką więzią? - zapytała uprzejmie Elly.

- Uważam, że mam prawo być wkurzony.

- Wiedziałam, że nie zrozumiesz.

- Cholerna racja. Nie rozumiem. - Powtarzał sobie w duchu, że nie straci nad sobą panowania, że nie da się wyprowadzić z równowagi. - Logika twojego rozumowania jest tak szczelna jak sito.

- Moja logika nie służy do przenoszenia wody. Wystarczy, że ma sens dla mnie. A przy okazji, jeśli nie udało ci się podsłuchać wszystkiego, to się dowiedz, że Lydia rozumie moją logikę.

- To oczywiste, że stoi po twojej stronie. Jest kobietą. A kobiety trzymają się razem w takich sprawach.

- Bardzo cię proszę, mów ciszej, bo denerwujesz Rose.

Cooper obejrzał się na Rose, która siedziała na tylnym siedzeniu i przez okno przyglądała się nocy. W jej futrze pobłyskiwała lśniąca bransoletka. Wcale nie wygląda na wystraszoną, pomyślał. No, ale to przecież kurzak. Skąd, do cholery, można wiedzieć, co się dzieje w głowie takiego stworzenia? On nie potrafił nawet odgadnąć, co się dzieje w głowie siedzącej obok kobiety.

Przejechał kilka ulic w milczeniu, dzięki wieloletniej praktyce próbując opanować wrzącą w nim frustrację.

Gdy jednak się okazało, że bezskutecznie, odwołał się do metody pozytywnego myślenia.

- Nie wydaje ci się, że zachowujemy się jak typowe stare małżeństwo wracające z przyjęcia do domu? - zapytał.

- Nie - odparła Elly. - Nie wydaje mi się. Przede wszystkim dlatego, że nie jesteśmy małżeństwem.

Pozytywne myślenie również całkowicie zawiodło.

- Nie jesteśmy, ale ze sobą sypiamy.

Posłała mu spojrzenie, którym mogłaby usmażyć ducha.

- Wcale ze sobą nie sypiamy.

Powinien w tym momencie porzucić ten temat, bo podążał niebezpieczną ścieżką. Nawet on to widział. Ale nie umiał się powstrzymać.

- A wczorajsza noc?

Elly bardzo mocno zacisnęła ręce na torebce.

- Wczorajsza noc się nie liczy. Byłeś pod wpływem wypalenia.

- Możesz tak to tłumaczyć, ale jak wyjaśnisz fakt, że ty byłeś podniecona równie mocno jak ja?

- Nie tylko łowcy odczuwają skutki nagłego przyływu adrenaliny - odparła chłodno. - Mogłeś to odczuć mocniej niż ja, bo przecież tak intensywnie działałeś, że aż stopiłeś swój bursztyń, ale uwierz mi, że my, zwykli śmiertelnicy, też ulegamy ekscytacji. Nie zapominaj, że napadł na nas ten bandyta w ciemnej uliczce i że bardzo mnie zdenerwowało zniknięcie, a potem odnalezienie Berthy. Zapewniam cię, że miałam powody, żeby czuć wzburzenie. Ale zostawmy to już, proszę.

Nie ma szans, moja damo, pomyślał, choć już zaczynał pojmować, że być może pora nie jest najodpowiedniejsza na prowadzenie tego typu dyskusji.

- W porządku, jeśli nie chcesz rozmawiać o naszej wspólnej przeszłości - powiedział na głos - to może porozmawiamy o interesach.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Interesach Gildii?

- Przecież twoim zdaniem tylko one mnie interesują.

Oparła głowę na zagłówku i zamknęła oczy.

- Może i nie pochwalam niektórych poczynań Gildii i nie podobają mi się jej tradycje - zaczęła - ale pragnę ci przypomnieć, że ze strony ojca jestem potomkiem Johna Sandersa St.Claira, założyciela i pierwszego szefa Gildii w Aurora Springs. Ponadto wśród moich przodków znajdowali się sławni bohaterowie Ery Niezgody oraz inni szefowie i członkowie Rady Gildii. Mój ojciec to jedna z najbardziej szanowanych osób w Gildii, a bracia należą do grona najzdolniejszych łowców.

- Znam historię twojej rodziny - zapewnił ściszym głosem.

- Oczywiście, że znasz. - Otworzyła oczy i odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. - To jeden z powodów, dla których chciałeś się ze mną ożenić.

Skupił uwagę na wąskiej ulicy.

- Do czego zmierzasz?

- Choć żywię niechęć do archaicznych tradycji Gildii, jestem lojalna wobec tej organizacji i doceniam rolę, jaką odgrywała przez długie lata. Doceniam też jej wagę jako siły militarnej w razie kryzysu. Nie jestem głupia i zdaję sobie sprawę, że wyśledzenie niebieskiego świra to poważna sprawa. I dlatego możesz w pełni liczyć na moją współpracę.

Zatrzymał się na czerwonym świetle.

- Dziękuję - powiedział cicho.

- Proszę bardzo.

- I przy okazji. Nigdy, ale to nigdy, nie nazwałbym cię głupią. Tym, co między innymi w tobie podziwiałem i szanowałem od samego początku, jest twoja inteligencja. Sądzę, że o tym wiesz.

- Tak, wiem - przyznała. -1 przepraszam za moje nieuprzejme słowa.

- Do cholery, jeśli ta rozmowa zrobi się jeszcze chłodniejsza, odmrozimy sobie tyłki w tym samochodzie.

Usta jej zadrżały.

- Też tak sądzę. - Wyprostowała się. - No więc, wracając do interesów. Kiedy chcesz się wybrać do Drogi do Ruin?

- Naprawdę możesz nas tam wprowadzić jeszcze dzisiaj?

- Tak sądzę. - Spojrzała na zegarek. - Już prawie północ. W klubie dopiero się zaczyna nocne życie. - Sięgnęła do torebki. - Zadzwoń do Garricka i Phillipa. Na pewno jeszcze nie śpią. To nocne marki. Możemy wpaść do nich po przepustkę po drodze do klubu.

- A co z Rose?

Wyciągnęła rękę i poklepała kurzaka.

- Chyba wystarczy jej wrażeń na jeden wieczór. Odwieziemy ją do domu.

Garrick Lattimer wsunął wypielegnowane dłonie do kieszeni czarnego, pięknie haftowanego jedwabnego szlafroka i zakołysał się lekko w przód i tył. Z zainteresowaniem przyglądał się Cooperowi.

- A więc jesteś znajomym Elly i przyjechałeś do niej w odwiedziny z innego miasta - rzekł.

Cooper przeszedł po białym dywanie do okna, za którym rozciągała się panorama Wymarłego Miasta. Przesłuchanie rozpoczęte, pomyślał.

Od chwili, gdy przed kilkoma minutami Garrick i jego partner, Phillip Manchester, otworzyli drzwi swojego apartamentu, Cooper czuł, że jest poddawany badawczej obserwacji.

Zapowiadało się, że będzie prawie tak źle jak w dniu, w którym zaprosił ojca Elly do swojego gabinetu, informując, że chciałby z nim porozmawiać o ewentualnym małżeństwie z jego córką.

Garrick i Phillip byli kulturalnymi mężczyznami w średnim wieku, w dobrej formie fizycznej, sugerującej, że regularnie odwiedzali salon spa i siłownię. I wyraźnie rzucało się w oczy, że przepadają za Elly.

Ich elegancki, utrzymany w bieli apartament zdobiły wartościowe kolonialne antyki, artystycznie podświetlone artefakty obcej rasy oraz rozsądna liczba malowideł z okresu sprzed Ery Niezgody. Jedna, za to duża, półka na książki zapelniona była unikatowymi wydaniem.

Jednak to kosztowne i ze smakiem urządzone mieszkanie oraz ogłada gospodarzy nawet na sekundę nie zwiódły Coopera. Umiał rozpoznawać w ludziach groźne bestie. Garrick i Phillip może i wiedli teraz wygodne życie, ale Cooper gotów był się założyć, że w przeszłości robili rzeczy o wiele bardziej niebezpieczne niż prowadzenie modnego sklepu z antykami.

Po prezentacji i wymianie kilku uprzejmości Phillip i Elly zniknęli w gabinecie, by poszukać magicznej przepustki do nocnego klubu. Garrick został z Cooperem i Cooper domyślał się, że to nie był przypadek. Raczej pułapka.

- Przyjechałem z Aurora Springs - wyjaśnił, ostrożnie dobierając słowa. Bolesnie go dotknęło, że Elly przedstawiła go jako zwykłego znajomego.

Garrick kiwnął głową, jakby potwierdziły się jakieś jego skryte podejrzenia.

- Domyślałem się zatem, że jesteś jej byłym narzeczonym. Żeby ukryć zaskoczenie, Cooper szybko się odwrócił.

- Elly mówiła wam o mnie?

- Wspominała, że przez jakiś czas, kiedy jeszcze mieszkała w Aurora Springs, była zaręczona. - Garrick opadł z gracją na bujany fotel, podciągając przy tym ukryte pod

szlafrokiem jedwabne spodnie od pizamy. - Tylko tyle. Nawet nie wymieniła twojego imienia. Wraz z Phillipem domyśliliśmy się, że wasz związek sprawił jej ból i że chce o nim zapomnieć i zacząć życie od nowa.

- Ból?

- Tak. A teraz ty zjawiasz się jak gdyby nigdy nic i to po tylu miesiącach. - Garrick uśmiechnął się chłodno. -Wybacz, ale trudno się nie dziwić i może nawet trochę niepokoić. Elly nie ma w Kadencji żadnej rodziny, więc ci z nas, którzy uważają się za jej przyjaciół, poczuwają się do chronienia jej.

- Bardzo to doceniam - zapewnił Cooper. - Może nawet bardziej niż sądzisz. Martwiłem się o nią.

- Całkiem dobrze sobie radzi z tym swoim małym sklepikiem. Jej klientela się powiększa. Zawarła tu też kilka przyjaciół, ale myślę, że czuje się samotna.

Cooper spojrzał na mówiącego.

- To znaczy?

- Znaczy, że po tylu miesiącach, z dala od rodziny i rodzinnego miasta, może być podatna na emocjonalne zranienia. - Garrick złączył palce obu dłoni i przestał się uśmiechać. - Ja i Phillip bylibyśmy ogromnie niepokieszeni, gdyby się okazało, że zjawileś się, żeby ją wykorzystać i ponownie zranić.

Cooper cicho zagwizdał.

- Lubicie ostrą grę, co?

Garrick przekrzywił głowę.

- Tak, lubimy. I lepiej, żebyś się nie dał zwieść pozorom. Jakiś czas temu zdobyliśmy sławę na rynku, ale ja i Phillip nie zapomnieliśmy lekcji, jakie odebraliśmy, kiedy znajdowaliśmy się na szarym końcu rynkowej drabiny.

Cooper skinął lekko głową.

- Wierzę.

- To dobrze. - Garrick sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego. - Cieszę się, że się rozumiemy, Cooper. Życzę dobrej zabawy w Drodze.

Rozdział 17

Dwadzieścia minut później, znów czując, że przejęła kontrolę, bo to ona miała w rękę pożądaną bursztynową przepustkę i to ona wiedziała, gdzie można zaparkować auto, Elly

kierowała Coopera ku bocznej uliczce w pobliżu klubu.

- Samochód będzie tu raczej bezpieczny - zapewniła, gdy Cooper otworzył drzwi od jej strony. - Ale na wszelki wypadek możesz zastosować tę sztuczkę z duchem przy tablicy rejestracyjnej. To był kiedyś rejon ze starymi magazynami. Większość z tych budynków jest teraz opuszczona, co znaczy, że pełno w nich włóczęgów.

Cooper szybko obrzucił wzrokiem słabo oświetloną ulicę i stojące przy niej obskurne, zniszczone budynki.

- Tak, chyba tak zrobię - zgodził się.

Gdy już mały duszek powiewał nad tablicą, ujął Elly za rękę.

Ulice, miejsca parkingowe i zatoczki w pobliżu Drogi do Ruin wypełnione były ekskluzywnymi pojazdami. Przed wejściem zatrzymywały się taksówki i limuzyny, z których wysypywali się elegancko ubrani goście. Kobiety w błyszczących skąpych sukienkach wielkości chusteczki do nosa szły w towarzystwie mężczyzn ubranych najrozmaiciej: od wyszukanych eleganckich garniturów do skórzanych kurtek i spodni od znanych projektantów.

Klub znajdował się w jednym z magazynów z okresu ery kolonialnej. Elly przejeżdżała obok niego za dnia i wtedy rzuciło jej się w oczy, że budynek jest prawie niezauważalny, jeszcze jeden niszczący dom w Starej Dzielnicy. Jediną rzeczą, która stanowiła o jego niezwykłości, były wykończone bursztyнем ciemne drzwi. Nie widniał na nich żaden numer. Największą atrakcją tego klubu było to, że trafiali do niego tylko wtajemniczeni lub osoby przez nich wtajemniczone.

Elly przyjrzała się tłumowi i stwierdziła, że wraz z Cooperem nie będą od niego odstawali swym wyglądem. Żadne z nich nie przebrało się po kolacji u Londonów, ale jej ciemnofioletowa sukienka i sandały na wysokim obcasie nie wyróżniały się pomiędzy modnymi wieczorowymi strojami innych kobiet.

Cooper miał na sobie elegancką, dość luźną, czarną marynarkę, a pod nią dopasowaną, szarą koszulę z jedwabiu i czarne spodnie. Prześlizgiwał się przez wystrojony tłum jak rekin pomiędzy stadem węgorzy.

- Tam jest wejście dla VIP-ów - szepnęła Elly, wskazując na drugie, znajdujące się na uboczu drzwi, zatarasowane stojakami z aksamitnymi sznurami.

Strzegło ich dwóch postawnych mężczyzn, którzy wyglądali jak bliźniacy. Ubrani byli w skórzane spodnie i kurtki nabijane srebrnymi ćwiekami. Każdy miał w uchu pojedynczy złoty kolczyk, a ich ogolone głowy lśniły w blasku pochodni płonącej przed wejściem.

Jeden z bliźniaków obrzucił spojrzeniem przepustkę, którą pokazała mu Elly. Oстрым i szybkim ruchem brody¹ dał znać, że ona i Cooper mogą wejść do środka.

- Byłeś kiedyś w Świecie Ziemi? - zapytała Elly, gdy przechodzili przez drzwi, które otworzyły się przed nimi: jakby za sprawą magii.

- Mówisz o tym dużym tematycznym parku w Rezonansie? - upewnił się Cooper. ,

- Tak.

Zrobił minę, jakby się zastanawiał.

- Nie przypominam sobie, żebym tam był.

- Uwierz mi, gdybyś widział to miejsce, na pewno byś je zapamiętał. Mają tam te wszystkie eksponaty i ekspozycje, które pokazują, jak wyglądało życie na Ziemi przed okresem Kurtyny. Są tam pokraczne małe samochody, których nie uruchamia się rezobursztynem, i miniaturowe domy z urządzeniami, których nie da się włączyć za pomocą energii psi. Naprawdę dziwne.

- Rzeczywiście.

- Rodzice nie zabierali cię tam w dzieciństwie na wakacje?

- Wakacje spędzałem zazwyczaj z mamą na jednym z jej wykopalisk.

- To naprawdę żalosne.

- Dla mnie to było raczej interesujące. - Cooper wzruszył ramionami. - Ale może tego nie rozumiesz, bo nie widziałaś.

- No tak. Cóż, wspominam o tym parku, bo ten klub jest jakby dorosłą wersją Świata Ziemi. Taką podkreconą.

- Dzięki za ostrzeżenie. Postaram się nie chodzić po nim z rozdziawionymi ustami.

Jest bardzo opanowany, pomyślała Elly, przyglądając się Cooperowi kątem oka, ale klub na pewno zrobi na nim Wrażenie. Jasne, Cooper bywał w różnych miejscach, ale w Aurora Springs nie ma czegoś takiego jak Droga do Ruin.

Czarno-bursztynowe ozdoby ustawiono również w holu, którego hebanowe ściany i posadzka lśniły w zielonym blasku kilku dużych artefaktów obcej rasy. Relikty były muzealnej jakości i emanowały lekkim prądem energii psi. Znajdowały się wśród nich olbrzymi sarkofag z kwarcu, para rzeźbionych kolumn oraz zestaw najróżniejszych urn i waz. Obiekty te rozstawiono tu i tam w całym zacienionym holu, co miało sprawiać wrażenie, że gość odwiedzający klub znalazł się na jakimś tajemniczym, jeszcze nie odkrytym przez archeologów terenie.

Szeroki, szemrzący wodospad, podświetlony na zielono, tworzył kurtynę na jednej ze ścian. Kaskada szmaragdowej wody spadała do jeziora przy akompaniamencie zmysłowej jazzowej muzyki. Wokół jeziora wiała się bursztynowej barwy ścieżka, niknąca gdzieś za wodospadem.

Pojawiła się hostessa w prześwitującej sukience udekorowanej trzema strategicznie rozmieszczonymi trójkącikami materiału.

- Zaprowadzę państwa do ich stolika - odezwała się miękkim, zmysłowym głosem i zanim się

odwróciła, żeby ruszyć ścieżką pod wodospadem, uśmiechnęła się zalotnie do Coopera.

Dekolt na jej plecach był tak głęboki, że ukazywał skrawek przedziałka między pośladkami.

Elly zerknęła na Coopera i stwierdziła, że przygląda się rozkołysanym biodrom dziewczyny. Na jego twarzy widniał wyraz rozbawionego zainteresowania.

- Jeśli zaczniesz się ślinić - ostrzegła - przysięgam, że cię stąd wyprowadzę.

- Wybacz, ale w Aurora Springs nieczęsto ogląda się takie sukienki. - Przeniósł wzrok na wodospad. - Wiesz, nie chcę ci psuć zabawy ani wyjść na prostaka, ale właśnie odebrałem tę marynarkę z pralni.

- Nie obawiaj się, nie zmoknie - zapewniła Elly. - To w gruncie rzeczy kilka wodospadów, tak ustawionych, że się wydaje, iż tworzą ścianę wody.

Ścieżka wiła się pomiędzy szmaragdowymi kaskadami. Gdy znaleźli się po ich drugiej stronie, Cooper obejrzał marynarkę i stwierdzając, że nie ma na niej nawet śladu wilgoci, uśmiechnął się z zadowoleniem.

Hostessa zaprowadziła ich do półokrągłego boksu wyłożonego czarnym aksamitem. Podświetlony od dołu blat stołu inkrustowany był szkłem i bursztynem.

Kiedy usiedli, a hostessa odeszła, Elly odchyliła się na oparcie kanapy. Cooper przyglądał się otoczeniu.

Wystrój holu był tylko zapowiedzią atmosfery egzotycznej, nieziemskiej tajemnicy, jaką dekoratorzy z pewnością zamierzali osiągnąć. Tutaj w głównej sali i w kasynie, którego część było widać z boksu, ta atmosfera sięgała zenitu.

Cała tylna ściana starego magazynu została usunięta, żeby odsłonić część lśniących murów Wymarłego Miasta, rozciągających się za budynkiem. Błyszczący kwarc zapewniał doskonale oświetlenie wnętrza klubu, kąpiąc scenerię w nieziemskiej poświacie.

Ustawiono tu kolejne ogromne artefakty, a ich obecność w połączeniu z bliskością starożytnych murów stwarzała w intymnym mroku, w jakim pogrążony był klub, tajemniczy nastrój. Unosiła się tu lekko oszałamiająca aura energii psi.

Piosenkarka w długiej, zielonej obcisłej sukni zmysłowym głosem śpiewała jakąś rzewną pieśń o nieszczęśliwej miłości. Na parkiecie krążyło w cieniu kilka par.

Elly uśmiechnęła się z lekką dumą.

- Niesamowity widok, co?

- No cóż, nie jest to Pokój Randek w Aurora Springs - odrzekł Cooper.

- Też tak pomyślałam, kiedy Garrick i Phillip przyprowadzili mnie tu pierwszy raz. Okay, wprowadziłam cię, i co teraz, panie Egzekutorze?

- Pierwsza zasada w śledztwie to nie ściągać na siebie uwagi. Będziemy się zachowywali, jakbyśmy byli prawdziwą parą, która przyszła się zabawić w swoim towarzystwie.

- I jak twoim zdaniem mamy to zrobić?
- Zamówimy drinki, a potem zatańczymy.

Elly zamarła, bo pamięć podsunęła jej sceny z tych kilku razy, gdy ze sobą tańczyli. Zawsze wtedy topniała w ramionach Coopera jak przeciążony energią bursztyn. Tańczenie z nim było niebezpieczne.

- O co chodzi? - Cooper patrzył na kelnera, który płynął w ich stronę w mrokach klubu. - Boisz się ze mną zatańczyć?

- Nie bądź śmieszny. - Muszę się czymś wzmocnić przed tańcem w jego ramionach, pomyślała.

- Co państwu przynieść? - zapytał kelner, stawiając na szklano-bursztynowym blacie miseczkę z orzeszkami.

- Ja poproszę Szmaragdowego Ducha - odparła Elly.

- Zabawny drink - pochwalił kelner i spojrział pytająco na Coopera. - A dla pana, sir?

- Whisky - rzucił Cooper. - Czystą. Pierwszej Generacji, jeśli macie.

- Oczywiście, sir. Droga szczyli się bardzo dobrze zaopatrzoną barkiem. Zaraz wracam.

Kiedy znów się pojawił, niósł niedużą tacę, na której stała szklaneczka z whisky i wysoki kieliszek wypełniony spienioną mieszanką udekorowaną znajomo wyglądającym mieszadłem do koktajli. Odstawił tacę na stół i odszedł.

Cooper przyglądał się, jak Elly pociąga łyk koktajlu przez słomkę. ;. - A więc to jest zmaragdowy Duch?

- Aha. - Elly szybko upiła kolejny łyk.

- Wygląda jak coś, co wysączyło się z katakumb.

- Jest bardzo smaczny. - Od razu lepiej się poczuła. Teraz może z nim zatańczyć.

- Gotowa do wyjścia na parkiet? - zapytał po kilku minutach.

Wyśliznęła się z boksu i pozwoliła się zaprowadzić na środek sali. Myśl o tym, jak o zadaniu, które wypełniasz, żeby pomóc Gildii złapać przestępcę, powtarzała sobie w duchu. Odgrywaj tylko swoją rolę.

Cooper objął ją ramieniem, owiewając swoim męskim ciepłem. Stoczyła krótką, lecz bohaterską walkę z własną silną wolą, jednak przegrała, słysząc zmysłowe rytmy muzyki.

Taniec z Cooperem był jednym z miłszych wspomnień chwil spędzonych wspólnie z nim w Aurora Springs.

Namiętne zbliżenie zeszłej nocy to był ognisty wybuch nieokielzanej żądy. To, co działo się teraz, było czymś zupełnie innym. Tańcząc z Cooperem, czuła, że powoli, ale nieustannie ogarnia ją bijące od niego uwodzicielskie ciepło, które zniewala jej zmysły.

- Czy już ci kiedyś mówiłem, że uwielbiam twój zapach? - zapytał Cooper z ustami bardzo blisko jej ucha.

- Och, nie. Nie, nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek mi coś takiego mówił.

- Doprowadza mnie do szaleństwa.

- Naprawdę? - Przechyliła głowę, żeby lepiej widzieć jego twarz. - Mój zapach doprowadza cię do szaleństwa?

- Tak trudno ci w to uwierzyć?

- No cóż, szczerze mówiąc, tak. To znaczy, kiedy spotykaliśmy się w Aurora Springs, raczej nie zauważyłam, żebyś za mną szalał.

Jego duże dłonie nieco mocniej przylgnęły do miejsca, w którym jej plecy przechodziły w krzywiznę pośladków.

- Patrząc wstecz - powiedział - dochodzę do wniosku, że jednak mieliśmy w Aurora Springs poważne problemy z wzajemną komunikacją.

- I ja tak uważam.

- Ale sądziłem, że przynajmniej jedno z nieporozumień zostało wyjaśnione zeszłej nocy - dodał cicho. - Teraz już wiesz, że lubię się z tobą kochać. I to nawet bardzo.

Wiedziała, że się rumieni, i cieszyła się, że wokół panuje półmrok.

- Jesteś pewien, że nie był to wynik wypalenia?

- Nieraz już ulegałem wypaleniu - oświadczył, jeszcze bardziej zbliżając usta do jej ucha. - Uwierz mi, zeszła noc to coś innego.

I potem ją pocałował, na samym środku zacienionego parkietu. I nie był to krótki pocałunek, zaledwie muśnięcie warg. O nie, pocałunek był namiętny i długi. Wolniejszy i spokojniejszy niż pocałunki zeszłego wieczoru, ale równie namiętny.

Elly była oszołomiona. Cooper nigdy nie całował jej w miejscu publicznym, a już z pewnością nie na środku tanecznego parkietu. Oczywiście mało prawdopodobne, żeby inne pary to dostrzegły czy się tym zainteresowały. Niemniej nie było to coś, co robią szefowie Gildii, bo na ogół bardzo się przejmują swoim wizerunkiem. Za bardzo.

Publiczne okazywanie uczuć stanowiło podwójny problem dla osób z pozycją Coopera. Z jednej strony, przywódcy Gildii nie chcieli uchodzić za rozpustnych kobieciarzy. Głównie dlatego, że w przeszłości wielu miało z tym kłopot. Z drugiej strony, boss Gildii musiał uważać, żeby reszta członków organizacji - zazwyczaj bardzo ceniących wizerunek macho - nie odniosła wrażenia, że ich szef jest mięczakiem dającym się wodzić za nos kobiecie.

Jednak Cooper całował ją tak, jakby jego wizerunek mało go obchodził. Fakt, że nikt w klubie go nie znał, ale i tak jego pocałunki były ogromnie przekonujące.

Elly, wtulona w niego, wyraźnie czuła, jak bardzo się podniecił. Jest kompletnie

ugotowany, stwierdziła, oszołomiona świadomością, że tak działa na Coopera.

Jakimś sposobem udało mu się wsunąć nogę między jej nogi i, zadzierając wyżej już i tak krótką spódniczkę, wcisnął udo w jej intymne miejsce. Jedną dłoń przesunął na biodro i lekko je ścisnął.

Była zarówno zaszokowana, jak i nieprawdopodobnie podniecona. Zalewały ją fale gorąca, a jej majteczki stały się deprymująco wilgotne.

Inne tańczące obok pary przeniosły się nagle do innego wymiaru. Teraz ona i Cooper zostali sami w ciemnej, zasnutej zielonkawą poświatą nocy i w objęciach zmysłowej muzyki.

Przesunęła rękę w górę ramienia Coopera, chcąc dotknąć jego karku. Była prawie pewna, że zadrżał, gdy wsunęła mu palce we włosy.

Ja naprawdę na niego działałam, pomyślała. Przecież krótko wcześniej nie rozprawił się z żadnym duchem. A był krańcowo podniecony. Zachowywał się tak, jakby ledwie się powstrzymywał przed rzuceniem Elly na błyszczącą posadzkę parkietu i kochanie się tam z nią. Natychmiast. I nie była wcale przekonana, że bardzo by się opierała, gdyby tak zrobił.

Kiedy w końcu uniósł głowę, czuła, że brakuje jej tchu. Starła się szybko znaleźć jakiś pretekst, żeby natychmiast opuścić klub i zamknąć się w aucie razem z nim, na przednim siedzeniu.

- Nadal masz wątpliwości, czy pociągasz mnie fizycznie, gdy nie jestem pod wpływem wypalenia? - zapytał Cooper.

- No... raczej nie - wykrztusiła.

- To dobrze - odrzekł. Przestał tańczyć, wziął ją pod rękę i zdecydowanym ruchem zaprowadził do boksu. - I dlatego musisz mi wybaczyć.

- Słucham?

- Muszę iść do toalety.

- Och.

Dobry Boże, czyżby doprowadziła do tego, że miał orgazm na samym środku parkietu? Zalała ją fala cudownego poczucia kobiecej mocy.

Posłała mu najbardziej zachęcający, najintymniejszy uśmiech, starając się, by jej wzrok nie padł niżej, na miejsce pod paskiem podtrzymującym jego spodnie.

- Przykro mi - rzuciła lekko. - Ale to ty roznieciles ten ogień.

- Jaki ogień? - zapytał, trochę roztargniony, bo spoglądał w przeciwną część sali, tam gdzie zaczynał się korytarz prowadzący do męskich toalet.

- No wiesz. - Nachyliła się i ściszyła głos. - Rozumiem, że taka sytuacja może być krępująca dla kogoś takiego jak ty. Zresztą byłaby krępująca dla każdego mężczyzny. Ale dla ciebie szczególnie. Przecież ty nigdy nie tracisz nad sobą kontroli.

- Krępująca?

Roześmiała się beztrąsko.

- Mam nadzieję, że nie zniszczyłeś sobie spodni. Wyglądają na drodze. Ale to cię nauczy, żeby nie podkrecać

atmosfery podczas tańca.

Cooper złapał ją za ramię.

- O czym ty mówisz? - zapytał, wyraźnie niczego nie rozumując.

Uświadomiła sobie, że być może pospieszyła się z wnioskami.

- Nieważne - odparła, lekko zażenowana.

- Do diabła, Elly, myślałem, że od teraz będziemy się starali o lepszą wzajemną komunikację.

- Kiedy powiedziałeś, że musisz iść do toalety, pomyślałam, że może na parkiecie przydarzył ci się mały wypadek. No wiesz, ten pocałunek i... - Machnęła ręką, nie kończąc zdania.

Posłał jej łobuzerki uśmiezek.

- Kochanie, istotnie, tylko przez ciebie mógłbym stracić nad sobą kontrolę. Ale do tego nie doszło. A przynajmniej nie tym razem. Postanowiłem iść do toalety, bo chcę się rozejrzeć po zapleczu.

- Po zapleczu?

- Chcę się dowiedzieć, co tam jest. Zajrzeć do kuchni, biura i tym podobnych miejsc. No i do gabinetu właściciela, jeśli mi się uda. Nie martw się. Zaraz wrócę.

No cóż, dowiedziała się więc, jak to ona roztacza seksualny czar.

- Pomogę ci - zaproponowała pospiesznie. - Pójdę obejrzeć zaplecze w okolicy damskiej toalety. Znajduje się po drugiej stronie klubu.

- Ani mi się waż. Masz tu zostać i na mnie czekać.

- Zapominasz, że mieliśmy być partnerami w tym dochodzeniu.

- Nigdy nic takiego nie mówiłem.

- Hej, przecież nawet by cię tu nie było, gdybym ci nie pomogła.

- Elly, bądź rozsądna - poprosił ścisłym głosem. - To jest kasyno. Co znaczy, że wszędzie pełno jest ochroniarzy, nawet jeśli nie rzucają się w oczy. Nie masz pojęcia, jak unikać kamer i strażników.

- A ty je masz, jak się domyślam? - zapytała, zdając sobie sprawę, że zaczyna mówić zaczepnym tonem.

- Pamiętaj, że zanim dostałem tę ostatnią robotę, całymi latami pracowałem jako tajniak.

- Och, no tak, jasne. Ciągle zapominam, że byłeś egzekutorem.

- Detektywem.

- Nieważne. Okay, okay, idź już i rób, co musisz. - Zamierzała z powrotem wśliznąć się do

boksu, ale przypomniała sobie o wilgotnej bieliźnie. - Zresztą ja i tak muszę iść do łazienki, nawet nie bawiąc się w szpiega.

- Biegnij. - Klepnął ją w pośladki, w geście zarówno czułości, jak i zaborczości. - Nieprzyjemnie jest mieć na sobie mokre figi.

Zniknął, stapiając się z mrokiem i tłumem gości, zanim zdążyła kopnąć go w łydkę.

Jakiś czas później wyłoniła się z wnętrza ozdobionego wyszukаныmi rzeźbieniami i złoceniami małego zielonego pałacu, na którym widniała tabliczka z napisem „Panie”. Umyła ręce w jednej z czarno - złotych umywalek i obejrzała twarz w dużym lustrze otoczonym rzeźbioną ramą.

Jej policzki nadal były lekko rozpalone i musiała poprawić włosy, ale poza tym nie wyglądała źle. Nie jak kobieta, która przed chwilą zachowywała się na parkiecie niczym nabuzowana hormonami nastolatka.

Wyszła z toalety na elegancko urządzonego korytarz i ruszyła w stronę wyjścia, które prowadziło do głównej sali klubu.

Jej uwagę przykuły wahadłowe drzwi z napisem „Wstęp tylko dla personelu”, po przeciwnej stronie korytarza. Zerknęła na sufit, ale nie zauważyła żadnych kamer. Co nie znaczy, że ich tu nie ma, pomyślała. Cooper miał rację. Są w kasynie, a w kasynie zawsze ktoś obserwuje gości.

Z drugiej strony, co może się stać, jeśli przespaceruje się korytarzem ku wahadłowym drzwiom? Jeśli ktoś ją zatrzyma, może udać lekko zawianą i powiedzieć, że pomyliła się, po wyjściu z toalety.

Ruszyła przed siebie, spuszczać lekko brodę i przechylając ją na jedną stronę. Jeśli gdzieś jest kamera, może zarejestruje tylko czubek jej głowy. Udała, że szuka szminki w małej błyszczącej wieczorowej torebce.

Gdy dotarła do drzwi, te niespodziewanie otworzyły się przed nią szeroko. Musiała szybko się cofnąć, żeby nie zderzyć się z mężczyzną w zielono-czarnej liberii noszonej przez kelnerów.

- O, przepraszam - rzucił mężczyzna, puszczając drzwi, które się zamknęły. - Nie zauważyłem pani. Czy mogę w czymś pomóc?

- Szukam fontanny z wodą do picia. - Posłała kelnerowi swój najbardziej zniewalający uśmiech. - Ktoś mi powiedział, że jest gdzieś tutaj, za toaletami.

- Trzeba iść w przeciwną stronę. Pokażę pani.

- Dziękuję.

Nie przestawała się uśmiechać, pozwalając kelnerowi zaprowadzić się do czarno-zielonej

fontanny ustawionej na drugim krańcu korytarza. Ale udawanie rozweselonej i lekko wstawionej nie przychodziło jej łatwo. Serce biło w niej jak oszalałe.

Zerknęła na wahadłowe drzwi. To, co za nimi zobaczyła, było zdumiewające. Czuła się tak, jakby stojąc na wspaniale udekorowanej scenie, zajrzała za aksamitną kurtynę. Wahadłowe drzwi były jak brama, oddzielająca świat fantazji wewnątrz klubu od świata rzeczywistości po drugiej stronie.

Ściany na zapleczu nie były wyłożone błyszczącymi czarno-bursztynowymi kafelkami. Były pomalowane ponurą beżową farbą. Podłogi nie pokrywał dywan, a światło padające z fluorescencyjnych lamp jarzyło się zimnym i ostrym blaskiem.

W ciągu tych kilku sekund dostrzegła kilka szybko przemieszczających się osób: sprzątacza, personelu kuchni, krupiera, kelnera.

Dostrzegła też coś jeszcze, coś, co jej zdaniem, na pewno zainteresuje Coopera.

Gdyby widziała ją teraz Harmony Drew, kobieta detektyw, pękłaby z zazdrości.

Rozdział 18

Popijała kolejnego Szmaragdowego Ducha, gdy Cooper znów się pojawił.

- Wreszcie wróciłeś - ucieszyła się na jego widok. Usiadł obok niej. - Zaczynałam już podejrzewać, że przytrafiło ci się coś złego.

- Nic się nie stało. Musiałem tylko pożyczyć kilka rzeczy, a potem je zwrócić. - Spojrzał na koktajl przed nią. -Widzę, że zamówiłaś następny kolorowy drink.

- To mój trzeci. Musiałam coś robić. Kelner zaczynał mi już współczuć. Myślał, że mój partner na wieczór mnie olał.

- Tak? I co mu powiedziałaś?

- Że za dużo wypileś, zrobiło ci się niedobrze i pognałeś do toalety.

- Pasjonująca historyjka.

- Też tak uważam. - Pokręciła mieszadłem w Szmaragdowym Duchu. - Co to za rzeczy, które pożyczyłeś i zwróciłeś?

- Uniform sprzątacza i klucze.

- Skąd je wziąłeś?

- Z szafki sprzątacza, a skąd by indziej? - zdziwił się.

Zakrztusiła się łykiem koktajlu i otarła usta serwetką. - Ukradłeś mu uniform i klucze?

- Nie - wyjaśniał cierpliwie. - Mówiłem przecież, że tylko je pożyczyłem.

- Cooper, na Boga, a jeśli ochrona by cię złapała? Mogłeś zostać zaaresztowany.

- Ale nie zostałem. - Poklepał się po kieszeni marynarki. - Poszczęściło mi się i na jednym z wózków sprzątaczy znalazłem fotokopię mapki rozkładu pomieszczeń klubu. Wygląda na to, że używają jej, żeby się nie pogubić w kolejności sprzątanania.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała Elly, teraz już poważnie zaniepokojona.

- Jeszcze nie wiem. Ale cieszę się, że mam tę mapkę. Ogarnęła ją nagła podejrzliwość.

- Dobrze się bawiłeś, co?

- Bawiłem?

Wyjęła z kieliszka mieszadelko i wycelowała w niego.

- Widzę przecież, że zakradanie się na zaplecze i wykradanie rzeczy sprawiło ci przyjemność. Jesteś nabuzowany adrenaliną, Cooperze Boone.

Jego usta nieznacznie się wygięły.

- Widzisz to?

- Tak, widzę. - Pociągnęła kolejny łyk drinka. - A gdybym ci powiedziała, że gdy ty zabawiałeś się w detektywa, kilku facetów próbowało mnie poderwać?

- Wskaż mi ich, a ja podsmażę im mózgi.

- Ha, nie wierzę ci. Pamiętaj, że pojedynkujesz się tylko wtedy, gdy w grę wchodzi interesy Gildii.

- Znowu wracamy do tego pojedynku?

- Wybacz. Nie mogłam się powstrzymać. Ale nie chciałam poruszać tego tematu, słowo honoru. - Zaczęła się z bliska przyglądać drinkowi. - Wiesz, te koktajle są zdradzieckie. Dobrze się je pije, ale strasznie rozplątują język.

Cooper wyglądał na rozbawionego.

- Chyba czas, żebyśmy wracali do domu. To była długa noc.

- Tak, faktycznie, prawda? Ale nie mogę zmarnować tej resztki. To bardzo drogi drink. - Podniosła kieliszek i opróżniła go do dna. Potem uśmiechnęła się promiennie. - Teraz możemy już iść.

Pomógł jej wyjść z boksu i skierował w stronę wodospadów.

- Chyba po raz pierwszy widzę cię zawiąną.

- Prawdopodobnie dlatego, że w Aurora Spring musiałam się bardzo pilnować pod tym względem.

- Rozumiem.

- Pomijając takie sprawy jak kac, mama zawsze mówiła, że jako córka członka Rady Gildii zrobiłabym tacie straszny wstyd, gdybym upiła się w miejscu publicznym. -Mrugnęła okiem. - Rozumiesz, wizerunek Gildii i takie tam.

- Musiałaś czuć się przytłoczona faktem, że należysz do rodziny powiązanej z Gildią, co?

- Tak. Wyjawić ci mój mały sekret?

- Jasne.

- Zanim cię poznałam, postanowiłam, że wyjdę za mąż za kogoś spoza Gildii, bez względu na to, co ktoś by sobie o tym pomyślał.

- Doprawdy?

- Tak. - Zorientowała się, że idą ścieżką pomiędzy wodospadami i wysunęła rękę, żeby zanurzyć ją w wodzie. - Już jako nastolatka planowałam ucieczkę. Dlatego właśnie niepotrzebnie się martwiłam, że się zwiążę z Frazierem lub z kimkolwiek z tej twojej głupiej Rady.

- Ale zmieniłaś zdanie, kiedy mnie poznałaś?

- Myślałam, że jesteś inny.

- A teraz co o mnie myślisz? - zaciekał się.

- Na pewno jesteś inny - odparła. - Ale inaczej, niż początkowo sądziłam. Jeśli wiesz, co przez to rozumiem.

- Nie do końca.

- Ja też nie - wyznała.

Ulica przed klubem była nadal zatłoczona. Światła taksówek i aut spowijał welon mgły. Elly wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się jej nieco rozjaśniło w głowie. Nie na wiele się to zdało. Była nadal lekko wstawiona. Cooper pomógł jej się usadowić na przednim siedzeniu spectrums. Opadła na fotel z cichym westchnieniem ulgi i zamknęła oczy.

- No więc - powiedział, gdy zajął swoje miejsce za kierownicą - właśnie się zastanawiałem.

- Nad czym? - wymamrotała sennie.

- Nad tym, czy twoje majtki już wyschły.

- Nie wiem. Nie sprawdzałam.

Wybuchnął niskim zmysłowym śmiechem i odbił od krawężnika.

- Jak to nie wiesz? Nie czujesz?

- Nie.

- Czyżbyś wypła za dużo Szmaragdowych Duchów, żeby ocenić stan własnej bielizny?

- Nie. Nie mogę powiedzieć, czy majtki wyschły, bo mam je w torebce.

- W torebce? A skąd one się tam wzięły, na litość boską?

- Zdjęłam je, kiedy byłam w toalecie, bo niezbyt dobrze się w nich czułam i bałam się, że jak usiądę, to na sukience, która zresztą sporo kosztowała, pojawi się dość krępująca plama.

- Siedziałaś tam, zalewając się Szmaragdowymi Duchami, w tej kusej spódnicy, bez majtek? - nie mógł uwierzyć Cooper.

Szef Gildii jest oburzony do samej głębi, pomyślała Elly. Uśmiechnęła się i usiadła wygodniej.

- Nie takiego zachowania spodziewałbyś się po porządnej żonie szefa Gildii, co? Mówiłam już, że zrywają zaręczyny, wyświadczyłam ci przysługę.

Piętnaście minut później Cooper zaparkował spectruma na spowitej mgłą alejce na tyłach Ziołowego Emporium należącego do Elly. Nadal toczyła się w nim wewnętrzna walka między gorącym pożądaniem a typowo męskim oburzeniem. Oczami wyobraźni dokładnie widział Elly siedzącą bez majtek w klubowym boksie.

Przeszedł do drzwi pasażera i je otworzył. Elly spała i nie obudziła się, kiedy wyciągnął ją na zewnątrz i przewiesił sobie przez ramię.

Żeby nie spadła, przytrzymał ręką jej udo i od razu tego pożałował. W pozycji, w jakiej się teraz znajdowała, jej sukienka podciągnęła się aż do słodko zaokrąglonych pośladków. Jego palce znalazły się tylko centymetry od szczeliny między nogami. A przecież Elly nie miała na sobie majtek.

Jakoś udało mu się otworzyć drzwi sklepu i wnieść ją do środka, nie uderzając przy tym jej głową o framugę.

Gdy impulsem energii zapalił światło, ujrzał Rose siedzącą na blacie stołu. Kurzak zamrugał swymi błękitnymi oczkami, a potem zaczął radośnie podskakiwać.

- Nic jej nie jest - zapewnił Cooper. - Wypiła tylko o jednego Szmaragdowego Ducha za dużo.

Wyciągnął rękę, a Rose wspięła się po niej na jego wolne ramię.

Zatrzymał się przed schodami i poprawił nieco pozycję Elly, nadal przewieszanej przez jego ramię, uważnie przyglądając się stopniom.

- Szef Gildii musi robić to, co do niego należy - zwrócił się do Rose.

Zaczął się wspinać na schody.

Na ich szczycie przystanął, żeby nabrać kilka głębokich oddechów.

- Jest cięższa, niż się wydaje - powiedział. - Pewnie dlatego, że jest taka umięśniona.

Wniósł swój ciężar do ciemnej sypialni i ostrożnie położył Elly na pościeli. Rose wskoczyła na łóżko obok niej i musnęła ją nosem po twarzy.

Elly otworzyła oczy i poklepała kurzaka. Potem uśmiechnęła się sennie do Coopera.

- Dzięki, że wniósłeś mnie na górę - odezwała się. - Nie wiem, czy sama dałabym radę.

- Nie ma za co - odparł. - Trochę wysiłku fizycznego mi nie zaszkodzi.

Pochylił się i zdjął z jej stóp najpierw jeden błyszczący sandalek, potem drugi. Elly ziewnęła.

- Nie musisz mnie rozbierać. Wystarczy, że przykryjesz mnie narzutą.
- To żaden problem - zapewnił, przesuwając dłoń w górę jej nogi.
- Idź sobie - rozkazała. - Nie sądzę, żebyś był w stanie wyjść z szoku, widząc mnie bez majtek.

- Szeffowie Gildii są wytrzymalsi, niż mogłabyś się spodziewać - odparł z nadzieją w głosie.

Sięgnęła po brzeg narzuty i się nią okryła.

- Dobranoc, Cooper.

Uśmiechnął się i z wyraźną niechęcią podszedł do drzwi.

- Dobranoc, Elly.

- A tak przy okazji, to przypomnij mi jutro, żebym ci powiedziała, co widziałam, kiedy poszłam do damskiej toalety.

- Czy ma to coś wspólnego z bielizną?

- Nie - mruknęła, moszcząc głowę na poduszce. -Z energią psi. Tą wysyłąną przez świetliste psi-ziolo, które Bertha znalazła w katakumbach. Tylko że bardzo intensywną.

- Co? - Cooper zawrócił do łóżka. - Chcesz powiedzieć, że potrafisz wyczuć energię psi roślin?

- To dziwne. Wiem.

- Elly...

Pokiwała mu palcem.

- Wielki, mroczny, rodzinny sekret. Bursztyn w moim uchu jest nastrojony. Tylko przyrzeknij, że nikomu o tym nie powiesz.

- Zaczekaj chwilę, Elly. Jeszcze nie zasypiaj. Co miałaś na myśli, mówiąc, że wyczułaś energię zioła, takiego jakie znalazła Bertha?

- Miałam wrażenie, że było tego tam mnóstwo. Aż tak dużo, że nieźle mną zakręciło. - Ziewnęła. - Trzymają je gdzieś tuż pod damską toaletą.

Zamknęła oczy i zasnęła.

Cooper, czując w lędźwiach silne pulsowanie, jeszcze przez chwilę się jej przyglądał.

Potem jednak opuścił sypialnię i poszedł do samochodu po walizkę.

Kiedy znów wspinał się po schodach, uzmysłowił sobie, że zapomniał poinformować Elly, że wcześniej tego dnia wyrejestrował się z hotelu.

- Muszę pamiętać, żeby powiedzieć jej o tym z samego rana - rzekł do Rose.

Rozdział 19

Obudziła się z dokuczliwym bólem głowy i nieznacznym znajomym oszołomieniem parapsychicznym. Drobną łapka delikatnie pacnęła ją po policzku.

Elly otworzyła oczy i spojrzała na Rose, która przykucnęła obok niej na poduszce. Kurzak trzymał w jednej z łapek świeży, zielony kwiat.

- Wychodziłaś wczoraj, kiedy odwieźliśmy cię do domu, co? - zapytała Elly, odbierając kwiat.

Rose podskoczyła w górę i w dół.

- Dzięki. Jest piękny. Ale muszę ci powiedzieć, że się denerwuję za każdym razem, gdy zjawiasz się z tymi kwiatami. Daj słowo, że ich nie wykradasz?

Rose radośnie zapiszczała, zadowolona, że jej podarunek został przyjęty z należyтым uznaniem. W kuchni trzasnęły drzwiczki szafki.

Elly natychmiast usiadła, strząsając z siebie część narzuty. Stwierdziła, że nadal jest w sukience, którą włożyła na wyjście do klubu zeszłego wieczoru. Zalała ją fala nieprzyjemnego niepokoju.

Ostrożnie zajrzała pod narzutę. Jej koktajlowa sukienka była niestety bardzo wygnieciona, a jej brzeg zadarty niemal do pasa. Elly zauważyła, że jest bez majtek.

To chyba niedobry znak, przemknęło jej przez głowę.

W drzwiach sypialni pojawił się Cooper. Był w czarnym pulowerze i spodniach khaki. Na nosie miał swoje okulary w czarnometalobursztynowych oprawkach. W dłoni trzymał gazetę.

Elly szybko podciągnęła narzutę pod samą brodę.

- A co ty tutaj robisz? - zapytała.

- Jestem twoim znajomym z innego miasta, który przyjechał cię odwiedzić, zapomniałaś? Pozwoliłaś mi się u siebie zatrzymać.

- To była tylko historyjka dla innych. Nie brałam jej dosłownie.

- Niestety, jestem facetem, który bierze wszystko dosłownie. A poza tym już i tak wyrejestrowałem się z hotelu i nie mam się gdzie podziać.

- Zaraz, zaraz, Cooper. Nie powiedziałam, że...

- Jak tam głowa?

- Okropność. - Pomasowała skronie opuszkami palców. - Nie czuję się za dobrze. Może mam początki grypy.

- Nie sądzę. To tylko klasyczny kac. Pamiętasz te Szmaragdowe Duchy z zeszłej nocy?

Elly skupiła uwagę.

- Przypominam sobie niejasno wysoką szklankę z jakąś zieloną miksturą w środku. Była doskonała. Słodka i cierpka zarazem.

- Były trzy szklanki tej mikstury, jak widać bardzo mocno działającej.

- Och. - Powróciły kolejne wspomnienia. Pograżony w mrokach parkiet, zmysłowa muzyka, pocałunek, od którego od razu stopniała. Skrzywiła się. - No tak, teraz sobie przypominam.

Jego uśmiech był wymowny.

- Widzę. Masz w sklepie jakieś remedium na ten ból głowy, czy chcesz, żebym znalazł coś w apteczce?

Siłą woli zebrała myśli.

- Na dole. Pierwsza szafka, na dolnej półce. Leży tam torebka z napisem Harmoniczny Balsam. Wsyp łyżeczkę do kubka i zalej wrzątkiem.

Cooper rozplótł ramiona i się wyprostował.

- Już się robi.

- Wiesz co, wsyp dwie łyżeczki.

- Wedle rozkazu.

Pewna niepokojąca myśl uporczywie kołatała się w jej głowie.

- Zaczekaj - zawołała, gdy Cooper się odwrócił, żeby wyjść. - A ty gdzie spałeś?

- Na twojej sofie.

- Skoro tak, to co się stało z moimi majtkami?

Uśmiechnął się szeroko.

- Wiesz, chyba pozwolę ci samej do tego dojść. Do zobaczenia przy śniadaniu.

Usłyszała, że idąc korytarzem, pogwizduje.

Stała pod orzeźwiającym strumieniem gorącej wody, na próżno próbując nie myśleć o nocy, która właśnie minęła, gdy drzwi do łazienki stanęły otworem.

- A co to, do diabła? - Chwyliła prysznicową zasłonkę i wyjrzała zza niej.

Ujrzała Coopera w obłokach pary. W dłoni trzymał kubek, a na jego ramieniu siedziała Rose, pogryzając kawałek tostu.

- To znowu ty - powiedziała, marszcząc brwi. - O co chodzi? Przecież ja się kąpię, na rany boskie.

- Wybacz - mruknął Cooper. - Nie chciałem cię wystraszyć. Pomyślałem, że będziesz chciała jak najszybciej wypić swój specjalny napar.

Pociągnęła nosem, wdychając kojącą woń Harmonicznego Balsamu. Uwolnienie się od

bólu głowy wydało się jej w tej chwili ważniejsze niż uświadomienie Cooperowi, że nie są sobie aż tak bliscy, żeby mógł bez skrępowania wchodzić do łazienki, gdy ona się kąpie.

Wzięła z jego rąk kubek.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo. Jak wyjdiesz z łazienki, porozmawiamy o tym, co wyczułaś, gdy wybrałaś się wczoraj na wycieczkę do damskiej toalety.

Odszedł, zabierając Rose ze sobą.

Elly zaś, popijając napar, próbowała dokładnie odtworzyć wydarzenia zeszłej nocy.

Na koniec przypomniała sobie, co się stało z jej majtkami.

- Kiedy się zorientowałaś, że potrafisz wyczuwać energię psi wydzielaną przez rośliny? - zapytał Cooper, zsuwając jajecznicę z patelni na talerz Elly.

Elly wzruszyła ramionami, całą uwagę skupiając na jajeczniccy. Napar pomógł i teraz umierała z głodu.

- Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rozwinęły się umiejętności pararezonerskie moich braci. Krótco po pokwitaniu.

Postawił przed nią talerz.

- Zwykle wtedy właśnie rozwijają się paranormalne zmysły

- Tak. - Nabiła na widelec sporą porcję jajeczniccy. - Kłopot tylko w tym, że moje paranormalne umiejętności nie mają prawa istnieć.

- Moje też nie - przypomniał jej sucho.

- Poprawka. Twoje są może wielką tajemnicą Gildii, ale przynajmniej się uznaje, że istnieją. Do diabła, Gildia przecież bardzo się postarała, żeby nikt się o nich nie dowiedział. Ale w moim przypadku eksperci doszliby zapewne do wniosku, że coś jest nie w porządku z moją głową. Że mam omamy. Taka diagnoza zniweczyłaby moje szanse na normalne życie. Dlatego mama i tata tak się upierali, żeby pozostało to tajemnicą.

- Ludzie żyją na Harmonii dopiero od dwustu lat - zauważył łagodnie Cooper. - To niezbyt długi okres jak na rozwój ewolucyjny. Odkryliśmy bardzo wąski przedział paranormalnych talentów. Skąd wiadomo, że nie istnieją inne, które mogą się jeszcze rozwinąć?

Wycelowała w niego widelcem.

- Oboje wiemy, w czym tkwi problem. W tym, że współcześni ludzie bardzo źle oceniają parapsychiczne zdolności odbiegające od normy. Nie tolerują ich.

- Masz rację. A kto odkrył, że twoje parazmysły odbierają inne fale niż te, które się mieszczą w zwykłym zakresie spektrum?

- Mama. Zauważyła, że jestem niezwykle zafascynowana roślinami, kwiatami i wszelkiego rodzaju ziołami. Godzinami łąziłam po lesie, zbierając różne rośliny, a gdy znajdowałam te, o które mi chodziło, przynosiłam je do domu i przeprowadzałam na nich eksperymenty. Zaczęłam przyrządzać własnego pomysłu ziołowe mieszanki. Potrafiłam powiedzieć, które zioło pomoże konkretnej osobie.

Spojrzał na nią.

- To właśnie miałaś na myśli, kiedy mówiłaś, że przygotowujesz swoim klientom napary na zamówienie?

Kiwnęła głową i znów nabiła porcję jajecznicy na widelec.

- Umieć wyczuć, które zioło będzie najlepiej rezonowało z parapsychologicznym rysem danej osoby. Weźmy na przykład jaskrowca. Wiadomo od dawna, że pomaga ludziom cierpiącym na bezsenność. Ale jest kilka jego gatunków i z tuzin sposobów przyrządzania naparów z tego zioła. W roli środka nasennego nie zawsze się sprawdza. Trzeba mieć łut szczęścia, żeby przyniósł pożądane rezultaty.

- Pewnie dlatego zawsze miało status ludowego medykamentu, a nie prawdziwego leku.

- To prawda. Ale ja potrafię, jeśli wykonam odpowiednie pomiary, używając nastrojonego bursztynu, dobrać dla klienta odpowiedni gatunek tego zioła, sposób jego przyrządzenia i dawkę. W przypadku jaskrowca dawka jest zresztą najważniejsza. To zioło praktycznie nie ma smaku, gdy się je rozpuści w cieczy. I dlatego ludzie zwykle biorą je w za dużych ilościach. Jeśli zadziała, może cię zwalić z nóg na cały dzień.

Cooper wyglądał na rozbawionego.

- Co cię tak śmieszy? - zdziwiła się Elly.

- Myślę o wykładzie, jakiego udzielił mi twój ojciec.

- Jakim wykładzie?

- Uprzedzał mnie, że jesteś delikatną, łagodną istotą, z którą trzeba postępować bardzo ostrożnie i bardzo się o nią troszczyć.

Elly spojrzała na niego wilkiem.

- Tata tak mówił?

- Uhm.

- To dlatego ograniczałeś się do chłodnego pocałunku na pożegnanie, kiedy odwoziłeś mnie z randki do domu?

- Ależ skąd. Bez względu na to, co o tobie sądziła twoja rodzina, od pierwszej chwili, gdy cię poznałem, wiedziałem, że nie jesteś kruchym kawałkiem bursztynu.

- Naprawdę? Chcesz powiedzieć, że wyczułeś we mnie całkiem silne parapsychiczne moce? Słyszałam, że niektórzy potrafią wyczuć to u innych.

- Nie. - Spoglądał na nią znad kubka. - Siła, którą w tobie wyczułem, była zupełnie innego rodzaju.

- Jakiego?

Zaczął szukać odpowiednich słów, którymi mógłby opisać to, co wiedział już od pierwszego dnia, gdy zobaczył Elly w Archiwum.

- Jesteś tego typu osobą, że twoi przyjaciele mają pewność, że mogą ci ufać i liczyć na ciebie w każdej sytuacji. Jesteś lojalna, ale twojej lojalności nie da się kupić. Masz głębokie poczucie tego, co słuszne i co złe, i jesteś skłonna walczyć o sprawiedliwość bez względu na przeszkody. I jesteś życzliwa ludziom.

- Dobry Boże, opisałeś straszną nudziarę.

Zmarszczył czoło.

- Jest wręcz przeciwnie. Jeszcze nie spotkałem tak interesującej kobiety.

W dole brzucha poczuła delikatne mrowienie.

- Naprawdę?

Uniósł palec.

- A co więcej, masz pewną cechę, która nigdy nie uczyni z ciebie nudziary.

- Cóż to za cecha?

- Jesteś cholernie seksowna.

- Ha. - Przymrużyła oczy. - Skoro jestem tak zabójczo seksowna, to dlaczego w Aurora Springs nawet mnie nie dotknąłeś?

Odchylił się na oparcie krzesła, wyciągnął nogi pod stołem i ujął kubek w obie dłonie.

- Początkowo dlatego, że występowałem, jak by tu rzec, w fałszywej roli.

- Ach tak, racja. Uważałam przecież, że jesteś bibliotekarzem.

- Byłem nim. - Wzruszył ramionami. - Ale nie wiedziałem, jak zareagujesz, kiedy zostanę szefem Gildii. Gdy już byłem nim, widziałem, że bardzo źle się czujesz w tej sytuacji. Szybko się z tobą zaręczyłem, ale zaraz potem uznałem, że muszę dać ci czas na przyzwyczajenie się do faktu, że wyjdiesz za bossa Gildii. A wiedziałem, że ten pomysł nie napawa cię radością.

Odłożyła widelec.

- I kto to powiedział, że szefowie Gildii nie są spostrzegawczy.

- Z pewnością nie ja. Ponieważ jestem sprytny i lubię przewidywać przyszłość, uznałem, że gorący seks może skomplikować sytuację.

- W jaki sposób skomplikować?

Potarł kark.

- Bałem się, że jeśli pójdziemy do łóżka, możesz uznać, że łączy nas tylko pociąg seksualny. Wyobrażałem sobie, że sprowadzisz nas związek do romansu, a na koniec ze mną

zerwiesz. Wykoncypowałem więc sobie, że jeśli będę się do ciebie zalecał w tradycyjnym stylu, obowiązującym w Gildii, przekonasz się, że pasujemy do siebie również pod innymi względami.

Zaskoczył go wybuch jej wesołego śmiechu.

- Przesadziłeś z tym kombinowaniem. To pewnie wina wychowania. Twoi rodzice są naukowcami. Za dużo historii, logiki i filozofii.

- Pewnie tak.

- Zostały jeszcze jakieś tosty?

A mówi się, że to mężczyźni unikają rozmów o związkach, pomyślał Cooper.

- Zrobię ci, jeśli chcesz więcej. - Wstał i przeszedł do blatu, żeby wsunąć kromkę chleba do tosterka. - Może lepiej wróćmy do rozmowy o tym, co się wydarzyło wczoraj w klubie. Mówiłaś, że wyczułaś tam tę samą energię psi, którą czułaś, wachając zioła, przyniesione z katakumb przez Berthę?

- To było ziele, świetliste psi-zioło.

Obejrzał się na nią przez ramię.

- Ale ty je tylko wyczułaś, nie widziałaś?

- Nie widziałam, jednak, jak ci mówiłam, jeśli wyczułam na odległość, znaczy to, że w pobliżu musiało go być bardzo dużo lub było w postaci skondensowanej.

- Magiczny pył.

- Możliwe.

Cooper powoli się odwrócił i oparł o blat.

- To pewne, że ten klub ma jakiś związek z naszą sprawą.

- Co masz na myśli?

- Że istnieje kilka możliwości. Pierwsza to taka, że Ormond Ripley, właściciel klubu, handluje narkotykami.

- Ale w to nie wierzysz?

- London mówił mi, że Ripley zawsze bardzo uważał, żeby nie podpaść prawu.

Elly uniosła brwi.

- Chciwość nie ma granic.

- Nie mogę tego wykluczyć - zgodził się. - Ale jest też prawdopodobne, że ktoś w jego organizacji prowadzi na boku pokątny handel, a Ripley nie ma o tym pojęcia.

Na twarzy Elly pojawił się wyraz zaniepokojenia.

- Chcesz znów pójść do Drogi, prawda?

- Nie mam wyboru. - Wyjął z kieszeni mapkę, rozłożył ją na stole i wskazał na jedno z pomieszczeń. - To jest damska toaleta. Pokaż mi, gdzie dokładnie wyczułaś energię psi tego zioła?

Elly uważnie przyjrzała się mapie.

- Wysłałam z toalety i skręciłam w prawo. - Przesunęła palcem po linii przedstawiającej korytarz. - Tam są wahadłowe drzwi. Stałam tuż przed nimi, gdy z zaplecza wyszedł kelner. To wtedy wyczułam smużkę energii.

Cooper badawczo wpatrywał się w mapę.

- Wygląda to tak, jakby wszystkie pomieszczenia należały do cateringu albo służyły za przechowalnię żywności. Jest tu też jeden pokój ze środkami do sprzątania. Raczej wątpliwe, żeby ktoś ukrywał w nich narkotyki. Łatwo je tam znaleźć.

Elly postukała palcem w mapę.

- Jestem pewna, że coś czułam i że woń dochodziła z pobliza wahadłowych drzwi.

Podniósł na nią oczy.

- A czy to możliwe, żeby energia płynęła spod podłogi lub z pomieszczeń powyżej?

- Z góry nie - powiedziała z przekonaniem. - Ale z dołu to bardzo możliwe. W większości budynków w Starej Dzielnicy są piwnice i różne składziki. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby gdzieś pod klubem znajdował się otwór w ścianie. Już ci mówiłam, że w tej części miasta jest ich pełno, jak dziur w serze.

Cooper rozpostarł płasko dłonie na drugim krańcu mapy.

- Pójdę się tam dzisiaj rozejrzeć.

- A jak się dostaniesz do środka?

- Tak samo jak wczoraj, przebrany za pracownika. To nie powinno być trudne. Pracuje tam kilkaset ludzi. W takim miejscu nawet za dnia musi być mnóstwo personelu.

- No nie wiem, Cooper. To będzie bardzo niebezpieczne.

Rozległ się głośny dzwonek telefonu wiszącego na ścianie. Cooper sięgnął po słuchawkę, zadowolony, że przerwano im rozmowę, której nie chciał kontynuować.

- Nie. - Elly wystrzeliła z krzesła z oczyma rozszerzonymi paniką. Zaczęła jak szalona machać rękami. - Nie odbieraj - wyszeptała bezgłośnie.

Ale było już za późno.

- Halo - rzucił automatycznie do słuchawki.

- Cooper? To ty? - W znajomym kobiecym głosie pobrzmiwało zdziwienie. - Mówi Evelyn St.Clair.

- Tak, to ja - odparł i posłał Elly przepaszające spojrzenie. - Dzień dobry, pani St.Clair.

Elly z wyciągniętymi rękoma obeszła szybko stół.

- Daj mi ten telefon.

- Jest dość wcześnie, Cooper - bez ogródek zakomunikowała Evelyn. - Co robisz w mieszkaniu Elly o tej porze?

- Jemy śniadanie - odrzekł Cooper, trzymając słuchawkę poza zasięgiem rąk Elly. - Elly zabrała mnie wczoraj wieczorem na miasto. Pokazała mi kilka ciekawych miejsc. Muszę przyznać, że byłem nimi zachwycony.

Evelyn się roześmiała.

- Cooper, nie żartuj sobie. Oboje wiemy, że wyjeżdżałeś z Aurora Springs i niejedno widziałeś. Zresztą przeprowadziłeś się do Aurora Springs dopiero wtedy, gdy zaczęłaś pracować w Archiwum.

- Mówię poważnie, pani St.Clair. To miasto mnie oszołomiło.

Elly w końcu zdołała dorwać się do słuchawki. Cooper oddał ją bez protestu i odszedł, żeby sprawdzić, czy tosty są już gotowe.

- Mamo? - Elly z wściekłością wykrzywiła się do Coopera. - Tak, wiem. Spał na kanapie, mamo, chociaż nikogo to nie powinno obchodzić.

Tost wyskoczył z tosterka. Cooper położył go na talerzu i zaniósł do stołu. Rose zeskoczyła z parapetu, żeby znaleźć się blisko niego.

- Sąsiadom powiedziałam, że to zwykły znajomy, który przyjechał mnie odwiedzić. Tak, mamo - wyjaśniała Elly. - Zresztą to jest zwykły znajomy, jeśli byś się mnie pytała.

Rozmowa znów się na chwilę urwała. Elly słuchała słów matki z wyrazem ponurego zniecierpliwienia na twarzy.

- Tak, mamo. Wiem, jak by to wyglądało w Aurora Springs. Ale na tym właśnie polega cudowność zamieszkania w Kadencji. Tutaj, w dużym mieście, nikt się nie przejmuje tym, co robią inni i z kim to robią. Każdy zajmuje się własnymi sprawami. To bardzo interesująca postawa. No ale muszę już kończyć. Zaraz otwieram sklep. Ucałuj tatę ode mnie. Pa.

Odwiesiła słuchawkę, splotła ręce i popatrzyła gniewnie na Coopera.

- Od tej chwili pod żadnym pozorem nie wolno ci odbierać mojego telefonu. Zrozumiałeś?

Cooper podał Rose jedną połówkę tostów, a drugą zjadł sam.

- Twój dom, twoje zasady - rzekł. - Ale tak z ciekawości. Pewna jesteś, że nikt tutaj się nie interesuje twoim życiem miłosnym?

- Na rany boskie, ja przecież nie mam żadnego życia miłosnego.

- Ale za to teraz uprawiasz seks. Wiem z doświadczenia, że wiele osób, nawet wyrafinowane snoby z dużych miast, interesuje się intymnym życiem innych.

- Nie czas, żebyś się zajął tym swoim tak zwanym dochodzeniem?

- Cóż, jeśli tak do tego podchodzisz, to...

- Tak, właśnie tak.

Rozdział 20

Na krótko przed piętnastą tego samego dnia znajoma postać wychynęła z gęstej mgły, która nadal zasnuwała Aleję Ruin. Drzwi Ziołowego Emporium otworzyły się, wprawiając w drżenie wiszące nad nimi dzwoneczki.

Elly poczuła, że tężeje. Zaczynam mieć fobię na punkcie dźwięku zwykłego dzwonka, pomyślała. Dzwoneczki nad jej drzwiami nie przestawały się odzywać niemal przez cały dzień. Odkąd zmieniła plakietkę „Zamknięte” na „Otwarte”, w sklepie pojawiło się tylu klientów, jak nigdy dotąd. I tylko nieliczni byli zainteresowani kupnem jej naparów.

Klientką okazała się Beatrice Kim, właścicielka Unikatów Wymarłego Miasta, sklepiku położonego tuż obok. Jej twarz płonęła rumieńcem ciekawości.

- Dzień dobry, Elly - przywitała się radosnym głosem.
- Dzień dobry, pani Kim. Przyszła pani po tygodniowy zapas naparu z rezokorzenia?
- Tak, właśnie tak, kochanie. - Beatrice promiennie się uśmiechnęła. - Nie przeżyłabym bez mojego naparu z rezokorzenia. A jak tam mała Rose?

Rose przestała szperać w pudełku z bransoletkami i popiskując wesoło, przebiegła po blacie lady, żeby przywitać się z Beatrice.

- Och, jak ty dzisiaj pięknie wyglądasz. - Beatrice z zachwytem przyglądała się koralikom w bransoletce - naszyjniku przeświecającym przez skołtunione futerko Rose. - Ten niebieski kolor pasuje do twoich oczu. To twój kolor, cukiereczku.

Rose w wyrazie udawanej skromności zatrzepotała rzesami, a potem popatrzyła na przybyłą z wyczekującą nadzieją.

- Na niebiosa, myślisz, że zapomniałam? - Beatrice wyciągnęła z kieszeni płaszcza wypchaną ciasteczkami plastikową torebkę. Otworzyła ją i wyjęła jedno ciastko. - Proszę bardzo. Z masłem orzechowym i czekoladą. Pieczone wczoraj wieczorem.

Rose grzecznie wzięła ciasteczko i zaczęła je obgryzać z gracją, ale też bardzo zawzięcie.

- Oto rezokorzeń, pani Kim. - Elly położyła mały, biały woreczek na ladzie i szybko przeszła do kasy. - To będzie piętnaście dolarów.

- Dziękuję ci, kochanie. - Beatrice położyła plastikową torebkę wypełnioną ciasteczkami na kontuarze i mrugnęła konspiracyjnie do Elly. - Upiekłam trochę więcej dla ciebie i twojego gościa.

- Bardzo dziękuję - odparła Elly, postanawiając zachować uprzejmość. - Miło z pani strony.

Beatrice spojrzała w sufit.

- Chyba późno wczoraj wróciliście, co znaczy, że pewnie świetnie się bawiliście na mieście.

- A skąd pani wie, o której wróciliśmy?

Beatrice z lekceważeniem machnęła ręką.

- Widziałam, że około trzeciej nad ranem zapaliło się w twoim mieszkaniu światło. - Pani Kim zachichotała. - Zazwyczaj nie kładziesz się spać tak późno, prawda?

Elly oparła oba łokcie na kontuarze.

- Szpiegowała mnie pani, pani Kim?

- Boże, ale gdzie tam. - Beatrice szeroko otworzyła oczy. - Po prostu nie mogłam wczoraj zasnąć. Wstałam więc, żeby przygotować sobie jeden z twoich wspaniałych naparów, i wtedy przypadkowo zauważyłam to światło.

Elly zacisnęła zęby.

- Nie tylko pani, ale wszyscy na tej ulicy, jak się okazuje.

- Słucham?

Elly westchnęła.

- Proszę wybaczyć, pani Kim, ale przez cały dzień nachodzi mnie mnóstwo ludzi z sąsiedztwa. Wszyscy są niezwykle zainteresowani moim gościem.

- No cóż, kochanie, nie możesz mieć o to do nas pretensji.

Elly wygięła brwi.

- Nie mogę.

- Nie licząc Griggsa, kwiaciarza, ludzie zamieszkujący tę okolice są bardzo przyjaźnie nastawieni do innych - przypomniała Beatrice. - Interesujemy się sobą. A przy okazji, niedawno spotkałam Garricka i Phillipa. Mówili, że pożyczyci ci przepustkę do Drogi do Ruin. Założę się, że ze swoim znajomym przetańczyliście tam całą noc.

- Istotnie, trochę tańczyliśmy.

- Jakie to romantyczne. Phillip mówił, że wydawało mu się, że samochód twojego gościa odjechał dzisiaj. Czyżby twój znajomy wrócił do domu?

- Nie. Wybrał się na zwiedzanie miasta.

- A co dokładnie zwiedza?

- Wspominał coś o zoo.

- Och, rozumiem. W takim razie pewnie wkrótce wróci?

Elly zabębniła palcami po ladzie.

- Tak sędzę, pani Kim.

- To przyjdę później.

- Po co? - zapytała bez ogródek Elly. - Pani mieszanka z rezokorzenia jest już gotowa.

Beatrice z wyrazem lekkiego zawodu zajrzała do torebki.

- Zdaje się, że zapomniałam portmonetki.

- Niech się pani nie przejmuję. Zapłaci pani innym razem.

- Nie, nie, moja droga. Wolę płacić od razu.

- Szkoda, żeby pani dwa razy chodziła.

- Przecież mam sklep na tej samej ulicy. - Beatrice uśmiechnęła się dobrotliwie i ruszyła ku drzwiom. - Zresztą dodatkowy spacer dobrze mi zrobi.

Wyszła ze sklepu na wąski chodnik, a potem znikła we mgle.

Elly spojrzała na Rose, która skończyła już chrupać swoje ciasteczko i teraz z wyraźnym zainteresowaniem spoglądała na wypchaną plastikową torebkę pozostawioną przez Beatrice.

- Niewiele zostało z mojej teorii, że w wielkim mieście ludzie nie wścibiają nosa w prywatne życie sąsiadów - poskarżyła się Elly. - Zdaje się, że pan Wielki Szef słusznie twierdził, że wszędzie ludzie są ciekawi, co się dzieje u innych, a zwłaszcza interesują się intymną sferą ich życia.

Rose zaskrzeczała współczująco, zarazem gmerając przy zamknięciu torebki.

Elly tymczasem próbowała otrząsnąć się z narastającego w niej uczucia zaniepokojenia. Zerknęła na zegar.

- Nie ma go już od wielu godzin. Co twoim zdaniem go zatrzymało?

Zaszeleścił plastik ocierający się o plastik. Rose udało się otworzyć torebkę. Rozradowana wsadziła łapkę do środka.

Elly pomyślała o nowym zielonym kwiatku w wazonie stojącym na parapecie kuchni.

- Skoro już mowa o szalonych nocach i szybkim życiu, to gdzieś ty się wczoraj szwendała, panienko?

Rose ugryzła ciasteczko.

Dzwoneczek nad drzwiami znowu zabrzęczał. Elly ujrzała kolejną znajomą osobę z sąsiedztwa. Herschel Lafayette, oglądając się nerwowo za siebie, szybko wsunął się do sklepu.

- Dzień dobry, Elly.

Elly jęknęła.

- I ty też, Herschel?

- Co? Co? - Herschel drobnymi kroczkami zbliżył się do lady. - Co ja też? O co chodzi?

- Przyszedłeś wypytywać o moje prywatne życie? Bo jeśli tak, możesz zrobić w tył zwrot i wyjść.

Herschel zatrzymał się przed Elly, a na jego ściągniętej zdenerwowaniem twarzy pojawił

się wyraz zniecierpliwienia.

- A dlaczego, na zielone piekło, miałbym sobie zawracać swój przypalony duchami tyłek tym, co robisz po pracy?

W sercu Elli zapłonęła nieistniejąca dotąd życzliwość do drobnego szczura ruin. Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Zawsze czułam, że jesteś wyjątkowy, Herschel.

- Taa, taa. Strasznie jestem wyjątkowy. – Mężczyzna znów obejrzał się na drzwi. - Przyszedłem zapytać, czy miałaś ostatnio jakieś wieści od Berthy Newell.

Elly zeszywniała, zanim zdążyła nad sobą zapanować. Szczęśliwie Herschel chyba tego nie zauważył. Nadal wypatrywał, co dzieje się za oknem.

- Nie, nie miałam - odparła, starając się mówić obojętnym tonem. - A dlaczego pytasz? Masz jakiś problem?

- Nie wiem. - Herschel, nieco roztrzęsiony, odwrócił się do niej. - Od wczoraj kilka razy byłem pod jej sklepem. Ale Berthy nie ma. Chciałem jej pokazać coś, co znalazłem w moim sektorze. No wiesz, żeby powiedziała, co o tym myśli. Jeśli chodzi o określanie wartości tych rzeczy, jest równie dobra jak każdy z tych zarozumiałych paraarcheologów z uniwersytetów.

- Pewnie pracuje w tunelach.

- Nie sądzę. - Mężczyzna naciągnął na szyję otłuszczony kołnierz marynarki, z przyzwyczajenia próbując ukryć twarz przed wzrokiem przechodniów na ulicy. - Ona nigdy nie zostaje na dole na noc. Boi się schodzić do katakumb.

- Może pojechała odwiedzić córkę i wnuki - podsunęła Elly.

- Nie. Mówiła, że była u niej kilka tygodni temu na urodzinach jednego z dzieciaków. Nie miała po co znów tam jechać.

- No cóż, na twoim miejscu nie martwiłabym się o nią - poradziła Elly, pragnąc nieco uspokoić Herschela. Nie było potrzeby, żeby zaczął się rozpytywać w sąsiedztwie o nieobecność Berthy. - Jestem pewna, że niedługo się pojawi. A tymczasem może zaparzę ci kubeczek herbaty z Harmonicznego Balsamu? Co ty na to?

Wzrok Herschela pomknął do stołu, na którym stał czajniczek z gorącą wodą i plastikowe kubki.

- Taa, jasne, byłoby świetnie. Dzięki.

Elly podeszła do stołu i zdjęła z półki odpowiednie pudełko, zarazem zastanawiając się, co zrobić, żeby Herschel przestał kręcić się koło sklepu Berthy.

- Mówisz, że natknąłeś się na jakiś szczególnie wartościowy relikw? - zapytała niby od niechcienia.

- Możliwe. Jeszcze nie wiem. - Wepchnął ręce do kieszeni i kilka razy zahuśtał się na

piętach, zerkając przy tym na ulicę. - Dlatego chciałem, żeby Bertha rzuciła na to okiem, zanim to coś sprzedam. Jeśli jest tak cenne, jak mi się wydaje, mógłbym z tym iść prosto do tych ludzi z Muzeum Kadencji zamiast do moich pokątnych handlarzy.

- Dobry plan. - Nasypała ziół do kubka, zalała je gorącą wodą i lekko zamieszała.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego Bertha zniknęła. -Herschel zaczął nerwowo krążyć po sklepie. - Myślałem, że może ten gość, który ma kwaciarnię obok jej sklepu, widział ją albo przynajmniej wie, gdzie się podziała. Ale kwaciarnia też jest zamknięta.

Podeszła z kubkiem do lady i postawiła go na niej wraz papierową serwetką.

- Proszę bardzo, Herschel. Tylko uważaj, bo gorące.

- Taa, taa, jasne. - Mężczyzna podniósł kubek, zaciągnął się wonią naparu i od razu nieco się uspokoił. - Dziękuję.

- Nie ma za co.

Herschel upił ostrożnie łyk i ruszył ku drzwiom.

- Spotkałem wcześniej Benny'ego i Joego. Oni też jej nie widzieli.

- A kim są Benny i Joe?

- Niezależnym zespołem łowców i splataczy. Niektóre szczury ruin wynajmują ich do ochrony, gdy schodzą do katakumb. Choćby Griggs, bo sam nie ma żadnych pararezonerskich talentów.

- Stuart Griggs, ten kwaciarz? - zdziwiła się Elly. - To on schodzi do katakumb szukać reliktyw? Nic o tym nie wiedziałam.

- On nie szuka reliktyw - skrzywił się Herschel. -Benny i Joe nie wiedzą, dlaczego lubi łączyć do katakumb, ale Griggs regularnie ich wynajmuje. Chłopaki mają w nosie, po co on tam schodzi, póki płaci im za ich usługi.

- Rozumiem.

- No cóż, dzięki za herbatę. Na razie.

- Na razie, Herschel.

Elly oparta o kontuar patrzyła, jak Herschel wychodzi i znika we mgle.

- Wygląda na to, Rose, że jednak nie wszyscy sąsiedzi interesują się moim życiem intymnym.

Rose kucnęła przy stosiku biżuterii niczym mały, puszysty smok nad skarbem, i przeżuwała kolejne ciasteczko.

- Wiesz co, zaczynam się martwić, że inni ludzie też zwrócą w końcu uwagę na nieobecność Berthy – dodała Elly. - A to nie byłoby dobrze. Może powinnam przejść się do jej sklepu i wywiesić na drzwiach karteczkę z wiadomością, że na kilka dni wyjechała z miasta.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej pomysł wydawał się jej dobry. Ma przecież klucz, przypomniała sobie. Mogłaby przemknąć się boczną uliczką i wejść do sklepu od tyłu, zawiesić wiadomość w oknie i dyskretnie wrócić.

Mgła raptownie gęstniała, więc było mało prawdopodobne, żeby ktoś zauważył, że w tę i z powrotem przemyka się uliczką. Ale nawet jeśli ktoś ją zobaczy, nie będzie się dziwił. Wszyscy wiedzieli, że przyjaźni się z Berthą. Może powiedzieć, że Bertha do niej zadzwoniła i zawiadomiła o jakiejś ważnej rodzinnej sprawie.

Flamastrem napisała wiadomość na skrawku papieru. Zadowolona z rezultatu, wywiesiła w drzwiach swojego sklepu tabliczkę „Wracam za 10 minut”.

Zdjęła płaszcz z wieszaka, włożyła go i otworzyła torbę, by Rose do niej wskoczyła.

- Wsiadaj, siostró.

Radośnie pomrukując, Rose przemknęła po ladzie i dała susa do torby. Oparta się przednimi łapami o jej brzeg i wystawiła z niej głowę, szeroko otwierając niebieskie oczy, żeby nic nie umknęło jej uwagi.

Rozdział 21

Małe, oddzielnie zapakowane paczuszki, równo ułożone, spoczywały w kartonowych pudełkach utkniętych w starym składziku. Na kartonach widniał napis „papier toaletowy”, co zdaniem Coopera w danych okolicznościach wydawało się zaskakująco mądrym pomysłem.

Opuścił składzik. Ściany i posadzki dwustuletniej piwnicy były wyłożone kamieniem, ale woda i tak tu przeciekała, jak zawsze w takich miejscach. W powietrzu unosiła się wilgoć i woń stęchlizny.

Ale przez ściany do ciemnego, ponurego pomieszczenia przedostawała się nie tylko woda. Cooper zauważył, że powietrze przesycone jest też mnóstwem złąkanej energii psi, co go wcale nie zaskakiwało, biorąc pod uwagę bliskość murów Wymarłego Miasta. I pewnie gdzieś niedaleko znajduje się dziura w ścianie, jak sugerowała Elly.

Użył latarki, żeby oświetlić sobie drogę powrotną do ciężkich, drewnianych drzwi, które wyglądały tak, jakby stały w tym miejscu od chwili powstania budynku.

Po ich otwarciu wszedł na stare, wąskie schody. Na szczycie zatrzymał się, żeby przed kolejnymi drzwiami i wejściem do składziku sprzątaczy usłyszeć, co się za nimi dzieje.

Półki zastawione były środkami czyszczącymi, kartonami z papierem toaletowym i papierowymi ręcznikami.

Przemierzył pomieszczenie, zabierając wcześniej z półki kilka rolek papieru, i wyszedł na

korytarz.

Wózek z przyborami do sprzątanía stał tam, gdzie go zostawił. Złapał za jego rączkę i pociągnął za sobą korytarzem wiodącym do prywatnej windy oznaczonej napisem „Biura Zarządu”.

Odnalezienie narkotyków okazało się prostym zadaniem, pomyślał. Może nawet za prostym.

Rozdział 22

Boczną alejkę zasnuwała wilgotna, szara mgła. Dreszcz niepokoju przemknął Elly po plecach, jeżąc włoski na jej karku. Wysokie mury budynków stojących po obu stronach wąskiej alejki zasłaniały resztki światła, które gdzie indziej przedzierało się jeszcze przez mgłę. Ledwo mogła dostrzec zarys śmietnika przed sobą. Gęsta mgła działała jak pochłaniacz dźwięku, tłumiąc odgłos aut jadących ostrożnie pobliskimi ulicami.

- Doskonała przykrywka - szepnęła Elly do Rose. - Nikt nas nie zobaczy.

Szła dalej, nie mogąc się pozbyć lodowatego mrowienia wywołanego napięciem.

Mgła przecież jej sprzyja w tej sytuacji, myślała. Więc skąd te nerwy?

Złapała się na tym, że z napięciem wyczekuje, iż usłyszy znajomy odgłos trzasku pokrywy kontenera na śmieci lub miękki stukot kroków za nią.

Od czasu do czasu zerkała na Rose, sprawdzając, czy kurzak nie otworzył drugiego zestawu oczu.

Rose była czujna, ale nie pokazywała po sobie żadnego niepokoju.

Kiedy dotarły do końca alejki, Elly poczuła ulgę. Uczucie to jednak szybko się ulotniło, gdy się przekonała, że wąska ulica przed nią jest zupełnie pusta. Jakby nagle wszyscy wynieśli się z tej okolicy.

Idąc chodnikiem, skręciła w kolejną boczną uliczkę, za następnym rzędem sklepów. Może to tylko moja wyobraźnia, myślała, ale wydawało jej się, że mgła zrobiła się jeszcze gęstsza i bardziej złowieszcza. Wpływała dezorientująco na zmysły. Na szczęście Rose nie przestawała wesoło pomrukiwać, jakby w ten sposób chciała jej dodać otuchy.

Elly, żeby się nie zgubić, zatrzymała się przed którymś ze sklepów, sprawdzając widniejący na drzwiach napis.

- „Stuart Griggs, Kwiaciarnia” - przeczytała na głos. - Już prawie jesteśmy na miejscu. Sklep Berthy jest następny.

Spojrzała w dół na kurzaka i zamarła. Rose wpatrywała się intensywnie w zamknięte drzwi kwiaciarni. Jej dwie pary oczu były szeroko otwarte, choć ostre zęby schowane.

Nagle cicho zamruczała.

- O co chodzi? - spytała Elly. Popatrzyła na Rose, a potem znów na drzwi. - Wiem, że nie lubisz pana Griggsa, ale nie warcz pod jego drzwiami. To krępujące.

Rose nie przestawała wpatrywać się w drzwi. Coś było nie tak. Elly to wyczuwała, choć Rose nie zachowywała się tak, jakby spodziewała się zagrożenia.

Przez głowę przemknęły jej słowa Herschela, który mówił, że kwiaciarnia jest zamknięta.

Ostrożnie spróbowała nacisnąć na klamkę. Ustąpiła pod naporem. Rose znowu zawarczała, ale nadal nie pokazywała zębów. A jej futro nie przylgnęło do ciała, pomyślała Elly. To raczej dobry znak.

Otworzyła drzwi prowadzące na zaplecze kwiaciarni. W ciemności słychać było cichy szum systemu chłodzenia.

Elly poczuła lekkie mrowienie zmysłów paranormalnych. Do jej nozdrzy doleciał intensywny zapach ciętych kwiatów i innych roślin.

Ale z wonią kwiatów zmieszany był jeszcze inny, ciężki i nieprzyjemny, który nie pasował do tego miejsca.

Pewnie to odór martwych i gnijących roślin, pomyślała Elly. Lecz cokolwiek to było, zapach wywoływał w niej nudności. Musiała walczyć z chęcią odwrócenia się i czmychnięcia stąd.

Została jednak, bo Rose nadal nie okazywała po sobie, że wyczuwa bezpośrednie zagrożenie.

- Panie Griggs?

Nie było żadnej odpowiedzi. Ale Elly w głębi serca wiedziała, że żadnej się nie spodziewa.

Przemieszany z wonią kwiatów unosił się tu zapach śmierci.

Rozdział 23

Ormond Ripley, przechodząc koło biurka asystenta zarządu, spojrzał na swój zegarek z bursztynowym cyferblatem.

- Powiedz, proszę, Maitlandowi, że za pół godziny chcę go widzieć w moim gabinecie. Omówimy nowy plan finansowy.

- Tak jest, panie Ripley. - Asystent sięgnął po słuchawkę telefonu. - Kiedy pana nie było, dzwonił pan Dugan. Prosił, żeby przekazać, że znalazł nowy numer do klubu. Przesłuchanie grupy ma się odbyć o czwartej dzisiaj po południu, gdyby chciał je pan obejrzeć.

- Dziękuję za informację. Będę tam. - Ripley przeszedł do drzwi swojego gabinetu. - Przyślij do mnie Maitlanda od razu, jak się pojawi.

- Oczywiście, sir.

Ripley otworzył drzwi i wszedł do gabinetu, zachwycając się, jak zawsze, panującym tu spokojem. W jego mniemaniu wystrój gabinetu kreował aurę mocy i luksusu, które oszałamiają o wiele bardziej niż jakikolwiek narkotyki i pociągają tak jak żadna, nawet najpiękniejsza, kobieta.

Ściany wyłożone były drewnem, które sprowadzono z jakiejś odległej wyspy. Kamienie na posadzce pochodziły z Północnego Kontynentu.

Dzieła sztuki wiszące na ścianach należały niegdyś do prywatnej kolekcji jednego z założycieli Muzeum Kadencji. Obrazy miały się znaleźć w galeriach muzeum, ale Ormond dopilnował, żeby zamiast tego wylądowały w jego gabinecie. Nie przepadał wcale za delikatnymi w barwach pracami modernistów post-Ery Niezgody, ale to się nie liczyło. Ważne było, że koneserzy sztuki uważali, że dzieła z tego okresu są wspaniałe i bardzo cenne.

Przeszedł długą drogę od zakurzonego, zaściankowego miasteczka, w którym się urodził i wychował, stwierdzając z zadowoleniem Ripley za każdym razem, gdy wchodził do swojego gabinetu.

Jego pararezonerskie talenty stanowiły bilet do dobrze opłacanej pracy w Gildii. Nie miał żadnych rodzinnych koneksji, na których mógłby się wesprzeć, jednakże umiejętność wyczuwania wewnętrznej polityki oraz zdolność wybierania wygranej strony pomogły mu osiągnąć w Gildii status członka Rady.

Ale od początku swojej kariery łowcy wiedział, że chce robić coś więcej, niż tylko przez całe życie ścigać duchy po katakumbach. Tym, co go motywowało, było pragnienie ustanowienia własnego imperium. Droga do Ruin stanowiła kulminację jego ambicji, a on zachwycał się każdym najmniejszym szczegółem zarządzania swoim królestwem.

Ruszył ku wymyślnie rzeźbionemu biurku stojącemu pod przeciwległą ścianą.

Drzwi do jego prywatnej toalety otworzyły się prawie, choć niezupełnie, bezgłośnie. Zaskoczony, gwałtownie się obrócił w ich stronę.

Obrzucił gniewnym spojrzeniem stojącego w progu sprzątacza.

- A co ty tu robisz? - zapytał. - Toaleta nigdy nie jest sprządana o tej porze dnia, chyba że o to poproszę.

- Musimy porozmawiać - odparł sprzątacze, opierając się na mopie. - Więc lepiej powiedz asystentowi, żeby przez chwilę ci nie przeszkadzano.

- Kim ty jesteś?

- W tej chwili tylko tym, dzięki któremu nie znalazłeś się jeszcze w więzieniu na długi

pobyt.

- Z własnej woli raczej nie wybrałbym tego miejsca na wakacje. Co się tu dzieje?

Sprzątacze wyjął z kieszeni małą paczuszkę.

- Moim zdaniem ktoś chce cię wrobić w handel tym świństwem, które się nazywa magiczny pył.

- A co to ma znaczyć, na zielone piekło? - Ormond wyciągnął rękę. - Pokaż mi to.

Sprzątacze rzucił mu paczuszkę bez słowa komentarza.

Ripley złapał paczuszkę i ostrożnie ją otworzył. Nie musiał próbować ani wahać proszku, który zawierała. Miał ogromnie wyostrome parapsychiczne zmysły. Będąc tak blisko narkotyku, od razu poczuł lekkie mrowienie paranormalnych fal, do których był dostrojony.

Mógł zapomnieć o nadziei, że sprzątacze bluffuje.

- Skąd to wzięłeś? - zapytał, kupując sobie trochę czasu, żeby pomyśleć. Przez głowę przemknęły mu obrazy upadku jego stworzonego ciężką pracą imperium. Nie doszedł tak daleko, żeby teraz wszystko stracić.

- Znalazłem na dole w starej piwnicy. Tak przy okazji, to miejsce jest jak sito. Pełno tam wody i energii psi. Masz tam szczurzą dziurę?

Ormond zignorował pytanie.

- Nie handluję narkotykami.

- Trudno ci to będzie udowodnić, gdy gliny przeszukają klub i znajdą towar, który ja znalazłem.

- To tego świństwa jest tam więcej?

- Trzy duże kartonowe pudła, wszystkie wypełnione takimi paczuszkami.

Ormond podszedł do biurka i próbując zebrać myśli, stanął za nim.

- Ty naprawdę myślisz, że ktoś chce mnie w to wrobić? - zapytał w końcu.

- Na to wygląda.

- A dlaczego nie uważasz, że sam prowadzę narkotykowy biznes?

- Trochę poszperałem, zanim się tu dzisiaj zjawiłem. - Uśmiech sprzątacza był tajemniczy i lodowaty. - Gdybyś chciał handlować prochami, nie sądzę, że zapakowałbyś je w niezabezpieczone przed wodą kartony, a potem wepchnął do szafki w wilgotnej piwnicy. Jesteś sprytny i jesteś silnym pararezonnerem. Bardziej prawdopodobne, że ukryłbyś narkotyki w katakumbach. Miałbyś większą pewność, że nikt ich tam nie znajdzie.

- A może się mylisz? - zapytał Ormond. - Może specjalnie ulokowałem narkotyki w łatwym do odkrycia miejscu?

- Może, ale jest jeszcze coś, co każe mi uważać, że nie jesteś w to zamieszany.

- Co takiego?

- Jak mówiłem, trochę się podowiadawałem na twój temat. - Sprzątacze wymownie rozejrzała się po gabinecie. - Ciężko pracowałeś, żeby zbudować to miejsce, i cholernie uważałeś, żeby nie działać nielegalnie. Lubisz ryzykować, ale nie sądzę, że zaryzykowałbyś wszystkim w zamian za jednorazowy zysk ze sprzedaży narkotyków. Zresztą ktoś jeszcze się ze mną zgadza.

- Kto?

- Mercer Wyatt.

Ormond znieruchomiał.

- Ta sprawa ma coś wspólnego z Gildią?

- Tak. Mercer mówił mi, że przez kilka lat byłeś członkiem Rady Gildii, tu w Kadencji.

- No i co z tego?

- To, że można z tobą rozmawiać o niebieskich świrach.

- Chcesz powiedzieć, że jakiś niebieski jest w to wplątany?

- Tak. - Sprzątacze wskazał na mop w swojej ręce. - Wyatt poprosił mnie, żebym pomógł mu uprzętać bałagan, nim dojdzie do poważnych kłopotów z opinią publiczną.

- Cóż, do diabła. - Ormond ciężko odetchnął i powoli opadł na swój fotel. - Ty nie jesteś sprzątaczem. Ty jesteś bibliotekarzem.



Rozdział 24

Elly wetknęła jedną rękę w otwór i po omacku odszukała światło.

Zapaliły się dwie fluorescencyjne świetlówki, które oblały pomieszczenie zimnym, niebieskawym światłem. Pokój wypełniały masy kwiatów i dekoracyjnych zielonych roślin. Za szklanymi drzwiami chłodziarki stały różnego rodzaju, kształtu i wielkości bukiety w wazonach. Przypominało to scenę zakładu pogrzebowego.

Ciało Stuarta Griggsa, rozciągnięte na podłodze twarzą do ziemi, dopełniało widoku.

Elly nigdzie nie zauważyła krwi. Nic nie wskazywało na to, że na kwiaciarza napadnięto. Może miał wylew albo dostał zawału serca?

Sięgnęła do torebki po telefon i wystukała na nim numer pogotowia.

Zarazem chciała się instynktownie odwrócić od ciała na podłodze. Ale się zawahała na widok skrawka białego bandaża wystającego spod podciągniętego rękawa koszuli.

Zmusiła się, by podejść bliżej, ignorując ostrzegawcze powarkiwanie Rose.

Wstrzymując oddech i walcząc z podchodzącym pod gardło żołądkiem, pochyliła się, kciukiem i wskazującym palcem prawej ręki złapała za brzeg rękawa i podciągnęła go jeszcze wyżej.

Lewe przedramię Griggsa owinięte było szerokim, białym bandażem.

- O cholera - szepnęła Elly.

Rozdział 25

Cooper dostrzegł migoczące bursztynowo - czerwone światła ambulansu, gdy skręcił w Aleję Ruin. We mgle tworzyły niezmiernie, stroboskopowy efekt.

Żołądek ścisnął mu się skurczem niepokoju. Karetka stała niemal przed samym sklepem Berthy Newell. Tuż przed nią stał wóz policyjny.

Do tej pory jechał wolno z powodu mgły, jednak teraz zmniejszył prędkość niemalże do zera. Kiedy się zbliżył, na chodniku ujrzał grupkę ludzi. Jego niepokój nieco zelżał, gdy się zorientował, że gapie wpatrują się w otwarte drzwi kwaciarni.

Natychmiast też spostrzegł Elly. Stała obok Garricka Lattimera i Phillipa Manchestera.

Zatrzymał spectruma przy krawężniku, żeby dołączyć do Elly i jej przyjaciół.

Rose siedziała w torbie Elly, przyglądając się wydarzeniom. Jej głowa szybko się obracała. Zamruczała radośnie, gdy spostrzegła nadchodzącego Coopera.

Elly i dwaj mężczyźni też się odwrócili w jego stronę.

- Jesteś wreszcie - powiedziała Elly. Na jej poszarzałej twarzy zobaczył pełen napięcia niepokój. - Już się zaczynałam martwić.

Skinął głową dwóm mężczyznom.

- Co tu się dzieje?

Garrick ruchem brody pokazał na wejście do kwaciarni.

- Stuart Griggs, właściciel kwaciarni, zmarł gdzieś około południa. Elly niedawno go znalazła.

Cooper przyglądał się przygnębionej twarzy Elly.

- Jak to się stało, że to ty znalazłaś ciało?

- Zanosilałam karteczkę z informacją, żeby ją zawiesić w witrynie sklepu Berthy. - Posłała mu wymowne spojrzenie. - Ludzie zaczęli się zastanawiać, gdzie ona się podziewa.

- Rozumiem - odparł cicho.

- Kiedy przechodziłam koło drzwi Griggsa, Rose zaczęła wydawać dziwne dźwięki.

Pomyślałam, że wyczuła coś niepokojącego. Więc sprawdziłam, czy drzwi są zamknięte. Były otwarte. Kiedy weszłam do środka, na ziemi zobaczyłam zwłoki.

Ze sklepu wyszli dwaj sanitariusze. Nieśli nosze z leżącym na nich ciałem.

- Słyszałem, że ktoś mówił, że to był zawał serca - wtrącił się Phillip.

- Jakiś gliniarz chciał z nami rozmawiać - dodał Garrick. - A w zasadzie chciał porozmawiać z Elly, bo to ona znalazła Griggsa. Mówił, że nie ma żadnych wyraźnych śladów przemocy poza nacięciem na rękę, prawie już zresztą zagojonym.

Cooper zmarszczył czoło.

- Nacięciem?

- Ten policjant uważa, że Griggs kilka tygodni temu skaleczył się jednym z tych narzędzi, których używał do przycinania roślin - wyjaśnił Phillip.

Elly odwróciła się, żeby popatrzeć, jak sanitariusze wsuwają nosze na tył ambulansu. Nie odzywała się. Cooper dotknął jej ramienia.

- Chodźmy do domu.

- Tak, to dobry pomysł. - Odwróciła się w jego stronę, wyraźnie zadowolona, że znalazła wymówkę, by odejść z tego miejsca.

Pomógł jej wsiąść do samochodu. Kiedy tylko usiadła, Rose wyskoczyła z torby i pomknęła na swe ulubione miejsce na półce pod tylnym oknem.

Cooper usiadł za kierownicą, impulsem włączył silnik i odjechał od krawężnika.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Tak, a ty? Znalazłeś narkotyki? Martwiłam się o ciebie przez całe popołudnie.

- Znalazłem narkotyki. I porozmawiałem sobie z Ormondem Ripleyem.

- Właścicielem kasyna?

- Był członkiem lokalnej Rady Gildii. Nie mogę wykluczyć, że jest dilerem, ale skłaniam się do zdania Wyatta, że to raczej mało prawdopodobne. Opowiem ci o tym później. Co tu się właściwie wydarzyło? Odnoszę wrażenie, że nie poznałem jeszcze całej historii.

- Bardzo jesteś spostrzegawczy. - Elly odchrząknęła. - To nieco bardziej skomplikowane, niż się wydaje.

- To znaczy?

- Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że w sąsiedztwie była próba włamania, jakieś dziesięć dni temu?

Cooper znalazł miejsce do zaparkowania na wprost Ziołowego Emporium.

- Pamiętam.

- No więc, cóż, nie powiedziałam ci o jednym małym szczególe.

Wyłączył silnik i odwrócił się na siedzeniu.

- O jakim małym szczególe zapomniałaś mi powiedzieć?

- Włamywano się do mojego sklepu.

Żołądek natychmiast mu się skurczył.

- Nic nie mówiłaś o tym rodzicom. Twój ojciec z pewnością by mi o tym napomknął.

- Z pewnością - odparła oschle. - I razem z mamą prawdopodobnie oszaleliby ze strachu.

Już widzę, jak tata łapie za telefon i dzwoni do samego Mercera Wyatta, domagając się dla mnie całodobowej ochrony. Mama znowu zaczęłaby mnie namawiać do powrotu do Aurora Springs, a bracia robić wykłady o zagrożeniach czyhających na samotne kobiety w wielkim mieście.

Cooper przymknął oczy i jedną ręką przetarł twarz.

- Okay, już rozumiem. Nie powiedziałaś o niczym rodzinie, bo nie chciałaś słuchać ich narzekań.

- Dziwisz się?

- Do diabła, tak. Ale to oddzielna sprawa. Choć niechętnie, jednak proszę cię, żebyśmy skupili się na bieżących wydarzeniach.

- Cooper...

- Wyjaśnij mi, dlaczego teraz poruszasz ten temat.

Elly wzięła głęboki oddech.

- Nie spodoba ci się to.

- Już mi się to nie podoba.

- Przygotuj się. Rose i ja byliśmy w domu, kiedy włamywacz zakradł się do sklepu.

Poczuł się tak, jakby ktoś go kopnął w brzuch.

- Żadnej z nas nic złego się nie stało - dodała pospiesznie Elly. - Rose wystraszyła włamywacza.

- Jak?

- Oczywiście wyczuła go, gdy tylko wszedł do sklepu. Obudziłam się, bo ona się obudziła, i uzmysłowiłam sobie, że coś jest nie tak. Wskoczyłam z łóżka, żeby zamknąć drzwi sypialni na klucz. Ale zanim zdążyłam ją zatrzymać, Rose z wyszczerzonymi zębami i płonącymi oczami wybiegła z sypialni. Pobiegłam przez korytarz do szczytu schodów. Zanim się obejrzałam, włamywacz darł się jak poparzony. Chyba wpadł w panikę. Uciekł schodami na ulicę.

- A co na to policja?

- Oczywiście wezwałam ją. Ale nim policjanci się zjawili, włamywacza już dawno nie było.

- No jasne - mruknął Cooper.
- Złożyłam zeznania, ale policjanci powiedzieli, że w takich sprawach jak ta jest mała szansa, że złapią podejrzanego.
- Więc poszłaś kupić nowe zamki.
- Ostrzegłam też sąsiadów i ustanowiliśmy sąsiedzki program ochrony.
- Zawsze twierdzę, nie ma jak dobry sąsiad. - Cooper wsunął palce we włosy. - A niech to cholera. Ale dobrze, nie zmieniamy tematu. Wspomniałaś teraz o tym włamaniu, bo...?

Znowu odchrząknęła.

- Kiedy włamywacz uciekał, przez krótką chwilę widziałam go ze szczytu schodów. Nie mogłam zobaczyć twarzy. Miał na sobie jakiś gruby, ciemny płaszcz i czapkę naciągniętą nisko na oczy. Ale gdy przebiegał przez miejsce oświetlone promieniami księżyca, jedno dostrzegłam bardzo wyraźnie.

- Co takiego?

Elly wyciągnęła rękę i dotknęła Rose.

- Włamywacz trzymał się ręką za lewe ramię. Później, kiedy włączyłam światło, znalazłam plamy krwi na schodach. Jestem pewna, że Rose mocno go ugryzła.

Zrozumienie wypłynęło na twarz Coopera niczym lodowata mgła na jezioro.

- W lewe ramię?

Spojrzała na niego dużymi, poważnymi oczyma. - Mniej więcej w tym miejscu, w którym Stuart Griggs miał bandaż zasłaniający niedawno zagojoną ranę.

Rozdział 26

Zacznijmy od początku - zaproponował Cooper, podchodząc do kuchennego okna. - Po co Stuart Griggs miałby włamywać się do twojego sklepu? Czego tu szukał?

Elly, siedząc przy stole, patrzyła na Coopera znad kubka. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła po powrocie do mieszkania, było zaparzenie Herbatki Balansującej, żeby uspokoić skołatane nerwy.

- Podejrzewam - zaczęła wolno - że chodziło o pieniądze, ale to raczej nie brzmi przekonująco?

- Za dużo w tym wszystkim zbiegów okoliczności. Faktycznie, nie brzmi to przekonująco.

- Zbieg okoliczności?

- Kwaciarnia Griggsa znajduje się tuż obok sklepu Berthy Newell, a sam Griggs ginie w kilka dni po tym, jak ktoś próbował zabić Berthę.

Elly się wzdrygnęła.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Nie pomyślałam o tym.

- Kiedy Griggs otworzył w Alei Ruin swoją kwaciarnię?

- Nie jestem pewna. Moja przyjaciółka, która mieszka naprzeciwko, Doreen, twierdzi, że ta kwaciarnia była tu zawsze. Ale Griggs to ponurak i samotnik. Nikt z nas dobrze go nie znał. Nigdy nie angażował się w życie ludzi z jego sąsiedztwa.

- Wygląda na to, że mógł mieć swoje powody. - Cooper znów spojrzął na zamgloną ulicę za oknem. - Kupował coś u ciebie?

- Kilka razy kupił napar z zieleń jaskrowca. Ale tylko raz przeprowadziłam z nim coś, co można by nazwać dłuższą rozmową. Poszłam do niego z jednym z kwiatów Rose, żeby pomógł mi go rozpoznać.

Elly popatrzyła na zielony kwiat stojący na parapecie. Cooper powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Kiedy to było?

- Kilka tygodni temu - wyjaśniła cicho. - Już ci wspominałam, że nie mogłam znaleźć tego kwiatu w moich zielnikach. Nie chciałam o niego się wypytywać, bo się bałam, że Rose wykrada te kwiaty z czyjejś szklarni. Ale byłam tak ciekawa, że w końcu poszłam z jednym do Griggsa.

- Mówiłaś mu, że to Rose je przynosi?

- Tak. - Skrzywiła się. - I od razu tego pożałowałam.

- Dlaczego?

- To było tylko przeczucie. Zabrałam wtedy Rose ze sobą i nie spodobało mi się, jak Griggs na nią spojrzął. I widziałam, że Rose też go nie polubiła.

Cooper podniósł zielony wazon z tkwiącym w nim kwiatem i przysunął go bliżej światła, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Czy po tej wizycie widziałaś się jeszcze z Griggsem?

- Kilka dni temu zjawił się u mnie i udawał, że chce kupić jakiś napar. Gdy przygotowywałam składniki, zapytał, czy Rose przyniosła następne kwiaty. Rose na niego warczała, co było dość krępujące.

- Co mu odpowiedziałaś?

- Skłamałam. Zapewniłam go, że Rose już więcej nie przyniosła żadnych kwiatów do domu. Ale nie wiem, czy mi uwierzył. - Elly nieco mocniej zacisnęła palce na kubku. - Myślisz, że Griggs włamał się do mnie, żeby wykraść kwiat? Po co miałby to robić?

Cooper wzruszył ramionami.

- Był kwiaciarzem, więc interesował się kwiatami, a ten, jak twierdzisz, jest unikatowy. Sama mi mówiłaś, że hodowcy orchidei to na ogół obsesyjni pasjonaci. Może Griggs dostał obsesji na punkcie twojego kwiatka. Uderzyła ją pewna myśl.

- A może, tak jak ja, wyczuwał energię psi roślin? Emanacja energetyczna tego kwiatu jest bardzo silna. I zresztą prawdopodobnie nie tylko ja jedna na świecie potrafię wyczuwać rośliny.

- Prawdopodobnie. - Cooper spojrział na Rose, która kucnąwszy przy swojej miseczce, zajadała się serem i krakersami. - Ale jeśli interesował się tymi zielonymi kwiatami, to może przyszedł po jedyną istotę wiedzącą, gdzie je można znaleźć.

- O mój Boże. - Elly gwałtownie się wyprostowała, drętwiejąc z przerażenia. - Myślisz, że włamał się po to, żeby wykraść Rose?

Rose na dźwięk swojego imienia zatrzepotała powiekami.

- Przede wszystkim myślę - zaczął cichym głosem Cooper - że powinienem rozejrzeć się po kwiaciarni tego Griggsa. Im szybciej, tym lepiej.

- Dzisiaj w nocy?

- Tak, ale dopiero wtedy, gdy twoi sąsiedzi pójną spać. - Wrócił do okna, żeby wyjrzeć na zasnutą mgłą budynki. - Ludzie tutaj są chyba tak samo wścibscy jak w Aurora Springs.

Elly podniosła się od stołu.

- Pójdę z tobą.

- Nie - powiedział krótko i stanowczo.

- Będziesz potrzebował Rose. Jest doskonałym czujnikiem.

Spojrzał na Rose z zastanowieniem.

- Tu się z tobą zgadzam.

- Ale tam gdzie Rose, tam i ja - oświadczyła twardo Elly.

- Do cholery, Elly, powiedziałem nie.

Podeszła do lodówki.

- Musimy się czymś wzmocnić. Zrobię makaron z sosem pesto, a ty przygotuj sałatę.

- Nie wydaje mi się, żeby przygotowywanie sałaty wchodziło w zakres obowiązków szefa Gildii.

Elly otworzyła lodówkę i sięgnęła do szuflady po sałatę.

- Ja zawsze twierdziłam, że dobry szef Gildii powinien umieć sprostać każdemu wyzwaniu, przed jakim stanie.

- Tak? Dziwne. Jakoś nigdy nie słyszałem, żebyś coś takiego mówiła.

- Sałata jest już umyta. Oliwa i ocet winny stoją na półce. I nie przejmuj się, powiem ci,

co masz robić, wielki Panie Szefie.

Cooper uśmiechnął się niepewnie.

- Obiecujesz?

- Tak. - Otworzyła szafkę i wyjęła paczkę makaronu. - I możesz, przygotowując sałatę, opowiedzieć mi, dlaczego inteligentny, bardzo dobrze wykształcony młody chłopak z szanowanej rodziny znanych akademickich profesorów postanowił zostać szefem Gildii w Aurora Springs.

Przez chwilę sądziła, że Cooper będzie chciał zmienić temat. Jednakże, ku jej zaskoczeniu, poszedł umyć ręce pod zlewem i zaczął opowiadać.

- Gdy okazało się, że jestem pararezonerem energii dysonansu, predestynowało to mnie do zostania łowcą. - Wytarł ręce w ściereczkę i wyjął sałatę z plastikowego woreczka. - Moim rodzicom ten pomysł nie bardzo się podobał.

- To chyba oczywiste. Wykształceni rodzice raczej rzadko marzą, żeby ich dzieci robiły karierę w Gildii.

- Moi też mieli kilka innych pomysłów na moją przyszłość - zgodził się Cooper, oglądając sałatę. - Ale gdy moje parapsychiczne zdolności w pełni się rozwinęły, zdali sobie sprawę, że jest we mnie coś więcej. Nawet jak na pararezonera. Zacząłem wykradać się z domu do katakumb, żeby eksperymentować z niebieską energią. Pewnej nocy ojciec poszedł za mną i na własne oczy się przekonał, co tam wyprawiam.

- I jak zareagował?

- W naszej rodzinie było już kilku łowców. Ojciec jest profesorem na uniwersytecie, ale wiedział co nieco o Gildii i od razu się zorientował, że rezonuję ze światłem niebieskiego ducha. - Cooper na moment zamilkł. - Mam to pociąć nożem?

- Nie. Sałatę się rwie, a nie tnie. - Pchnęła ku niemu dużą miskę. - Opowiadaj dalej.

- Tata zrobił to, co zrobiłby każdy rodzic, gdyby się okazało, że dziecko to pararezoneor świr. Postanowił ukryć mnie przed Gildią.

Elly spojrzała na niego gniewnie.

- Nie jesteś żadnym świrem.

- Cóż, możemy to ująć inaczej. Bez względu na nazwę ten rodzaj talentu pararezonerskiego z pewnością nie należy do normalnych. Rodzice byli przekonani, że gdyby skonsultowali się w tej sprawie z przedstawicielami miejscowej Gildii, sytuacja szybko by się skomplikowała. Przede wszystkim na pewno rozpoczęłyby się ogromne naciski na to, żeby Gildia miała nadzór nad rozwijaniem moich zdolności.

Elly napełniła garnek wodą z kranu.

- To pewne.

- Pamiętam, że tamtego dnia tata przeprowadził ze mną bardzo długą rozmowę. Na podstawie swojej dość zresztą ograniczonej wiedzy wyjaśnił mi, na czym polega zagrożenie przy pracy z niebieską energią. A zwłaszcza podkreślał, że mam te swoje talenty trzymać w tajemnicy, nawet przed najlepszymi przyjaciółmi.

Uśmiechnęła się kpiąco.

- Dokładnie to samo usłyszałam od moich rodziców, kiedy się dowiedzieli, że wyczuwam energię psi roślin.

- A widzisz, wiedziałem, że mamy ze sobą wiele wspólnego.

Postanowiła zignorować tę uwagę.

- Okay, więc dorastając, ukrywałeś swój talent. I rozumiem też, dlaczego chciałeś się przekonać, jak to jest być łowcą. Każdy dzieciak z talentami pararezonerskimi marzy o tym, żeby użyć swych zdolności w katakumbach. Ale dlaczego tak bardzo pragnąłeś zostać szefem Gildii, a nie na przykład profesorem historii?

Cooper bardzo starannie rwał sałatę i wrzucał ją do miski.

- Ta decyzja była prawdopodobnie uwarunkowana inną, również mało znaną tajemnicą rodziny Boone'ów.

- Twoja opowieść staje się coraz bardziej interesująca. - Elly splotła ręce na piersi i oparła się o kuchenny blat. - Wyjawisz mi tę tajemnicę?

- Sądzę, że nadszedł już właściwy czas - odrzekł. - Pamiętasz legendę o Dzikim Watsonie Whittakerze?

- Oczywiście. - Wyjęła pomidora z miski stojącej na blacie i podała mu go. - Każde dziecko w Aurora Springs zna tę legendę. Watson Whittaker był łowcą, który w okresie Ery Niezgody samotnie uratował miasto. Wielkie miasta były zbyt zajęte walką z legionami Vance'a, żeby oddelegować kilku pararezonatorów energii dysonansu do ochrony oddalonych wsi i mniejszych społeczności. Małe miasteczka, takie jak Aurora Springs, musiały same sobie radzić.

Cooper oglądał pomidora, jakby miał w rękach dziwny artefakt obcej rasy.

- Co się z tym robi?

- Kroisz go na plastry. - Podała mu nóż do warzyw. - Tym.

- Wiedziałem, że wcześniej czy później zostanie użyta ostra broń.

- Chcę usłyszeć resztę historii o Watsonie Whittakerze.

Cooper położył pomidora na blacie.

- Mówiłaś, że ją znasz.

- No znam. Vincent Lee Vance sądził, że Aurora Springs wysłała tych kilku łowców, których miała, do miejsc, gdzie toczyła się główna walka. Do Rezonansu i Kadencji.

Wymyślił sobie, że wykorzysta tunele pod naszym miastem jako miejsce zbiórki i magazyny. Wysłał kontyngent swoich popleczników, żeby przejęli kontrolę nad katakumbami pod Aurora Springs. Ale Watson Whittaker, któremu powierzono zadanie ochrony miasta, przygotował zasadzkę.

- W którą wpadli ludzie Vance'a.

- Większość skończyła marnie, ze sfajczonymi mózgiami - dodała Elly z dumą. - Reszta uciekła. Do dzisiaj nie wiadomo, jak Whittakerowi udało się zwyciężyć.

Cooper zaczął ostrożnie kroić pomidora.

- Po Erze Niezgody Aurora Springs powołała własną Gildię, na podobieństwo tych w dużych miastach. Wybrano Radę i pierwszego szefa.

- Mojego wspaniałego pradziadka, Johna Sandersa St.Claira - uzupełniła informacje Elly, znów dumnym tonem. - Niech jego dusza spoczywa w spokoju.

- W tamtym czasie - kontynuował Cooper, nie przestając kroić pomidora - niektórzy spodziewali się, że to Watson Whittaker zajmie to stanowisko.

- Ha. Nie miał nawet cienia szansy. - Elly zachichotała, przypominając sobie książki i filmy, które czytała i oglądała, a które opowiadały o tamtym okresie. - Nazwano go Dzikim Watsonem Whittakerem nie bez powodu. Był jednym z tych, którzy świetnie sprawdzają się w czasach kryzysu, ale z pewnością nie nadawał się do zarządzania. Założyciele Gildii w Aurora Springs od razu to zauważyli.

- Obdarowali go wieloma medalami, zorganizowali paradę na jego cześć i postawili mu pomnik w parku. - Cooper odważnie wbił nóż w pomidora. - A potem szefostwo Gildii przekazali w ręce Johna Sandersa St. Claira.

- Faktycznie tak było. - Elly otworzyła pudełko z grzankami. - A Whittaker natychmiast dowiedział, że założyciele słusznie postąpili, nie wyznaczając go na przywódcę. Whittaker zaprzysiął zemścić się na Gildii i na mieście. Z legendarnego bohatera przemienił się w największego bandytę grasującego w katakumbach w całych dziejach kolonii.

- Taak. Whittaker trochę się wkurzył - zgodził się Cooper z zadumą.

- A reszta, jak to się mówi, to już historia. W ciągu sześciu miesięcy od powstania Gildii, z wykopalisk, których ochroną mieli się zajmować łowcy z Aurora Springs, zginęło mnóstwo cennych artefaktów pozostawionych przez obcych. Napady były bardzo śmiałe i doskonale przeprowadzone. Nigdy nie złapano winnego, ale wszyscy wiedzieli, że to Watson Whittaker. A później, pewnego dnia, Whittaker zrobił to, co robią wszyscy wielcy legendarni bohaterowie - zniknął. Pozostały po nim tylko mityczne opowieści.

Cooper sięgnął po grzanki do pudełka.

- Przez lata ulotniło się kilka ważnych szczegółów.

Elly zmarszczyła czoło.

- Nie miałeś jeść tych grzanek, tylko dodać je do sałaty.

- Tak? - Cooper rzucił grzanek Rose, która kręciła się koło jego stóp. - A ja myślałem, że to coś w rodzaju przekąski.

- Zostaw w spokoju grzanki - mruknęła Elly. - Wiesz, czasami naprawdę zapominam, że skończyłeś historię i zarządzanie informacją. Powiedz, czego brakuje w oficjalnej wersji opowieści o Watsonie Whittakerze.

Cooper zebrał pokrojone pomidory i ułożył je równo na sałacie.

- Między innymi tego, że w sprawę zamieszana była kobieta.

- Naprawdę? - Elly wyjęła kawałek sera z lodówki. - Nigdy o tym nie słyszałam.

- Prawdopodobnie dlatego, że ta kobieta wyszła w końcu za mąż za twojego wspaniałego pradziadka, Johna Sandersa St.Claira.

- Co? - Zaszokowana, Elly z serem w dłoni gwałtownie się wyprostowała. - Watson Whittaker i St.Clair rywalizowali o rękę mojej prababci?

- Tak. Kiedy Whittaker przekonał się, że nie dostanie władzy nad Gildią, próbował przekonać twoją prababkę, żeby z nim uciekła. Ale twoja prababka odrzuciła jego propozycję i wyszła za St.Claira. To wtedy Whittaker przeszedł na ciemną stronę mocy i stał się niebieskim świrem.

Elly cicho gwizdnęła.

- A więc Watson Whittaker potrafił rozbrajać niebieską energię?

- Tak.

- To sporo tłumaczy. Między innymi to, w jaki sposób udało mu się prawie samemu uratować Aurora Springs w czasie Ery Niezgody.

Cooper rozpakował ser.

- Właśnie. Gildia wiedziała, że jeśli prawda o niebieskich duchach wyjdzie na jaw, ludzie się zdenerwują. Więc wyciszono całą sprawę.

- To nie musiało być trudne, wzięwszy pod uwagę, że to przeważnie historycy Gildii spisywali wydarzenia z okresu Ery Niezgody.

- Wiesz, co się mówi: historię piszą zwycięzcy.

- To fascynujące. - Elly przyglądała się, jak Cooper uważnie ogląda kawałek sera, który wyjął z opakowania. - Pewnie musiało być sporo trudu, żeby zebrać tyle wiadomości o Dzikim Watsonie Whittakerze?

- O tak. - Cooper wsadził do ust kolejną grzanek, a następną rzucił w wysuniętą łapkę Rose. - Można nawet powiedzieć, że interesowałem się nim ze względów osobistych.

Elly skinęła głową.

- Bo tak jak ty miał rzadki parapsychiczny talent. To logiczne. Ale co się z nim właściwie w końcu stało? Zmarł samotnie gdzieś pod ziemią czy przeżył, żeby cieszyć się swym zdobytym w występny sposób bogactwem?

- Zmienił nazwisko, przyjął nową tożsamość, zamieszkał w jednym z wielkich miast, ożenił się i założył rodzinę.

- Brzmi to straszliwie nudno po tylu przygodach w Aurora Springs.

- Nawet tacy ludzie jak Watson Whittaker muszą się w końcu kiedyś ustatkować. - Cooper jeszcze raz uważnie przyjrzał się serowi. - A teraz co?

- Odetnij kawałek i zetrzyj - odparła Elly, zamyślona nad tym, co usłyszała. - A co się stało z artefaktami, które ukradł?

- Powiedzmy tylko, że Whittaker wykazał się większą żyłką do biznesu, niż podejrzewali członkowie Gildii w Aurora Springs.

- Dobrze zainwestował swój majątek?

- Bardzo dobrze. Niestety, niewielu jego potomków odziedziczyło po nim talent do robienia interesów. Jego rodzina roztrwonila majątek i zrujnowała jego imperium. - Cooper rzucił kawałek sera Rose. - Ale co tam, łatwo przyszło, łatwo poszło.

- I co się stało dalej z jego rodziną? Z jego dziećmi i wnukami?

- Kilkoro zostało łowcami, ale na ogół mieli dość zwyczajne pararezonerskie talenty. Zresztą większość potomków w ogóle ich nie miała. Wybierali inne zawody.

- Zdarzył się ktoś jeszcze, kto potrafił pracować ze światłem niebieskich duchów?

- W końcu ktoś taki się pojawił. - Cooper ścierał ser do miski. - Ale po dość długim czasie.

- Czy ten ktoś, tak jak Whittaker, zyskał sobie złą sławę?

- Zależy jak na to patrzeć. - Cooper posypał startym serem sałatę. - Niedawno został szefem Gildii w Aurora Springs.

Elly była tak zasluchana w opowieść, że dopiero po chwili dotarło do niej znaczenie słów Coopera.

- Ty? - Ze zdumienia opuściła ręce w dół. - Watson Whittaker był twoim przodkiem?

- Tak. - Cooper tym razem przyglądał się butelkom z olejem i octem winnym. - A z tym co mam zrobić?

Elly wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, aż w końcu dotarła do niej w całej pełni ironia sytuacji.

- O mój Boże - prychnęła. - O rany.

I zaczęła się śmiać. Tak mocno, że musiała się złapać brzegu blatu, żeby się nie przewrócić.

- To niesamowite. Najśmieszniejsza rzecz, jaką słyszałam od dłuższego czasu.
- Żyję po to, żeby rozbawiać ludzi. To część zakresu obowiązków szefa Gildii.

Prawie położyła się na blacie, zatykając dłonią usta w daremnej próbie powstrzymania chichotu.

- Gdyby tylko członkowie Rady Gildii o tym wiedzieli. - Pomachała ręką. - Zaczekaj. Czy któryś o tym wie? Czy może ta historia nadal pozostaje mroczną, najgłębiej skrywaną rodzinną tajemnicą?

Cooper przyglądał się Elly z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nadal jest mroczną i skrywaną rodzinną tajemnicą.

- Już nie. Teraz ja ją znam. Oho ho. To dopiero sensacja. Poznałam twoją największą, najmroczniejszą tajemnicę. Wiem, że jesteś potomkiem największego przestępcy w historii Aurora Springs. Mam cię w garści, Cooperze Boone.

- Ja to widzę tak, że ponieważ już wkrótce wejdiesz do mojej rodziny, nic złego się nie stało, że poznałeś naszą tajemnicę.

Śmiech zamarł na ustach Elly.

- Co ty powiedziałaś? - zapytała, jękając się.

- Słyszałaś.

Wysunęła przed siebie obie ręce.

- O co to, to nie. W kwestii naszego małżeństwa nic się nie zmieniło.

- Ranisz mnie, wiesz. Od kilku dni mieszkamy pod jednym dachem. Razem jemy, tańczymy i mieliśmy świetny seks.

- Raz. Mieliśmy świetny seks tylko raz. To wszystko.

- Nieważne. Chodzi mi o to, że moim zdaniem nasze wzajemne relacje się doskonale rozwijają. I chyba nie możesz mi się dziwić, że tak to postrzegam.

- Jednorazowy seks to żaden rozwój.

- A jak to nazwiesz inaczej? - zapytał.

- Po prostu, seks - krzyknęła.

- A co z faktem, że właśnie wyjawilem ci największą rodzinną tajemnicę? W moim mniemaniu tego typu sekrety można powierzać tylko żonie.

- Spokojnie, szefie Gildii. Masz moje słowo, że nikomu nie powiem o twoich powiązaniach z Watsonem Whittakerem. - Elly mrugnęła okiem. - Choć szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby ta informacja, gdyby się wydała, wyrządziła ci krzywdę. Może nawet w Aurora Springs zyskałbyś dużą popularność. Ludzie uwielbiają legendy.

- Nie zależy mi specjalnie na popularności - odparł rozbawiony Cooper. - Ale tajemnice traktuję z powagą. I moim zdaniem, jeśli za mnie nie wyjdiesz, pozostaje ci tylko jedno.

- Ach tak? - Uśmiechnęła się do niego wyzywająco, takiego?

- Ucieczka.

Zamrugła powiekami.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Zapomniałaś, że jestem szefem Gildii? Coś takiego jak poczucie humoru u mnie nie istnieje.

Rozdział 27

On tylko żartował, powtarzała sobie wielokrotnie kilka godzin później, gdy wychodzili na boczną uliczkę. Kłopot z Cooperem polegał na tym, że tak dobrze potrafił panować nad swoimi reakcjami i ukrywać emocje, iż prawie niemożliwością było się ich domyślić.

- Trzymaj się blisko mnie - polecił stanowczym tonem, idąc przed siebie ciemną alejką. - Nie chcę włączać latarki, jeśli tylko nie jest to konieczne. Obserwuj Rose. Ona jest naszym detektorem kłopotów.

- Będę sprawdzać, czy szczerzy zęby - obiecała Elly.

Siedząca na jej ramieniu Rose wyglądała na zadowoloną z wyprawy. Nie sprawiała wrażenia spiętej lub czymkolwiek zaniepokojonej.

Mgła nie była już tak gęsta jak tego popołudnia, ale nadal utrudniała widzenie. Z jej powodu światła nad drzwiami sklepów wyglądały jak niewyraźne, rozmyte punkciki.

Cooper prowadził ich tak, aby omijali niewielkie jasne koła otaczające każde z drzwi. Kiedy dotarli do końca uliczki, Elly przekonała się, że główna ulica jest pusta. Mgła, która się tutaj unosiła, nasycona była delikatnym zielonkawym światłem emanującym z pobliskich murów Wymarłego Miasta.

Zdaniem Elly, w alejce biegnącej za rzędem sklepów w następnym bloku było mroczniej niż w tej, którą właśnie przeszli. Dopiero po kilku sekundach uzmysłowiła sobie, dlaczego.

- Nad drzwiami kwaciarni Griggsa nie świeci się żarówka - poinformowała ściszym głosem. - Pewnie się przepaliła.

- Możliwe - rzucił krótko Cooper.

Kolejny raz spojrzął na Rose. Wyraźnie zadowolony, że ich wykrywacz kłopotów nadal wydaje się spokojny, wszedł w cienie drugiej alejki.

Do drzwi kwaciarni dotarli bez żadnych problemów. Rose zamruczała z poirytowaniem, gdy Cooper wyciągnął parę cienkich rękawiczek, założył je i spróbował otworzyć drzwi.

- Mówiłam ci, że ona nie lubiła Griggsa - wyjaśniła łagodnym głosem Elly.
- Ta dama ma doskonały gust. - Cooper zamilkł. -Drzwi są otwarte.
- Pewnie dlatego, że nikt ich nie zamknął, gdy wywieziono ciało - domyśliła się Elly.
- Możliwe - powtórzył Cooper.

Elly zaczęła podejrzewać, że odpowiada w ten sposób zawsze wtedy, gdy żywi poważne wątpliwości, co ma odpowiedzieć.

- Były otwarte także wtedy, kiedy znalazłam Griggsa - dodała.

Tym razem nic nie odpowiedział, tylko gestem dłoni kazał jej stanąć z boku. Posłuchała. Cooper pchnął drzwi.

Wydobył się zza nich ciężki zapach więdnących kwiatów. Energia psi roślin łachotała zmysły.

Rose prychnęła lekko z obrzydzenia, ale nie wyszczerzyła zębów.

Cooper włączył latarkę i przeszedł przez próg. Elly poszła za nim.

- Zdaje się, ktoś był tu przed nami - oznajmił cicho.

Elly gwałtownie się zatrzymała, zaszokowana. W kwaciarni panował totalny chaos. Wokół poprzewracanych kubłów z kwiatami i zielenią rozlewały się na blatach kałuże wody. Zrzucone z półek wazony, dekoracyjne doniczki i roślinki w małych pojemnikach, potłuczone na drobne kawałki, leżały na podłodze.

- Tu było czysto i porządkie, kiedy znalazłam ciało - poinformowała. - Myślisz, że jakiś złodziejasek widział, jak wynoszą zwłoki Griggsa, i przyszedł później sprawdzić, czy znajdzie tu coś wartościowego do ukradzenia?

- Możliwe. - Cooper kolejny raz spojrzął na nadal obojętną Rose i ruszył przed siebie pomiędzy potłuczonymi skorupami, uważając, żeby nie wdepnąć w kałuże wody. - Ale myślę też, że włamywacz szukał czegoś konkretnego. - Przesunął światłem latarki po pomieszczeniu. - Ciekawe, czy to znalazł?

- Trudno powiedzieć, bo przecież nie wiemy, czego szukał.

Cooper zaczął metodycznie przeglądać szuflady przy stołach. Większość była pusta. Elly wyjęła własną małą latarkę i przyświecając nią sobie, zajrzała do najbliższej. W środku leżały gotowe kokardy ze wstążek, zwoje cienkich drucików i wybór innych fantazyjnych dodatków służących do dekoracji wiązanek.

Rose zaskrzeczała radośnie i ześliznęła się z jej ramienia, żeby wskoczyć do szuflady, w której zaczęła sortować wstążki i inne ozdoby.

- Nie jestem pewna, ale coś mi się wydaje, że Rose szuka nowych dodatków do swojej kolekcji biżuterii.

- Tylko pomyśleć - odezwał się z nutą zrezygnacji Cooper. - Innych szefów Gildii ochraniają

lojalni pracownicy, a mnie strzeże kurzak z obsesją na punkcie kolorowych świecidełek.

Podszedł do drzwi i ostrożnie je otworzył. Elly wyjrzała ponad jego ramieniem i ujrzała pogrążone w mroku frontowe pomieszczenie sklepu. W świetle latarki widać było, że ono także zostało splądrowane.

- Zanim zejdziemy do piwnicy, chodźmy sprawdzić, jak wygląda góra - zaproponował Cooper.

Elly wyciągnęła ręce do Rose siedzącej w szufladzie.

- Chodźmy. Szef rozkazał i trzeba się go słuchać, bo to on tu dzisiaj rządzi.

Rose pisnęła na znak protestu, ale pozwoliła się wyjąć. Elly z powrotem usadziła ją sobie na ramieniu.

Poszli na górę i gdy stanęli na półpiętrze, ujrzała małe mieszkanie z jedną sypialnią, prawie dokładnie takie jak jej.

Kuchnia i salon były kompletnie zrujnowane. Cooper chodził po nich bez słowa.

Kiedy weszli do sypialni, Elly spostrzegła na podłodze porzucone przez złodzieja trzy tomy oprawionych w skórę książek.

Cooper podniósł jedną z nich i przyświecając sobie latarką, przekartkował ją.

- To stary manuskrypt. Naprawdę stary. Czyjś prywatny pamiętnik sprzed Ery Niezgody. Elly przeglądała inny tom.

- Ten też. I nie wygląda to na czytno. A przecież Griggs sprawiał wrażenie kogoś, kto przed snem czytuje tylko coś lekkiego.

- Nie, nie wygląda.

Elly sięgnęła po trzecią książkę. Jej skórzana obwoluta była gładka i wytarta ze starości. Elly otworzyła okładkę i wycelowała latarką w tytuł.

Zalała ją fala niedowierzania.

- Dobry Boże - wyjąkała.

- Co się stało?

- *Lecznicze zioła i kwiaty Harmonii*, doktor Mary Tyler Jordan - odczytała na głos ze zdumieniem. - To niesamowite.

- To jakiś zieleń?

- Tak, ale nie byle jaki. - Podniosła oczy znad strony tytułowej. - Jeśli nie jest sfalszowany, a nie widzę powodu, żeby ktoś podejmował się tak wielkiego trudu, to mamy tu zapiski Jordan dotyczące jej osobistych obserwacji i eksperymentów, które przeprowadzała.

- Kim była Mary Tyler Jordan?

- Ekscentrycznym botanikiem. Zmarła pięćdziesiąt lat temu i świat o niej zapomniał. Nie uznawano jej prac, a współcześni jej badacze uważali, że jest szalona.

- Ekscentryczka to uprzejme określenie wariatki?

- Ale ja jej za taką nie uważam. Jordan poświęciła życie na badanie terapeutycznego wykorzystania roślin i kwiatów. Korzystam z kilku jej przepisów na napary. Moim zdaniem była geniuszem. Jednak społeczność medyczna nie uznawała jej osiągnięć, bo Jordan nie mogła udokumentować ich kontrolnymi testami wymaganymi w naukowych badaniach.

- Dlaczego nie prowadziła tych testów, skoro była taka dobra?

- Bo uważano ją za wariatkę i nie mogła pozyskać funduszy od rządu lub od jakiejś szanowanej firmy badawczej. - Elly popatrzyła na zielnik. - Tak to niestety działa.

- Domyślam się.

- Poza tym sama przyczyniła się do swojego upadku, gdy oświadczyła, że odkryła coś, co w środowisku nazywano dżunglą Jordan.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Jordan napisała, że odkryła wielką podziemną dżunglę w katakumbach - wyjaśniła Elly.

- Nic dziwnego, że uznano ją za ekscentryczkę. Nikt nigdy nie natknął się w katakumbach na nawet najmniejszy ślad roślin lub zwierząt.

- To prawda - zgodziła się Elly. - Podejrzewano, że Jordan eksperymentowała z przyrządzonymi przez siebie psychoaktywnymi ziołowymi mieszankami, które wywoływały halucynacje. Tak czy inaczej, jej badania zlekceważono, a później o nich zapomniano, z wyjątkiem, oczywiście, fanatyków poszukujących dżungli.

- To ci, co wierzą w jej istnienie?

- Tak. To niewielka grupka szaleńców, bardzo upartych, którzy latami poszukują tej dżungli. - Elly podrzuciła zielnik w górę, nie mogąc uwierzyć, że trzyma go w rękach. - Zdajesz sobie sprawę, jaka to rzadkość? Podobno istnieją tylko trzy kopie pamiętników i wszystkie znajdują się w posiadaniu prywatnych kolekcjonerów, którzy nie godzą się ich nikomu udostępnić.

- Staralaś się o to?

- O tak. Od dawna interesuję się badaniami Jordan z powodu jej wczesnych prac nad leczniczymi ziołami. Kiedy zaczęłam się natykać na dość niejasne odwołania do jej zielnika, nie mogłam zasnąć, dopóki nie dowiedziałam się, gdzie znajdują się jego ocalałe kopie. Skontaktowałam się ze wszystkimi trzema kolekcjonerami, prosząc ich o udostępnienie kopii do wglądu. Ale wszyscy stanowczo odmówili.

- Podawali jakiś powód?

Elly uśmiechnęła się ponuro.

- To kolekcjonerzy książek. Nie muszą się tłumaczyć. Po prawdzie dwóch z nich to dość wiekowe osoby, żyjące w izolacji. Sądzę, że po prostu bali się wpuścić kogoś obcego do

domu, do swych prywatnych bibliotek.

- A co z trzecim kolekcjonerem?

Odchrząknęła.

Pani doktor Frances Higginbottom oznajmiła, że udostępnia swoje zbiory wyłącznie osobom z „odpowiednimi akademickimi kwalifikacjami”.

- Przecież masz pełno akademickich kwalifikacji.

- Nie w opinii doktor Higginbottom. Dość wyraźnie dała mi do zrozumienia, że w jej mniemaniu nikt, kto pochodzi z rodziny powiązanej z Gildią, nie może mieć właściwego wykształcenia i naukowego umysłu.

- Była lekko uprzedzona do Gildii?

- Każdy wie, że Gildia ma problemy z wizerunkiem. A poza tym, szczerze mówiąc, choć faktycznie uzyskałam kilka stopni naukowych, jednak na uczelni w Aurora Springs zajmowałam stanowisko niższego wykładowcy. I na dodatek nie mogę się poszczycić żadnymi znaczącymi publikacjami. Naprawdę nie mam odpowiednich kwalifikacji, żeby uzyskać dostęp do jej biblioteki.

- Trzy ocalałe kopie - powtórzył Cooper z zastanowieniem. - Zapytajmy więc samych siebie, jakim cudem trzeciorzędny kwiaciarz, taki jak Stuart Griggs, wszedł w posiadanie ogromnie rzadkiego i przypuszczalnie bardzo drogiego zielnika i dwóch tomów cenionych przez kolekcjonerów pamiątek z okresu sprzed Ery Niezgody?

- Dobrze pytanie. - Elly rozejrzała się po skromnym mieszkaniu ze zniszczonymi meblami.

- Nie znam odpowiedzi, ale powiem ci coś o Griggsie. Coś, z czego do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy.

- Co takiego?

- Myślę, że założył swoją kwiaciarnię w Alei Ruin z tego samego powodu, dla którego i ja otworzyłam swój sklep tu, a nie gdzie indziej.

- A cóż to za powód?

- Na tej ulicy mieszkała Mary Tyler Jordan - wyjaśniła. - A nawet, jeśli stare zapiski mówią prawdę, to mieszkała dokładnie pod tym adresem. Pamiętam, że rozmawiałam o tym z przedstawicielem agencji firmy nieruchomości, kiedy szukałam odpowiedniej lokalizacji na mój sklep.

- Zajrzyjmy lepiej do piwnicy.

- Wiesz co. To nawet jest ekscytujące. - Ściskając pod ręką drogocenny zielnik, Elly pospieszyła za Cooperem. - Zaczynam się czuć niczym Harmony Drew.

- A kim jest Harmony Drew? - zdziwił się Cooper, już w połowie schodów.

- Nigdy w młodości nie czytałeś powieści o Harmony Drew, kobiecie detektywie?

- Nie przypominam sobie.

- Cóż, jesteś facetem. Pewnie zamiast tego czytałeś serię o Bursztynowych Chłopcach. Moi bracia ją uwielbiali. To opowieści o dwóch braciach, wykazujących silne pararezonerskie właściwości, którzy rozwiązują różne kryminalne zagadki.

- Prawdopodobnie czytałem wtedy *Historię Ery Niezgody* Espindozy.

- O tak, jasne. Każdy dziesięcioletni dzieciak czyta *Historię* Espindozy. Ile tomów ma to dzieło? Dwa? Trzy?

- Cztery, nie licząc indeksu.

- O rany, jak mogłam zapomnieć o indeksie. Tak, to naprawdę bardzo zabawna młodzieżowa lektura.

- Kpisz sobie ze mnie? - zaniepokoił się Cooper.

- Chyba sam przyznasz, że lektury twojego dzieciństwa były nieco dziwne.

- Moi rodzice uważali, że pójdę w ich ślady. Gdy zauważyli, że się bardzo interesuję historią, dostarczali mi książki na ten temat, licząc na to, że zostanę profesorem historii jak ojciec.

- I się przeliczyli - mruknęła ponuro Elly.

Cooper milczał. Zszedł na dół i okrążył schody.

Gdy otworzył drzwi piwnicy, Elly poczuła silny powiew energii psi.

- Tam jest dziura w ścianie - oświadczyła.

- To pewne.

Cooper pierwszy wstąpił w ciemność. Elly szła tuż za nim, uważnie obserwując Rose, która wydawała się zaciekawiona, ale nie zaniepokojona.

Na samym dole starych schodów Elly ujrzała cienki łuk zielonego światła. Emanowało z wąskiego otworu o nierównych krawędziach, częściowo zasłoniętego kilkoma dużymi kamieniami.

- Ten otwór jest bardzo blisko otworu w piwnicy Berthy Newell - zauważył Cooper, podchodząc do niego bliżej, żeby dobrze mu się przyjrzeć. - Ciekawe, czy Bertha o nim wiedziała?

- Nie sądzę. Nigdy o tym nie wspominała. Zresztą wiesz, jak to jest w katakumbach. Dwa wejścia mogą znajdować się tuż obok siebie, ale jak znajdziesz się w labiryncie, możesz nigdy się nie natknąć na jedno z nich, no chyba że trafisz na nie przypadkowo.

Za wąskim otworem wyciętym w zielonym kwarcu widać było krótki korytarz, na którego końcu znajdowała się rotunda, z rozchodzącymi się z niej w różnych kierunkach pięcioma innymi korytarzami.

Tuż za otworem stał mały komunalny slider.

- Jeśli mamy szczęście, to się okaże, że Griggs zostawił lokalizator ustawiony na częstotliwości ostatniego miejsca, do którego się wybierał - rzekł Cooper.

Prześliznął się bokiem przez otwór, podszedł do pojazdu i pochylił się nad miejscem dla kierowcy. Elly przyglądała się, jak majstruje przy urządzeniach.

- No i?

- Mam. - Cooper się wyprostował. Na jego twarzy widniał wyraz umiarkowanego zadowolenia. - Masz ochotę na przejażdżkę?

- Jeszcze się pytasz.

Z Rose na ramieniu precyzyjnie się przez otwór i wskoczyła na miejsce pasażera.

Jej zmysły natychmiast podrażniła woń energii psi roślin. Odwróciła się więc i spojrzała na bagażnik z tyłu.

- Coś wyczułaś? - zainteresował się Cooper, podchodząc.

- Tak. Świetliste psi-zioło jakiegoś rodzaju. Emanacja jest bardzo słaba, ale rozpoznaję ten szum.

- Zdaje się, że jesteśmy na właściwym tropie - ucieszył się Cooper.

Nacisnął na lokalizatorze guzik „odtworzenie trasy” i impulsem uruchomił mały silnik.

Podróż nie trwała długo. Slider przejechał kilka korytarzy i zatrzymał się przed łukowatą grołą.

Cooper wysiadł z pojazdu i podszedł do wejścia do groty.

- Tu nic nie ma.

Elly dołączyła do niego. Tak jak twierdził, grota była pusta, ale drgania energii świetlistego psi-zioła były tu silniejsze.

- Psi-zioło z pewnością tu leżało - orzekła. - I to całkiem niedawno.

- Za tą grołą jest następna.

Cooper ruszył w tamtą stronę, ale w połowie drogi zatrzymał się i zmienił kierunek.

Elly dostrzegła, że coś pobłyskuje w kącie groty. Cooper to coś podniósł.

- To chyba kawałek stłuczonego szkła - powiedziała.

- Tak. Myślę, że to dno zlewki, takiej, jakich się używa w chemicznych eksperymentach. Widzę nawet resztki jakiejś substancji.

- Pokaż. - Elly podbiegła do Coopera.

Nie musiała nawet dotykać stłuczonego naczynia. Jej zmysły parapsychoiczne rozjarzyły się z szaloną intensywnością.

- Magiczny pył - wymamrotała.

Rozdział 28

Sukinsyn urządził sobie w tej grocie laboratorium. - Cooper otworzył drzwi na zapleczu kwaciarni Griggsa i wyszedł na boczną alejkę. - Pozostaje tylko pytanie, co mu się, do zielonej cholery, naprawdę przytrafiło?

Wsluchiwał się w ciszę, wyęzając wszystkie zmysły. Mgła nadal snuła się w alejce, ograniczając widoczność. Rzucił okiem na Rose, siedzącą na ramieniu Elly, i upewnił się, że nic im nie zagraża.

- Nie mogę oswoić się z myślą, że Stuart Griggs handlował narkotykami na ogromną skalę - szepnęła Elly. - To mi się nie mieści w głowie. Musiał się dorobić fortuny. Ciekawe, co zrobił z forszą.

Cooper pomyślał o dwóch tomach pamiętników, które niósł, i o zielniku, który Elly ścisłała w ramionach, jakby to była szkatułka pełna diamentów.

- Wygląda na to, że część pieniędzy przeznaczył na zakup tych książek - rzekł. - Ale taki wydatek to z pewnością drobnostka w porównaniu z tym, co zarabiał na sprzedaży pyłu. Jutro postaram się dowiedzieć czegoś więcej o stanie jego finansów.

- Może złodziej szukał pieniędzy, które Griggs zarobił na narkotykach?

- Lub samych narkotyków.

- Cóż, wiemy przynajmniej, gdzie wylądowała ich większość - przypomniała Elly. - W piwnicach Drogi do Ruin.

- Tak.

- Założę się, że Griggs zlikwidował laboratorium i wyniósł stamtąd zapasy narkotyków, kiedy się dowiedział, że Bercie udało się wyrwać niebieskiemu wirowi.

- To by wskazywało, że Griggs jest niebieskim świrem, którego szukam - zauważył Cooper.

- A masz jeszcze jakieś wątpliwości?

- Po prostu trudno mi uwierzyć, że Griggs ot tak, przypadkowo, zmarł na zawał serca krótko po tym, jak Bertha Newell wykryła jego laboratorium.

Elly gwałtownie odwróciła głowę, żeby spojrzeć na mającą w ciemności twarz Coopera.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze ktoś jest w to wplątany?

- Przyszło mi to na myśl. Zgon wskutek silnego uderzenia energii wydzielanej przez niebieskiego ducha wygląda bardzo podobnie jak zgon spowodowany zawałem serca. Tylko że jeśli ktoś w ten właśnie sposób uśmiercił Griggsa, musiał to zrobić w podziemiach.

Mówiłem ci już, że niebieska energia ma niewielką moc poza tunelami. Jest za słaba, żeby zabić.

- Może zabójca pozbawił życia Griggsa w katakumbach, a potem przeniósł jego ciało do sklepu - zastanawiała się na głos Elly. - Żeby to ustalić, trzeba by pewnie dokonać autopsji. Ale wątpię, żeby ją zlecono w tym przypadku. Ani lekarz z pogotowia, ani policjanci nie mieli powodu sądzić, że Griggs został zamordowany.

- Z samego rana zadzwonię do Mercera Wyatta - oznajmił Cooper. - To jego miasto. Nie powinno być dla niego problemem przekonanie kogo trzeba do zlecenia autopsji.

Elly odchrząknęła.

- Mówiąc ogólnie, mainstreamowe media w Kadencji nie patrzą przychylnym okiem na dziwną praktykę mówienia o miastach jak o własności poszczególnych szefów Gildii. To się nieładnie kojarzy z rządami mafijnymi.

- Cholerna semantyka.

Znajdowali się już prawie u wylotu alejki. Zabarwione zielonkawo pasma mgły snuły się wolno po pustej ulicy. Po przeciwległej stronie migotały niewyraźne światła żarówek zawieszonych nad tylnymi drzwiami następnego szeregu sklepów.

Rose cicho warknęła. Tym razem ostrzegawczo.

- Cooper - szepnęła Elly zduszonym głosem.

Poczuł dotyk niewidzialnych palców na karku i natychmiast się odwrócił. Pchnął Elly w mroczny cień rzucający przez duży metalowy kontener na śmieci.

Rose, prawie niewidoczna, z wyjątkiem dwóch par błyszczących oczu, zaczęła zsuwać się z jej ramienia na ziemię.

- Nie, Rose - sprzeciwiła się szeptem Elly. - Nie rób tego. - Złapała kurzaka i wepchnęła go sobie pod ramię.

U wylotu alejki pojawiły się sylwetki dwóch mężczyzn, obrysowane zamgloną, zgnilozieloną aureolą. Obaj byli zamaskowani, a wokół nich strzelały we mgle płomyki zielonej energii.

Co najmniej jeden z nich jest łowcą, stwierdził Cooper. Kiedy rośnie poziom adrenaliny, łowca może nieświadomie przechwytywać z otoczenia cząstki zabłąkanej energii psi.

W przeciwieństwie do większości pararezonerów, którzy w pracy posługiwali się energią NiZOED-ów, ci dwaj byli uzbrojeni. Jeden z nich miał pistolet, w dłoni drugiego lśniło ostrze noża.

Mężczyzna z pistoletem impulsem włączył latarkę. Nasunięta na twarz kominiarka była u góry zakończona frędzlem.

- Nie ruszać się - rozkazał ten z frędzlem. - I stać spokojnie, bo zastrzelę. Ty - zwrócił się

do Coopera. – Jesteś ubrany jak łowca. To prawdziwe ubranie czy maskarada?

- Lubię ten styl - przyznał Cooper. Drugi mężczyzna parsknął śmiechem.

- Hej, Joe, facet robi z siebie klauna.

- Dość tych żartów - warknął Joe. - Chyba że chcesz dostać kulkę.

- Każdy, kto mnie dobrze zna, wie, że nigdy nie żartuję - odpowiedział spokojnie Cooper.

- Czego chcecie?

- Tego, co znaleźliście w kwiaciarni Griggsa - burknął Joe.

- Byliście tam przed nami, prawda? - zapytał Cooper. -Więc dobrze wiecie, że nie zostało tam nic wartościowego. A może zależy wam na tych książkach? - Uniósł jeden z trzymanyh w rękę pamiętników. - Ale coś mi się wydaje, że nie jesteście zapalonymi czytelnikami.

- Po co wam te stare książki? - zapytał agresywnym tonem drugi napastnik. W jego masce otwory na oczy były biało obrzeżone, co upodobiało go do szopa pracza. - Są jakieś wyjątkowe?

- Mój przyjaciel jest bibliotekarzem - odezwała się El- ' ly. - I po prostu lubi książki.

- Zamknij się - warknął Joe. - Wkurzają mnie wyszczekane lalunie.

- Elly - mruknął Cooper.

Zamilkła, ale mógłby przysiąc, że słyszy, jak się cała gotuje. Prawie czuł buchającą od niej parę.

Szybko zrobił w myślach przegląd sytuacji. Żaden z bandytów nie zauważył Rose. Elly trzymała ją schowaną za kontenerem. Z miejsca, gdzie stali, tamci dwaj nie mogli dostrzec płonących oczu kurzaka.

Zauważył, że Rose nagle znieruchomiała. Niewiele wiedział na temat kurzaków, ale dobrze znał się na strategiach łowieckich. Drapieżcy działają podobnie, niezależnie od gatunku. Kiedy drapieżnik, duży czy mały, przestaje warczeć i nieruchomieje, ofiara powinna zacząć się bać.

- Wzięliśmy te książki, bo wyglądają na wartościowe - powiedział głośno, wzruszając ramionami. - Poza tym nie znaleźliśmy niczego, co było warte uwagi. A czego wy szukacie? Narkotyków? Pieniędzy?

- Nie było ich tam - zachnął się podobny do szopa. - A wiemy, że Griggs miał pełno jednego i drugiego. Zawsze płacił nam pyłem.

- Cholera, Benny, przymknij swoją głupią jadaczkę - warknął kolega szopa.

- Okay, nie denerwujcie się. - Cooper zaczął powoli rozpinać marynarkę. - Pokażę wam, co znaleźliśmy.

Niewielki fragment mgły za plecami Benny'ego i Joego zaczął zmieniać barwę z zielonej

na niebieską. Żaden z bandytów tego nie zauważył.

Cooper skupił się na sondowaniu okolicy, żeby sprawdzić, czy znajduje się tu potrzebna mu niebieska energia psi. Na szczęście w pobliżu Wymarłego Miasta zawsze trochę jej było.

- Pospiesz się - wychrypiął Joe. - Nie mamy na to całej nocy.

Z otwartego kontenera na śmieci wystrzeliły niebieskie płomienie.

- A co to, do diabła? - Benny cofnął się gwałtownie o kilka kroków i szybko się odwrócił, żeby ze zdumieniem popatrzeć na feerię świateł. - Śmietnik się zapalił.

- Cholera. - Joe również wykonał kilka kroków w tył. - Wiejmy stąd. Ktoś zobaczy pożar i wezwie straż.

Cooper ruszył przed siebie.

- Ani kroku dalej - warknął do niego Joe. Odwrócił się, spoglądając w miejsce, w którym Cooper stał jeszcze przed sekundą.

Ale Cooper już był przy nim i z całej siły pchnął go na kontener. Pistolet z brzękiem upadł na chodnik.

- Co do diabła? - Zbyt późno się orientując, że sytuacja wymyka się im spod kontroli, Benny z nożem w ręku obrócił się wokół własnej osi.

Cooper kopnął go obutą nogą w udo.

Benny z trudem zachowując równowagę, poleciał w tył.

Z cienia wyłoniła się Elly i ciężkim zielnikiem walnęła go w głowę.

Benny krzyknął z bólu i osunął się na kolana. Nóż wypadł mu z ręki.

Nagle rozległ się odgłos drapania pazurów po chodniku. W ciemności zabłyśły dwie pary oczu, zbliżające się do nogi Benny'ego.

Bandyta zaczął się drzeć.

- Zabierzcie to ode mnie. Zabierzcie to.

- Rose, nie - zawołała Elly. - Nie wolno nikogo gryźć, kochanie, bo jeszcze ktoś wezwie hycla.

Ku zaskoczeniu Coopera kurzak się zatrzymał, choć bardzo niechętnie, i pośpiesznie wrócił do Elly. Złapała go w obie dłonie i mocno do siebie przytuliła.

- Nic ci się nie stało? - zapytał, schylając się po pistolet.

- Nie. - Elly wzięła głęboki oddech. - Wszystko w porządku.

Joe leżał na ziemi i jęczał. Cooper zdarł z Benny'ego maskę i przekonał się, że facet faktycznie był podobny do szopa.

- A teraz mi wyjaśnijcie, w jakich okolicznościach poznaliście Griggsa - rozkazał.

Twarz Benny'ego wykrzywił grymas.

- Co?

- Skąd znaliście kwiaciarza?

- Nic ci nie powiem - oświadczył Benny.

- No to wyrażę się inaczej - rzekł Cooper. - Możesz rozmawiać ze mną albo z Mercerem Wyattem.

- Hej, my tylko dorabialiśmy sobie na boku. To nie miało nic wspólnego z Gildią. - Benny wyglądał na przerażonego.

- Ale teraz już ma - oświadczył spokojnie Cooper. - No gadaj, Benny.

- Ja i Joe pracujemy razem - bandyta zaskomłał. - Jesteśmy wolnymi strzelcami. Kwiaciarz nas wynajmował, żebyśmy chronili go w katakumbach. Płacił nam pyłem. Wiedzieliśmy, że go produkuje, ale nigdy nie znaleźliśmy magazynu. Tak czy inaczej to był dobry układ. Pył sprzedawaliśmy z dużym zyskiem. Ale dzisiaj usłyszeliśmy, że Griggs zmarł.

- Więc postanowiliście poszukać narkotyków?

- Pomyśleliśmy, że warto spróbować - wymamrotał Benny. - Ale nie znaleźliśmy ani narkotyków, ani pieniędzy. Chodziły plotki, że kwiaciarz zaczął pracować z kimś jeszcze, kto pomagał mu rozprowadzać pył. Postanowiliśmy zacząć się i przekonać, czy ktoś się pojawi. Kiedy weszliście do środka, pomyśleliśmy, że może to wy współpracowaliście z Griggsem. To wszystko, człowieku. Uwierz mi.

- O dziwo, wierzę ci, Benny.

Mały zielony duch, którego Cooper wygenerował, przepłynął za plecami bandziora i dotknął lekko tyłu jego głowy.

Benny upadł bez przytomności na ziemię.

Cooper skierował ducha w stronę Joego. Ten ostatni raz jęknął i zemdłał.

- I co teraz? - spytała Elly.

- To miasto Mercera Wyatta. Oddamy tych dwóch jego ludziom, niech ich przesłuchają. Elly chrząknęła.

- Chyba już wspominałam, że nie jest właściwe nazywanie Kadencji miastem Mercera Wyatta.

- Następnym razem będę o tym pamiętać.

Rozdział 29

Czekali w alejce, aż nadjechał długi czarny samochód. Wsiadło z niego dwóch łowców w

skórach i khaki. Bez ceregieli wpakowali Benny'ego i Joego na tylne siedzenie.

Jeden z nich z szacunkiem skinął głową Cooperowi.

- Pan Wyatt prosił o skontaktowanie się z nim rzekł.

- W porządku - odparł Cooper.

Elly, nadal roztrzęsiona po niedawnych wydarzeniach, po kilku chwilach otwierała drzwi na zaplecze swojego sklepu.

Cooper wszedł za nią do pachnącego ziołami pomieszczenia i odwrócił się, żeby impulsem włączyć światło.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Tak. - Skierowała się ku schodom z Rose i zielnikiem Jordan w rękę. - Ale z przyjemnością napiję się gorącej balsamicznej herbatki.

- Ja mam ochotę na coś mocniejszego.

- Chyba została mi jakaś reszka białego wina.

- Nie jest to najbardziej ulubiony drink szefów Gildii, ale cóż, szef Gildii potrafi się przystosować do każdej sytuacji, więc wypiję i białe wino. Ale przypomnij mi jutro, żebym kupił butelkę whisky Pierwszej Generacji.

On zaczyna się tu czuć jak u siebie w domu, zauważyła w duchu Elly. Zatrzymała się w połowie schodów i obejrzała przez ramię.

- A co z tobą? Jak ty się czujesz?

Wyglądał na rozbawionego.

- Nie bój się, nie rzucę się na ciebie. Wygenerowałem dzisiaj tylko odrobinę niebieskiej i zielonej energii. Nawet nie stopiłem bursztynu.

Spojrzała na niego spode łba.

- Nie myślałam o seksie.

- Ha. W takim razie tylko ja o nim myślę.

- Skończ już z tymi żartami, Boone. - Weszła na piętro, a potem do kuchni, postawiła Rose na podłodze i sięgnęła po czajnik. - To nie jest odpowiednia pora.

- Jak uważasz. - Otworzył lodówkę i wyjął na wpół opróżnioną butelkę białego wina.

- Herschel, jeden z lokalnych szczerów ruin, wspominał, że Griggs okazjonalnie wynajmował wolnych strzelców, żeby sprowadzali go do katakumb - poinformowała Elly. - Teraz już wiem, w jakim celu tam chodził. Szukał dżungli Jordan.

- Jutro zamierzam dowiedzieć się czegoś więcej o tym kwiaciarczy, bo to on stanowi klucz do rozwiązania całej sprawy.

Wsypała herbatę do kubka.

- Tyle że już niestety nie żyje.

- Okay, przyznaję, to problem. - Wyjął z szafki kieliszek i usiadł przy stole. - Ale mamy kilka innych tropów.

- Na przykład?

- Zamierzam jeszcze raz odwiedzić Drogę do Ruin. Teraz, kiedy Griggs nie żyje, myślę, że nie będziemy musieli długo czekać, żeby się przekonać, co nasz niebieski świr zaplanował zrobić z zapasem narkotyków, które ukrył w piwnicy pod klubem.

Czajnik zagwizdał. Elly podniosła go z kuchenki i wcale nie była zdziwiona, gdy się okazało, że dłoń, w której trzymała uchwyt, drży. Szybko naląła wrzątku do kubka.

Rose wskoczyła na parapet i przykucnęła przy wazonie z zielonym kwiatem. Cooper, sącząc wino, obserwował kurzaka.

- Domyślam się, że odkąd jesteś w Kadencji, sprawy potoczyły się całkowicie inaczej, niż zaplanowałeś - powiedziała, stawiając kubek na stole.

- Tak. - Wypił spory łyk wina i, zamyślony, odstawił kieliszek. - Całkowicie inaczej. Milczał.

- No a co z twoimi osobistymi sprawami? - dopytywała się nadal.

Spojrzał na nią.

- Jakimi?

- O których wspomniałeś zaraz po przyjeździe.

- Och, to. - Odetchnął głęboko. - Cóż, mam nadzieję, że kiedyś je w końcu załatwię.

Podmuchała na gorącą herbatę.

- Cooper?

- Tak?

- Pozwolisz, że zadam ci osobiste pytanie?

- Zależy, czego będzie dotyczyło.

- Zastanawiałam się, czy nie spotykałeś się z żadną kobietą przez ostatnie pół roku z tego powodu, że byłeś zbyt zajęty.

Uniósł wysoko brwi.

- Zdziwisz się, Elly, ale mężczyźni, którzy lubią seks, nigdy nie są zbyt zajęci, żeby znaleźć na niego czas. Dla chcącego nic trudnego.

- Rozumiem. Lubisz seks.

- Bardzo.

- To dlaczego nie miałeś go przez ostatnich sześć miesięcy?

- Osiem miesięcy i pięć dni - poprawił. - Już ci odpowiadam. Bo uważałem, że nasze zaręczyny są nadal ważne.

- Nie pojmuję. Przecież zwróciłam ci pierścione. Jak mogłeś tak uważać?

- Sądziłem, że na jakiś czas, niezbyt długi, zawieszamy sprawę naszego małżeństwa. I że jeśli pobędziesz trochę z dala od Aurora Springs, w nowym, nieznanym mieście, to zmienisz zdanie.

- Aha.

Żadnego „Kocham cię do szaleństwa i nie mogę bez ciebie żyć” albo „Błagam, wróć do mnie; zrobię dla ciebie wszystko, nawet zrezygnuję z szefowania Gildii”, pomyślała.

Cooper nadal konsekwentnie realizował swoje cele. Jako dziewięciolatek postanowił, że zostanie szefem Gildii w Aurora Springs, i tak długo się o to starał, aż dopiął swego. Osiem miesięcy i pięć dni temu doszedł do wniosku, że ona, Elly, jest wymarzoną kandydatką na żonę szefa tejże Gildii, i postanowił ją zdobyć. I nie odpuści, aż dostanie to, czego pragnie.

- Ja też chciałbym ci zadać jedno pytanie - odezwał się po chwili milczenia.

- Jakie?

- Nie wiem, może się mylę, ale odnoszę wrażenie, że ty też z nikim nie spałaś od naszego rozstania.

- Byłam strasznie zajęta - powiedziała szybko. - Prowadzenie firmy pochłania mnóstwo czasu.

- Spróbuj wymyślić coś innego.

Odstawiła kubek, wstała i podeszła do okna. Może chodziło o to, przez co przeszli razem w ostatnich dniach. A może o późną porę i to, że była zmęczona.

A może o to, że Cooper nie spał z żadną inną kobietą od jej wyjazdu z Aurora Springs.

Bez względu na powody postanowiła powiedzieć mu prawdę.

- Od dnia, w którym cię poznałam, nie miałam ochoty na nikogo innego - rzekła cicho. - Ale ty w Aurora Springs nie sprawiałeś wrażenia mną zainteresowanego. A ostatnio, no cóż, nie było cię w pobliżu.

Zapadła cisza. I nagle stał tuż za nią z rękami na jej ramionach.

- Ale teraz jestem - powiedział.

Wstrzymała oddech i odwróciła się do niego. Jej ręce też znalazły się na jego ramionach.

- Cooper.

Pocałował ją, nie spiesząc się, a ona, zalewana falami emocji, zamknęła oczy.

Prawie nie zauważyła, że przechylił się, by zaciągnąć żaluzje w oknie. Ale wiedziała, że, trzymając ją mocno w objęciach, wychodzi z kuchni.

Słyszała, jak po drodze wyłączał impulsem energii kolejne światła. Małe mieszkanie pogrążyło się w intymnym półmroku.

Przez rozsunięte zasłony w oknie sypialni wpadała z ulicy zielonkawa poświata, otaczając łóżko przedziwną niezmierną aurą.

Postawił Elly na ziemi i swoimi pełnymi mocy dłońmi obrócił jej głowę tak, by znowu ją całować. Nie miała wątpliwości, że pragnie jej ogromnie, i to rozpałało jej zmysły. Może jej nie kochał, ale z pewnością pożądał.

Wszystkie sny i fantazje, które z takim trudem w bezsenne noce tłumiła w sobie, ze wzmożoną siłą ożyły i opanowały jej myśli.

Schwycił dolny brzeg jej swetra i ściągnął go z niej przez głowę. Gdy miała już oswobodzone ręce, zarzuciła mu je na szyję.

- Cooper - powtórzyła, przynaglając go.

- Nie - szepnął. - Nie tak szybko. Nie tym razem. Nie zrozum mnie źle. Seks w samochodzie był wspaniały, ale nie tak zaplanowałem sobie naszą pierwszą noc. Dzisiaj chcę zrobić to, jak należy.

Odchyliła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Chwileczkę, mówisz, że zaplanowałeś naszą pierwszą noc?

- No pewnie. - Odnalazł haftki małego, satynowego staniczka, rozpiął je i zsunął ramiączka z jej ramion. - Aż do dnia, w którym zwróciłaś mi zaręczynowy pierścionek, miałem zaplanowany każdy szczegół.

- Dobry Boże. - Chwyciła go mocno za ramiona i lekko odsunęła. - I kiedy tak to wszystko zaplanowałeś?

Pocałował ją w ucho.

- Zacząłem w dniu, w którym zjawiałaś się w Archiwum, szukając ojca. Pracowałem tam dopiero od tygodnia i wtedy zobaczyłem cię po raz pierwszy.

Obejmował teraz dłońmi, bardzo gorącymi, jej piersi. Zadrzała, gdy pieścił kciukami sutki.

- Zaczekaj - westchnęła. Nie mogła wydobyć z siebie głosu, ale musiała go o coś zapytać.

- Dlaczego uważałeś, że musisz wszystko zaplanować?

- Taki mam zwyczaj - odparł po prostu. - A plan był dobry. Tylko jednego w nim nie uwzględniłem.

- Czego?

- Ciebie. - Musnął wargami jej usta. - Nie zachowywałaś się zgodnie z moim planem.

- Może trzeba go było ze mną przedyskutować.

Palcem wskazującym przesunął po jej podbródku.

W szmaragdowej poświacie widziała jego lekki, nieco ironiczny uśmiech.

- Nie mam zwyczaju omawiać z nikim moich planów - rzekł. - Działam zawsze sam.

- To mam dla ciebie nowinę, Boone. - Zaczęła rozpinać guziki przy jego koszuli. - Już nie jesteś sam. Teraz pracujesz ze mną, przynajmniej na razie.

- Elly.

Podniósł ją i nie wypuszczając z rąk, opadł wraz z nią na łóżko. Zsunął adidas z jej stóp, a następnie rozsunął suwak w spodniach.

Ona szamotała się z jego ubraniem. Nie było łatwo go rozebrać i w końcu Cooper usiadł i sam ściągnął z siebie buty i spodnie.

Przez chwilę siedział tak i wpatrywał się w nią wygłodniałym wzrokiem, jak leży skąpana w słabym, przyćmionym świetle padającym z okna. Widziała, jak na nią zachłannie patrzy, i czuła się niesłychanie pociągająca i seksowna.

Gdy się obok niej położył, od razu się do niego mocno przytuliła.

Kochał się z nią niespiesznie, z namiętnością pobudzającą wszystkie jej zmysły. Odnajdywał ustami najintymniejsze zakątki jej ciała. Jego palce docierały w pieszczocie do miejsc, których nigdy wcześniej nie podejrzewała o to, że mogą dawać tak wielką erotyczną satysfakcję.

Stawała się coraz bardziej rozpalona i podniecona. Znów czuła w sobie znajome rozkoszne napięcie, jak wtedy na przednim siedzeniu spectruma, ściskające jej łono słodkimi jak miód obręczami.

Oparła dłonie na piersi Coopera, dając znak, że chce, żeby położył się na wznak, i żeby ona mogła go dotknąć.

- Jeszcze nie - szepnął i unieruchomił ją pod sobą, wsuwając muskularną nogę pomiędzy uda.

- Już nie mogę dłużej czekać - wydyszała, wierząc się pod nim niecierpliwie.

- Ostatnim razem ty rządziłaś. Wbrew moim planom. Teraz pora na mnie. Zrobimy to na mój sposób.

- Dobrze, dobrze, tylko się pośpiesz.

Roześmiał się cicho i sięgnął ponad nią po coś, co leżało obok łóżka. Nie dostrzegła, co to jest.

Znów się nad nią przechylił, tym razem sięgając do rzeźbionego wezglowia. Usłyszała ciche kliknięcie, a potem odgłos skóry przeciąganej przez klamrę.

Otworzyła szeroko oczy.

- Co ty robisz?

Chwycił jej jedną rękę, potem drugą, i włożył w dłonie koniec skórzanego paska.

- Będziesz się mogła tego przytrzymać, kiedy zrobi się naprawdę gorąco - wyszeptał w jej usta.

- Och, Cooper?

- Po prostu trzymaj się mocno i nie puszczaj, cokolwiek by się działo.

- Nie wiem, czy...

Zaczął się zsuwać w dół, obsypując jej ciało pocałunkami. A gdy dotknął językiem sutka, jęknęła i instynktownie zacisnęła palce na pasku.

- Właśnie tak - szepnął.

Zsunął się jeszcze niżej i rozchylił jej nogi. Ledwie zdołała powstrzymać krzyk, kiedy dotarł do wrażliwego punktu między udami.

A potem objął ten punkt ustami, a jego palce czyniły z nią coś tak niepojętego, że nagle ujrzała tańczące w powietrzu wokół łóżka iskierki światła generowanego przez duchy. Wtedy już wiedziała, że Cooper jest bliższy utraty samokontroli, niż chciałby to przyznać.

Wszystkimi zmysłami wyczuwała silne pulsowanie energii. Jej ciało płonęło ogniem pożądania.

- Zaczekaj - szepnął ochryple. - Stop dla mnie bursztyn.

I uczyniła to.

A gdy wstrząsały nią ostatnie spazmy rozkoszy w chwili oszalamiającego spełnienia, prawie nie zauważyła, że Cooper zmienia pozycję. Jego szerokie ramiona przesłoniły widok okna, od którego biła egzotyczna zielona luna.

Wszedł w nią jednym głębokim pchnięciem.

Puściła pasek i wbiła mu paznokcie w ramiona, a nogami otoczyła biodra.

- Pasek to dobry pomysł - szepnęła - ale wolę trzymać się ciebie.

Ugryzła go lekko w ramię.

Wymamrotał coś niebezpiecznie niedwuznacznego i niewiarygodnie erotycznego.

Roześmiała się z tej seksualnej pogroźki i jeszcze mocniej przywarła do jego potężnego ciała.

Jego orgazm przewalił się przez nich oboje z siłą ognia generowanego przez duchy.

Tańczące fale energii rozświetliły mrok nocy.

Rozdział 30

Telefon Coopera rozzwonił się krótko po trzeciej nad ranem. Cooper odsunął się od ciepłych pleców Elly i wysunął rękę spod narzuty.

- Tak? - zapytał, podnosząc telefon.

- Tu Ormond Ripley. Pomyślałem, że będziesz chciał wiedzieć, iż całkiem niedawno odwiedził mnie i zepsuł mi cały wieczór wielce szanowny detektyw Grayson DeWitt z Wydziału Antynarkotykowego policji w Kadencji. Może o nim słyszałeś?

Cooper poczuł nagły przypływ adrenaliny. Usiadł i oparł się o poduszkę.

- Widziałem to nazwisko w gazetach.

- DeWitt lubi pojawiać się mediach - przyznał Ripley. - A media lubię jego. Odwiedził mnie dzisiaj z nakazem przeszukania klubu i z chyba połową wszystkich funkcjonariuszy w wydziale. Przyprowadził też całą zgraję reporterów z „Gwiazdy Kadencji” i prasy brukowej.

- Czego chciał?

- Podobno otrzymał anonimowy cynk z jakiegoś wiarygodnego źródła, że na terenie klubu znajdują się narkotyki.

Elly lekko się podniosła i oparła na łokciu. W poświacie rzucanej przez mgłę Cooper dostrzegł przejęcie na jej twarzy.

- Domyślam się, że detektyw DeWitt niczego nie znalazł - rzekł.

- Oczywiście, że nie. - W głosie Ripleya pobrzmiwał ton satysfakcji. - Droga do Ruin to legalny biznes. Prowadzę go zgodnie z prawem i płacę podatki.

- Jasne.

- W nawiązaniu do naszej wcześniejszej rozmowy trochę mnie zdziwiło, że detektyw DeWitt nie przeszukał całego klubu i kasyna, tylko udał się prosto do piwnicy. Wygląda na to, że anonimowy donosiciel udzielił mu bardzo szczegółowych informacji.

- Co zrobił DeWitt, kiedy nie znalazł narkotyków?

- Nie był zachwycony - odparł Ripley rozradowanym głosem. - Założę się, że liczył na kolejne nagłówki w jutrzejszych gazetach. I będzie je miał, choć wątpię, że takie, o jakie mu chodziło.

- A tobie szum w prasie nie zaszkodzi?

- Nie słyszałeś, że nie ma czegoś takiego jak zła reklama? Jutro wieczorem do klubu będą dwa razy dłuższe kolejki.

- A co z tą drugą sprawą, o której rozmawialiśmy? -zainteresował się Cooper.

- Jeszcze nic nie wiem, bo nadal przeglądam nagrania z kamer ochrony. Skontaktuję się z tobą jutro.

- Dzięki.

- A tak przy okazji, zawsze gdy ty lub twoja znajoma będziecie mieli ochotę wpaść na drinka, dajcie mi znać. Podam ochroniarzom stojącym przy wejściu dla VIP-ów wasze nazwiska.

Cooper spojrział na Elly, która wpatrywała się w niego z napięciem.

- Może wpadniemy. Muszę przyznać, że nocne życie w Kadencji bardzo się różni od tego w Aurora Springs.

- Odwiedziny w dużym mieście nie miałyby większego sensu, gdyby było tu tak jak w

mniejszych miejscowościach.

Ripley przerwał połączenie.

Cooper odłożył telefon na stolik koło łóżka.

- No i? - zapytała Elly. - Co się stało?

- Detektyw DeWitt zrobił dzisiaj w nocy nalot na Drogę. Od początku wiedział, gdzie szukać narkotyków. Ale ich nie znalazł i odszedł bardzo niepokieszony.

Przyglądała się uważnie jego twarzy.

- To by potwierdzało twoją teorię, że komuś bardzo zależy na tym, aby Ormond Ripley został publicznie upokorzony i aresztowany za handel narkotykami.

- Tak - zgodził się. - A poza tym znamy już nazwisko przynajmniej jednej osoby, która bardzo by skorzystała na tym zatrzymaniu.

- Detektyw Grayson DeWitt?

- Dokładnie.

- Twoim zdaniem, to możliwe, żeby to on był niebieskim świrem?

- Jeszcze nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale to oczywiste, że musimy dowiedzieć się czegoś więcej o tym facecie. Wyatt pewnie bez problemu znajdzie dla mnie jakieś informacje na jego temat.

- Bo to jego miasto? - spytała oschle.

Złapał pasmo jej włosów i owinął sobie wokół palca.

- Bo Gildie w każdym mieście starają się mieć dobre relacje z lokalną policją.

- Bardzo dyplomatyczne stwierdzenie.

- Dzięki. Staralem się.

Nie uśmiechnęła się, a on wyczuł jej niepokój.

- To się robi coraz bardziej zagmatwane, prawda? -zapytała.

- Pod pewnymi względami tak. - Zsunął się w dół po poduszce i przyciągnął ją do siebie.

- Ale nie pod wszystkimi.

Długo, długo później Elly nadal nie spała, przyglądając się mgłę połyskującej za oknem. Cooper kochał się z nią tej nocy dwa razy i zapadł potem w głęboki i spokojny sen.

Ona zaś przekonała się, że spanie z kimś w jednym łóżku przez całą noc to coś, do czego trzeba się przyzwyczaić. Od Coopera, który mocno ją do siebie tulił, było takie ciepło, że musiała odkryć kołdrę po swojej stronie. Czuła ciężar jego ramienia na brzuchu, no i na dodatek Cooperowi jakimś sposobem udało się zająć większą część materaca.

Spojrzała w nogi łóżka i ujrzała wbitą w siebie parę roziskrzonych oczu. Rose również nie spała.

Elly bardzo ostrożnie uwolniła się od ręki Coopera i wysunęła z łóżka. Sięgnęła po szlafrok przewieszony przez ramę i włożyła nocne pantofle.

Rose przebiegła cichutko po kołdrze. Elly wzięła ją na ręce i ruszyła do drzwi. Zatrzymała się przy nich na moment, żeby jeszcze raz popatrzeć na egzotyczny dla niej widok - Cooper śpiący w jej łóżku. Nawet podczas snu dominował nad miejscem, w którym się znajdował. W dziwnym, niezwykłym świetle wyglądał jak ucieleśnienie jej potajemnych, erotycznych fantazji, których był bohaterem.

Posadziła sobie Rose na ramieniu, wyszła na korytarz i przeszła do kuchni, gdzie impulsem włączyła światło. Potem podeszła do szafki i ze słoika wyjęła ciasteczko, które podała Rose. Następnie bardzo starannie umyła ręce i usiadła przy stole. Rose wskoczyła na parapet i żując ciastko, przykucnęła przy kwarcowym wazonie.

Elly sięgnęła po *Lecznicze zioła i kwiaty Harmonii*. Żeby nie zniszczyć stronic, przekładała je palcami osłoniętymi czystą chusteczką.

Zauważyła, że zielnik jest w doskonałym stanie. Najwyraźniej rzadko go używano, gdy leżał w bibliotekach różnych kolekcjonerów. Nie znalazła żadnych rozdarć i zagięć.

Wolno przekładała stronicę, podziwiając pięknie wykonane rysunki znanych i mniej znanych ziół i roślin. Mary Tyler Jordan była wybitną artystką, zdaniem Elly. Zielnik zawierał zdjęcia, ale to głównie rysunki przyciągały uwagę. Każdy był tak mistrzowski, że mógłby zawisnąć w muzeum. Każdy zawierał szczegóły, których nie uchwyciłby żaden, nawet najlepszy aparat fotograficzny.

Kiedy dotarła do ostatniego rozdziału, pomiędzy kartkami natknęła się na skrawek cienkiego papieru. Zostawiono go tam zapewne po to, by zaznaczyć stronę ze znajdującym się na niej rysunkiem. Elly doznała szoku, gdy dokładnie mu się przyjrzała.

- Co to jest? - zapytał Cooper.

Przestraszona, podniosła głowę i zobaczyła w drzwiach Coopera. Z rękami skrzyżowanymi na piersi opierał się o framugę. Miał na sobie spodnie, ale jego stopy były białe, a włosy zmierzwiłone.

- Już wiem, dlaczego Griggs próbował wykraść mój kwiat i pewnie też Rose - oznajmiła cichym głosem.

Obróciła zielnik, tak żeby Cooper mógł zobaczyć rysunek.

Cooper opuścił ręce i podeszedł do stołu. Z wąskiego etui, które tam zostawił, wyjął okulary i je założył.

Z bliska przyjrzał się rysunkowi. A po kilku sekundach zerknął na zielony kwiat stojący na parapecie.

- To rysunek przedstawiający twój kwiat - zauważył.

- Nie, to rysunek przedstawiający kwiat Rose. - Znow obróciła zielnik, tak by mogła odczytać tekst. - I posłuchaj, co Jordan o nim napisała.

...Kiedy się obudziłam, ten zaskakujący kwiat nadal tkwił w mej dłoni. Jestem przekonana, tym przekonaniem, którego nie da się wyjaśnić, że ten kwiat pomagał mi odnaleźć drogę w katakumbach i pomógł mi wrócić na powierzchnię.

Moje wspomnienia z tego czasu, gdy zagubiłam się w podziemnym świecie obcych, są w najlepszym razie fragmentaryczne i pozbawione sensu oraz spójnej treści. Poradzono mi, żebym nie wierzyła obrazom powstającym w głowie, bo to najprawdopodobniej tylko złudzenia i fałszywe wspomnienia wykreowane przez skołatany umysł.

Eksperci twierdzą, że wykazuję symptomy typowe dla ostrego parapsychicznego urazu, którego się doznaje po kontakcie z NiZOED-em lub pułapką iluzji.

Ale ja mam ten rysunek i moje sny, które mi przypominają, że kiedyś podróżowałam przez dziwny i cudowny tropikalny las, przez krainę oświetloną szmaragdowym słońcem i nefrytowym księżycem, podziemny świat pulsującej zieleni, gdzie każdy cień kryje tajemnice czekające na odkrycie.

Rozdział 31

Cooper spędził poranek w przytulnej kuchni Elly. Kubek herbaty z korzenia rezobursztynu stał w zasięgu ręki obok laptopa i kartek z notatkami rozłożonymi na całym stole. Nie licząc okazjonalnych wizyt Rose, która przybiegała na górę, żeby sprawdzić, co się dzieje, i żeby coś przegryźć, kuchnię miał tylko dla siebie.

Ormond Ripley nie mylił się co do porannych gazet. Rej wiodła „Gwiazda Kadencji” z tytułem *Falszywy donos doprowadził do nalotu na kasyno*. Towarzyszące informacji zdjęcie pokazywało Ripleya a stojącego na środku zatłoczonego klubu z miną wyrażającą uprzejme rozbawienie. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Ormond Ripley przyjmuje przeprosiny od rzecznika prasowego policji. Zapewnia, że nie będzie wnosił skargi”.

Brukowce używały bardziej barwnego języka. *Czy Cudownego Chłopca opuściło szczęście?* - krzyczały nagłówki w „Tattlerze Kadencji”. Poniżej główny tytuł mówił: *Policja Kadencji upokorzona przez wielki błąd DeWitta*.

Wszystkie gazety zamieszczały duże fotografie ponuro patrzącego De Witta w eleganckim, szytym na miarę garniturze, wsiadającego do nieoznakowanego auta stojącego przed wejściem do klubu.

Detektyw musiał skręcać się z wściekłości, pomyślał Cooper. I dobrze. Rozzłoszczeni ludzie zaczynają popełniać błędy.

- A ja zaczekam - obiecał Cooper, zwracając się do fotografii. - Jestem w tym dobry.

Elly otworzyła sklep punktualnie o dziewiątej. Sądząc po często się odzywających dzwoneczkach przy drzwiach, albo jej biznes przeżywał renesans, albo sąsiedzi wpadali do sklepu nie po zakupy, ale żeby dowiedzieć się nowin na temat jej prywatnego życia.

By oszczędzić sobie czasu, Cooper od razu z rana skontaktował się z Emmetem Londonem. Sprawdzenie przeszłości DeWitta zlecono asystentowi Wyatta, niejakiemu Perkinsowi.

Odnalezienie poprzedniego właściciela *Lecznicych ziół i kwiatów Harmonii* Mary Tyler Jordan było już jednak nieco bardziej skomplikowanym zadaniem. Cooper zostawił je dla siebie.

Dzięki Elly znał już nazwiska trzech kolekcjonerów, którzy podobno mieli w swoich zbiorach kopie rzadkiego zielnika.

Musiał wykazać się cierpliwością i znajomością kilku ważnych nazwisk, by zmusić dwóch pierwszych kolekcjonerów do wyrażenia zgody na rozmowę telefoniczną. Poinformowali go, że kopie zielnika Jordan nadal znajdują się w ich bibliotekach.

Poszcęściło mu się dopiero przy numerze trzecim. Edwin Sheridan był emerytowanym członkiem Gildii w Kadencji.

- Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać, panie Sheridan - powiedział Cooper bardzo uprzejmym tonem.

- Moja gospodyni przekazała mi, że mówił pan, że to sprawa Gildii. - Głos po drugiej stronie drżał ze starości. - Sam byłem kiedyś człowiekiem Gildii. Jeszcze za czasów, gdy to miasto należało do Connora Hylanda.

- To nieco wcześniej, nim ja zacząłem pracę w Gildii, sir. - Powiedzmy, jakieś pięćdziesiąt lat wcześniej, dodał Cooper w myśli. Potarł nasadę nosa. Ten poranek nie ma końca.

Edwin prychnął w słuchawkę.

- Powiem ci coś, synu. Kiedy Hyland tu rządził, wszystko w tym mieście wyglądało inaczej. Gildia Kadencji podtrzymywała tradycje. Nikomu nie przychodziły do głowy te nowoczesne nonsensy, żeby dołączyć do mainstreamu, czy co tam.

- Rozumiem, sir.

- Dzisiaj w każdej gazecie czytamy, że Gildia Kadencji próbuje się modernizować, stara się zostać szanowaną, społeczną instytucją. To doprawdy śmieszne.

Cooper odchrząknął.

- Tak się składa, sir, że ja akurat jestem z Gildii w Aurora Springs.

- Z Aurora Springs, mówisz? No to ci powiem, że to solidny, dobrze zarządzany oddział. Słyszałem, że w Aurora Springs szanuje się tradycje jak nigdzie indziej.

- Staramy się, sir.

- Słyszałem też, że tamtejszy szef miał się przed kilku miesiącami ożenić z miłą, młodą dziewczyną z dobrego klanu Gildii, ale ślub odwołano.

- Tylko na jakiś czas, sir.

- Doprawdy? A co się stało?

Jakim cudem, niech to pochłonie zielone piekło, doszło do tego, że omawia swoje życie prywatne z Edwinem Sheridanem? - zastanawiał się Cooper.

- Powstały pewne komplikacje - wyjaśnił ogólnikowo - ale nowy szef stara się wszystko wyprostować. Sir, chciałbym zapytać o należącą do pana kopię zielnika Jordan.

- A dlaczego, do diabła, Gildia miałaby się interesować tą książką?

Cooper spojrział na leżący przed nim zielnik.

- Prowadzimy wewnętrzne śledztwo i okazało się, że ta książka to jeden z tropów.

- Och, o to chodzi - mruknął Edwin ze zrozumieniem. - Gildia sama rozprawia się ze swoimi przestępcami.

- Tak jest, sir. Czy mógłby mi pan powiedzieć...

- I oto mamy doskonały przykład na to, dlaczego organizacja nigdy nie powinna włączyć się w mainstreamowy nurt. Zanim się obejrzymy, Gildia będzie musiała udostępniać swoje akta każdemu policjantowi, prawnikowi albo politykowi, który będzie chciał zyskać większą popularność, łapiąc na złym uczynku kogoś ważnego z Gildii.

- Bardzo słuszna uwaga, sir. A wracając do zielnika. Czy on nadal znajduje się w pańskiej kolekcji?

- Nie, sprzedałem go kilka miesięcy temu. Mówiąc szczerze, nawet nie wiedziałem, że go mam. Widzi pan, należał do mojej żony, bo to ona była w naszej rodzinie kolekcjonerem, nie ja. Zmarła przed kilkoma miesiącami.

- Bardzo mi przykro, sir.

- Dziękuję. Cóż, żeby nie przedłużać opowieści, ani moi synowie, ani wnuki nie są zainteresowani książkami ze zbioru, więc je sprzedaję, jeśli tylko dostanę dobrą ofertę.

Cooper wyprostował się i sięgnął po długopis.

- Kto kupił zielnik?

- Nie wiem. Kupiec chciał pozostać anonimowy.

- To jak przeprowadzono transakcję?

- Za pośrednictwem handlarza o nazwisku Bodkin, który się specjalizuje w prowadzeniu

transakcji między klientami, którzy nie chcą się ujawniać.

- Jeśli to nie problem, poprosiłbym o jego adres.

- Żaden problem, choć wątpię, żeby wyjawiał panu nazwisko kupca. Bodkin jest znany ze swojej dyskrecji.

- Pewien jestem, że z chęcią uczyni uprzejmość szefowi lokalnej Gildii - powiedział Cooper.

Pięć minut później odłożył słuchawkę, schował okulary do etui i z kluczykami w dłoni zszedł na dół.

Elly stała przy ladzie, odważając małą ilość suszonych, purpurowych kwiatków, które wysypała ze słoiczka. Jej klientką była kobieta w średnim wieku, która cała się rozpromieniła na widok Coopera w drzwiach.

- Och, witam - zawołała. - To pan jest znajomym Elly z Aurora Springs. Nazywam się Sally Martin i pracuję w Reliktach Butlera na tej samej ulicy.

- Miło panią poznać, pani Martin.

- Mam kuzynkę w Aurora Springs - kontynuowała radosnym głosem Sally. - Może ją pan zna. Laura Meehan?

- Nie sądzę, żebym miał przyjemność - odparł Cooper tonem, który, jak miał nadzieję, przerwie wypytywania. Spojrzał na Elly.

- Wrócę późnym popołudniem - poinformował. Elly lekko zmarszczyła czoło.

- Wszystko jest okay?

- Mam ślad w sprawie sprzedaży zielnika.

- No to powodzenia - rzuciła. - I uważaj, proszę - dodała, ściszej głos.

W tym momencie Cooper uzmysłowił sobie, że tak długo żył samotnie, iż zapomniał już, jakie to uczucie, gdy ktoś mówi ci, żebyś uważał, gdy wychodzisz.

Podszedł do lady i pocałował Elly w policzek. Miło było móc ją tak pocałować, wiedzieć, że wróci do niej i że ona będzie na niego czekała.

- Będę uważał - obiecał.

Był już w połowie drogi do wyjścia ze sklepu i sięgał do klamki, gdy usłyszał szept Sally Martin.

- Mój Boże, w pełni rozumiem, co cię w nim pociąga, kochanie. Ja też kiedyś szalałam na widok facetów w skórach i ubraniach khaki. Jak pewnie każda kobieta, przynajmniej choć raz w życiu. Ale najlepiej zrobisz, gdy zerwiesz z takim mężczyzną, kiedy jesteś jeszcze młoda i wolna.

W porze lunchu klienci przestali się pojawiać, więc Elly poszła na górę zrobić sobie kanapkę i zaparzyć świeżą herbatę. Jadła przy stole, dzieląc się kąskami z Rose i nasłuchując

dzwoneczków przy drzwiach.

Kiedy skończyła posiłek, zeszła na dół, zabierając ze sobą zielnik Jordan, by go przeglądać w wolnych chwilach.

Była sama z Rose, która pracowicie przekładała biżuterię w szkatułce, gdy w pewnym momencie spostrzegła, że poruszyła się zasłonka w kuchennym oknie Doreen.

Zamknęła zielnik, sięgnęła po telefon i wyrezowała numer przyjaciółki. Wcześniej dzwoniła już do niej kilkakrotnie, ale za każdym razem odzywała się automatyczna sekretarka.

„...O tej porze sklep jest nieczynny. Proszę zadzwonić w godzinach pracy sklepu lub po sygnale zostawić wiadomość...”

- Doreen, tu Elly. Wiem, że jesteś. Odbierz telefon albo pójde do ciebie i otworzę drzwi zapasowym kluczem.

Długa pauza. Elly doszła do wniosku, że przyjaciółka ją zignorowała. Jednak w końcu usłyszała kliknięcie.

- Cześć, Elly. - Doreen mówiła dziwnie znużonym i zduszonym głosem. - O co chodzi?

- A jak sądzisz? Chcę się dowiedzieć, czy wszystko z tobą w porządku.

- Przecież wywiesiłam w oknie wiadomość.

- Tak, wiem. Czytałam ją kilka godzin temu, kiedy się zorientowałam, że nie otworzyłaś sklepu. Napiisałaś, że sklep jest nieczynny z powodu choroby. Co ci jest?

- Mam grypę.

- Z gorączką? Kolejna długa pauza.

- Zapewne. Nie wiem.

- Przyniosę ci trochę świetlika przeciwko gorączce. Czyni cuda.

- Nie, nie przynoś. Nie przychodź. Nie dzisiaj, bo jeszcze się zarazisz tą głupią grypą.

- Doreen? Czy stało się coś złego? Mówisz jak nie ty.

- Powiedziałam ci, jestem chora. I nie mam ochoty na rozmowę. Wstałam tylko na chwilę, żeby się czegoś napić. I zaraz wracam do łóżka. Zadzwonię, jak się lepiej poczuję. Nie przychodź tu.

Rozległo się kliknięcie i zapadła nagle cisza.

Elly przez dłuższą chwilę przyglądała się słuchawce w swojej dłoni, zastanawiając się nad dziwną chrypą w głosie przyjaciółki.

- Jej głos nie brzmiał tak, jakby była chora - powiedziała do Rose. - Brzmiał tak, jakby płakała.

Obeszła ladę, sięgnęła po klucze i wyciągnęła rękę.

- Dzieje się coś złego. Chodźmy, siostrze.

Rose porzuciła swoją szkatułkę i podbiegła do brzegu lady, skąd wskoczyła na ramię Elly.

Ta, wychodząc, przekreśliła wiszącą na drzwiach tabliczkę na stronę z napisem „Wracam za 10 minut”.

Mgła w końcu się podniosła, ale dzień był pochmurny i wilgotny. W Alei Ruin panował nieduży ruch. Elly przecięła ją, manewrując pomiędzy floatem, szukającym miejsca do zaparkowania, a eleganckim coasterem.

Po dotarciu do frontowych drzwi sklepu Doreen, otworzyła zamek zapasowym kluczem, który dostała od przyjaciółki, i weszła do środka.

Podeszła do schodów prowadzących na piętro.

- Doreen?

Na górze zaskrzypiały klepki podłogowe.

- Mówiłam ci, żebyś nie przychodziła - zawołała Doreen z korytarza.

- Wiem, że coś się stało. - Elly szybko wspinała się po schodach. - Chyba nie sądziłaś, że cię tak zostawię.

- Proszę cię, idź sobie - zawołała Doreen gdzieś z okolicy sypialni.

Elly weszła już na piętro i spojrzała na krótki korytarz przed sobą. Doreen stała, a raczej chwiała się, w progu sypialni, oparta jedną ręką o framugę.

Była w szlafroku, a jej bursztynowy wisiorek, którego nigdy nie zdejmowała, połyskiwał na tle ciemnej skóry dekoltu.

Przykładała do policzka torebkę z lodem.

- Doreen? - Elly ruszyła szybko do przyjaciółki. - O co chodzi? - Zobaczyła spuchniętą wargę i siniaka pod okiem. - O Boże, co ci się stało?

Doreen zaczęła płakać.

- Jestem straszliwą idiotką.

Elly wyciągnęła ramiona i delikatnie ją objęła. Rose zaskrzeczała z niepokojem.

- Spadłaś ze schodów? - dopytywała się Elly. - Musimy pojechać na pogotowie.

- Nie. - Oczy Doreen rozszerzyła panika. - Nie mogę.

- Nic nie rozumiem. Zraniłaś się. Dlaczego nie chcesz, żeby obejrzał cię lekarz?

- On mnie skrzywdził. - Doreen schowała twarz na ramieniu Elly. Płacz przeszedł w łkanie. - Myślałam... Myślałam, że mnie zabije.

- Ktoś cię napadł? Dzwoniłaś na policję? Doreen pokręciła głową.

- Nie mogę.

Elly ogarnęło przerażające przeczucie.

- Nie mów, że chodzi o twojego nowego chłopaka, o tego tajniaka?

Doreen zaczęła jeszcze bardziej łkać.

- Chodźmy do kuchni. Zrobię ci herbaty, a ty wszystko mi opowiesz.

Pięć minut później Doreen siedziała przy kuchennym stole, na którym w zasięgu ręki stało pudełko z chusteczkami. Rose, pochrząkując z niepokojem, przykucnęła obok.

Elly napełniła czajnik wodą z kranu.

- W porządku, opowiedz mi całą historię.

Doreen pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczkę.

- Prawie wszystko już wiesz. Poznałam go w klubie kilka tygodni temu. Tańczyliśmy. Był naprawdę gorący. I świetnie ubrany. Zaczęliśmy się spotykać. Powiedział mi, że jest detektywem i nie ujawnia się, bo rozpracowuje jakiegoś dużego narkotykowego bossa. Mówił, że dopóki nie zamknie sprawy, musimy być bardzo dyskretni. Nie chciał, żeby mnie z nim widywano, bo bał się, że to może zagrozić mojemu życiu albo sprawie, którą prowadził.

- Spotykaliście się tutaj, w twoim mieszkaniu?

- Jasne. - Doreen podniosła woreczek z lodem i znów przytknęła go do policzka. - Bardzo często u mnie bywał. Zazwyczaj zjawiał się późnym wieczorem. I zawsze drzwiami od zapyłca. Co mam ci powiedzieć? Seks był ostry. Bardzo ekscytujący. To znaczy do wczoraj.

- Wczoraj tak cię urządził?

Doreen zamknęła oczy pod wpływem bólu.

- Po raz pierwszy przyszedł za dnia. To było popołudnie. Od razu zauważyłam, że jest jakiś inny.

- Inny?

- Było oczywiste, że coś się wydarzyło. - Doreen otworzyła oczy i ostrożnie poprawiła woreczek z lodem. - Był strasznie nakręcony, bardzo agresywny. Kazał mi zamknąć sklep. Potem zażądał, żebyśmy się kochali. Wystraszyłam się. Pomyślałam, że może jest pod wpływem alkoholu, ale nie czułam zapachu.

- Może był naćpany. Często się przecież zdarza, że policjant sam ulega złu, które ma tępić.

- Nie wiem. - Doreen się skrzywiła, a potem z bólem wciągnęła powietrze. - Ale wyglądał tak, jakby przeszedł transplantację osobowości. Zawsze był uprzejmy, opanowany. A wczoraj zachowywał się jak opętany żądzą napaleniec. Kiedy zaczęłam mu się opierać, zbił mnie. Jest większy i silniejszy ode mnie i jestem pewna, że by mnie zgwałcił, ale z jakiegoś powodu nagle zrobił się okropnie podenerwowany. Odniosłam wrażenie, że boi się u mnie zostać, jakby coś strasznego miało się z nim stać, gdyby nie wyszedł.

- Co mówił?

- Między innymi, że jeśli choć słowem napomknę komuś o tym, co się wydarzyło, nie

wspominając już o powiadomieniu policji, wróci i poderżnie mi gardło. - Doreen zadrżała. - On to zrobi.

Opętany żądzą napaleniec. Elly zastanowiło to określenie.

Lekarz z pogotowia twierdził, że Stuart Griggs, zanim Elly go znalazła, nie żył już od kilku godzin. Jeśli uśmiercono go niebieską energią dysonansu, jak podejrzewał Cooper, morderca musiał stopić bursztyn, żeby osiągnąć cel. Co oznacza, że krótko po zabójstwie musiało nim zawładnąć bardzo intensywne pożądanie.

Zabójca po stopieniu bursztynu mógł dopuścić się gwałtu. Ale tym razem miał bardzo ograniczone możliwości działania. Wiedział, że już wkrótce ogarnie go sen, któremu się nie oprze, a z pewnością nie chciał zasnąć w pobliżu ofiary.

- Doreen, błagam, zastanów się. O której dokładnie przyszedł do ciebie ten sukinsyn?

Dziewczyna się skoncentrowała.

- Gdzieś około piętnastej. Zaraz po listonoszu. Ale dlaczego pytasz?

- Wczoraj po południu Stuart Griggs zmarł na atak serca. Znalazłam jego ciało około czwartej po południu.

- Ten kwiaciarz z naszej ulicy? - Doreen ze zdumienia zmarszczyła czoło. - On nie żyje? Słyszałam syreny, ale tak źle się czułam, że nie miałam siły wyrzeć przez okno.

- Dlatego nie widziałam cię w tłumie obserwatorów, kiedy sanitariusze wynosili ciało.

- Nic nie rozumiem. Co śmierć Griggsa może mieć wspólnego ze mną?

- Powiem ci później. Czy widziałas, w którą stronę poszedł ten łotr po wyjściu stąd?

Doreen potrząsnęła głową.

- Nie. Naprawdę myślałam, że mnie zabije. Szczerze mówiąc, byłam zdumiona, że tego nie zrobił. Gdyby nie wpadł w tę nagłą panikę, sądzę, że dzisiaj znalazłabyś mnie martwą.

Nie mógł odejść daleko po zaatakowaniu Doreen, bo pewnie zapadał już w postopieniową śpiączkę, myślała Elly. Potrzebował co najmniej kilku godzin na sen. Możliwe, że zszedł pod ziemię gdzieś na terenie Wymarłego Miasta.

- Powinnaś była do mnie zadzwonić - oświadczyła Elly, otwierając kolejną szafkę w poszukiwaniu herbaty.

- Byłam za bardzo przerażona. Myślałam tylko o tym, że gdyby on się dowiedział, wróciłby i mnie zabił. To policjant, Elly. Mogłoby mu to ująć na sucho.

- Nic nie ujdzie mu na sucho. Doreen otarła oczy.

- Jak to?

W tej szafce też nie było pojemnika z herbatą. B%, sfrustrowana, poddała się.

- Do diabła z herbatą. Chodźmy do mnie. Tam ci zaparzę herbaty. Zresztą i tak muszę

zadzwoić do Coopera, a wolałabym skorzystać z własnego telefonu. Twój może być na podsłuchu.

- Na podsłuchu?
- Mówiłaś, że to policjant.
- Tak, ale po co miałyby zakładać u mnie podsłuch?
- A skąd mogę wiedzieć. To glina. Oni robią takie rzeczy.

Elly chciała już zamknąć szafkę, ale na widok butelki stojącej na najwyższej półce zamarła. Patrzyła na butelkę, nie mogąc oderwać wzroku od nalepki.

- Doreen? - powiedziała cichym głosem.
- Tak.
- Od kiedy to pijesz szkocką Rezerwa Założycieli?
- Co? Och, szkocką. - Doreen skrzywiła się. - Ja tego nie piję. Nie stać mnie na taki alkohol, nawet gdybym go lubiła, a nie lubię. Znasz mnie, jestem dziewczyną od taniego wina.

Elly z trudem przełknęła ślinę.

- No to od kogo dostałaś Rezerwę Założycieli?
- On ją tu przyniósł. Mówił, że chce ją mieć pod ręką, kiedy mnie odwiedza. Chodziło mu dokładnie o tę szkocką, a nie inną. Czemu pytasz?

- Dobry Boże.

Elly zatrzasnęła drzwiczki szafki i gwałtownie się odwróciła.

- Musimy stąd wyjść. I to natychmiast.
- Żartujesz sobie? Nie wyjdę na ulicę w takim stanie. Nie jestem nawet ubrana.

- Włóż płaszcz i buty. I pospiesz się, Doreen. Doreen wolno podniosła się na nogi.

- Mówisz poważnie?

- Tak.

Elly złapała Rose i wybiegła na korytarz. Otworzyła drzwi szafy wnękowej i wyjęła z niej sięgający kolan purpurowy płaszcz, a potem wróciła z nim do kuchni.

- Okay, zrobię, jak chcesz - oświadczyła Doreen, biorąc płaszcz i idąc za Elly do schodów. - Chociaż szczerze mówiąc, nadal jestem tak roztrzęsiona, że nie mogę logicznie myśleć.

- Pospiesz się - popędzała ją Elly. Szła przez pogrążony w mroku sklep, walcząc z paniką. Otworzyła drzwi i stanęła na chwilę w progu, żeby sprawdzić, co dzieje się na ulicy.

Nikogo nie dostrzegła. Zerknęła na Rose. Wyglądała na spokojną.

Z sercem podchodzącym pod gardło przeprowadziła Doreen na drugą stronę ulicy.

- Skąd ta nagła panika? - dziwiła się Doreen, patrząc jak Elly nerwowo szuka w kieszeni kluczy,

a potem otwiera nimi drzwi swojego sklepu.

- Kiedyś spotykałam się z facetem, który pijał wyłącznie Rezerwę Założycieli - wyjaśniła Elly. -

Tylko tę, żadną inną.

- Jak się nazywał?

- Palmer Frazier.

- Ale facet, który mi to zrobił, nazywa się Jake Monroe.

- To fałszywe nazwisko. - Elly pchnęła drzwi, wprowadziła Doreen szybko do środka, po czym od razu pobiegła zasłonić żaluzje we frontowym oknie. - Nic dziwnego, że nie chciał, żebyś mi go przedstawiła.

Nagle dotarło do niej, że Doreen, stojąca za nią, jakoś dziwnie zamilkła, a Rose cicho powarkuje.

Czując strach ściskający jej żołądek, odwróciła się.

W zaciemnionym wejściu prowadzącym na zaplecze stał mężczyzna. W dłoni trzymał pistolet.

- Eldora St.Clair, jest pani aresztowana za posiadanie i sprzedaż nielegalnych psychoaktywnych substancji - oświadczył Grayson DeWitt.

Rozdział 32

Stuart Griggs miał obsesję na punkcie dżungli Jordan. - Benjamin Bodkin zerknął na Coopera znad staroświeckich okularów do czytania. - Trochę z nim handlowałem przez te lata. Sprzedawałem mu pamiętniki i podobne drobnostki. Jednak Griggs nigdy nie mógł sobie pozwolić na coś droższego. To znaczy do niedawna.

Antykwariat Bodkina o nazwie Białe Kruki pogrążony był w przyćmionym świetle i unosiła się w nim wyraźna woń starych woluminów. Półki stojące przy każdej ścianie sięgały sufitu. Zapchane były książkami rozmaitej wielkości, kształtu i rodzaju. Gdyby nie okoliczności, myślał Cooper, spędziłbym w tym miejscu co najmniej kilka godzin.

Bodkin bardzo pasował do swojego antykwariatu. Był pulchnutki, pomarszczony i sprawiał wrażenie intelektualisty.

- A kiedy nastąpiła owa zmiana? - dociekał Cooper.

- Kilka miesięcy temu Griggs zadzwonił i powiedział, że wie, że w rękach prywatnych kolekcjonerów znajdują się trzy kopie zielnika Jordan. Poprosił mnie, żebym skontaktował się z tymi kolekcjonerami i wybadał, czy któryś sprzedałby zielnik. Okazało się, że jeden

chciał, więc zająłem się transakcją.

- Ile zapłacił za zielnik? - pytał dalej Cooper.

- O wiele za dużo. - Bodkin prychnął, zdjął okulary i zaczął czyścić szkła chusteczką. - Cóż mogę rzec? Dla większości kolekcjonerów ten zielnik to tylko bardzo drogie kuriozum, ale dla fanatyka dżungli Jordan to Święty Graal i dlatego żadna cena nie jest dla kogoś takiego za wysoka.

- Skąd, pana zdaniem, Griggs wziął tym razem pieniądze?

Bodkin nie krył rozbawienia.

- To, sir, jest pytanie, którego nigdy nie zadaję moim klientom. Mogę tylko przypuszczać, że Griggs musiał przed kilkoma miesiącami odziedziczyć spory majątek.

Bardziej prawdopodobne, że Griggs zajął się handlem narkotykami, żeby zdobyć fundusze na poszukiwanie ukochanej dżungli, rozmyślał Cooper w drodze powrotnej do spectrums. Tyle że w szkołach ogrodniczych raczej nie uczono wyrafinowanych biznesowych technik niezbędnych do prowadzenia narkotykowego biznesu.

Zgodnie z informacjami, jakie zebrał, sprzedaż magicznego pyłu na ulicach uległa z czasem znaczącej zmianie. Początkowo, przez kilka pierwszych lat, sprzedawano go niewiele, głównie w okolicy Starej Dzielnicy. Władze prawie nie zwracały na niego uwagi, zajęte innymi, poważniejszymi problemami. Później, w ciągu ostatnich miesięcy, narkotyk stał się nagle tematem numer jeden prasowych nagłówków.

Wyglądało na to, że plotki zasłyszane przez Benny'ego i Joego odpowiadały prawdzie. Griggs znalazł sobie współnika, przedsiębiorcę, który dostrzegł potencjał w magicznym pyłe i wykoncypował, jak małe, jednoosobowe przedsięwzięcie przemienić w proceder na dużą skalę.

Telefon zadzwonił akurat wtedy, gdy wsiadał do samochodu.

- Tu Boone.

- A tu Osmond Ripley. Mam nagrania z kamer ochrony, które, sądzę, chciałbyś obejrzeć.

- Już jadę.

Rozdział 33

Elly zabrzczała kajdankami, które przykuwały jej prawą rękę do krzesła.

- Domagamy się adwokata.

- Właśnie, znamy nasze prawa - dodała ostro Doreen. Ona też była przykuta do krzesła po drugiej stronie stołu.

Grayson DeWitt obrzucił je wściekłym spojrzeniem. Stał przy kuchennym oknie, skąd widział całą boczną alejkę. Jego elegancka, srebrnoszara marynarka w pepitkę wisiała na oparciu krzesła, a rękawy białej jak śnieg koszuli miał podciągnięte do łokcia, dzięki czemu widać było kosztowny zegarek na przegubie. Srebrzystometalowa kolba pistoletu wetkniętego do ręcznej roboty kabury pasowała kolorystycznie do marynarki.

- Będziecie miały swoich adwokatów – zapewnił Grayson - kiedy tylko pojawi się Cooper Boone. Jeśli to jakaś dla was pociecha, to poluję na niego, a nie na was, moje panie.

Rose cicho zawarczała. Elly przytuliła ją do siebie wolną ręką, próbując dać do zrozumienia zarówno głosem, jak i postawą ciała, że pomysł ugryzienia detektywa raczej nie należy do najrozsądniejszych.

Rose, zdaje się, zrozumiała przesłanie, bo choć wyraźnie zdenerwowana, uspokoiła się, a w jej napuszonym futerku pobłyskiwała tylko jedna para oczu.

- A dlaczego jest pan przekonany, że Cooper niedługo się tu zjawi? - zapytała Elly.

- Jeśli tak się nie stanie, będę musiał aresztować panie. - Wyuczony gwiazdorski uśmiech rozciągnął usta Graysona, ale jego oczy pozostały zimne jak lód. - Ale mam przecucie, że Boone się jednak zjawi. W bagażniku pani samochodu znajduje się fortuna w postaci magicznego pyłu. Nie wierzę, żeby Boone z niego zrezygnował.

Doreen prychnęła cicho, zdegustowana.

- Chce pan zyskać większą popularność, jeśli zdoła pan przy skrzynie szefa Gildii.

- Szefom Gildii, odkąd powstała ta organizacja, uchodziły na sucho różne sprawy, między innymi morderstwa - oświadczył Grayson podniesionym głosem. - Bossowie ci uważają, że nie muszą postępować zgodnie z zasadami obowiązującymi wszystkich innych. Osadzenie jednego z nich w więzieniu za handel narkotykami będzie ostrzeżeniem dla reszty.

- Doreen ma rację - odezwała się Elly. - Tu nie chodzi o zrobienie porządku z szefami Gildii, tylko o pański wizerunek bohaterskiego bojownika, zwalczającego przestępczość. Nie sądzę, żeby Cooper był początkowo pana celem. Najpierw polował pan na Ormonda Ripleya. Aresztowanie go przyniosłoby panu duży rozgłos. Chwalono by pana. Ale dał pan plamy, co? Więc teraz próbuje pan zatrzymać odwiedzającego Kadencję szefa Gildii z małego miasteczka.

- Bo pewnie nie ma odwagi dobrać się do tyłka lokalnemu szefowi - zakpiła Doreen. - Wie, że nie jest w stanie tknąć Mercera Wyatta w jego własnym mieście.

- Dostyc tego - warknął Grayson. - Boone może nie jest najpotężniejszym szefem Gildii w całej Federacji Miast, ale jednak jest bossem. Ludzie zauważą, że został aresztowany.

Elly nieznacznie poruszyła się na krześle. Prawe ramię coraz boleśniej sztywniało.

- Niech mi pan powie, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Palmer Frazier.

Ku jej zaskoczeniu na twarzy detektywa o silnie zarysowanej kwadratowej szczęce pojawił się wyraz lekkiego zdumienia.

- A kim, na zielonego diabła, jest Palmer Frazier?

- Udzielę panu kilku informacji - odparła Elly, bacznie się przyglądając Graysonowi. - Frazier jest wysoki, przystojny, ma jasne włosy i ubiera się tak dobrze jak pan, a nawet lepiej. Kiedy go znałam, zawsze nosił bursztynowo - czarny zegarek marki Luchane. I pija tylko szkocką Rezerwa Założycieli.

Doreen lekko zeszytywniała na swoim krześle. Jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

Grayson ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową.

- Nie wiem, o kim pani mówi.

Nie kłamie, pomyślała Elly. O co w tym wszystkim chodzi?

- Trudno nie zauważyć, że odwała pan kawał świetnej roboty, obserwując tę boczną alejkę - oznajmiła po kilku minutach ciszy. - Ale będzie panu głupio, jeśli się okaże, że Cooper wejdzie frontowymi drzwiami.

- Moi ludzie na dachach domów przy Alei Ruin obserwują oba wyloty ulicy - wyjaśnił Grayson głosem pobrzmiwającym chłodną satysfakcją. - Nie ma mowy, żebyśmy nie zauważyli powrotu Boone'a.

No to koniec nadziei, że Grayson pracuje w pojedynkę, pomyślała ponuro Elly.

Doreen uważnie przyglądała się detektywowi.

- Jak się pan dowiedział, że Cooper Boone ukrył narkotyki w samochodzie Elly?

Grayson wzruszył ramionami.

- Zwyczajnie. Dostałem cynk od informatora.

- Czy był to ten sam wiarygodny informator, który posłał pana do Drogi do Ruin? - zapytała wesoło Elly.

- Mój informator na pewno się nie mylił. To w Drodze poszło coś nie tak.

- Jasne - burknęła Elly. - I tak samo będzie tutaj.

- Zastanawiałem się nawet nad tym nalotem na Drogę - ciągnął spokojnym głosem Grayson. - I dochodzę do wniosku, że to całkiem możliwe, że Boone i Ripley są współnikami i razem rozprowadzają narkotyki. Może wie coś pani o tym, panno St.Clair?

Elly podniosła oczy na sufit.

- Niech się pan opamięta, DeWitt. To pański informator jest pana problemem, a nie ktoś inny. On panem manipuluje. Nie widzi pan tego?

Grayson poszarzał na twarzy.

- Jeśli ma pani choć cień rozsądku, powinna powiedzieć wszystko, co wie o Boone. Jasne, sypia pani z tym facetem, ale niech mi pani uwierzy, że on nie odwzajemni się tym samym i

nie będzie pani krył. Dilerzy narkotyków martwią się tylko o własną skórę.

Elly już otworzyła usta, żeby się sprzeciwić, ale bardzo szybko je zamknęła, bo usłyszała głośny jęk Doreen i zobaczyła, że przyjaciółka spuściła głowę na zgięte ramię.

- Chyba zaraz zwymiotuję - wymamrotała Doreen.
- Ją musi zbadać lekarz - oświadczyła Elly. - Sam pan widzi, że jest ranna.

Grayson spojrzał na Doreen jak na powietrze.

- Przeżyje. Te siniaki ma od wczoraj. Mogła już wcześniej wezwać pogotowie.
- Dzięki za współczucie - burknęła Doreen, nie podnosząc głowy.

Grayson oparł się o okienną ramę.

- A tak w ogóle, to co się pani stało? Ukochany panią pobił?

Teraz Doreen podniosła głowę i nic nie mówiąc, spojrzała z gniewem na Graysona.

- Ach, więc słusznie się domyśliłem. - Detektyw z niesmakiem potrząsnął głową. - Obie zadajecie się z niewłaściwymi mężczyznami. Jedna ma chłopaka, który ją bije, a facet drugiej - przeniósł spojrzenie na Elly - zajmuje się rozprowadzaniem narkotyków.

- Cooper nie handluje narkotykami - obruszyła się Elly.

- Powinna pani wiedzieć, że dilerzy nie cenią lojalności u swoich kobiet. Do diabła, oni niczego nie cenią. Zależy im tylko na zyskach ze sprzedaży tych świństw. - Grayson uśmiechnął się ponuro. - Zawierając z panią znajomość, Boone trafił w dziesiątkę, co? Założę się, że to pani produkuje dla niego ten proszek. Wiemy, że do produkcji tego pyłu potrzebny jest doświadczony botanik albo chemik. Nielatwo jest wyprodukować pył ze świetlistego psi - zioła. A przynajmniej nie w domowej kuchni.

- Jeśli znalazł pan narkotyki w moim samochodzie, to tylko dlatego, że ktoś je tam podłożył, żeby zrobić mnie i Coopera - odparła lodowatym głosem Elly.

W oczach detektywa zabłyśła furia.

- Nie podkładam fałszywych dowodów, panno St.Clair.

Wzruszyła ramionami.

- W takim razie zrobił to pański informator. Detektyw prychnął.

- O dziwo, często słyszę takie słowa z ust osób w pani sytuacji. To się nazywa obrona ZeTKI.

- Cóż to takiego obrona ZeTKI?

- ZeTKI to skrót od „Zrobił to ktoś inny” - wyjaśnił oschłym tonem Grayson.

- Jeśli nie wierzy pan, że pański informator panem manipuluje, to jak pan wyjaśni wczorajszą wpadkę w Drodze? - zapytała Elly. - A może w otoczeniu elitarnego wąskiego grona dzielnych detektywów znajduje się kapuś?

- To całkiem możliwe - zgodził się. - Sprawdzę to, gdy już uporam się z tą sprawą.
- A może to pański krawiec? - Elly przyglądała się eleganckim spodniom policjanta. -

Może lepiej, żeby uważał pan na to, co mówi, podczas następnej przymiarki.

Doreen zaczęła się nagle krztusić kaszlem i na koniec jęknęła ochryple. Potem znów opuściła głowę na ramię. Grayson popatrzył na nią z poirytowaniem.

- A teraz co znowu?
- Bardzo boli mnie głowa i jest coraz gorzej. Ja naprawdę zaraz zwymiotuję.

Na bezwzględnej twarzy Graysona pojawił się grymas niepokoju. Na pewno się zastanawia, czy nic nie grozi jego wypolerowanym do połysku eleganckim trzewikom, pomyślała Elly.

Doreen znowu jęknęła.

Elly spojrzała na Graysona.

- Mam na dole zioła, które pomagają na ból głowy i niestrawność.

Grayson się wahał.

Doreen przyłożyła rękę do brzucha.

- Ojej! Źle się czuję.

- Niech mi pan pozwoli przyrządzić ten napar - zwróciła się Elly do Graysona. - Będziemy tu jeszcze długo czekać, bo Cooper wróci dopiero za kilka godzin.

- Tak? - Grayson się zaciekawił. - A dokąd on poszedł?
- Porozmawiać z niektórymi ludźmi - odrzekła niejasno Elly.
- Związanymi z handlem narkotykami?

- Nie - warknęła. - Mówiłam już, że Cooper nie ma nic wspólnego z narkotykami, które znalazł pan w moim samochodzie.

Doreen gwałtownie się wyprostowała i złapała za brzuch. Głośno przełknęła ślinę. Grayson odsunął się dalej od niej.

- Niech pani przestanie. Ostrzegam, jeśli pani zwy...

Doreen z ręką na żołądku zaczęła się kołysać w przód i w tył, zaciskając oczy.

- A niech to cholera. - Grayson wyrwał gwałtownym ruchem kluczyk z kieszeni i otworzył nim kajdanki, którymi Elly przykuta była do krzesła.

- Zejdziemy na dół, żeby przygotowała pani ten napar - oświadczył rozeźlony. - Ale przysięgam, że pożałujecie, jeśli spróbujecie uciekać

- Okay, okay, kapuję. - Elly ostrożnie się podniosła z krzesła i posadziła sobie Rose na ramieniu.

Kurzak intensywnie wpatrywał się w detektywa, kiedy schodzili na dół do frontowego pomieszczenia sklepu.

- Czy ten kurzak gryzie? - zapytał Grayson.

- Nie, ależ skąd - zapewniła Elly, otwierając słój z ziołem. - To taka kruszyna. I zawsze jest bardzo przyjaźnie do wszystkich nastawiona. Może i złapałaby zębami pana palec, gdyby ją pan sprowokował, ale nie zrobiłaby większej krzywdy.

- Już rozumiem, dlaczego te stworzenia nazywają skudłaconymi kurzakami. Ten tutaj wygląda tak, jakby właśnie wytoczył się spod łóżka w dawno niesprzątanym, zakurczonym pokoju.

Elly, udając, że nie słyszy jego uwag, skoncentrowała się na odmierzaniu ziół ze słoika.

Napełniła nimi jedną torebkę, zamknęła słój i otworzyła następny, i z niego też przełożyła trochę ziół do drugiej paczuski.

- To wszystko, czego potrzebowałam do przygotowania naparu - oznajmiła, zamykając wieczkiem drugi słój.

- Chodźmy.

Doreen podniosła głowę, gdy Elly, a za nią Grayson, z powrotem zjawili się w kuchni.

- Pospiesz się - wystękała ochryplym głosem. - Z każdą minutą czuję się coraz gorzej.

- Zaparzę to najszybciej, jak się da. - Elly położyła paczuski z ziołami na ladzie i sięgnęła po czajnik. - Ale najpierw przygotuję trochę rezoherbaty.

- A ma pani kawę? - zainteresował się Grayson.

- Nie. - Otworzyła puszkę z herbatą. - Nie piję kawy. Wolę to. Zresztą działanie ma podobne. Zioła, które przygotowuję dla Doreen, są najskuteczniejsze w połączeniu z napojem pobudzającym. To stara sztuczka ze środkami przeciwbólowymi. - Podniosła imbryczek na herbatę. -Będzie pan miał coś przeciwko temu, że przygotuję herbatę również dla siebie?

- Nie. - Grayson odwrócił się do okna. - I skoro już robi pani dla siebie, to dla mnie też proszę zrobić. Wolalbym kawę, no, ale trudno. Wygląda na to, że zapowiada się dłuższe czekanie.

- A czy istnieje prawo, które pozwala niewinnie zatrzymanemu przygotowywać herbatę glinie, który go zatrzymał?

- Niech już pani robi tę cholerną herbatę i tyle nie gada.

- Jak pan sobie życzy. - Wyjęła trzy kubki z szafki i wrzuciła do imbryczka trochę listków herbaty. - Choć na pana miejscu nie wiem, czy zdecydowałabym się wypić coś, co przygotowała osoba podejrzana o handel narkotykami.

Grayson głośno się roześmiał.

- Skoro będzie pani piła to samo co ja, nie muszę się obawiać.

- Nie mogę już dłużej czekać - wystękała Doreen zbolalym głosem.

- Jeszcze tylko kilka minutek - obiecała Elly, otwierając jedną z paczuszek.

Woda w czajniku zaczęła wrzeć. Elly szybko zalała nią liście herbaty w szklanym imbryczku.

Czekając, aż herbata się zaparzy, otworzyła pudełko na słodycze, wyjęła z niego ciastko z masłem orzechowym i kawałkami czekolady upieczone przez panią Kim i podała je Rose.

- To ciastko z czekoladą? - zapytał Grayson, przyglądając się Rose żującej ciasteczko.

- I z masłem orzechowym - wyjaśniła Elly. - Piecze je jedna z moich sąsiadek. To ulubione ciastka Rose.

- Są prawdziwe, czy zrobione specjalnie dla kurzaków?

- Prawdziwe. Rose je to samo co ludzie. - Elly wyjęła z pudełka następne ciastko i ugryzła je.

- Och. - Doreen odwróciła twarz. - Nie mogę na to patrzeć.

- Herbata jest już gotowa - oznajmiła Elly z radością.

Nalała napar do dwóch kubków, trzeci pozostał pusty.

Z jednej z paczuszek wyjęła szczyptę ziół i wsypała je do kubka Doreen.

- Sobie też nasypię. - Zrobiła to. - Czuję, że zbliża się migrena. To pewnie ze stresu.

Postawiła kubki na stole.

- Pij powoli - ostrzegła. - Jest bardzo gorąca.

- Dzięki. - Doreen przysunęła do siebie kubek i zaciągnęła się bijącym od niego aromatem. - Cudownie. Tego właśnie potrzebowałam.

Ku niezadowoleniu Elly Grayson ponownie przykuł jej prawą rękę do krzesła.

Następnie, zadowolony, że znów wszystko ma pod kontrolą, podszedł do lady, sięgnął po szklany imbryczek i nalał herbaty do trzeciego kubka. I nie pytając o pozwolenie, wziął sobie jedno ciastko.

Rose zawarczała groźnie.

- Spokojnie, zakurzony kłębku futra - powiedział Grayson. Z kubkiem w ręku wrócił pod okno. - Zostało jeszcze dużo ciastek, a ja nic nie jadłem od chwili, gdy dostałem telefon. To znaczy chyba od jakiejś trzeciej nad ranem.

- Czyżby to był telefon od Palmera Frazier, który dzwonił z kolejną gorącą informacją o miejscu składowania narkotyków? - zapytała uprzejmie Elly.

Grayson posłał jej pełne poirytowania spojrzenie.

- Dlaczego ciągle pani wspomina tego jakiegoś Palmera Frazier?

Odpowiedzi udzieliła Doreen.

- Po pierwsze - zaczęła, dotykając posiniaczonej twarzy - ten Frazier to chyba ten sam sukinsyn, który mi to zrobił. Chociaż używał innego nazwiska. A tak przy okazji, otóż on

twierdził, że jest tajniakiem, który rozpracowuje jakąś narkotykową szajkę. Cóż za zbieg okoliczności, nie sądzi pan?

- I moim zdaniem to on zamordował Stuarta Griggsa - dodała Elly.

Grayson potrząsnął głową.

- Wy dwie macie naprawdę wybujałą wyobraźnię. - Upił herbaty i lekko się uśmiechnął. - Ale herbata nie jest zła, muszę przyznać.

- Każdy ma jakiś talent - odrzekła Elly.

Rozdział 34

Ormond Ripley wcisnął klawisz „pauza” w odtwarzaczu.

- Rozpoznajesz go?

- To Palmer Frazier. - Cooper wpatrywał się w postać na ekranie. - Co znaczy, że mamy jeszcze większy problem, niż sądziłem.

Ripley znów uruchomił wideo.

Na nagraniu widać było Frazier, który szedł szybko korytarzem na zapleczu klubu. Ubrany był w czarno-białą uniform noszoną przez kelnerów. W jednej z kieszeni miał coś, co wyglądało jak małe koktajlowe serwetki. Z drugiej sterczały plastikowe mieszadełka do koktajli.

- Znalazłem takie mieszadełko w podziemiach - rzekł Cooper. - Musiał je upuścić i tego nie zauważyć.

- Pewnie był mocno podekscytowany, gdy zabrał się do rezonowania niebieskiego światła.

Frazier wyraźnie dokądś się spieszył. Kiedy dotarł do drzwi schowka sprzątaczy, otworzył je, a potem za nimi zniknął.

- Obejrzałem nagranie od początku do końca - poinformował Ripley. - I nie widziałem, żeby Frazier wychodził z tego schowka. I nie ma nagrania, na którym widać, że opuszcza klub frontowymi drzwiami tej nocy. Po prostu się rozwiął.

Cooper jeszcze raz sprawdził stempel z datą na dyskietce.

- To była ta sama noc, kiedy próbował zamordować Berthę Newell. Musiał być tutaj w klubie, gdy w jakiś sposób dowiedział się, że trzeba natychmiast zająć się Berthą. Może Griggs do niego zadzwonił. Tak czy inaczej wiedział, że będzie musiał zabić tego, kto odkrył laboratorium.

- Przewidując, że może się zdarzyć, iż któregoś dnia będzie potrzebował alibi, wymknął się

do podziemi przez otwór w ścianie piwnicy. - Ripley oparł się o dyrektorski fotel i złączył palce dłoni. - Bez wątpienia zamierzał wrócić tą samą drogą. Gdyby ktoś go o to później pytał, mógłby powiedzieć, że przez cały czas był w pracy.

- Ale nie był w stanie wrócić, bo generując niebieskiego ducha, żeby uwięzić Newell w katakumbach, stopił cały bursztyn.

- Mógł doznać silnego syndromu wypalenia - rozmyślał na głos Ripley. - Nie miał po co wracać do klubu, bo nie potrafiłby się normalnie zachowywać. Musiał poszukać jakiegoś miejsca, w którym mógłby spokojnie zapaść w śpiączkę.

- Ale wcześniej z pewnością zapragnął kobiety - przypomniał cicho Cooper.

Ripley zastukał palcami.

- Z pewnością.

- Ta prostytutka, którą znaleziono martwą trzy przecznice od Alei Ruin następnego dnia rano. - Cooper zastanawiając się, przeszedł wolno przez pokój. - W raporcie napisali, że zmarła od przedawkowania magicznego pyłu. Ale jej współlokatorka mówiła reporterom, że ta dziewczyna wyglądała tak, jakby ktoś ją pobił. Upierała się, że doszło do morderstwa.

- Może się nie myliła. - Ripley pochylił się do przodu i odczytał wydruk. - Według informacji dostarczonych przez moje kadry Palmer Frazier, znany także jako Jake Monroe, został zatrudniony w klubie trzy miesiące temu. Był idealnym pracownikiem.

- Podejrzewam, że od dawna planował nalot na twój klub - zauważył Cooper.

- Ale po co?

- Jest łowcą, który potrafi manipulować niebieskim światłem. - Cooper wzruszył ramionami. - Tacy lubią planować wszystko z wyprzedzeniem.

- Tak, słyszałem. I wszystko przebiegało gładko, dopóki ty nie pojawiłeś się na scenie. Przyjechałeś do Kadencji i zacząłeś krzyżować mu szyki.

- To nie ja mu je pokrzyżowałem. - Cooper ruszył do drzwi. - Moim zdaniem na mnie też próbował zastawić pułapkę, do czego będąc szefem Gildii wstyd się przyznać.

- Jeśli to nie ty stanąłeś mu na drodze, to w takim razie kto?

Cooper zatrzymał się przy drzwiach z ręką na klamce.

- Moja narzeczona. - Uśmiechnął się lekko. - Frazier popełnił błąd, bo jej nie docenił.

- Narzeczona? Nie wiedziałem, że nadal jesteś zaręczony. Sądziłem, że ślub został odwołany.

- Tylko przeniesiony na inny termin.

- Tak? Zatem, kiedy ustalicie już nową datę, nie zapomnij przysłać mi zaproszenia.

- Nie zapomnę.

Rozdział 35

Ale on żyje, prawda? - dopytywała się Doreen. Z niepokojem przyglądała się Graysonowi DeWitt, który rozciągnięty na kuchennej podłodze, głośno chrapał. - Zabicie policjanta to już grubsza sprawa.

- Nie martw się. - Elly kończyła rozpinąć kajdanki, którymi Doreen przykuta była do krzesła. - On tylko śpi. Ale nie obudzi się przez następnych kilka godzin. Dodałam do herbaty naprawdę dużą dawkę czerwonego jaskrowca.

- Nie rozumiem. - Doreen wstała i zaczęła delikatnie rozcierać nadgarstki. - Widziałam, jak parzyłaś herbatę i piliśmy ją wszyscy. Dlaczego ty i ja nie chrapiemy teraz na podłodze?

- Rzeczywiście piliśmy tę samą herbatę, ale wsypałam do niej dodatkową dawkę jaskrowca, kiedy DeWitt sprawdzał, co się dzieje na ulicy. - Elly podeszła do okna, przylgnęła plecami do ściany i wyjrzała ostrożnie zza zasłonki na zewnątrz. - Ale do naszej, twojej i mojej herbaty, dodałam jeszcze zioła, które są antidotum na jaskrowca. W gruncie rzeczy zmieszanie tych dwóch ziół daje napar, który jest silnym stymulantem.

- Ha, to już rozumiem, dlaczego jestem gotowa pobiec na siłownię i podnosić najcięższe sztaby.

- Przy okazji, gratuluję aktorskich talentów. Naprawdę myślałam, że zwymiotujesz na nieskazitelne obuwie DeWitta.

- Szczerze mówiąc, wcale tak bardzo nie udawałam. Naprawdę nie czułam się najlepiej. Ale teraz jest już całkiem dobrze. - Doreen okrążyła stół. - Co widzisz?

- Dwóch facetów na dachu przeciwległego budynku. Wygląda na to, że DeWitt nie żartował, kiedy mówił, że jego ludzie obserwują okolicę.

- O kurczę, to znaczy, że nie możemy wyściubić nosa za drzwi.

- Z pewnością nie przez główne i te na zapleczu. - Elly sięgnęła po słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie. - Muszę ostrzec Coopera.

- Zaczekaj. - Doreen szeroko otworzyła oczy. - Nie używaj telefonu. Może być na podsłuchu. Pamiętasz, co sama mówiłaś o policjantach i pluskwach?

Elly patrzyła się na słuchawkę w dłoni jakby to był chromowąż.

- Masz rację. - Odłożyła gwałtownie słuchawkę. - Zadzwoń z komórki. Zostawiłam ją w torbie.

- Nie sądzisz, że gliny mogą podsłuchiwać także komórki?

Elly, zaszokowana, zatrzymała się w drzwiach.

- Nie wiem.

Patrzyły na siebie przez dłuższą chwilę, potem Doreen odwróciła się i spojrzała na leżącego DeWitta.

- A może skorzystamy z jego telefonu?

- Dobry pomysł. - Elly szybko podeszła do policjanta i ukucnęła przy nim. Oklepała jego kieszenie i w jednej znalazła mały elegancki telefon komórkowy. Zauważyła, że był bardzo dobrej firmy.

Otworzyła go i wystukała numer Coopera. Odpowiedział po pierwszym dzwonku.

- Cooper, gdzie jesteś?

- Właśnie wyszedłem z Drogi. Coś się stało?

Mówił beznamietnym, chłodnym tonem, jak zawsze, gdy zajmował się kryzysowymi sytuacjami lub ważnymi sprawami Gildii.

Szybko streściła mu przebieg wydarzeń.

- A teraz DeWitt leży nieprzytomny na podłodze w kuchni - kończyła. - Nie możesz tu wrócić, Cooper. Na okolicznych dachach stoją ludzie, którzy chcą cię zatrzymać.

- W tym momencie ważniejszym problemem jest Frazier. Nie wiem, gdzie on może być. Ty i Doreen musicie natychmiast opuścić twoje mieszkanie.

- Istnieje tylko jedno wyjście, które nie jest prawdopodobnie obserwowane - odpowiedziała Elly, napotykać wystraszone spojrzenie Doreen.

- Ta dziura w ścianie twojej piwnicy? - domyślił się Cooper.

- Tak. - Elly wzięła Rose na ręce i skinęła na Doreen, żeby za nią poszła. - Zejdziemy teraz na dół.

- Myślisz, że Frazier wie o jej istnieniu?

Elly zerknęła na Doreen.

- Mówiłaś swojemu chłopakowi o moim małym przejściu do katakumb?

- Nie. Ten temat nigdy się nie pojawił. - Doreen się skrzywiła. - A nawet gdyby się pojawił i tak bym mu nie powiedziała. To prawda, że zabawiałam się z Frazierem, ale przecież nie byłam zakochana w tym sukinsynie.

- Mówisz jak prawdziwy szczer ruin – zażartowała Elly. - Okay, to wszystko wyjaśnia - powiedziała do Coopera. - Frazier prawdopodobnie nie ma pojęcia o moim tajnym wejściu do tuneli.

- Ale mnie i tak nie podoba się, że tam schodzicie.

Elly z Doreen za plecami dotarła do podnóża schodów i skręciła do wejścia do piwnicy.

- Nic nam się nie stanie - rzekła z przekonaniem. - Doreen jest bardzo dobrą splataczką. Da sobie radę z każdą pułapką iluzji. A Rose wyczuje każdego zbłąkanego ducha, dryfującego po tej części katakumb. Dzięki temu będziemy trzymały się od nich z daleka.

- A co z wyjściem?

- Mam namiary na dziurę w ścianie Berthy. Wyjdziemy przez nią do sklepu. A ludzie DeWitta z pewnością go nie obserwują, bo i po co.

- Masz wystarczającą ilość nastrojonego bursztynu? -dociekał Cooper.

Zerknęła na bursztyn w wisioru na szyi Doreen.

- Doreen ma swój. - Dotknęła kolczyków. - I ja też mam.

- Podaj mi obie częstotliwości.

Wyrecytowała namiary na swój bursztyn, a potem odjęła telefon od ucha i zapytała:

- Doreen? Jaka jest twoja częstotliwość?

Doreen wymieniła właściwe cyfry, a Elly przekazała je Cooperowi.

- Zapisałem - potwierdził.

- Schodzimy teraz do piwnicy. - Elly pierwsza kroczyła po stopniach ku plamie cienia rozlewającej się u podnóża schodów. - Dłużej pewnie nie będziemy mogli utrzymać połączenia.

- Uważajcie na siebie - przestrzegł. - Odbiorę was przy wyjściu za jakieś dwadzieścia minut. Później, zanim zajmę się Frazierem, zawiozę was do siedziby Gildii. Będziecie tam bezpieczne.

Elly przyklękała, żeby otworzyć ukryte drzwiczki zamontowane w podłodze piwnicy.

- Tak jest, szefie - powiedziała. - Do szybkiego zobaczenia.

Z otworu w ziemi powiało szmerem energii psi. Elly zamknęła telefon i wsunęła go do kieszeni.

- Ja jestem splataczką - odezwała się Doreen. - Więc się odsuń. Wchodzę pierwsza.

- Wiesz co? - zaczęła Elly. - Ciągłe to słyszę od różnych osób, gdy trzeba zejść do katakumb. Pewnego dnia ja też będę tak mówiła.

Rozdział 36

Coś jest nie tak. Znowu.

Palmer po raz trzeci wcisnął guzik powtórnego wybierania, ale Grayson DeWitt nie odbierał.

Palmer podeszedł do okna i spojrzął na dachy budynków Starej Dzielnicy.

Co się dzieje w Alei Ruin? Wszystko było przecież dokładnie zaplanowane. I wszystko toczyło się jak należy od chwili, gdy wcześniej rano zadzwonił do DeWitta.

Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej detektyw potwierdził, że znalazł narkotyki w bagażniku samochodu Elly i że jego ludzie zajęli już pozycje na dachach.

Co się mogło nie powieść tym razem?

Frustracja i wściekłość zatykały Palmerowi gardło. Nerwowo zaciskał lewą dłoń.

Boone pewnie się domyślił, że zastawiono na niego kolejną pułapkę, przeszło mu przez głowę. To jedyne wytłumaczenie. Sukinsyn pewnie jest już w drodze do bezpieczniej siedziby Gildii w Aurora Springs, a Elly zostawił samą z problemem.

Czyli założenie, na którym opierał swoje działania, okazało się błędne, myślał Palmer. A tak był pewien, że Elly St.Clair to słaby punkt Boone'a.

Wiedział, że nadeszła pora, by ponownie zniknąć, ale bardzo niechętnie porzucał plan na tym etapie. Poświęcił mnóstwo czasu i pieniędzy temu projektowi. Każdy jego szczegół tak dokładnie przemyślał. Nawet dwukrotnie popełnił morderstwo, żeby tylko plan się powiódł.

Ale jeśli Boone jest w drodze do Aurora Springs, to znaczy, że już po wszystkim.

Sukinsyn. Sukinsyn. Pieprzony niebieski świr.

Walnął zaciśniętą dłońią we framugę okna i wciągnął oddech, gdy poczuł ból w palcach. Zobaczył, że krew ska-puje na parapet.

- Sukinsyn - szepnął. - To wszystko twoja wina, Boone. Wszystko szlag trafił i to przez ciebie, ty przekłety świrze.

Wszedł do małej łazienki i włożył zranioną rękę w strumień zimnej wody. Z lustra patrzyła na niego twarz podobna do maski. Każdego dnia coraz mniej przypominał siebie. Rozpadał się.

Kontrola. Kluczem jest kontrola. Jeśli jej nie odzyska, wpadnie w niebieski wir.

Wziął kilka głębokich oddechów. Kiedy poczuł, że nieco się uspokoił, zakręcił wodę.

Myśl jak szef Gildii, którym powinienes zostać. Zmierz się z faktami, mówił do siebie w duchu. No trudno, coś nie wypaliło na ostatnim etapie i nie da się już temu zaradzić. Priorytetami są teraz ucieczka i przetrwanie.

Musi jak najszybciej zejść pod ziemię. W katakumbach był mistrzem niebieskiej energii. Tam na dole był niezwyciężony.

Przecież przygotowałem się na taką ewentualność, przypomniał sobie.

Odwrócił się od okna i mokrą ściereczką przetarł wszystkie sprzęty w skąpo umeblowanym pokoju. Wątpił, że ktoś znajdzie to miejsce, a już z pewnością nie skojarzy go z nim, ale nie zamierzał więcej ryzykować. Słyszał plotki o tym, że niektórzy policjanci potrafią za pomocą parapsychoicznych talentów wyczuć, czy podejrzany był w danym miejscu w nieodległej przeszłości. Władze twierdziły, że to jakieś miejskie legendy, ale on wiedział co nieco o legendach związanych z Gildią i nie chciał się narażać. Sądy domagają się dowodów. A on nie zamierzał ich zostawiać.

Kiedy już uznał, że zatarł wszelkie ślady swojej bytności w obskurnym mieszkanku,

sięgnął po torbę z zapasem pieniędzy i narkotyku, który w razie potrzeby zawsze mógł sprzedać. W torbie miał też ubranie na zmianę i swój dziennik.

Wyszedł z mieszkania, nie zamykając drzwi na zamek. Ten stary dom, w którym znajdowało się mieszkanie, był już od dawna opuszczony. Palmer miał szczęście, że ktoś z administracji zapomniał wyłączyć wodę.

Przeszedł szybko przez pusty korytarz i schodami przeciwpożarowymi zszedł do piwnicy.

Energia psi wydobywająca się z dziury w ścianie podniosła go na duchu i uspokoiła. Tu na dole czuł, że to on sprawuje kontrolę.

Prześliznął się przez otwór o poszarpanych krawędziach, wykuty w kwarcu, wsiadł do slidera i spojrzął na lokalizator, żeby sprawdzić swoje współrzędne. Najchętniej od razu wyjechałby z miasta. Teraz, gdy już wiedział, że jego plan się nie powiodł, wolałby nie pozostawać w nim dłużej niż to niezbędne.

Niestety, pozostała jeszcze jedna sprawa, którą musiał się zająć przed wyjazdem, żeby mieć pewność, iż jego osobie nic nie zagraża. Musi pozbyć się tej głupiej, małej dziwki. Bo choć nie zna ona jego prawdziwego nazwiska, mimo wszystko Doreen Thornton wie, jak on wygląda.

Powinienem był ją zabić już wczoraj, myślał, uruchamiając silnik slidera. Nie chciał jednak, aby na tym etapie w okolicy sklepu Elly pojawiło się więcej martwych ciał. Kolejny umarłak na pewno wzbudziłby zainteresowanie policji, no i być może Boone'a.

Ale nie ma się co przejmować, pocieszał się w duchu. Doreen nigdzie się nie wybiera. Przynajmniej dopóki z jej twarzy nie znikną siniaki, które jej nabił. Będzie trzymała jęzor za zębami.

Niemniej powinien zająć się nią jak najszybciej.

Sprawdził częstotliwość jej bursztynu, którego na powierzchni nie dawało się wykryć, ale pod ziemią był jak latarnia morska, pod warunkiem, że znało się jego numery.

Doreen jest szczurem ruin. Jeśli postanowiła się ukryć, z pewnością wybrała katakumby.

Brzęczyk zawiadamiający o wykrytej częstotliwości odezwał się tak głośno, że Palmer o mało nie wjechał sliderem w ścianę.

Doreen rzeczywiście związała do tuneli.

Wcisnął hamulec i nie wierząc we własne szczęście, gapił się w lokalizator.

Ta dziwka jest niedaleko. Według mapy, gdzieś w pobliżu Alei Ruin.

Ale współrzędne się zmieniały.

Jego ofiara się poruszała.

Czy jest sama? To było następne pytanie. Jeśli DeWitt utracił kontrolę nad sytuacją w mieszkaniu Elly, na co wszystko wskazywało, bardzo możliwe, że obie kobiety uciekły

razem.

Z uczuciem rosnącego podekscytowania Palmer wbił do lokalizatora kolejne numery, których dość niedawno nauczył się na pamięć.

Znów rozległ się głośny i przeciągły dźwięk brzęczyka. Elly była z Doreen.

No w końcu los zaczął mu chyba sprzyjać.

Włączył silnik slidera.

Rozdział 37

Rose wyszczerzyła zęby i jednocześnie warknęła ostrzegawczo.

- Zaczekaj. - Elly złapała Doreen za rękę. - Coś jest nie tak. Spójrz na Rose.

Doreen zatrzymała się i popatrzyła na kurzaka przykucniętego na ramieniu przyjaciółki.

- Co się z nią dzieje? - Doreen wystraszona zrobiła krok w tył. - Nigdy jej takiej nie widziałam.

Zostały z niej tylko oczy i zęby. A mówiłaś, że nie gryzie.

- Kłamałam. - Elly ostrożnie objęła Rose. - Ale ciebie nie ugryzie.

- Na pewno?

- Oczywiście. Ona chce nam w ten sposób powiedzieć, że w pobliżu czai się niebezpieczeństwo. Może jakiś silny duch.

- Kapuję. Okay, w takim razie uważajmy. - Doreen jeszcze raz zerknęła na Rose. - Nie przejmuj się tak, mała. Jestem twoją przyjaciółką od mody, pamiętasz? I wiem, jak sobie radzić tu na dole. Poza tym jestem bardzo dobrym medium, moje zmysły psi są bardzo wyczulone. Nie wejdziemy na żadnego ducha.

Rose nie wyglądała na zbytnio przekonaną. Rzuciła się na ramieniu Elly i dziwnie pomrukiwała.

- No dobrze, kochanie, postawię cię na ziemi - zgodziła się Elly. - Ale, błagam, nie uciekaj.

Rose jednak nie posłuchała się i od razu pomknęła korytarzem. Zorientowawszy się, że Elly za nią nie idzie, zatrzymała się, przykucnęła na tylnych łapach i głośno zaskrzeczała.

- Ona nigdy się tak nie zachowywała - wyznała Elly. - Chyba chce, żebyśmy za nią poszły.

Doreen zmarszczyła czoło.

- Nie możemy. Musimy jak najszybciej dotrzeć do prywatnego wyjścia Berthy. Cooper będzie tam na nas czekał.

Z oddali doszedł ich przytłumiony, piskliwy szum. Elly znieruchomiła.

- Chyba słyszę slidera - szepnęła.

Doreen przysłuchując się, przechyliła głowę na bok. Zawroźenie silnika stawało się coraz głośniejsze. Posiniaczona twarz Doreen pobladła.

- Masz rację. Katakumby zniekształcają dźwięki, ale jeśli słyszymy silnik slidera, to znaczy, że jest gdzieś blisko. To pewnie kolejny szczer ruin. Może będzie mógł nam pomóc.

Elly obejrzała się przez ramię.

- Albo i nie.

- Co masz na myśli?

- Jestem przekonana, że kurzaki dysponują zwierzęcą wersją parapsychoicznych zmysłów. Rose nigdy się nie myliła w ocenie ludzi. I z jakiegoś powodu uważa teraz, że powinniśmy stąd zniknąć i nie sprawdzać, kto nadjeżdża. Moim zdaniem, lepiej jej posłuchajmy.

Rose zawróciła do Elly, stanęła przed nią na tylnych łapach, głośnie zakrzeczała i zawarczała, a potem się odwróciła i znowu pobiegła.

- Wszystko jasne - mruknęła Elly. Złapała Doreen za rękę i zaczęła biec. - Za nią!

Doreen nie protestowała.

Rose, stukając pazurkami o kamienną posadzkę, skręciła za róg.

Elly i Doreen jeszcze bardziej przyspieszyły kroku.

- Ten stworek potrafi szybko biegać, kiedy chce - wydyszała Doreen.

Odgłos silnika ciągle się wzmagał.

- Cholera. - Doreen obejrzała się za siebie. - Slider się zbliża i wydaje mi się, że wyczuwam energię duchów. Ten ktoś nas chyba ściga. Ale jak to możliwe?

- Twój bursztyn - zauważyła Elly. - Pewnie ten ktoś zna jego częstotliwość.

- O kurde - zakląła Doreen. - To musi być Frazier, czy jak on się tam nazywa. Miał mnóstwo okazji, żeby poznać częstotliwość mojego bursztynu.

- Wrzuc go do którejś z komnat.

- Oszalałaś? Jesteśmy w katakumbach. Jeśli stracimy bursztyn, nigdy nie znajdziemy drogi wyjścia.

Elly dotknęła kolczyka w uchu.

- Ja też mam bursztyn.

Doreen obrzuciła zdumionym spojrzeniem kolczyki przyjaciółki.

- Bursztyn w twoich kolczykach jest nastrojony?

- Tak.

- Myślałam, że nosisz je tylko ze względów estetycznych. Nigdy nie wspominałaś, że

masz jakieś pararezonerskie talenty.

- Później ci wszystko wyjaśnię. A na razie zaufaj mi, moje bursztyny są nastrojone. I mają unikalną częstotliwość. Palmer nie może jej znać, bo przecież nie wie, że mam parapsychiczne zdolności. Całkiem spore.

- A konkretnie jakie? Jesteś łowcą? Splataczką?

- Ani to, ani to. Posłuchaj, możemy o tym porozmawiać później? Teraz musimy się spieszyć.

- Ale ja pracuję tylko ze swoim bursztynem - oznajmiła niepewnym głosem Doreen.

Elly poczuła na karku muśnięcie energii. Popatrzyła na ciągnący się przed nimi korytarz. W oddali rozbłysło niebieskie światło.

- Cholera. Wygląda to na szczególną niebieską energię. To na pewno Frazier. Musisz natychmiast pozbyć się swojego bursztynu, Doreen.

Doreen powiodła spojrzeniem za wzrokiem przyjaciółki.

- Co to jest? Wygląda jak światło ducha, ale ma niebieski kolor. I jakoś dziwnie wiruje.

- Frazier używa bursztynu do kierowania duchem.

- To naprawdę coś dziwnego. - Doreen zerwała z szyi wisiołek i cisnęła go w zbliżającą się ku nim niebieską wirującą chmurę.

Duch rzucił się w dół na wisior, przechwytyjąc częstotliwość bursztynu.

- Okay, już ci wierzę - szepnęła Doreen.

- Zyskałyśmy dzięki temu trochę czasu - oświadczyła Elly. - Pospiesz się, bo zgubimy Rose.

Biegnący przed nimi kurzak znowu skręcił za kolejny róg. Zazgrzytały pazurki, drapiące o kwarc. Elly wraz z Doreen pobiegły w tamtą stronę.

Ale gdy skręciły, na drodze stanęła im masywna ściana kwarcu. Na korytarzu po obu stronach nie widać było żadnych otworów prowadzących do bocznych grot. Nie było też odnóg.

Elly gwałtownie się zatrzymała. Doreen uczyniła to samo. Stały przed kwarcową ścianą w niemym przerażeniu.

- Nie ma innej drogi jak tylko ta, którą tu dotarliśmy - zauważyła bezbarwnym głosem Doreen. - Może zdążymy wrócić do ostatniego skrzyżowania przed Frazierem i skręcimy w inną odnogę.

Elly zadrżała pod wpływem delikatnego podmuchu silnie pulsującej energii. Różniła się od tej, którą zazwyczaj wyczuwała w podziemiach. I wyczuwała w niej znajomą nutę, nutę nie z tego świata.

- Czujesz coś? - zapytała. Doreen zmarszczyła czoło.

- Jestem przerażona, jeśli o to ci chodzi.

- Mówię o falach energii psi. - Elly zbliżyła się do ściany. - Mam wrażenie, że emanują z tego kwarcu.

- Nie wyczuwam niczego innego niż normalnie. - Doreen nagle zamilkła. - Znow słyszę silnik slidera.

Elly wsłuchiwała się w stłumione, wibrujące zawroźzenie silnika. Frazier nadal za nimi jechał.

- Chodź. - Doreen złapała ją za rękę. – Spróbujmy znaleźć inne rozgałężenie.

Elly nie odrywała wzroku od ściany.

- Popatrz na Rose.

- Co?

- Spójrz na nią.

Rose stała nieruchomo przed murem z kwarcu, a tuż przed nią, w jakiś cudowny sposób, zaczął się materializować mały otwór. Rose wcisnęła się w niego i zniknęła.

Otwór zamknął się za nią, a Elly i Doreen znow wpatrywały się w litą kwarcową ścianę.

Elly spojrzała na Doreen i ujrziała rozpacz na jej twarzy.

- On jest coraz bliżej - szepnęła splataczka. - Jesteśmy w pułapce.

Rozdział 38

Cooper przyglądał się, jak odczyt częstotliwości migocze, a następnie znikła niespodziewanie z ekranu jego osobistego rezobursztynowego lokalizatora. Bursztyn Doreen właśnie się usmażył, możliwe, że wskutek spotkania z płomieniami ducha. To nie był dobry znak.

Na szczęście nadal bez problemu odczytywał współrzędne Elly i to napawało go nadzieją. Z całych sił wcisnął pedał gazu, próbując wydusić nieco większą prędkość z rozklekotanego, starego slidera Berthy Newell. Ale na niewiele się to zdało, a poza tym już i tak gnał zatrwając szybko. Przy takim tempie jazdy łatwo mógł wpaść w pułapkę iluzji lub na ducha bez szansy na ich ominięcie.

Nie miał jednak wyboru. Kiedy dotarł do prywatnego otworu Berthy prowadzącego do tuneli i nie zastał tam Doreen i Elly, domyślił się, że musiało wydarzyć się coś złego. A to go doprowadziło do mrozącego krew w żyłach wniosku, że być może w sprawę zamieszany jest Frazier.

Szybko skręcił sliderem za kolejny róg i pomknął przed siebie długim zielonym

korytarzem, wyczulając wszystkie zmysły na dryfujące w katakumbach parapsychiczne moce.

Doreen spoglądała w oszołomieniu na litą kwarcową ścianę.

- To może być coś w rodzaju energii pułapek iluzji, ale jak dotąd jeszcze nigdy z czymś takim się nie spotkałam. Gdybym nie widziała, że Rose przeniknęła przez ten mur, przysięgłabym, że to lity kwarc, nic więcej. - Przytknęła dłonie do ściany. - W dotyku też jest jak stała materia. Gdyby to była prawdziwa pułapka iluzji, moje ręce przeniknęłyby przez nią, co pobudziłoby pułapkę do działania.

- Ale ja wyczuwam układy energii. - Elly, przepelniona zdumieniem i zachwytem, uważnie przyglądała się ścianie. - Są podobne do tych, które odbieram od zielonych kwiatów, które przynosi mi Rose.

Doreen spojrzała na przyjaciółkę.

- Odbierasz energię psi roślin?

- Nie martw się, to jeszcze nie znaczy, że jestem wariatką. A przynajmniej nie sądzę, żebym nią była. Rzecz w tym, że jeśli nieco mocniej się skoncentruję, fale energii emanujące z tej ściany stają się bardzo wyczuwalne. Ja niemal je widzę, tyle że w sposób, który trudno jest mi wyjaśnić.

Niewielka część ściany zaczęła migotać i nagle pojawił się w niej kolejny otwór. Rose wystawiła przez niego łepkę i głośno zaskrzeczała. Potem znów zniknęła, a ściana stała się gładka.

- Chce, żebyśmy za nią poszły - rzekła Elly. - Może mi się uda. Przecież wszyscy w mojej rodzinie potrafią manipulować różnymi rodzajami energii. A ja przynajmniej w teorii wiem, jak to się robi.

- No to spróbuj - ponagliła ją Doreen. - Bo jakie mamy inne wyjście? Do rozbijania energii pułapek iluzji i duchów stosuje się tę samą technikę. Zmiennymi są tylko rodzaj energii i jej miejsce w widmie spektralnym. Nie wiem, z czym będziesz tu pracowała, ale jeśli wyczuwasz długości fal, to następnym krokiem jest ich stłumienie przez skierowanie na nie własnej energii psi przepuszczonej przez bursztyn. Już jaśniej nie umiem tego wytłumaczyć. Musisz sama wyczuć, co robić z energią o takim układzie fal.

Elly nic nie odpowiedziała na te sugestie, bo skupiła się już na wczuwaniu się w energetyczny układ. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczała, może dlatego, że od lat dostrajała się do energii psi roślin.

Żeby lepiej się skoncentrować, zamknęła oczy, po czym odnalazła w ścianie rezonujący układ i ostrożnie przesłała przez bursztyn impuls własnej energii, o dokładnie odwrotnym

układzie niż energia ściany.

Natychmiast wyczuła, kiedy długości fal zlały się ze sobą i zaczęły się wzajemnie znosić.

Owiało ją wilgotne gorąco i silny podmuch energii, Wszystkie jej zmysły krańcowo się wyostrzyły. Otoczyła ją odurzająca aura energii psi roślin, silniejsza od wszystkiego, co kiedykolwiek czuła.

- Elly, spójrz - usłyszała szept Doreen.

Otworzyła oczy. Duża część ściany znikła, odsłaniając niesamowity widok. Cudowny ogród pełen roślin.

Baldachim z liści nieznanymi, pięknych drzew rzucał cienie na świat poniżej, świat cudownych paproci, kwiatów i pnączy. Powietrze wypełniał odurzający zapach. Zapach oranżerii.

- Dżungla Jordan - wyszeptwała głęboko przejęta Elly.

W otworze pojawiła się Rose, nadal z położoną po sobie sierścią i wyszczerzonymi zębami, i zamruczała coś ostrzegawczo.

- Już idziemy - zapewniła ją Elly.

- O cholera - mruknęła Doreen. - Frazier chyba jednak zna częstotliwość twojego bursztynu.

Elly obejrzała się za siebie i ujrzała mały, kłębiący się wir. W dość wolnym tempie nadciągał w ich stronę niczym wypuszczona z łuku strzała.

Nie było czasu, żeby za pomocą bursztynu zamknąć otwór w ścianie. Elly zerwała kolczyki z uszu i rzuciła je w kłębowisko energii.

Ta natychmiast runęła na nową ofiarę.

- Chodźmy - zawołała Elly.

Razem z Doreen i Rose zanurzyła się w dżungli Jordan.

Rozdział 39

Gdy odczyt częstotliwości bursztynu Elly zniknął z lokalizatora, Cooper zlodowaciał. Nawet nie chciał się zastanawiać, co to może oznaczać.

Teraz dysponował tylko współrzędnymi miejsca, w którym Elly przebywała ostatnio. Jeśli ona i Doreen zdążyły się stamtąd znacznie oddalić, nigdy ich nie znajdzie.

Ale był już blisko, a poza tym z Elly i Doreen jest Rose, pocieszał się. Emmett London twierdził, że kurzaki potrafią odnajdować drogę pod ziemią. Rose nigdy nie opuści Elly. Przynajmniej dopóki Elly żyje.

Nie zamierzał rozważać alternatywy.

Wjechał sliderem na sześcioramienne skrzyżowanie tuneli, po czym skręcił w jedną ze lśniących odnóg, kierując się do miejsca, w którym jeszcze niedawno znajdowała się Elly.

Elly ukryła się szybko w niewielkiej grocie i zza gąszczu paproci wyrzała na zewnątrz. Obok niej klęczała Doreen, a Rose siedziała na pobliskiej skałce z ponownie nastroszoną sierścią i z obojętną miną. Skubiąc kłaczki futra, starannie poprawiała naszyjnik.

Dżungla Jordan okazała się zaskakująco hałaśliwym miejscem. Ani Elly, ani Doreen nie dostrzegły nigdzie żadnych zwierząt, poza bardzo małymi i bardzo zielonymi jaszczurkami prześlizgującymi się po kamieniach, ale w gałęziach wysokich drzew nieustannie rozbrzmiewał śpiew niewidocznych ptaków.

Poniżej grotty, w której się schronili, duży wodospad opadał lśniąca kaskadą po skałach i rozbił się o lustro ciemnego jeziora, na którego powierzchni pływały jakieś rozłożyste liście.

Wszędzie wokół rozrastała się bujnie najróżniejsza roślinność. Z miejsca, w którym się znajdowała, Elly widziała otwór w ścianie oraz część korytarza za nim.

- Co on robi? - zapytała szeptem Doreen. – Widzisz go?

Jakaś postać przeszła szybko przez otwór i stanęła jak wryta. Palmer rozglądał się wokół, z oczywistym niedowierzaniem.

- Jest już w środku - poinformowała Elly. - I wygląda na zdezorientowanego.

- Nie dziwię się. - Doreen zadrżała. - Kto wie, co to za miejsce? Założę się, że pełno tu jadowitych węży i insektów.

- Rose by nas ostrzegła, gdyby zbliżało się coś groźnego.

- Wspaniale. Rose by nas ostrzegła, ale co potem? Przecież nie mamy nic, czego mogłybyśmy użyć, żeby obronić się przed niebieskim światłem emanującym z tego dziwaczego ducha.

- Ciekawe, skąd Palmer zna częstotliwość mojego bursztynu - zastanawiała się Elly. - Skąd w ogóle wiedział, że noszę nastrojony bursztyn. Nikt poza moją rodziną i Cooperem nie wie o mojej zdolności wyczuwania energii psi roślin.

- Zastanowimy się nad tym później, a teraz zajmijmy się bieżącymi kłopotami.

- Elly - krzyknął Palmer. Jego głos odbił się echem w konarach drzew. - Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. Doreen i Cooper to wspólnicy handlujący narkotykami. Nie rozumiesz, że chcą cię wpuścić w maliny?

- Nie mogę uwierzyć, że on wygaduje takie rzeczy - oburzyła się Elly. - Musi mieć bardzo złe zdanie o mojej inteligencji.

- Palmer nie darzy kobiet szczególnym szacunkiem - przyznała Doreen. - A ja trochę się przyczyniłam do tego, że ma o nas złe zdanie.

- Nie obwiniaj się o to, że go nie przejrzałaś - obruszyła się Elly. - To szczwany lis. Udało mu się nawet zdobyć członkostwo w Radzie Gildii w Aurora Springs. A to znaczy, że zwiódł mojego ojca i całą resztę Rady. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jaki jest niebezpieczny, dopóki nie pojawił się Cooper. On od razu się zorientował, że Palmer jest groźny, i z miejsca poczynił kroki, żeby się go pozbyć.

- Tak? W takim razie szkoda, że nie usunął go skuteczniej i na dłużej.

- Mam przecucie, że w tej chwili Cooper myśli bardzo podobnie.

Powinienem był zabić sukinsyna, kiedy miałem okazję, albo przynajmniej usmażyć mu mózg, Cooper nie mógł sobie darować.

Zatrzymał slidera Berthy tuż za sliderem porzuconym przez Frazier. Szybko zeskoczył na ziemię i podszedł do otworu w ścianie.

Widok bujnej roślinności ogromnie go zaszokował. Zupełnie jakby oglądał tropikalne lasy deszczowe. Teraz już ma pewność, że opowieści o dżungli Jordan wcale nie były wysane z palca.

Zatrzymał się przy samym otworze i wsparty dłonią o mur, zaciągnął się zapachami dżungli. Wilgoć tworzyła przed nim niewidzialną ścianę ciepła. Dochodziły go śpiewy ptaków i szmer odległego wodospadu.

Rozległ się krzyk Palmera Frazier.

- Elly, musisz mi uwierzyć. Cooper Boone to bardzo niebezpieczny człowiek. Wychowałaś się w rodzinie Gildii, więc pewnie słyszałaś o niebieskich świrach? On jest właśnie niebieskim świrem, a ja mogę cię przed nim ochronić.

Cooper uważnie nasłuchiwał. Jeśli Elly była tam w środku, wiedziała, że powinna zachować milczenie. A Frazier stał gdzieś niedaleko otworu.

- Wiem o tym, że potrafisz wyczuwać energię psi roślin - ciągnął Frazier. - Griggs się tego domyślił. Kiedy przychodził do ciebie do sklepu, przyglądał się, co robisz z ziołami, i zdał sobie sprawę, że potrafisz działać na rośliny tak samo jak on. Kilka tygodni temu wysłałem go do ciebie ze specjalnym czytnikiem częstotliwości bursztynów, żeby odczytał częstotliwość twoich bursztynowych kolczyków. Te nowe urządzonek to naprawdę coś wspaniałego. Wystarczyło, że Griggs znalazł się kilka kroków od ciebie i bez twojej wiedzy przejął częstotliwość. Poleciałem mu to zrobić dla twojego bezpieczeństwa, w razie gdyby Boone cię porwał i ukrył gdzieś pod ziemią.

Cooper wygenerował niebieskie światło, zmuszając je do przybrania formy wiru i

używając tego kłębowiska jako tarczy, ruszył w głąb dżungli.

Nie więcej niż dwadzieścia kroków dalej dostrzegł ruch pomiędzy monstualnymi paprociami. Frazier trzymał się blisko otworu w ścianie, zapewne bojąc się wejść głębiej w gąszcz zarośli.

Kłębowisko niebieskiej energii zwróciło jednak jego uwagę.

- Boone. - Frazier zaczął się przedzierać pomiędzy gigantycznymi łodygami paproci. - Ty pieprzony świrze. To wszystko twoja wina.

W stronę Coopera runęło kłębowisko niebieskiej energii, które jednak uderzyło najpierw w skonstruowaną przez niego tarczę. Gdy potężne masy energii zderzyły się, nastąpiła eksplozja jaskrawoniebieskiego światła, które na moment rozjaśniło mroki podziemnego tropikalnego lasu.

Tuż za pierwszą strzałą energii pomknęła następna, a potem kolejna, aż w końcu powietrze wypełniły snopy intensywnego światła. Frazier atakował z całą siłą, licząc na to, że przytłoczy i zdeorientuje przeciwnika.

Tarcza Coopera zaczęła migotać i pulsować w odpowiedzi na szturm strzał. Błyski stroboskopowego światła stały się tak intensywne, tak oślepiające, że musiał zamknąć oczy i walczyć, polegając tylko na swoich parapsychicznych zmysłach.

Gdzieś w głębi dżungli odezwały się piski i skrzeki przerażonych zwierząt. Rozległ się chaotyczny trzepot wielkich skrzydeł.

I zaczął padać deszcz. Cooper najpierw go usłyszał, bo krople bębniły w gęste listowie drzew. Potem woda zaczęła przeciekać przez sufit utworzony z liści. Deszcz lał się na niego równomiernym strumieniem. Był przemoczony do suchej nitki. Kiedy otworzył oczy, przekonał się, że mgła, która się utworzyła od nadmiaru wilgoci, jest tak gęsta, że widział tylko to, co znajdowało się kilka kroków przed nim.

W podobnej sytuacji bez wątpienia znalazł się również Frazier. Ich pozycje zdradzało jedynie jaskrawe światło energii, której używali jako broni.

Cooper zaprzestał wysyłania mocy przez bursztyn i podbiegł do najbliższej kępy drzew.

Frazier natomiast, gdy się zorientował, że jego cel zniknął, zrezygnował z wystrzeliwania w stronę przeciwnika energii.

- Jesteś już martwy, Boone - wrzasnął. - Słyszysz mnie? Jesteś martwy. A kiedy z tobą skończę, Aurora Springs będzie moja. I ta twoja wybranka serca również. Będę ją pieprzył tak często, jak mi na to przyjdzie ochota, a ona będzie się do mnie wdzięczyła, bo jeśli tego nie zrobi, zniszczę tę jej przeklętą rodzinę. Tak jak zamierzam zniszczyć twoją, Boone. Muszę przecież ochraniać ludzi przed takimi niebieskimi świrami jak ty. To w końcu jest główne zadanie Gildii.

Cooper przyglądał się słabym iskrom niebieskiej energii strzelającym w górę w niedużej

odległości od niego. Tylko to widział przez zasłonę rześistego deszczu. Frazier tak bardzo był podekscytowany, że nawet nie zauważał, iż zbiera z okolicy zbłąkane cząstki niebieskiego światła i tym samym zdradza swoją pozycję.

Cooper przyciągnął do siebie z atmosfery tyle energii, ile tylko się dało, i posłał ją w samo epicentrum tańczących niebieskich iskier.

Wiedział, że trafił w cel, gdy usłyszał wrzask Frazia. Był to przeciągły krzyk bólu, wściekłości i strachu.

Krzyk, który się nagle i niespodziewanie urwał.

Cooper zaczął iść w strumieniach deszczu do miejsca, w którym ostatnio widział błyski światła.

Frazier leżał na wznak, z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami.

Cooper przykucnął przy nim, żeby zbadać puls. Frazier nie żył.

- Elly?

- Jesteśmy tu na górze - dobiegł go jej głos z prawej strony. - Już do ciebie schodzimy.

Pierwsza dotarła do niego Rose. Usłyszał jej radosne skrzeczenie, zanim ją jeszcze zobaczył. Pędziła ku niemu, nie zważając na deszcz, a jej mokra sierść kleiła się do drobnego ciała. Na szyi kurzaka migotała bransoletka z zielonych i żółtych kamieni.

Cooper pochylił się, żeby wziąć Rose na rękę.

- Wyglądasz wspaniale, ślicznotko.

Za drzew wyłoniła się Elly, a za nią Doreen, obie ociekające wodą.

Napięcie, które nie opuszczało go przez ostatnie pół godziny, zaczęło w końcu słabnąć. Elly była bezpieczna.

Potem uważnie przyjrzał się twarzy Doreen.

- A tobie co się stało, do diabła? - zdumiał się.

- To długa historia. - Doreen patrzyła na ciało Frazia. - On nie żyje?

- Nie żyje - potwierdził.

- Wspaniale - w głosie Doreen brzmiała satysfakcja.

Elly przytuliła się do Coopera.

- Strasznie się przeraziłam, kiedy zobaczyłam te wybuchy niebieskiej energii - wyszeptła, zarazem tak mocno go do siebie przyciskając, jakby już nigdy nie chciała wypuścić go z objęć.

- Nic ci się nie stało? Jesteś cała i zdrowa?

- Tak. A ty?

- Też w porządku. Rose nas uratowała, pokazując przejście do tego miejsca.

- Zostawmy wyjaśnienia na później, dobrze? - Doreen pchnęła ich w stronę otworu w ścianie. - Musimy jak najszybciej wydostać się na powierzchnię, żeby przejąć prawa do

największego odkrycia dokonanego na terenie katakumb w dziejach planety od czasów Pierwszej Generacji.

Elly oderwała się w końcu od Coopera.

- Wiesz co? - powiedziała. - Masz rację.

- No pewnie. I jest jeszcze coś. - Doreen mrugnęła podbitym okiem. - Przynajmniej na razie ty, moja droga przyjaciółko, jesteś jedyną osobą, która potrafi otwierać przejście do tego miejsca. Jeśli dobrze rozegramy naszą partię kart, ta dżungla zrobi z nas bogaczy. Wielkich bogaczy. I dlatego proponuję, żebyśmy się jednak pospieszyli.

Elly się roześmiała.

- Ale zdajesz sobie sprawę, że znaleździem będziemy musieli się podzielić z Berthą Newell?

- Nie ma problemu - zapewniła Doreen, popychając ich ku wyjściu. - Pieniądzy starczy dla wszystkich. Tylko nie zapomnij, Elly, zamknąć otworu w ścianie, bo jeszcze jakiś inny szczur ruin się na niego natknie i przejmie prawa do naszego znaleziska.

- No jasne - zgodziła się Elly, a potem złapała Coopera za rękę.

Cooper popatrzył na obie.

- Nie chcę wam psuć radości i w ogóle, ale zanim zgłosicie odkrycie dżungli, będziecie musiały zawiadomić o tym policję. W końcu mamy tu nieboszczyka.

Elly się skrzywiła.

- No i we wszystko zamieszany jest sławny detektyw, który leży nieprzytomny na podłodze w mojej kuchni. Pewnie wyjaśnianie tego trochę potrwa.

- O nic się nie martw - pocieszył ją Cooper. - Nie zapominaj, że jestem szefem Gildii i wiem, jak się załatwia takie sprawy.

Doreen ogarnięta nagłym niepokojem zmarszczyła czoło.

- Odstawiłeś nam tu niezły pokaz i domyślam się, że prawdopodobnie przy okazji stopiłeś cały bursztyn.

- Hm - mruknął w odpowiedzi Cooper.

- Czy to znaczy, że zaraz utracisz nad sobą panowanie i rzucisz się na nas, zanim zdążymy wyjść na powierzchnię? - dopytywała się Doreen.

- Nie gadaj bzdur - obruszyła się Elly, zaciskając palce na dłoni Coopera. - Szefowie Gildii nie tracą nad sobą panowania i na nikogo się nie rzucają.

- Chyba że zostaną sprowokowani - wymamrotał pod nosem Cooper.

Rozdział 40

Półtorej godziny później detektyw Alice Martinez przyglądała się, jak dwóch umundurowanych funkcjonariuszy podnosi Graysona DeWitta z podłogi w kuchni Elly i kładzie go na nosze.

Elly odniosła wrażenie, że na twarzy pani detektyw dostrzega rozbawienie. Kąciki ust policjantki bez wątplenia lekko drgały. Z trudem hamowała się od śmiechu.

- I on naprawdę wypił herbatę, którą mu pani podała? - zapytała Alice nieco zbyt obojętnym tonem.

- Do niczego go nie zmuszałam - zapewniła pospiesznie Elly. - Przyrządziłam napar i nalałam po kubku dla siebie i Doreen. DeWitt sam się obsłużył. Słowo honoru. - Zerknęła na stojącą obok Doreen. - Prawda, że tak było?

- Oczywiście - potwierdziła z zapalem przyjaciółka. - Elly ostrzegała nawet DeWitta, że nie powinien pić tego naparu.

Alice uniosła brwi.

- Ostrzegała go pani, panno St.Clair?

Elly odchrząknęła.

- Powiedziałam, że gdybym była na jego miejscu, nie wypiłabym niczego, co zaparzyła osoba podejrzana o produkcję narkotyków.

Cooper, który krążył nerwowo w przeciwległym kącie kuchni, zatrzymał się nagle. Elly zauważyła, że intensywne podniecenie wywołane wypaleniem powoli znika z jego oczu, ale teraz najwyraźniej zaczęło go ogarniać ogromne znużenie.

- Według mnie sam się przez to przyznał, że zjawił się tu pod zmyślonym pretekstem, pani detektyw - zauważył.

- Zgadzam się. - Alice wreszcie się uśmiechnęła. - Nasz wspaniały detektyw, pan Wielki Specjalista od Narkotyków, mimo ostrzeżeń napił się herbaty. - Teraz policjantka uśmiechała się już od ucha do ucha. - O rany, to naprawdę dobry numer. Dla mnie bomba. Nie mogę się doczekać, kiedy opowiem o tym na komendzie.

Elly uważnie popatrzyła na mówiącą.

- To znaczy, że mnie pani nie zaaresztuje?

- A za co? Za to, że zaparzyła pani herbatę we własnej kuchni, a potem powiedziała DeWittowi, że nie powinien jej pić? - Alice zachichotała. - Proszę się nie martwić, panno St.Clair, nikt nie zamierza pani aresztować. Przeciwnie, w imieniu reszty policjantów Kadencji proszę przyjąć szczerze podziękowania i gratulacje. Nawet sobie pani nie wyobraża,

jakim upierdliwym dupkiem był DeWitt przez ostatnie miesiące.

- Trzeba też dodać, że DeWitt miał pomocnika. - Cooper wskazał na dziennik, który znalazł w torbie Frazier. - Zdążyłem przeczytać kilka wpisów i wygląda na to, że po rezygnacji z członkostwa Rady Gildii w Aurora Springs Frazier zszedł na jakiś czas do podziemia i uknuł swój plan.

- W Aurora Springs wszyscy sądzili, że przeniósł się do Frekwencji - wyjaśniła Elly.

- Frazier umyślnie rozpuścił takie wieści - rzekł Cooper. - Kiedy Elly przeprowadziła się do Kadencji, pod zmyślnym nazwiskiem pojechał za nią. Rozejrzał się nieco po Starej Dzielnicy i przy okazji odkrył, że Stuart Griggs na niewielką skalę handluje w swojej kwaciarni narkotykami.

Alice zamyślona spłotła ręce na piersiach.

- Niech zgadnę. Frazier dostrzegł potencjalne korzyści z rozprowadzania magicznego pyłu i złożył Griggswi propozycję nie do odrzucenia?

Cooper skinął głową.

- W swoim dzienniku napisał, że najpierw zajął się organizacją produkcji, a następnie stworzył siatkę dilerów. Nie dzielił się z Griggsem po połowie, ale co nieco mu dawał. Griggs i tak zaczął nagle otrzymywać więcej forsy niż widział w całym swoim życiu. Oczywiście tę nieoczekiwaną nadwyżkę finansową przeznaczył na zakup zielnika Jordan w nadziei, że pomoże mu odnaleźć dżunglę.

- Bo tylko na tym tak naprawdę zależało Stuartowi Griggswi - dodała cicho Elly. - Ale kilka dni temu moja przyjaciółka, Bertha Newell, przez przypadek odkryła jego podziemne laboratorium.

- Frazier napisał w dzienniku, że Bertha nie tylko odkryła laboratorium, ale także rozpoznała Griggsa - zauważył Cooper. - Griggs uderzył ją w głowę i zostawił nieprzytomną w tunelu, po czym wyszedł na powierzchnię, by wezwać Frazier na pomoc. Jednak zanim Frazier zdążył zejść do katakumb, Bertha odzyskała przytomność i uciekła swoim sliderem. Frazier znalazł jego częstotliwość i wysledził Berthę w katakumbach.

- Bertha nie pamięta szczegółów – kontynuowała opowieść Elly - ale wygląda na to, że w pewnym momencie zorientowała się, że Frazier zna częstotliwość lokalizatora jej slidera i ją ściga. Porzuciła więc pojazd i ukryła się w jednej z pobliskich grot. Frazier zrezygnował z pościgu i, hm, unieruchomił slider, przytwierdzając do niego ducha.

Duch był niebieski, ale Elly nie zamierzała tego zdradzać, bo wszyscy wpadliby w panikę.

- Kiedy Bertha chciała później wsiąść do slidera, duch ją poraził - tłumaczył Cooper. - Przeszła kilka kroków, a potem padła zemdlona w jakiejś innej grocie.

- I to tam ją znaleźliście? - zapytała Alice.

- Tak - potwierdził Cooper.

- To jasne, że tajemniczym informatorem DeWitta był Frazier - orzekła Alice. - A jaki związek ze sprawą miał klub Droga do Ruin?

- Frazier dostał tam pracę przed kilkoma miesiącami - wyjaśnił Cooper. - Planował zastawić na Ripleya zasadzkę, żeby DeWitt mógł się wszem wobec chwalić swoim pierwszym wielkim sukcesem - zatrzymaniem handlarza narkotyków.

- To by zapewniło DeWittowi popularność w mediach - przytaknęła Alice. - Ale co z tego miałby Frazier? Skoro robił majątek na narkotykach, po co rozbijał tak dochodowy interes? I dlaczego zabił Griggsa?

Cooper popatrzył na policjantkę.

- Narkotyki to był tylko kolejny krok prowadzący do właściwego celu. Kiedy był już gotowy wykonać następny, pozbył się Griggsa, żeby zatrzeć za sobą ślady. Nie chciał ryzykować.

Alice uniosła jedną brew.

- A co było właściwym celem Fraziaera?

- Pozbycie się mnie - odrzekł cichym głosem Cooper. - I możliwość dorwania się do Elly. Doreen szeroko otworzyła oczy.

- Aż tak bardzo jej pożądał?

- Nie - zaprzeczyła Elly. - Nie mnie. Pojądał stanowiska. Przede wszystkim chciał zostać szefem Gildii w Aurora Springs. A ja bylam świetną kandydatką na żonę szefa.

- Małżeństwo z Elly scementowałyby przymierze Fraziaera z jej ojcem. - Cooper ziewnął. - John St.Clair to najpotężniejszy człowiek w Radzie Gildii Aurora Springs. Frazier sądził, że kontrola nad Elly oznacza kontrolę nad jej ojcem. Oczywiście błędnie ocenił St.Claira. Znam klan St.Clairów. Po uzyskaniu stanowiska, którego tak pragnął, Frazier szybko by zniknął. Ale on zawsze miał z tym kłopot.

- Ze złą oceną ludzi? - domyśliła się Alice. Cooper uśmiechał się swoim groźnym uśmiechem.

- Po prostu nie pojmował niuansów polityki Gildii.

- Chwileczkę - wtrąciła się Doreen. - Rozumiem, że Frazier zaczął się ze mną spotykać, żeby mieć oko na Elly. I rozumiem, że zmusił Stuarta Griggsa do współpracy. Ale skąd wiedział, że Cooper przyjedzie do Kadencji odwiedzić Elly?

Alice przeniosła wzrok na Coopera.

- Dobre pytanie.

Cooper wzruszył ramionami.

- Frazier nadal miał swoje kontakty i znajomości w Aurora Springs. W końcu był członkiem Rady. A ja nie ukrywałem, że zamierzam udać się na kilka tygodni do Kadencji, by zabiegać o względy Elly.

Elly poczuła, że szczęka jej opada.

- Co? Mówisz, że wszyscy w Aurora Springs wiedzą, po co tu przyjechałeś? Żeby przekonać mnie do małżeństwa?

Rozłożył ręce.

- Aurora Springs to mała miejscina. Sama to powiedziałaś. Wszyscy w Radzie i prawdopodobnie większość członków Gildii z rodzinami byli pewni, że moim zdaniem nasz ślub został tylko przełożony, a nie odwołany.

Elly wsparła się o blat szafki kuchennej.

- Ale wstyd.

Doreen szeroko się uśmiechnęła.

- A ja uważam, że to niesłychanie romantyczne.

Cooper, zadowolony, uśmiechnął się do Doreen.

- Dzięki. Cieszę się, że ktoś docenia moje starania. Jak powiedziałem, wszyscy się spodziewali, że wcześniej czy później wybiorę się do Kadencji. Czekałem pół roku. Wystarczająco długo, moim zdaniem. Ale jestem szefem Gildii. Nie mogłem, ot tak, po prostu wstać i się ulotnić na kilka tygodni. Musiałem tak zorganizować pracę, żeby ojciec Elly i Rada mogli pokierować sprawami Gildii, gdy mnie nie będzie w mieście.

Doreen ze zrozumieniem pokiwała głową.

- A ktoś z Aurora Springs powiadomił Frazier o dacie twojego planowanego wyjazdu.

Cooper ponownie ziewnął.

- Nie robiłem z tego tajemnicy.

Alice zastukała palcami po blacie.

- Twierdzi pan, Boone, że Frazier miesiącami przygotowywał pułapkę, by doprowadzić do zatrzymania pana za handel narkotykami?

Cooper oparł ramię i głowę o ścianę. Splótł ręce na piersiach i lekko przymknął oczy.

- Uhm. Miałem być drugim i największym sukcesem DeWitta.

- To bardzo wyrafinowany plan - rzekła przeciągle Alice. - Nie łatwiej byłoby zacząć się gdzieś w ciemnej uliczce i zabić pana strzałem z pistoletu?

- Zamordowanie szefa z zimną krwią to w każdej Gildii poważna sprawa - wyjaśnił Cooper. - Zły przykład. Frazier nie miał odwagi zrobić tego w Aurora Springs, bo to małe miasto. Trudno zatuszować morderstwo, kiedy wszyscy cię znają. I bez względu na to, czy znaleziono by jakieś dowody, czy nie, doskonale wiedział, że w oczach Rady byłby

pierwszym podejrzanym.

- A zamordowanie szefa Gildii innego miasta tutaj, w Kadencji, rozwścieczyłoby Mercera Wyatta. - Alice teraz już pojęła, o czym Cooper mówi. - Wyatt przewróciłby Kadencję do góry nogami, żeby wykryć zabójcę.

- Frazier zadbał o to, żeby nie padł na niego cień podejrzenia - potwierdził Cooper.

Zaczął powoli osuwać się plecami po ścianie. Elly podbiegła i podparła go własnym ramieniem.

- Musisz się położyć - stwierdziła, zaniepokojona.

- Pomóż im, Drayton. - Alice wydała polecenie funkcjonariuszowi stojącemu w progu. - Boone chyba za chwilę zemdleje. Panna St.Clair go nie udźwignie.

- Nie ma problemu. - Drayton podszedł do Coopera. - Ja się nim zajmę, panno St.Clair. Gdzie mam go zaprowadzić?

- Proszę za mną - rzekła Elly.

Poszła korytarzem w stronę sypialni, a za nią wszyscy pozostali. Drayton zaciągnął Coopera aż do łóżka.

- Dzięki - wymamrotał Cooper. Padł jak długi na przykryte narzutą łóżko i zamknął oczy. - Będziecie tu stali i przyglądali się, jak śpię?

- Już wychodzimy. - Elly się pochyliła i delikatnie go pocałowała.

Cooper uśmiechnął się lekko, bardzo zadowolony.

Elly gestem nakazała wszystkim opuszczenie sypialni. Uczynili to, choć niechętnie.

- Ostatnie pytanie, Cooper - odezwała się Doreen spod drzwi. - Dlaczego Frazier miał pewność, że wcześniej czy później przyjedziesz po Elly? Nie potrzebowałeś ani jej, ani wpływów jej ojca, żeby zostać szefem Gildii w Aurora Springs. Już przecież nim byłeś.

- To jedyna kwestia, w której Frazier się nie pomylił - odpowiedział Cooper, nie otwierając oczu. - Zakładał, że kiedyś na pewno pojawię się w Kadencji, bo znał moją słabą stronę. To Elly. Jak wszyscy w Aurora Springs, wiedział, że ją kocham.

- Co wiedział? - krzyknęła Elly. Cooper przewrócił się na bok i zasnął.

- Typowy mężczyzna - mruknęła Doreen.

Rozdział 41

Obudził się kilka godzin później. Była już noc. Przez mgłę unoszącą się za oknem sypialni przenikało znajome szmaragdowe światło emanujące z murów Wymarłego Miasta. W nogach

łóżka coś się poruszyło. Rose wdrapała mu się na pierś i spojrzała na niego swymi błyszczącymi niebieskimi oczami.

- Witaj, ślicznotko. - Cooper się uśmiechnął i poklepał Rose po łebku. W każdym razie miał nadzieję, że właśnie tam znajduje się jej łebek.

Rose lekko podskoczyła. Czerwonozłota bransoletka zdobiąca jej szyję zamigotała w mroku.

- Obudziłeś się. - Elly, która siedziała w rogu pokoju w fotelu i czytała oprawiony w skórę dziennik, zamknęła go i wstała, a potem podeszła do łóżka. - I dzięki Bogu, bo już się zaczynałam martwić, że tak długo śpisz. Jak się czujesz?

Był nieco zdziwiony, że Elly ma na sobie koszulę nocną i szlafrok, a jej włosy opadają luźno na ramiona.

Wygląda prześlicznie, pomyślał. Ale ona zawsze wygląda prześlicznie, w każdym ubraniu i o każdej porze dnia i nocy. I będzie równie piękna za pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. Dla niego zawsze będzie najpiękniejszą kobietą na świecie. Wiedział to od samego początku.

- Czuję się wspaniale. - Podniósł rękę, żeby spojrzeć na zegarek. - Już prawie północ. Jak to możliwe, że zrobiło się tak późno?

- Czas szybko leci, kiedy się odsypia wypalenie. - Elly przysiadła na brzegu łóżka i położyła rękę na jego ramieniu.

Objął jej dłoń swoją.

- Co robiłaś, kiedy spałem?

- Robiłam za twoją sekretarkę. Przyjmowałam interesantów.

- Jakich znów interesantów?

- Niech się zastanowię. Zajrzała tu Bertha Newell z wyrazami wdzięczności. Przyjdzie jeszcze raz, podziękować ci osobiście. Wpadli też na chwilę Emmett i Lydia Londonowie, sprawdzić, jak się czujesz. Emmett mówił, że zadzwoni do ciebie dzisiaj, bo chce dowiedzieć się szczegółów. Lydia przyprowadziła Fuzza i Ginger, a Rose pokazała im swoją kolekcję biżuterii. Fuzz i Ginger byli zachwyceni. Lydia pewnie będzie musiała niedługo zabrać ich na zakupy. Och, i dzwonił też Mercer Wyatt. - Elly na chwilę zamilkła. - To chyba wszyscy.

- Miałaś mnóstwo roboty.

- Wszyscy wyraźnie dawali do zrozumienia, że oczekują zaproszenia na ślub.

- Tak? - Poczul ucisk w żołądku, ale udało mu się zachować spokój. - A jak brzmiała twoja odpowiedź?

Pochyliła się i pocałowała go lekko w usta. Gdy uniosła głowę, zobaczył miłość w jej oczach.

- Zapewniłam, że oczywiście je im wyślemy.

Przyciągnął ją do siebie, a Rose, zmuszona ustąpić miejsca, zawarczała w wyrazie protestu, zeskoczyła z łóżka i wybiegła z pokoju.

- Kocham cię - powiedział Cooper. - Pokochałem już pierwszego dnia, gdy cię ujrzałem. Uśmiechnęła się.

- Podobnie było ze mną. Ja też cię kocham, Cooper. Ale na początku jakoś nie zwracałeś na mnie uwagi.

Zsunął z niej szlafrok.

- Wiem, że na początku naszej znajomości nie zachowywałem się wobec ciebie tak, jak powinienem. Ale tyle się wtedy działo. Nie chciałem, żebyś o wszystkim wiedziała.

- Na przykład o przyczynach tajemniczej śmierci Haggerty'ego w tunelach?

- Między innymi. - Zawahał się. - Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co sobie o mnie pomyślisz, kiedy poznasz moją przeszłość. Wszyscy mówili mi, że trzeba cię chronić, bo jesteś taka delikatna.

Elly prychnęła ze złością.

- Pewnie chodziło o mój odbiegający od normy profil parapsychiczny. Typowy klan łowców. Moi krewni uważali, że ponieważ jako jedyna w rodzinie urodziłam się nie-obdarzona zdolnością likwidowania duchów i rozsypywania pułapek iluzji, jestem całkowicie bezbronna.

- Ukrywałem przed tobą nie tylko sprawę z Haggertym i moją zdolność generowania niebieskiego światła. Były też inne problemy, z którymi musiałem się uporać na początku mojego szefowania Gildii.

- Masz na myśli plotki, że Haggerty był kontraktowym zabójcą?

- Pamiętasz ten weekend, kiedy zniknąłem?

- Doskonale pamiętam. Mówiłeś, że coś ci wypadło.

- To było spotkanie wszystkich szefów Gildii, na którym miałem zdać relację z sytuacji z Haggertym i co w tej sprawie zostało zrobione. I na dodatek szybko się przekonałem, że Haggerty przez ostatni rok swojej pracy nie za bardzo się przejmował funkcjonowaniem organizacji. Nikt już właściwie nie rządził Gildią. Zapanował chaos, upadało morale. Musiałem zwolnić kilka osób, przeorganizować całe wydziały i musiałem zrobić to bardzo szybko. Nie wszyscy byli zadowoleni ze zmian.

- Wiesz, zrozumiałabym cię, gdybyś mi o tym wszystkim powiedział.

- Kochanie. Całe lata pracowałem sam lub tylko z kilkoma osobami, które wiedziały, kim jestem i jak zarabiam na życie. Otoczyłem się tajemnicą. Nielatwo przychodzi mi mówienie o sobie i o mojej pracy.

- Tak, wyczułam to. Okay, wybaczam ci, że nie powiedziałeś słowa o swoich problemach

w Gildii. Ale dlaczego, kiedy się spotykaliśmy w Aurora Springs, wystarczał ci konwencjonalny pocałunek na pożegnanie?

Uśmiechnął się smutno.

- Tak bardzo cię pożałowałem, że z wielkim trudem panowałem nad sobą. Sądziłem, że jeśli między nami dojdzie wtedy do czegoś poważniejszego, moje dobre intencje zostaną zaprzepaszczone. Chciałem dać ci czas na zakochanie się we mnie. I tylko dzięki poświęcaniu się pracy mogłem utrzymać dystans między nami.

- Z tym dystansem to przesadziłeś. Ale ja też muszę ci coś wyznać.

- Tak? Cóż takiego?

- Przeprowadziłam się do Kadencji głównie dlatego, że w głębi serca miałam nadzieję, że po jakimś czasie za mną zatęsknisz. To znaczy, naprawdę zatęsknisz. Tak bardzo będziesz tęsknił, że przyjedziesz po mnie i wyznasz, że mnie kochasz.

- Do diabła, gdybym wiedział to wszystko, zanim wynajęłaś tę cholerną ciężarówkę do przeprowadzek, zaoszczędziłoby to nam obojgu wielu problemów.

Elly zachichotała.

- Teraz rozumiesz już, dlaczego dobra komunikacja interpersonalna jest taka ważna? Ale w sumie wszystko dobrze się ułożyło. Gdybym nie przeprowadziła się do Kadencji, nigdy nie odkryłabym swojego powołania.

- Mówisz o przyrządzaniu ziołowych toników?

- To może być ubocznym zajęciem. Wydaje mi się, że powinnam poświęcić się nowej dziedzinie botaniki - naukowym badaniom roślinności pozostawionej na tej planecie przez obcą rasę. Urodziłam się po to, żeby pracować z tymi roślinami w dżungli Jordan, Cooper.

- Rozumiem.

- Kto wie, co tam znajdziemy? Kiedy z Doreen ukrywałyśmy się w grocie, wyczułam moimi zmysłami dziesiątki różnych gatunków. Wszystkie wydawały się znajome, a zarazem jakieś inne.

- Jak kwiaty interesujące Rose?

- Tak. Myślę, że się okaże, iż rośliny z dżungli to rodzima flora tej planety, która uległa mutacjom wskutek przebywania w sztucznie stworzonym środowisku od Bóg wie ilu już stuleci. Badania będą niewątpliwie pasjonujące.

- Dojeżdżanie z Aurora Springs do Kadencji sprawi nieco kłopotów, ale damy sobie jakoś radę - obiecał Cooper.

- Nie ma mowy o żadnym dojeżdżaniu. Och, oczywiście będziemy często odwiedzać Kadencję, bo Doreen jest moją najlepszą przyjaciółką i tylko my dwie mamy prawo własności do dżungli. I pewnie Rose będzie chciała odwiedzać Fuzza i Ginger. A ja chętnie znów

spotkam się z Lydią. Ale nie chcę małżeństwa na odległość.

Cooper uniósł brew.

- Masz jakiś plan?

Tak się składa, że mam. Gdy zapadłeś w sen, dużo rozmyślałam i postanowiłam, że otworzę pierwsze Laboratorium Badawcze nad Florą Obcych z siedzibą w Aurora Springs, dzięki czemu, mam nadzieję, nasze miasto stanie się znane.

- Ale jak to możliwe, że siedziba będzie w Aurora Springs, skoro dżungla znajduje się pod Kadencją? - zdziwił się Cooper.

- O istnieniu tajemniczych podziemnych dżungli mówili oprócz Mary Tyler Jordan również inni poszukiwacze.

- No i co z tego?

- Nie zawsze chodziło o dżunglę pod Kadencją. - Elly skinęła głową w stronę książki, którą czytała. - To jeden z prywatnych dzienników wyszukanych przez Griggsa, należący do poszukiwacza z okolic Aurora Springs. Z jego zapisków wynika, że czterdzieści lat temu natknął się w tunelach pod lasami Aurora Springs na otwór w kwarcowym murze, za którym odkrył tajemniczą dżunglę. Niestety, później nie potrafił odszukać wejścia do dżungli i wszyscy uznali go za szaleńca.

- Myślisz, że znajdziesz tę dżunglę pod Aurora Springs?

- Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że takie dżungle znajdują się pod ruinami wszystkich pradawnych miast. A może nawet dżungle są ze sobą połączone.

- Jak to połączone? W jaki sposób?

- Zastanów się. Obcy z pewnością nie czuli się dobrze na powierzchni Harmonii. Żyli, jak się wydaje, w katakumbach lub w wybudowanych przez nich miastach. Być może w atmosferze planety było coś, co ich zabijało. Energia psi wydzielająca się z kwarcu stanowiła jakiegoś rodzaju antidotum na toksyczne składniki atmosfery.

- Interesująca teoria.

- Jednak to mało prawdopodobne, żeby obcym udało się przetrwać wyłącznie dzięki energii psi. Jak wszystkim żywym istotom był im niezbędny ekosystem. Ten istniejący na powierzchni był dla nich niekorzystny. Założę się, że deszczowe lasy pod ziemią dostarczały im tlenu, roślin i czego tam jeszcze potrzebowali, żeby ich cywilizacja mogła przetrwać.

- Chyba już wiem, dokąd zmierzasz ze swoimi wywodami.

- Jest jeszcze coś - kontynuowała.

- Co takiego?

- Wydaje mi się, że zdolność rezonowania z energią roślin nie jest wcale taka rzadka, podobnie zresztą jak zdolność generowania niebieskiej energii. Na przykład Stuart Griggs wyczuwał energię

roślin. Inni ludzie, którzy też to potrafią, nie zdradzają się z tym, żeby nie uznano ich za odmieńców.

- Pararezonery energii roślin zaczną się wreszcie ujawniać, kiedy informacja o dżungli Jordan trafi do mediów - domyślił się Cooper.

- Prawdopodobnie.

- Hm - mruknął.

- Hm, co? Masz minę szefa Gildii. Nad czym się tak zastanawiasz?

- Nad tym, że już niedługo każdy botanik oraz wszyscy inni, którzy uznają, że potrafią wyczuwać energię psi roślin, będą chcieli schodzić do katakumb.

- Nie byłabym zdziwiona.

- Ale wszyscy wiedzą, że naukowcy nie dadzą sobie rady w tunelach bez ochrony, którą mogą im zapewnić tylko łowcy - zauważył. - A w dżungli badacze będą narażeni na zupełnie nowe, nieznane jeszcze niebezpieczeństwa. Będzie im niezbędna ochrona.

Elly się uśmiechnęła.

- Chyba już wiem, co ci chodzi po głowie.

- Jakkolwiek byś na to patrzyła, Gildię czeka huk roboty w najbliższej przyszłości. Musimy poczynić plany, jak poradzić sobie w nowych okolicznościach. Z samego rana zadzwonię do innych szefów.

- No tak, nie wątpię.

- I coś jeszcze. Media, wykrywszy, że Gildia z Aurora Springs była wplątana w odkrycie dżungli Jordan, nie dadzą spokoju również innym Gildiom. Musimy natychmiast zaprząć do pracy pijarowców z wydziałów do spraw kontaktów z mediami zarówno w Kadencji, jak i w Aurora Springs.

- I znów mówisz jak szef. - Elly, śmiejąc się, opadła na poduszki. - Zaczęliśmy rozmowę od planowania naszego ślubu i wspólnej przyszłości, a teraz nagle rozprawiamy o szansach Gildii na poszerzenie zakresu działalności. Nic dziwnego, że właśnie tobie dano tę robotę, Boone.

Przyciągnął ją do siebie.

- Gdybym nie miał ciebie, przyszłość Gildii albo czegokolwiek innego absolutnie by mnie nie interesowała.

Przestała się śmiać.

- Mówisz serio?

- Tylko ty sprawiasz, że wszystko inne ma dla mnie jakąś wartość, Elly. A zwłaszcza przyszłość. Zrozumiałem to w dniu, w którym zwróciłaś mi pierścionek zaręczynowy.

Pocałowała go w usta.

- Ja też to sobie wtedy uzmysłowiłam. I musiałam czekać na ciebie długich sześć miesięcy, Boone.

- Tak? - W jego oczach dojrzała bezbrzeżną miłość. - Gdybym to wiedział, zjawiłbym się o wiele szybciej. Ale opracowałem plan, wiesz? I nie mogłem od niego odstąpić.

- A ja się zastanawiałam, dlaczego się tak guzdrzesz. Ale teraz już wiem. Wszyscy szefowie Gildii tak mają

TECHNICAL